



*Bożena Szlucha*

*Ogród motyli*

## Od autora

Moja Mama Halinka miała wiele teorii dotyczących życia. Większość z nich wysłała z mlekiem matki i poniosła w swoje dorosłe życie. Często śmieszyły mnie i buntowałam się przed takimi ludowymi mądrościami. Nie chciałam się z nimi zgodzić. Obecnie, gdy sama jestem już bardzo doświadczoną kobietą, oceniam, że większość z maminych porzekadeł mogłabym zaliczyć do grupy: „coś w tym jednak jest”. Właśnie stwierdzenie, że w życiu dostajesz to, czego się najbardziej obawiasz, pochodzi z maminych przepisów na dobre życie.

Zawsze bałam się obudzenia z ręką w nocniku. W momencie, gdy człowiek zaczyna co chwilę odwracać się w tył, bo z przodu jeszcze tylko parę zakrętów, parę prostych i już meta.

Usilnie staram się żyć z sensem. Nie chcę być jak ten listek na wietrze albo patyk na grzbiecie fali. Staram się starannie dokonywać wyborów. Naprawiam popełnione wcześniej tzw. błędy młodości, wyważam słowa... I co? Zupełnie jakbym miała osiemnaście lat, w głowie kłębią się same pytania!

Wiele lat temu, kiedy wydawało mi się, że już wiele wiem o życiu, powtarzałam swoim koleżankom i krewnym, że niczego, co zrobiłam, nie żałuję. Nie chciałabym niczego w życiu zmienić. To jedynie świadczy o mojej ówczesnej krótkowzroczności i braku doświadczenia. Teraz chętnie wróciłabym do minionych lat, nie po to, aby przeżyć je od nowa, ale aby podjąć inne decyzje, odważyć się na inne życie. Jednak czy wtedy nie popełniłabym nowych błędów? Czy to zagwarantowałyby mi szczęście i pewność życiowego sukcesu? A może jednak moje wybory były najlepszymi z możliwych, bo właśnie taki los był mi pisany? Powinnam teraz zadać sobie ważne pytanie: czy jestem szczęśliwa? Przeważnie tak, a najważniejsze, że nie czuję się nieszczęśliwa. A to już bardzo wiele, bo kocham życie!

Książkę tę poświęcam wszystkim bliskim, którzy z własnego wyboru, głupoty, słabości lub dezercji przed odpowiedzialnością odeszli przedwcześnie z tego świata, między innymi:

– mojej kochanej Mamie Hali, która miała awersję do lekarzy i uparcie twierdziła, że „jak samo przyszło, to samo odejdzie”;

- swatowi Kazikowi, który chciał przechrzyć życie;
  
- Jean Marcowi, który zdezerterował przed życiem;
  
- pięknej Cécile, która nie potrafiła żyć dalej ze swoimi myślami;
  
- Sylwkowi, który chciał zabić kurę znoszącą złote jajka, a zabił siebie.

Myślę, że wszyscy powyżej wymienieni przechadzają się obecnie w cieniu tęczowych drzew w Ogrodzie Motyli, podglądając prace skrzydlatych ogrodników. A ja nie chcę obudzić się w tym ogrodzie ze skrzydłem w nocniku.

Od dziecka lubiłam słuchać opowieści o prawdziwym życiu innych ludzi, a także chciałam przelewać na papier zasłyszane historie. Jednak przez wiele lat nie miałam takiej okazji. Może dotychczas nie było mi to sądzone, a może nie wykorzystałam odpowiedniego momentu i dokonałam złego wyboru? Postanowiłam to nadrobić, więc opowiadam historię życia paru kobiet, które los postawił na mojej drodze. Być może właśnie po to, abym o nich opowiedziała. Między innymi o życiu ciotki mojego męża, którą twarda historia Polski wygnała poza granice kraju. Szkoda, aby piękna opowieść o wojennej miłości jej i młodego wówczas Belga odeszła w niepamięć wraz z jej śmiercią. Wanda jest dziś bardzo leciwą starszą damą. Coraz bliżej jest Ogrodu Motyli...

W książce tej przedstawiam dobre i złe wybory moich bohaterek. Trochę jest w niej moich własnych doświadczeń, przemyśleń. Ale przede wszystkim jest w niej prawdziwe życie innych ludzi oraz żywe uczucia, z którymi często nie wiemy, co zrobić, aby było dobrze. A z uczuciami tak jest, że wszyscy ich doświadczamy, choć nie zawsze się do tego przyznajemy czy sobie to uzmysławiamy. Może komuś opowiadana historia skojarzy się z własnymi przeżyciami i na czas coś zmieni?

„Dziękuję Ci za miłość prędką bez namysłu  
Za to, że nie jest całym człowiekiem pojedynczy

Za oczy nagle bliskie i niebezimienne  
Za głos niedawno obcy, a teraz znajomy...”

Ks. Jan Twardowski

## Prolog

Tej nocy granat nieba był aksamitny. Materia chmur spięta świecąca broszą pyzatego księżycy, połyskiwała srebrną mgiełką przesuujących się obłoków. Delikatne promienie nocnego światła wpadały przez szparę w zasłonie i tworzyły srebrny most, po którym do pokoju zsunęli się dwaj astralni malarze, Alma i Gabriel.

Alma, otulona różowa poświatą, popłynęła do stołu i usiadła na miękkim oparciu wysokiego krzesła. Połyskujący zielenią Gabriel poszedł za jej przykładem i zsunął się na siedzenie drugiego krzesła.

– Tak, mamy nie lada problem! – powiedział.

– Mówiłam ci o tym jeszcze przed spotkaniem z szefem.

– Zaczynasz nabierać tego przykrego zwyczaju kobiet. Zawsze wszystko wiesz najlepiej.

– No cóż, w końcu jestem aniołem żeńskim. Poza tym obserwuję świat. Nie sprzecajmy się. Nie chodzi o to, że wiem lepiej. Przypuszczam, że nie trzymamy się instrukcji i nasze dzieło zaczyna odstawać od początkowego zamierzenia. Musimy przyrzeć się drzewu. Spróbujmy znaleźć błędy. Może jeszcze czas na korektę. Jeśli od początku myliliśmy się, to trudno. Szef nie umieści naszego dzieła w Absolucie. Nie dostaniemy nagrody i dalej będziemy jedynie mieszać farby i myć pędzle. A teraz w drogę! Mamy szczęście, że jest obraz, i gdy tylko zechcemy, możemy niepostrzeżenie wchodzić do ogrodu.

Alma postanowiła nie poddawać się. Wierzyła, że jeśli ciężko popracują, to naprawią błędy. Ujęty zapalem towarzyszki Gabriel dał się namówić i postanowił działać.

– Daj rękę, pomogę ci przejść bramę ramy. Tak trudno przechodzisz w świat abstrakcji. – Przejął inicjatywę.

W poświacie księżycy różowa mgła wydłużyła się, dotknęła zielonej. Zabłyszczały zielone i różowe drobiny zarysu postaci. Zawirowały i popłynęły w stronę wielkiego obrazu, od lat ozdabiającego ścianę dziennego pokoju w mieszkaniu Klary i Wojtka. Mgła otoczyła obraz skrzącą poświatą i przylgnęła do jego powierzchni. W tym momencie malowane drzewa zajaśniały, kolory wzmocniły się. Gdy Gabriel i Alma znikli w kolorowym cieniu drzew, ogród na krótką chwilę ożył. Później światło przygasło.

\* \* \*

Dzień chylił się ku zachodowi. Słoneczna ruda kula wisiała nisko nad horyzontem. Gizela z uwagą patrzyła na nieznany krajobraz, migający za oknem. Siedziała spięta, niepewna, ale też i wewnętrznie rozedrgana kipiącymi w niej emocjami. Nie była pewna, czy krok, na który się zdecydowała, jest właściwy. Zadziałała impulsywnie, bo tak zwykle robiła, i doskonale zdawała sobie sprawę, że może się sparzyć, jak to często zdarza się, gdy impuls wygrywa z rozsądkiem. Ale wiedziała też, że inaczej w tym momencie nie potrafiła zrobić.

Może kogoś powinnam się poradzić – pomyślała. Może jednak powinnam porozmawiać z ojcem?

Pytania te krążyły po jej głowie od dawna, od chwili, gdy odkryła prawdę o Wojciechu. Prawdę o sobie. Nagle zrozumiała, że jej dotychczasowe życie było wielką fikcją, totalnym kłamstwem, którego była nieświadomym podmiotem.

Pamiętała dokładnie dzień, w którym jej życie po raz pierwszy wywróciło się do góry nogami. Wtedy była pewna, że już gorzej być nie może, a jednak...

Niedzielnym popołudniem jak zwykle wpadła do mieszkania rodziców. Jak po ogień. Wiedziała, że powinna poświęcać im dużo więcej czasu, niż to robiła, ale denerwowali ją swoim instynktem kwoki, staromodnymi, zaściankowymi poglądami. Tym razem drzwi otworzył ojciec. Miał bardzo smutną minę i poszarzałą twarz.

– Co się dzieje? Coś taki przymulony? – zapytała zdawkowo, myśląc, że jak zwykle naszedł ojca Mister Hyde. Pomyślała jeszcze, że znowu źle trafiła. Nie znosiła tych ojcowskich przeobrażeń z Doktora Jekylla, który był świetnym kumplem i dawał jej dużo swobody, w złośliwego, czepiającego się upierdliwca, któremu zawsze coś nie pasowało. Ale tym razem ojcowski humor zwarzyło coś innego.

– Mama leży. Od paru dni bardzo źle się czuje. Jednak nie zgadza się na wizytę w przychodni. Twierdzi, że jeszcze będzie czas na interwencję. Nie chce się wygłupiać. Może ty ją przekonasz i zgodzi się, aby obejrzał ją lekarz.

– Co tam, Mamik?

Już była w pokoju Klary i z troską patrzyła na leżącą matkę. Mówiła do jej pleców. Klara leżała. Obok łóżka dostrzegła miskę, zmięte ręczniki, butelkę z wodą mineralną i cały rząd kubków z zimną, ledwie nadpitą herbatą.

Słyszając głos córki, Klara powoli odwróciła się. Gizela wystraszyła się jej żółtej cery, zapadniętych, podkrążonych oczu, cieniutkiej papierowej skóry, która zdawała się ledwie przytrzymywać sieć drobnych, fioletowych żyłek. Matka

oddychała ciężko, z trudem łapiąc powietrze. W pokoju unosił się dziwnie cierpki, a zarazem mdły zapach. Powietrze zdawało się być gęste, ciężkie. Gizela szybko podeszła do okna znajdującego się nad łóżkiem matki i odsunęła nierówno powieszoną firankę. Ujęła klamkę. Zdawało jej się, że ani chwili dłużej nie wytrzyma tego duszącego, niepokojącego zapachu. Na moment wstrzymała oddech. Gdy na twarzy poczuła chłodny powiew wiatru, zaczerpnęła ponownie powietrze.

– Widzisz, jakaś zaraza się do mnie przyczepiła i nie chce się odzepić... Boli mnie brzuch... Ale to minie. Jak się przegłodzę, to minie... – mówiła z trudem, starając się łapać uciekające myśli i wolno układać rozsypujące się słowa. – Jak przyszło, to i odejdzie... Nie ma sensu nikomu tym zawracać głowy. Zresztą i tak rzygam dużo mniej niż dwa dni temu. Codziennie jest lepiej... Tylko jakaś taka słaba jestem – zakończyła cichutko.

– Mamo, a skąd masz brać siły, gdy się głodzisz? Powinnaś iść do lekarza. – Zaniepokojona Gizela starała się pertraktować z chorą kobietą.

– Po co mi to? Nie ma mowy... Kto to widział, aby rzyganiem lekarzowi czas zabierać! – odparła ze złością i cechującym ją uporem.

Upór Klary trwał i trwał. Gizela codziennie odwiedzała matkę. Codziennie bezskutecznie namawiała ją na zmianę decyzji. Po pewnym czasie, gdy wbrew woli matki wezwwała pogotowie, okazało się, że już nikt nie jest w stanie nic dla niej zrobić.

\* \* \*

Szła z Wojciechem i swoimi starszymi siostrami za trumną matki, a w zasadzie za urną, zrobioną w kształcie małej, dębowej trumienki. Klara chciała być poddana kremacji, bo nie potrafiła wyobrazić sobie, że po śmierci stanie się stołówką dla stada robaków. Uwieszona ramienia ojca, czuła się bezradna, jak małe, skrzywdzone dziecko. Pod dłonią czuła ciepło ciała Wojciecha i zdawało się jej, że wyraźnie wyczuwa cichutko stukające serce. To dodało jej otuchy. Wtuliła się w bok ojca. Zaczerpnęła siłę i otuchę z silnego, mimo słusznego wieku, ramienia mężczyzny.

Był październikowy poranek. Poprzedniej nocy pojawiły się pierwsze przymrozki. Kolorowe drzewa zaskoczone szronem, przydymione, trwały wzdłuż cmentarnych alejek.

Przyklejona do ramienia ojca stała nad dołem, który miał od tej chwili na

zawsze pozostać domem matki, i w piersi czuła ciężką pustkę, a w głowie przerażenie i smutek. Nie mogła uwierzyć, że to małe drewniane pudełko zawiera prochy jej ukochanej opiekuńczej Klary. Wydawało jej się, że śni jeden ze swoich koszmarnych snów, które od czasu do czasu nawiedzały ją nocą i pozostawiały rankiem osad ciężkiego, irracjonalnego niepokoju.

– Gizelo, obudź się! – krzyczała w myślach, szczypiąc się palcami prawej dłoni. Niestety koszmar trwał nadal. Gdy odprawiający obrzęd ksiądz rzucił na urnę grudkę ziemi, ogarnęła ją fala gorzkiego płaczu i ze szlochaniem padła w ramiona ojca.

Odejście Klary zaszokowało całą rodzinę. Wojciech trwał bardzo długo w stanie zaprzeczenia i udawał, że Klara nie odeszła naprawdę, ale gdzieś wyjechała, jak to często przez ostatnie lata robiła. Gizelę odejście Klary najpierw zezłościło. Uważała, że matka umarła tak wcześnie z własnej winy i głupoty. Zarobiła sobie na tę chorobę, bo mimo problemów trawiennych nie trzymała diety, paliła jak parowóz i nie dbała o siebie. Była też zbyt uległa wobec ludzi i pożarł ją stres.

Gizela nagle zdała sobie sprawę, że teraz, gdy narozrabia, już nie będzie miała gdzie schować się przed całym światem. Będzie musiała radzić sobie z problemami sama. Już Klara nie obejmie jej jak małej dziewczynki i nie powie najbardziej krnąbrnej i niepokornej ze swoich córek: „Kochanie, tak się nie robi, najpierw się myśli, a później działa. Z ludźmi trzeba postępować dyplomatycznie. Pokorne ciele dwie matki ssie”. I to ją najbardziej złościło, a być może i przerażało. Zresztą trudno jej było w tym momencie zidentyfikować składniki kotła pełnego wrzących uczuć, którym stało się jej wnętrze.

\* \* \*

Gizela była bardzo zdziwiona, gdy po miesiącu ciszy i braku jakiegokolwiek porozumienia na linii ona – ojciec, właśnie ten nieugięty, rzadko przebaczący Wojciech stanął w drzwiach wynajętego maciupieńkiego mieszkanka córki. Przez ostatni czas mocno posiwił, przygarbił się, schudł. Śmierć Klary zabrała mu dawną energię. Ulotniła się gdzieś pewna, wręcz wojskowa postawa. W drzwiach zobaczyła przygaszonego mężczyznę.

– Długo zastanawiałem się, czy przekazać pakunek, który dla ciebie zostawiła matka – powiedział i wyciągnął z torby karton przewiązany niebieską, wyblakłą wstążką. – Klara wymusiła na mnie obietnicę, abym tobie oddał jej



pamiętniki – kontynuował, nie patrząc na zaskoczoną Gizelę. – Umierając, nie potrafiła sobie poradzić z tym, że nie opowiedziała ci prawdy o sobie. Byłem temu przeciwny. Prosiłem, aby tego nie robiła, bo komu dziś ta prawda jest potrzebna, ale uparła się. Wymusiła na mnie obietnicę, że przekażę tobie część jej życia. Teraz możesz z tym zrobić, co zechcesz. Już dłużej nie mogę udawać, że nie widzę kartonu stojącego w kącie pokoju. Co noc dręczą mnie koszmary. Dzisiaj w nocy śniła mi się twoja matka. Była taka, jak przed laty. Gdy przebudziłem się, podjąłem decyzję, że to ty zadecydujesz, czy zajrzeć w przeszłość. Masz do tego największe prawo.

Siwiejący mężczyzna ciężko usiadł na brzegu sofy. Zamyślił się.

– Musimy ze sobą porozmawiać. To głupota, abyśmy nadal udawali, że jesteśmy sobie obcy, bo tak nie jest. To, że nie zawsze ze sobą zgadzaliśmy się, że nie chciałaś słuchać moich rad i postępowałaś po swojemu, to jeszcze nie tragedia. Klara mawiała, że każdy ma prawo do własnych błędów i uczenia się na nich. Ja z miłości chciałem ustrzec cię przed nimi. Po co cierpieć, gdy można iść prostą drogą? Po co sobie gmatwać życie? Ostatnia nasza kłótnia była głupia – powiedział ze smutkiem Wojciech i prowadził dalej swój monolog, nie zważając na brak odpowiedzi ze strony córki. – Twoje siostry łatwiej poradziły sobie ze śmiercią matki, bo już nie są same. – kontynuował. – Nawet Zuzia twardo stoi na nogach. Jedynie ty nadal nie masz pomysłu na swoje życie i od śmierci Klary nic się nie zmieniło. Ciągłe za czymś gonisz, czegoś szukasz. Nie potrafię cię zrozumieć. Wszystkich swoich, pożałuj Boże, facetów pogoniłaś, i co? Zresztą, jakbyś tego nie zrobiła, to i tak sami pouciekaliby. Jak myślisz dalej żyć? A twoja praca? To bezmyślne machanie piórem dla tanich szmatławców? Wszystko na wodzie patykami pisane. Po co tyle lat nauki?

W Wojciechu zaczęły grać długo powstrzymywane emocje. Zaciśnął pięści, aż zbieleły mu kostki, ale po chwili się opanował.

– Gdy wreszcie zdecydowałaś się na studia prawnicze, odetchnąłem z ulgą. Pomyślałem sobie, że zrobisz coś konkretnego, co da tobie chleb. A ty co? Zrezygnowałaś z aplikacji i przeczuciłaś się na jakieś durne studia podyplomowe. Co w przyszłości chcesz robić? Po co ci było tyle lat kucia przepisów. Zobacz, jak adwokaci zarabiają. Z pewnością nie tysiąc pięćset na miesiąc, jak teraz wyciągasz. Gdybym nie opłacał czynszu za twoje mieszkanie, to z tego, co zostałyby z tej marnej pensyjki, dawno umarłabyś z głodu! – Ton głosu mężczyzny skoczył o oktawę wyżej.

– Ty jak zwykle, najpierw z gałązką oliwną, a za chwilę łapiesz za nóż, aby mi dopieprzyć. Norma! Ja nie zamierzam robić tak, jak ty byś sobie życzył. Tańczyć, jak mi zagrasz! Mam w dupie twoje mądrości. Sam sobie tak żyj. Wara od mojego życia. Zapomniałeś, że już nie mam dwóch warkoczyków z kokardkami? Obudź się! Nie żyję po to, aby cię zadowalać. Myślę, że już

wystarczy mi twojego domowego pruskiego drylu. Jak myślisz, dlaczego tak szybko wybyłam z chaty? Po prostu miałam dość tego twojego „padnij, powstań, w dwuszeregu zbiórka, baczość!”. Wystarczy, że matka tak robiła całe życie. I co z tego miała? Cztery deski i garstkę piachu na odchodne! – nie wytrzymała Gizela, choć obiecywała sobie w duchu, że tym razem nie da się sprowokować. Skoro ojciec pokonał swoją dumę i pierwszy do niej przyszedł, uszanuje to i wreszcie zakopie topór wojenny.

– Zamknij się! Nie waż się tak mówić o matce! – wysyczał Wojciech, ale nic więcej nie powiedział, ku wielkiemu zdziwieniu Gizeli. Tylko poczerwieniał na twarzy. Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Po chwili, uspokojony, kontynuował już normalnym tonem:

– Niewiele wiesz o różnych sprawach w naszym życiu, więc może z pamiętnikami Klary to jednak dobry pomysł. Poczytaj, przemyśl, a może później łatwiej będzie się nam dogadać. Nie wiem, co jest w zapiskach Klary, bo ich nie czytałem, skoro są przeznaczone dla ciebie. Z pewnością jednak poznasz nas lepiej. Może nasze błędy ustrzegą cię przed kłopotami. Wiedz jednak, że bardzo cię kocham. I tego nic nie zmienia.

Przeszedł do przedpokoju i sięgnął po szalik oraz kurtkę. Pośpiesznie się ubrał.

– To cześć! Zajrzyj do mnie od czasu do czasu. Ja nie gryzę. A twoje siostry też się skarżą, że o nich zapominasz. Pamiętaj, że rodzina to coś najważniejszego na świecie.

Energicznie złapał za klamkę i wyszedł, zostawiając zdziwioną Gizelę z pakunkiem w rękach.

## Rozdział I

### Klara i Wojtek

– Dziwny jest ten kraj. Pola, lasy, pagórki i oświetlone autostrady – pomyślała Gizela, zamykając oczy. Była już zmęczona całodzienną podróżą. Noc poprzedzającą wylot do nieznanego kraju przewierciła się w pościeli. Nie spała, bijąc się z myślami. Nie była pewna, czy powinna lecieć. Chciała tego, ale równocześnie bała się podróży. Nie wiedziała, co przyniesie. Jednak musiała rozwikłać do końca tajemniczą zagadkę, która przewróciła jej życie do góry nogami. Jeszcze nie potrafiła zorientować się, co w ich rodzinie było prawdą, a co fałszem. Klamka zapadła, gdy zabukowała bilety.

W sobotę wczesnym rankiem wyskoczyła z łóżka. Po krótkim namyśle, bo na dłuższy nie miała czasu, do bagażu włożyła kolorowe zeszyty.

– Będę miała czas na spokojne zastanowienie się – pomyślała, zawiązując adidasy. Najpierw musiała dostać się do Warszawy, a później długo czekała na lotnisku na połączenie do Luksemburga. Lot przebiegł spokojnie. Lotnisko w Luksemburgu zlokalizowane było na obrzeżach miasta. Po odprawie i odebraniu bagażu cierpliwie czekała w holu, obserwując śpieszących się podróżnych, czułe powitania i pożegnania. Czekala na mężczyznę, który miał odebrać ją z lotniska. Nie wiedziała, czego oczekiwać i jak się z nim porozumie.

Czy zna język angielski, a może rosyjski? – zastanawiała się, obserwując ludzi. Mało prawdopodobne, aby mówił po polsku.

Nagle zauważyła niezbyt wysokiego, przeciętnej urody blondyna. Miał przy sobie zdjęcie i uważnie przyglądał się wszystkim pasażerom, a szczególnie kobietom.

– Bonjour! – powiedział, podchodząc do Gizeli.

– Mademoiselle Gisèle?

– Oui! – odpowiedziała dziewczyna, błogosławiąc w duszy matkę, która upierała się, aby córka uczyła się języka francuskiego. Niestety Gizela wytrwała jedynie rok, a później odmówiła chodzenia na dodatkowe lekcje. Zresztą popierał ją w tym Wojtek. Wobec takiej przewagi sił matka wycofała się i już później nie nalegała. Obecnie w pamięci dziewczyny pozostało niewiele zwrotów. Przed wyjazdem nie miała wiele czasu na odświeżenie tych marnych wiadomości, ale zdanie, które wypowiedział mężczyzna, zrozumiała.

– François! – przedstawił się z uśmiechem i wyrzucił z siebie potok francuskich słów, opacznie myśląc, że Gizela doskonale zna język francuski.

– Je comprends pas! – przerwała mu wyszukany w pamięci zwrotem, rozkładając ręce i ubierając twarz w nieśmiały, przepraszający uśmiech. Cała sytuacja, mimo iż nic w niej nie powinno Gizeli zaskoczyć, była żenująca.

– Pardon!

Pokiwał ze zrozumieniem głową i schylił się po wielką walizkę. Drugą ręką pochwycił kuferek z kosmetykami, który stał obok, i szybkim krokiem skierował się w stronę wyjścia. Gizela pozbierała porzucone siatki, w których przywiozła powitalne prezenty, i podążyła w ślad za nim.

Samochód monotonicznie kołysał. Szumiała klimatyzacja. Kierowca od czasu do czasu spoglądał na nią i uśmiechał się, ale nic nie mówił. Zamknęła oczy i pod powiekami pojawił się obraz pokoju, w którym mieszkała przez ostatnie parę lat. Siedziała na podłodze obok łóżka. Był wieczór. Lampka nocna oświetlała jej dłonie, które mocowały się z taśmami zabezpieczającymi pudełko przed otwarciem. W końcu dostała się do środka. Wnętrze zawierało parę różnokolorowych, wyblakłych, grubych zeszytów, zapisanych ręką Klary. Wzięła do ręki pierwszy z nich. Na błękitnej okładce pysznił się piękny, kolorowy motyl. Był niezwykle. Przyglądając się mu dokładniej, zauważyła, że przypominał trochę otwierający się do słońca, egzotyczny kwiat. Otworzyła zeszyt. Pismo było szybkie, miejscami mało wyraźne. Kartki pożółkły, atrament wyblakł. Jedynie karty zapisane długopisem były wyraźniejsze. Wzruszyło ją pismo matki. Poczuli, że trzyma w ręku obraz jej życia, ułamki myśli. Nagle zza okładki wysunęła się biała koperta, zaadresowana właśnie do niej. Trzęsącymi się rękami otworzyła ją i ze wzruszeniem zaczęła czytać.

### *List do Gizeli*

*Kochana córeczko! Pewnie zdziwiona będziesz, że daję Tobie swój pamiętnik, a może nawet, że pisałam go. Przecież to takie trywialne i melodramatyczne. Tak dalekie ode mnie. A jednak nie zawsze człowiek jest taki, jaki się innym wydaje, szczególnie jeśli chodzi o uczucia...*

*Po przeczytaniu zapisków dotyczących moich uczuć i myśli oraz relacji zdarzeń, które miały wpływ na trudne czasem decyzje, zrozumiesz, dlaczego to zrobiłam. Trochę boję się Twojej oceny, ale ważniejsze w tej chwili jest, abyś poznała prawdę o mnie, moim życiu, a zarazem o Tobie.*

*Piszę pamiętnik od wielu lat. Porządkuję w ten sposób chaos, który niepostrzeżenie wkładał się w moje życie. Teraz czasami wklejam w niego swoje myśli z dużo późniejszego okresu. To moja korekta, a zarazem uczuciowa interpretacja tamtej rzeczywistości. Zawsze miałam problemy z mówieniem. Ludzie uważali mnie za osobę skrytą. Dużo łatwiej było mi zebrać myśli i poukładać je na stronach zeszytu. Przyglądając się w ten sposób sobie, zarazem porządkowałam*

*swoje wnętrze. Próbowałam rozsupłać węzły, w które plątało się moje życie. Wygrzebując uczucia, czułam się, jakbym wykladała swoje skarby na biały obrus. Przez wiele lat chowałam je jak sroka świecidelka, do gniazda pamięci. Kolorowe szkiełka chwil, kręcące się w kalejdoskopie życia. Z wielu względów musiałam to zrobić. Teraz czas, abym przejrzała, co zgromadziłam przez wszystkie dni, tygodnie, lata.*

*Kochanie, nie wiem, dlaczego czasami czuję się bardzo samotna. To paradoks, że żyję pomiędzy ludźmi, w rodzinie, ale to pamiętnik staje się moim powiernikiem. A ja na siłę chcę wierzyć, że ma swoje papierowe serce i nie skarzę się w przestrzeń. W zasadzie to nawet nie jest skarga. To rozmowa z Klarą, siedzącą sobie gdzieś tam we mnie. Mówię do siebie, zwierzam się sobie i siebie o radę proszę. Co innego uczucia. Te, jak motyle, łapię w siatkę pamięci i odkładam na półkę, gdzieś w zakamarkach mojego wnętrza. Może kiedyś pozwolę, aby wyfrunęły i zatrzepotały w słońcu kolorowymi skrzydełkami? Mam nadzieję, że nie będzie to kres ich życia. Nie zawsze potrafię zrozumieć siebie. Nie wiem, dlaczego pełna jestem pytań, wątpliwości, obaw... Po tylu latach, po tylu doświadczeniach?*

*– Więc, jak to z Tobą, Klaro, jest? Kim jesteś? – zadaję sobie pytanie.*

*Szczerze mówiąc, to nawet nie bardzo wiem, jak powinnam na nie odpowiedzieć. A swoją drogą, czy nie jest to śmieszne i żalotne, że na tym etapie życia gubię się w rzeczywistości?*

*Z pewnością jestem żoną, matką, babcią... To moje życiowe role, ale kim jestem Ja, Klara? Czy, taka obdarta z ról, godna jestem bezwarunkowej miłości? Kto powinien mi na to pytanie dać odpowiedź? Sama nie potrafię. Dlaczego to takie trudne?*

*W sprawach uczuć zawsze byłam naiwna. Dlatego, gdy przyszła miłość, rzuciłam się w nią jak w rzekę. Zapomniałam o jednym istotnym szczególe, że nie mam karty pływackiej, więc wchłonęła mnie, porwała w wiry. Wiele lat nie czułam siebie... Teraz płynę coraz bardziej świadomie. Świat powoli zaczyna mieć kształty. Widzę sińce, rany, zadrapania. Teraz jestem jak drzewo wyrwane z korzeniami, które płynie i płynie ku wielkiemu morzu nieskończoności. Gdzieś tam w środku kołocze się serce. Tęskni za ziemią, w którą mogłoby zapuścić korzenie. Moje zielone serce chce na nowo poczuć twardość i żyzność gleby, wiatr pieszczący gałęzie. Chcę mocno wrosnąć w życie. Twardo stać na nogach i wypuszczać nowe pędy, decydując o ich ilości i miejscu. Nie chcę, aby ktoś decydował o tym, jak żyję i co mam czuć. Aby dyktował, czy mogę odczuwać żal, rozczarowanie, strach. Teraz wypełnia mnie wielki smutek. I wiem, że mam do niego prawo. Mam prawo do wahania się, co zrobić. Mam prawo do łez za taką miłością, jaką sobie wymarzyłam i jaką sama daję. Tak bardzo kochałam, że prawie sprzedałam duszę. Dlaczego? Przecież zgodziłam się na wyrwanie mnie z korzeniami i wrzucenie*

w rwący nurt. A jednak tęsknię za wiatrem, poranną rosą, słońcem, a nawet za deszczem, mrozem, śniegiem. Chcę wszystko przeżywać świadomie i intensywnie. Chcę, aby świat nie był tylko różnokolorowymi smugami, ale aby miał kształty. Myślałam, że miłość mnie wesprze, pomoże. Może istnieje gdzieś taka miłość. Może nie jest to tylko miłość do dzieci, rodziców, rodzeństwa...

Teraz wiem, że rzeka, jak to rzeka, nie zawsze potrafi być delikatna. Zdradziecko porywa, wrywa, wiruje i nie daje szans. A czasem wylewa. No chyba, że jest uregulowana, ale czy ktoś potrafi całkowicie uregulować rzekę? Nie chcę zgnić w jej nurtach i w końcu utonąć. Wiem, że trudno bez miłości, ale... Widać w bukietcie ślubnym dostałam same dmuchawce i wiatr lat powoli rozdmuchuje małe wiatraczki radości, czułości i bezpieczeństwa.

Z każdą zmarszczką, z każdą bezsenną nocą w przestrzeń niebytu odpływają małe łódeczki bliskości. Port moich ramion coraz bardziej pustoszeje. Stoję na krawędzi klifu. Podo mną kotłuje się wzburzona samotność, wyjąc jak potępieniec i próbując złapać mnie za stopy. To moja fala tsunami. Piętrzy się, budzi zgrozę. Czy osiągnie mojego serca?...

Tu list urywał się. Jednak jego treść zaciekała Gizelę i zmusiła do sięgnięcia po zapiski pamiętnika.

### ***Pamiętnik Klary, czerwiec 1973 r.***

– Mamo, czy mogę pójść na urodziny do Aldony? – Klara, pomimo iż już parę lat pracowała, nie wyzbyła się dziecięcych nawyków i pytała matkę o zgodę na wyjście z domu. Annę to bardzo denerwowało.

– Gdy byłaś nastolatką, to wymykałaś się po cichu, a ja umierałam z niepokoju. Teraz, gdy już nie musisz pytać o zgodę, to zamęczasz mnie tym „mamo, czy mogę?”. Przestań, bo w końcu nie wytrzymam i usłyszysz parę nieprzyjemnych słów. Zawsze byłaś przewrotna! Pamiętasz, jak w wieku szesnastu lat pojechałaś z kolegami nad jezioro? Wszyscy po południu wrócili do domów, a ciebie nie było. Umieraliśmy z ojcem ze strachu. Przetrzęsaliśmy całą okolicę. Odwiedziliśmy wszystkie koleżanki. Już myśleliśmy, że się utopiłaś. A ty jakby nigdy nic wróciłaś przed północą. Byłaś roześmiana i zadowolona. Okazało się, że wstąpiłaś tylko na chwilę do znajomych, a potem...? Musiało mi wystarczyć twoje tłumaczenie, że się zasiedziałaś. Po prostu do głowy ci nie przyszło, że trzeba powiadomić rodziców, gdzie jesteś. Nie pomyślałaś, że możemy się martwić? Pamiętam, że umierałam ze strachu. Oczami wyobraźni widziałam ciebie martwą, spoczywającą gdzieś na dnie jeziora, albo porzuconą przez zboczeńca na skraju

lasu. Przeżywałam wtedy gehennę. Nie chciałaś tego zrozumieć. Zawsze wszystko robisz na odwrót!

– Mamo, to nie byłam ja, a Lilka, która przebywała u nas na wakacjach. Przypomnij sobie, jak pomagałam wam jej szukać. Ale ty jak zwykle musisz mi przypisywać wszystko, co złe. Nie potrafię zrozumieć dlaczego.

– Bo uważam, że jesteś straszną egoistką! Teraz też zajmujesz się swoimi bazgrołami, zamiast przynieść mi ze sklepu piwo. Obiecałaś, że pójdziesz za chwilę, a już minęły dwie godziny. Wiesz doskonale, że bez piwa nie zakręcę włosów.

Uwaga matki wygoniła Klarę od sztalug, które od paru dni stały w jej pokoju. Ze złością pozbierała pędzle i włożyła do słoika. Zabrała się do systematycznego oczyszczania farby spomiędzy włosów. Jeszcze raz spojrzała na swoje dzieło. Podobały się jej różowo-białe pęki kwiatów jabłoni, których piękno próbowała wydobyć z pamięci i przenieść na karton. W zasadzie chciała zarejestrować swój nastrój sprzed paru tygodni, kiedy to jeszcze była do nieprzytomności zadurzona w Stefanie. Malując, przypominała sobie wewnętrzną lekkość, wzruszenie rozszalałą wiosną, jaskrawą zielenią i fajerwerkami kwiatów, które wybuchały wokół, z dnia na dzień coraz barwniej malując świat. Pociągnięcia pędzla pozwalały jej przywołać z pamięci uczucie, którego wtedy doświadczała każdego dnia. Wrażenie wzlatywania ponad horyzont, jakby była na wielkiej huśtawce, która unosiła ją coraz wyżej i wyżej ku błękitnemu niebu, białym obłokom, przypominającym do złudzenia wielkie, miękkie kule cukrowej waty. Patrząc na obraz, nie odnalazła w nim lekkości szczęśliwych dni i wspomnienia specyficznego drżenia serca. Zrobiło jej się smutno. Doświadczyła nagłego uczucia pustki i beznadziejności.

Przechodząc obok sklepowej witryny, przyjrzała się swojej sylwetce. Oględziny poprawiły humor.

Nawet nieźle! Spódnica leży doskonale. Dobrze, że schudłam. Ten szeroki pasek świetnie podkreśla wąską talię – stwierdziła w duchu. Ale dla kogo mam się stroić? Rozstałam się ze Stefanem. I dobrze! Był denerwujący! Zresztą, gdy się dowiedziałam, że mnie oszukał, to już nie miałam żadnych skrupułów – podsumowała poprzedni związek.

Szybko załatwiła sprawunek i zaniosiła matce.

– Po co idę do Aldony? – powtórzyła pytanie matki i w ramach wyjaśnienia dodała: – Na prywatkę. Wiem, że powinnam przygotowywać się do egzaminu, kuć wiedzę, a nie trwonić czas. Wiem, co chcesz mi powiedzieć! – stwierdziła z przekąsem, uprzedzając jej utyskiwania.

Z mocnym postanowieniem, że będzie tylko godzinkę, weszła do domu przyjaciółki. Już od progu wpadła w objęcia Aldony i dźwięków przeboju Beatlesów. Kochała ich. Wszystkich. Aldona była jej serdeczną przyjaciółką, od kiedy tylko zaczęły razem chodzić do pierwszej klasy szkoły podstawowej. Nie

przeszkadzało jej to, że były jak ogień i woda. Po prostu uzupełniały się i nigdy nie dochodziło pomiędzy nimi do żadnych sprzeczek. To właśnie Aldona zaraziła ją swoją miłością do zarośniętych przystojnych angielskich chłopców, którzy pięknie i głośno śpiewali. Poza tym wywoływali wyraz dezaprobaty na twarzach większości rodziców, również Anny i jej męża. To Klarze w zupełności wystarczyłoby, aby zachwyć się nową muzyką, nawet gdyby była dużo gorsza.

Postanowienie, aby nie trwonić czasu, odleciało w przestrzeń, a ona bawiła się świetnie.

Pokój Aldony był mały i ciasny. Koleżanka dzieliła go z siostrą. Klara lubiła drobną Iwonkę, indywidualistkę, przypominającą jej szarą kocicę, zawsze chodzącą swoimi drogami. Nie była podobna do Aldony, pomimo iż siostry dzieliła niewielka różnica wieku i zazwyczaj miały wspólnych znajomych. Różniły się zarówno zewnątrz, jak i wewnątrz.

Młodsza, jednak dużo poważniejsza niż przyjaciółka Iwona nie zwracała uwagi na liczne rzesze chłopców, przemierzających się przez ich mieszkanie, jakby to był dworzec autobusowy. To bardziej oni byli zainteresowani szarooką szatynką, która bawiła się w ich towarzystwie, ale myślami błędziła całkiem gdzieś indziej. Tego wieczoru również. Fizycznie przebywała w swojej części pokoju, ale nieprzytomny wzrok mówił, że myślami była bardzo daleko.

Klara pomachała Iwonie. Jednak ta jej nie zauważyła. Nadal siedziała na swoim tapczanie i zawzięcie dogryzała ogryzek jabłka, nie zwracając uwagi na towarzystwo.

Pomieszczenie przedzielała meblościanka. W jednej części na wąskim, jednoosobowym tapczanie, ściśnięci jak śledzie w beczce, siedzieli chłopcy. Popijali kompot, do którego dolewali sobie po kryjomu wódkę. Rodzice Aldony oficjalnie nie zgadzali się na picie alkoholu, ale starali się nie zauważać podchmielonego towarzystwa córki. Dziewczyny podrygiwały obok stołu, tęsknie spoglądając w stronę chłopców. W kącie samotnie, przestępując z nogi na nogę, tańczyły dwie pary. Jakiś chudy dryblas kiwał się z małą, grubiotką, nieładną dziewczyną, wtuloną w niego i wpatrzoną w schyłą niską głowę chłopaka. Starł się objąć jej wystające pośladki, a ona uparcie przesuwiała mu dłoń w stronę pasa. Klara popatrzyła na nich z politowaniem, zastanawiając się, jak małe trzeba mieć powodzenie i nisko upaść, aby godzić się na taką mordęgę.

Pokój był zatłoczony. Aldona była bardzo lubiana przez kolegów, a prywatki u niej witane były z dużym entuzjazmem. Przyjaciółka Klary była wysoka i zgrabna. Na chłopców działała jak magnes i zawsze przy swoim boku miała jakiegoś „absztyfikanta”, jak to mówiła Anna, która nie była zachwycona faktem, że Klara właśnie Aldonę zalicza do grona swoich najlepszych koleżanek.

Po paru godzinach Klara miała dość cikliwych melodii, wolnych kawałków, przy których chłopcy przyklejali się do jej ciała. Czula ich pot, gorąco buchające



od opalonych ramion, wypukłości erotycznych miejsc i krępowała ją ta zbytnia bliskość. Do żadnego z nich nie czuła pociągu fizycznego. Nie rozumiała, o czym opowiadały koleżanki, gdy historia dochodziła do momentu „miękkich kolan”. Usiadła w kącie, na tapczanie, który niedawno opuściła Iwona, i zapaliła papierosa. Popijała kompot. Znużona, patrzyła na snujące się w tanecznych objęciach pary. Nagle przysiadł się do niej Wojtek. Znała go z widzenia. Przechodził często pod oknami ich domu. Był wysoki, ale nie należał do chłopców, za którymi „panny pędzą sznurem”.

– Daj zapalić – poprosił. – Widzę, że nie masz humoru. Nie lubisz się bawić? Myślałem, że lubisz tańczyć. Widziałem cię na występach zespołu ludowego. Może tylko tańczysz kujawiaka albo oberka?

Wojtek wstał i podszedł do okna. Odsunął firankę i strzepnął popiół za parapet.

– Aldona, nie masz czasem płyty z folklorem, bo goście ci się nudzą? – krzyknął w stronę gospodyni.

– Aleś wymyślił! – Aldona nie była w humorze. Wychodziła z Bogdanem do przedpokoju. Oboje byli zdenerwowani.

Klara wstała. Za oknem było ciemno. Dawno minęła dwudziesta druga. Pomyślała, że jeszcze się trochę pouczy. Ulotniła się po angielsku, nie chcąc narażać się na szukanie wykrętów i przekomarzanie z towarzystwem, które już miało lekko w czubie, bo „pękło parę butelek”. Aldona nie zatrzymywała jej. Zajęta była w kuchni rozmową z Bogdanem. Klara wiedziała o tym, co przyjaciółka zamierzała zakomunikować swojemu chłopakowi, i zadziwiona była, że wybrała tak niefortunny moment.

– Nie mówi się mężczyźnie o tym, że zostanie ojcem dziecka, w przerwie pomiędzy tańcem przy dźwiękach longplaya Beatlesów a Niemena – pomyślała z przekąsem.

Czy tak właśnie myślała? Tydzień temu broniła jak lwica swojego poglądu na temat miłości, wierności, seksu. Bardzo chciała być postępową. Podobało jej się hasło rewolucji seksualnej, która dawała możliwość walki z pruderią. Stawiała na jednej płaszczyźnie kobiety i mężczyzn, ale nie mogła pogodzić się na odzieranie najpiękniejszego ludzkiego uczucia z osłony romantyzmu. Nie potrafiła wyobrazić sobie seksualnych kontaktów z kimś, kogo się nie kocha. Szła wolno w stronę domu. Gonił ją zapach ostatnich przekwitających bzów. Powietrze było ciepłe i aromatyczne. Od czasu do czasu czuła na odkrytych łydkach powiew zimna, jakby wpadała w chłodną niszę, ale za moment znowu otulało ją ciepło.

– Poczekaj, co tak gnasz! – usłyszała głos Wojtka i za chwilę poczuła, że obejmują ją mocne ramiona. Pochyliła się do przodu i oswobodziła z niechcianego, czulego gestu.

– Idę do domu. Muszę kuć – odpowiedziała, chcąc pozbyć się towarzystwa.

– Ale jesteś dzika! – zauważył z przekąsem Wojtek. – Ja tu gnam za tobą, mało nóg nie połamię, a ty mnie zbywasz. Podkujesz jutro, dziś za piękny wieczór. Chodź na spacer. Pokażę ci moje miejsce. Chodź tędy.

Mężczyzna ujął ją za rękę i nagle poczuła, jak bardzo ciepłe ma dłonie. Mocne i gorące. Wydało jej się, że to ciepło udziela się jej palcom i przepływa aż do łokcia. Posłusznie dała się poprowadzić wąską dróżką, pomiędzy szpalerem lip. Lekki wietrzyk kołysał lampy rozwieszane pomiędzy koronami drzew. Na kostkach bruku migaly cienie liści, konarów. Szli w oświetlonym zielenią szpalerze, a nad ich głowami krążyły z metalicznym szumem zwabione do światła chrabąszcze. Nagle powiał mocniejszy wiatr i z drzewa oderwał się przywiedły liść z kawałkiem cienkiej gałązki. Jak zielony szybowiec wylądował na głowie Klary. Wplątał się w jej miedziane włosy. Wystraszyła się, że to chrabąszcz. Potrząsnęła czupryną, aby go strącić.

– Poczekaj, zaraz ci go wyciągnę.

Wojciech zatrzymał się. Był dużo wyższy od Klary. Z łatwością odgarnął pęk włosów i uwolnił intruza. Stali pod lampą. Klara potrząsnęła grzywką i spojrzała w górę. Chłopiec stał z podniesioną ręką, z której zdmuchiwał listek. Na moment spuścił wzrok. Miał błękitne, ciepłe oczy i szeroki uśmiech. Patrzył na Klarę tak, jak nikt dotąd.

### **Lipiec 1973 rok**

Dzień był wyjątkowo gorący. Wojtek siedział w fotelu, a Klara wraz z książkami rozłożyła się na dywanie i oparła plecy o bok tapczanu. Otwarte okna wpuszczały do pokoju tępy szum miejskiej ulicy, nabrzmiały zapachem spalin i kurzu. Słuchali muzyki, bo Wojtek pożyczył od Grzegorza nowy longplay Rolling Stonesów, a trochę się uczyli. Każde z nich miało swoje powody, aby jeszcze trochę pozaglądać w książki, chociaż były wakacje. Klara we wrześniu zdawała egzamin wstępny na wymarzony kierunek studiów, a Wojtek zawałił sesję i miał egzamin poprawkowy.

Od pamiętnego wieczornego spaceru spotykali się dosyć często. Wojtek, gdy tylko mógł, wpadał do Klary. Za każdym razem udawał, że jest to czysty przypadek. Rozmawiali, uczyli się i poznawali bliżej. Klara dziwnie czuła się w towarzystwie chłopaka. Opanowywał ją jakiś nieokreślony niepokój i nie potrafiła zdecydować, co jest jego źródłem. Chłopak wyraźnie ją denerwował, ale gdy parę dni nie się pojawiał, czuła brak jego śmiechu, uwag, obecności. Tak jakby nagle zniknął z jej pokoju ulubiony fotel, który nie był wprawdzie zbyt piękny, ale lubiła z książką w ręku zagłębiać się w jego wnętrze, bo był wygodny. Poza tym tak dobrze pasował do pustego kąta pod oknem.

Dzisiaj też bardzo się ucieszyła, gdy Wojtek przyszedł, przynosząc książkę,

której od dawna szukała w bibliotekach. Chłopak wiedział, jak bardzo jej na niej zależy, i zadał sobie wiele trudu, aby ją zdobyć.

Przerzucając kartki, spod grzywki przyglądała się Wojtkowi. Trzymał w ręce notatnik, a na kolanach dwa podręczniki. Wyraźnie coś sprawdzał, liczył. Jego czoło było pocięte krzywymi liniami zmarszczek, jak wzburzone morze. Oczy co jakiś czas rzucały pioruny w stronę nieszczęsnego notatnika. Widać nie radził sobie z obliczeniami. Kosmyk niesfornych włosów spadał mu na czoło. Odgarniał go z niecierpliwością i nieukrywanym rozdrażnieniem. W pewnej chwili rozpiął koszulę i zobaczyła na piersi chłopca kępę ciemnych włosów. Widok ich niespodziewanie ją zażenował. Nastrój w jednej chwili zrobił się bardzo intymny. Poczula, że pokój skurczył się do wielkości chusteczki do nosa. Wydawało jej się, że powietrze jest ciężkie, naładowane elektrycznymi ładunkami. Nie wytrzymała napięcia. Wstała, zrzucając z kolan książkę.

– Przyniosę coś do picia. Jest bardzo gorąco. Pewnie będzie burza – powiedziała drżącym głosem, uciekając do kuchni.

Co ty wyprawiasz idiotko?! – upominała siebie i nie potrafiła zrozumieć, skąd się wziął ten dziwny wstyd, który ją ogarnął. Na dnie wstydu było coś jeszcze, ale nie potrafiła określić co. Długą chwilę siedziała przy kuchennym stole, delektując się chłodem cienia rzucanego przez sad, wchodzący prawie w okna.

Ty tchórze, ty głupi dzieciaku. Masz w tej chwili wracać do pokoju, jakby nic się nie stało, bo przecież tak jest. Coś zaczynasz sobie roić w tej durnowatej, zakutej pale. Więc skończ z tym i nie graj roli „trzępki-idiotki” – strofowała siebie.

Nalała wody do szklanek i weszła z powrotem do pokoju.

– Już długo kiblujemy przy tej nauce. Ucz się, dziecko ucz, bo nauka to potęgi klucz, jak ten klucz zdobędziesz, może woźną będziesz – zażartował Wojtek i duszkiem wypił wodę. – Słuchaj, dziewczeczko, ona nie słucha! – Roześmiał się i chwycił Klarę za rękę. – Chodźmy nad wodę. Połazimy trochę. Świeże powietrze dobrze nam zrobi.

Całe popołudnie spacerowali po parku. Dziwne uczucie, które opanowało Klarę, rozwiało się na wietrze, przepojonym zapachem świeżo ściętej trawy. Myśli rozleniwiły się i z rzadka tylko przepływały przez głowę dziewczyny.

Nie chciało się im wracać do nauki i gorących murów. Późnym popołudniem, gdy szli wzdłuż rzeki, odkryli mały domek, ukryty w krzewach. Stał nad brzegiem wąskiego strumyka, wpadającego do rzeki. Był opuszczony. Stare, na wpół zmurszałe okiennice zwisały smętnie, każda w innej pozycji. Po ogrodzeniu pozostało jedno zniszczone przesło płotu. Usiedli w gęstej trawie. Oparci plecami o przesło ogrodzenia, patrzyli na chylące się ku zachodowi słońce. Przygaszło i zaczynało nabierać karminowej barwy. Co chwilę jego tarczę zasłaniały ciemne obłoki. Zerwał się wiatr. Klara poczuła zdenerwowanie. Gdy zimny powiew

*bezlitośnie smagnął jej gołe ramiona, wzdrygnęła się.*

*– Chodźmy, jest mi chłodno – powiedziała, wstając z trawy.*

*– Szkoda, że nie mam żadnego swetra. – Wojtek też się podniósł. – Chodź, ogrzeję cię ramieniem.*

*Klara poczuła gorące ramię, które objęło jej plecy. Podniosła wzrok i w tym momencie usta jej ogarnęło ciepło niepewnego pocałunku. W pierwszej chwili chciała szarpnąć się do tyłu, ale delikatność chłopca ją rozbroiła. Poczula wzruszenie. Lekko rozchyliła usta.*

*Objętych, całujących się do utraty tchu, zastała wieczorna rosa. Klara na twarzy miała delikatny uśmiech i wyraz rozmarzenia. Wojtek patrzył na nią nieprzytomnym, czułym wzrokiem.*

Gizela doszła do końca strony, ale pomiędzy kartkami pamiętnika tkwiła luźna biała kartka z pismem Klary. Zaciekawiona wyciągnęła ją i zaczęła czytać.

### **Zapiski, luty 2000 r.**

*Przez trzy miesiące jakoś było. Ani dobrze, ani źle. Określiłabym temperaturę naszych relacji jako ledwie letnią. Ale już od długiego czasu wiedziałam, że to tylko kolejny przeciętny okres w naszym zwariowanym cyklu. I nie myliłam się. Od paru dni obserwowałam napływające ciemne chmury. Najpierw były to mini obłoczki pod tytułem: „mam zły humor”. Z czasem atmosfera zgęstniała, a czarne chmury zakryły całe niebo. Z doświadczenia wiem, że takie chmury mogą jedynie przynieść burzę. Zaczęłam, więc jej wypatrywać. Wolę o burzy wiedzieć wcześniej, aby mnie nie zaskoczyła. Ale jak zwykle dałam się podejść! Zaczęło się od głupich pytań, doprawionych odrobiną ironii.*

*– Czy ty jesteś głupia, czy totalnie mnie olewasz?! – zagrzmiało od horyzontu. Potem była seria podobnych pytań. Kropla po kropli, aż lunęło! Strugi odbijały się echem złowrogich pytań.*

*Jak mogę nie słuchać? Jak mogę inaczej robić, niż tego chce pan i władca? No właśnie! Jak? Jak? Jak?! I rozszalała się burza. Z pewnością nie byłam w niej piorunochronem ani oliwą na wzburzonym morzu. Nie tym razem! Coś we mnie trzasnęło i dało siły, aby stawić czoła. Gdy emocje opadły i jak zwykle skorzystałam z wentyla bezpieczeństwa, czyli wyryczałam się do woli, powiedziałam do siebie*

*– A jednak mogę inaczej zrobić, niż się po mnie oczekuje, i zrobię to!*

*– Brawo, jesteś dzielną wojowniczką. Tylko dlaczego dopiero teraz, po tylu latach? – pochwaliłam siebie, a za razem zganiałam. Postanowiłam zastanowić się nad sobą, ale nie bardzo wiedziałam, z której strony ruszyć problem. Byłam*

w środku jakiegoś ogromnego gordyjskiego węzła! Ani początku, ani końca, tylko ból, smutek, żal i beznadzieja! Uchwyciłam się tego, co miałam pod ręką. Ociupinka samoświadomości pomogła mi.

– Moja siła w analizowaniu uczuć – pomyślałam i zaczęłam analizować. Wróciłam do minionego okresu i spróbowałam przyjrzeć się naszemu życiu, jakbym siedziała na teatralnej widowni i oglądała spektakl z nami w rolach głównych. W naszym życiu często były nerwy z blahego powodu. I chwala, że czasem potrafiłam nie wchodzić w konflikty. Przecież już dawno opracowałam sobie strategię postępowania z mężem. Wzięłam ją z książki mądrości moich dwóch babek. Była sednem obu z nich. Każda z moich babek na swój sposób stosowała swoją politykę, aby nie podnosić rzuconej jej przez męża rękawicy i trwać w związku. Moje babki były tak różne. Inne były też ich powody zawarcia małżeństwa.

Babka Adela była kobietą światłą, która bardzo późno wstąpiła w związek małżeński. W zasadzie chyba nie bardzo chciała tego, bo była samodzielna, wolna i bała się, że małżeństwo tę wolność zabierze. Jednak zakochała się. Wybranek był w niej zadurzony do tego stopnia, że sam zorganizował całą uroczystość. Babce pozostało jedynie pogodzenie się z losem i odpowiedzenie „tak”, na sakramentalne pytanie, czy chce go za męża. Potem okazało się, że małżonek jest człowiekiem energicznym, krewkim. To zaskoczyło Adelę, bo była przekonana, że świata poza nią nie widzi i we wszystkim będzie jej ustępował. Małżonek kochał Adelę, ale serce miał dość przestronne i znalazło się w nim miejsce dla paru flam. Całą swoją mądrość Adela musiała skierować na zorganizowanie sobie strategii postępowania z mężem, aby ich stadło z powodu jakiegoś drobiazgu lub kolejnej dodatkowej „ukochanej” nie rozpadło się. Miłość ich przetrwała dzięki strategii „pokorne ciele dwie matki ssie”. A Adela dzięki temu zachowała dużo wolności i niezależności. Często stawiała na swoim, bo mąż miał miękkie, czułe serce. Byleby w odpowiednim momencie za bardzo go nie naciskała i nie wchodziła w oczy w chwili wściekłości. Przez wiele lat po śmierci ukochanego tęskniła za nim i odrzucała wszelkie inne możliwości wyjścia za mąż.

Babcia Felicja z kolei wyszła za mąż bardzo młodo. Ojciec szybko pozbył się jej z domu, dając jej duże wiano. Była jedną z paru córek w wieloosobowej rodzinie. Ochoczo została wydana za jurnego parobka przez zapobiegliwą macochę, która jak kukulka wyrzucała z domu nie swoje dzieci. Parobek miał prawie dwa metry wysokości, był szeroki w barach. Zrobił dobry interes na tym małżeństwie i w szybkim czasie stał się pierwszym gospodarzem we wsi. Nie myślał o takich bzdurach jak miłość. Teraz to on mógł rządzić, a żona stała się tanią siłą roboczą. Była też świetnym „chłopcem do bicia”, na którym mógł wyladowywać swoje frustracje, i to w sensie dosłownym. Gonił Felicję do pracy, nawet wtedy, gdy urodziła mu pierwsze dziecko. Były żniwa i brakowało rąk do pracy. Nie uznał porodu za odpowiedni powód, aby rezygnować z pracy na polu.

*Felicja przetrwała dzięki uległości i wewnętrznemu uporowi. Na złość mężowi zapadła się w swój świat, odizolowując się od rzeczywistości chorobą psychiczną. Zmarła jako osoba zamężna. Ostatnie spojrzenie w stronę męża miało w sobie tak wielki ładunek nienawiści, że gdyby była wiedźmą, małżonek padłby od razu trupem.*

*A ja? Co jest z moją strategią? Czy bardziej jestem podobna do babci Adeli czy Felicji? Analizuję, jak to ze mną jest, i nie potrafię odpowiedzieć...*

*Dziś rano pisałam z pamięci przepis na soliankę – po angielsku. Oczywiście robiłam to jak „Kali mówić po polsku”. Przecież nie znam dobrze języka angielskiego. Nie moja wina, że w podstawówce uczyli mnie tylko rosyjskiego, a później z językami też było tak, że „pożał się Boże”. I tak sporo nauczyłam się całkiem sama. Mądrała z tego Wojtka. Zrzucił na mnie obowiązek wysłania przepisu do Dafne, która mieszka w dalekiej Szkocji. Zachciało jej się egzotycznej zupy, a on nie miał czasu na „takie bzdury” jak przepis. Lubię niedawno poznaną przez nas Dafne, więc nie chciałam jej zawieść. Co mi szkodzi, aby skosztowała sobie pysznej zupki?*

*Potem Wojciech chciał, abym dodatkowo przesłała Dafne zdjęcia z jego ostatnich urodzin. Chciałam, ale nie potrafiłam znaleźć, gdzie są. Były na jego części komputera. Nie potrafiłam dołączyć do swojego e-maila, który miałam na swojej części. Zresztą on też nie potrafił tego zrobić. Przyszedł kolega Wojtka, Julian. Niby spec, a nie mógł nam pomóc. Zadzwoniliśmy do Bartka. Krok po kroku i dało się wysłać z jego części komputera do mojej. I tak nic to nie dało. Po prostu zdjęcia nie dotarły do mojej skrzynki. Całkiem niepotrzebnie powiedziałam o tym Wojtkowi, bo znowu się wkurzył.*

*– Ile razy mam powtarzać, abys słuchała, co się do ciebie mówi? Ale nie, ty zawsze po swojemu, zawsze wiesz lepiej! Jak każda głupia baba! Jakbym ja przysyłał, to by z pewnością doszły! – stwierdził ze złością.*

*No to czemu tego nie zrobiłeś? – zapytałam niewinnie.*

*Pomyślałam, że łatwiej będzie wysłać list do Dafne z jego części komputera. Próbowałam to zrobić, ale znowu fotografie się gdzieś zapodziały i nie potrafiłam ich znaleźć... No i kłapa! Tu gotuję obiad, tu nerwy puszczają Wojtkowi. Atmosfera taka, że burza z piorunami to przy tym małe miki! Pogubiłam się w tym wszystkim, wkurzyłam. W końcu mam swoje lata i nie jestem jednym z dzisiejszych dzieciaków, które będąc jeszcze w śpiochach, swobodnie serfują po internecie.*

*– Smolę wysyłanie. – stwierdziłam z udawanym stoickim spokojem. Boże, ale się działo! Krzyk!!! Wrzask!!! A po obiedzie komentarz Wojtka.*

*– Właśnie taka jesteś! Mówisz o tym, że nikomu racja nie jest potrzebna, a sama nie słuchasz innych i stawiasz na swoim. Innym robisz tym krzywdę. Jesteś potworem!*

*Ha, ha, ha. Jestem potworem, bo nie słuchałam i nie wysłałam maila?! A w*

*ogóle co to za głupie wywody. Czy aby ten, co je mówi, jest osobą zdrową psychicznie? – pomyślałam z przekąsem, ale już w gardle urosła mi kula wielkości piłeczki golfowej. O mało się nie udusiłam.*

*– A w ogóle to nie patrzysz do lustra! Wojtek, jak zwykle na zakończenie kłótni, rzucił koronną złośliwością.*

*Znam te jego docinki, jak z dowcipu, „a u was to Murzynów biją”! pomyślałam i już wiedziałam, co będzie dalej. I nie myliłam się.*

*– To twoja wina, że się starzejesz. Jakbyś dbała, to bym miał piękną żonę! – usłyszałam.*

*– Gównu byś miał! Jakbyś był lepszy, to nie miałabym dołów i dawno dałabym sobie radę ze sobą – powiedziała z płaczem na końcu nosa.*

*Moja uroda jest neurotyczna. Tak ciebie karzę za podłość. Nie potrafię inaczej, więc odbieram szansę na posiadanie ładnej żony! – pomyślałam ze złością.*

*W tym momencie dotarła do mnie cała goła prawda.*

*To jest bez sensu. Co ja robię?! dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, co się tak naprawdę we mnie dzieje.*

*Gdzieś w zakamarkach mojego JA siedzi sobie mała Klarcia. Jest sama. Jest smutna. Dużo tego smutku. Brakło miłości dla niej. Stara się zarobić na uczucie. Bardzo się stara, ale nie jest aniołem, a z krwi i kości człowiekiem. Nie zawsze potrafi być idealna. A myśli, że na nieidealną nie ma miejsca w sercach maluczkich, czyli Wojtka. Z tego, co myśli o sobie, zrodziła się wściekłość. Nie wie na kogo! Może na tych, co nie chcą kochać za darmo, a może na siebie, że za słabo się stara? Więc wymyśliła sobie karę. Nie zasługuje na to, aby być piękną. Dokopie sobie, ale też dokopie wszystkim, co w jej miłość wycierają zabłocone buty. To taka autoagresja. Destrukcja. Samobójstwo na raty...*

*Właśnie uświadomiłam sobie zasadę, którą przemyślałam do swojego życia. Chyba wzięłam ją od mojej babki Felicji. Po trochę „na miłość trzeba zasłużyć”. Nie jest dana ot tak sobie, za to, że się jest. Miłość w jakiejś części to akceptacja naszych wad, naszych pragnień, naszych możliwości, naszych ułomności, a nie tylko zalet, uzdolnień. Jednak tylko w ten sposób się z nią zgadzam. Gdy dam sobie założyć, jak babcia Felicja, sznurki na ręce, nogi, to zostanie mi jedynie rola kukielki w małżeńskim teatrze. A wtedy trzeba będzie brać nogi za pas i uciekać. Ale czy można uciekać ze spętanymi nogami i rękami?*

*Felicja uciekła w chorobę psychiczną. I trochę racji ma mama Anna, mówiąc, że bardzo ważne jest, aby mężczyzna kochał kobietę.*

Gizela zamyśliła się nad stanem ducha matki w chwili, gdy kreśliła zapiski. Jednak nie chciała w tym momencie ich analizować. Bardziej ciekawiły ją strony

pamiętnika.

### ***Pamiętnik Klary, rok 1974***

*Październik był ciepły i bardzo kolorowy. Klara lubiła wracać do domu piechotą. Wysiadała tuż za mostem i wolno posuwała się w stronę stacji, klucząc małymi uliczkami. Przystawała pod kasztanami i wybierała z trawy ciepłe, rude, cieniowane kule. Sentymentalnie błyszcząły w jej dłoni, jakby były żywym świadectwem wspomnienia o wiosnie, lecie, miłości... Najładniejsze wkładała do kieszeni, aby je po przyjeździe do mieszkania, wyłożyć na okiennym parapecie. Miała ich już niezły zapas. Dwa najokazalsze nosiła w kieszeni żakietu. Miały przynosić szczęście i wysyłać do jej ciała pozytywne bioprądy.*

*Od końca września czuła się bardzo samotna. Pomimo iż miała wielu przyjaciół, a jedna z przyjaciółek była sublokatorką w ich wynajętym pokoju, nie mogła się pozbyć wrażenia, że jest sama jak palec. Przez wakacje przyzwyczyła się do towarzystwa Wojtka, jego dowcipnych wypowiedzi, delikatnych pocałunków, które rozpałały usta i wprawiały całe ciało w dziwny, nieznany dotąd stan. Nagle zaczęło jej zależeć na tym, aby włosy miękko układały się wokół głowy i błyszczącą kaskadą spadały po drobnych ramionach na plecy, aby skóra miała kwiatowy zapach. Z upartością mufa zaczęła wyszukiwać w drogeriach coraz to nowe szampony i lawendowe mydła. Odkryła też perfumy o zapachu jaśminu. Były trochę mocne, ale niezbyt trwale i po kilkunastu minutach pozostawała jedynie ciepła, gorąca nuta zapachu, przypominającego jej ostatnie pocałunki nad brzegiem rzeki.*

*Co drugi piątek po ostatnich zajęciach pędziła na dworzec kolejowy i jechała do domu. Tam czekała na telefon, który przynosił niski, miękki, tęskny głos.*

*– Czy to ty? Nie wierzę, że ciebie słyszę. Tak czekałem, aby znowu pogadać z kimś sensownym. Dawno temu przyjechałaś? Może urwalibyśmy się do parku?*

*– Fajnie, że już jesteś – mówiła lekko, udając, że to nic. Po prostu cieszy się, że przyjechał, bo miło jest spotkać się z kolegą, którego dwa tygodnie nie widziała.*

*– Strasznie się nudzę i chętnie wyrwę się od rodziny, bo zagłaszczą na śmierć, jakby człowieka nie widzieli nie dwa tygodnie, ale dwa lata.*

*– To co? Tam gdzie w lecie?*

*– Nie, czekaj na ławce. Pójdziemy od razu do parku.*

*Odwlekała moment napływu wspomnień o ostatnich pocałunkach, które kończyły się na szyi i sygnalizowały, że coś dziwnego zaczyna się między nimi dziać. Potem wskakiwała w nowe spodnie i kropiła jaśminem dolinkę za każdą z usznych małżowin. Wybiegała z domu, po drodze nerwowo zapinając żakiet. Szli obok siebie, ukradkiem zerkając na swoje twarze, tropiąc, czy po drugim widać dwutygodniową tęsknotę. W parku szeleściły liście. Co chwilę przypadali do*



*starannie zgrabionych, wielkich piramid zeschłego złota i obsypywali się nim, jak niesforne dzieci. Tak zagłębiali się w alejki rzadko odwiedzane przez spacerowiczów. Tam, na ławeczce ukrytej za okazałym pnem dębu, padali sobie w objęcia i sondowali swoje usta, jakby pocałunki były miernikiem tęsknoty.*

### **Rok 1975, lato**

*Pojechała z Wojtkiem w góry. Nie byli sami, bo towarzyszyła im cała grupa kolegów i koleżanek z uczelni. Jechali na tzw. wariata. Nie mieli zarezerwowanych pokoi, nie wiedzieli jeszcze, gdzie wylądują. Znali jedynie region, bo bywali tutaj na studenckich rajdach. Postanowili, że tym razem pojedą na dłużej. Na krótkie wakacje. Wysiedli na małej stacyjce za Łądkiem Zdrojem i po prostu poszli wąską dróżką przed siebie, w stronę zielonych kop gór, widniejących przed nimi. Powietrze miało zapach siana i świeżych kwiatów.*

*Dróżka była kamienista. Szli i szli, aż doszli do rozwidlenia dróg. Stał tu drewniany, stary drogowskaz. Spodobała im się nazwa „Brzózki”, więc skręcili właśnie w tę stronę. Okazało się, że do wioski było jeszcze pięć kilometrów. Gdy zmęczeni dźwiganiem tobołów dotarli do „Brzózek”, oczom ich ukazała się niewielka miejscinka z kościołem i szkołą oraz kilkunastoma domami. Wyglądała sielsko. Zapadał wieczór, więc postanowili rozglądnąć się za noclegiem. W jednej z chałup, gdzie zgodzono się ich przyjąć, zmieściła się tylko część grupy. Klara z Wojtkiem oraz Ula z Jankiem poszli do drugiej małej chatki. Otworzyła im siwa, gładko uczesana, starannie ubrana kobieta. Nie pasowała do wiejskiego krajobrazu. Ubrana była w jedwabną bluzkę, zapiętą na rząd perłowych guziczków. Widok tak nie przystawał do wielkości chaty, jej stanu, że stanęli zadziwieni i początkowo nie potrafili wykrztusić ani słowa.*

*– No, wejdźcie, gość w dom, bóg w dom – przywitała ich z uśmiechem, który rozjaśnił i odmłodził całą twarz. – Z pewnością szukacie noclegu, bo co możecie robić w tym miejscu, o tej porze? Mam dwa pokoiki na poddaszu. W zasadzie jeden pokoi, a w drugim jest graciarnia i magazynek, ale wystarczy trochę poukładać i możecie się przespać. Pokażę!*

*Pani Wiktoria podreptała po wąskich schodach na pierwsze piętro.*

*– Tu mogą przenocować panienki – wskazała pomalowane na niebiesko drzwi. – A tu znajdzie się miejsce dla panów.*

*Przekręciła wielki, metalowy klucz i ich oczom ukazał się niewielki, bielony pokoi. U powały wisiały różnobarwne bukiety ziół. W kącie stała maszyna do szycia, a w wielkim koszu, stojącym na staromodnej etażerze, stos przygotowanej do prasowania, wypranej i wysuszonej bielizny.*

*Przez otwarte drzwi starej szafy, która w zastępstwie jednej nogi, podparta była dwoma ceglami, widać było półki, na których stały liczne słoiki z przetworami.*

*Na starym, szerokim łóżku porozrzucane były wykroje i magazyny z modą.*

*– Uprzątniemy ten bałagan i możecie przenocować. Pościel czysta, bo niedawno przebierałam po gościach weselnych. – dodała. – Córka wójta wychodziła za mąż i nie mieli gdzie gości przenocować, to każdy, jak mógł, wziął do siebie po parę osób, bo weselisko było jak się patrzy. Na ponad sto osób. Młodzi spali po stodołach, ale starzy wygodniejsi. Bo większość była z miasta. Tak jak i wy – wyjaśniła.*

*Pani Wiktoria sprawnie zbierała porozrzucane gazety, opowiadając szczegóły niedawnego wesela.*

*Zostali tu parę dni. Chodzili na wycieczki, zwiedzali jaskinie, palili ogniska, śpiewali. Klara coraz częściej siedziała przy ognisku przytulona do Wojtka. Razem śmiali się, razem śpiewali, a potem długo patrzyli sobie w oczy. Noclegi nie były drogie, a i gospodarze chętnie sprzedawali młodym nabiał i jarzyny. Postanowili wyjechać dopiero w piątek. Niestety w czwartek, gdy wracali z wycieczki, lunął deszcz. Klara przemokła, a w piątek rano obudził ją ostry ból gardła i dreszcze.*

*– Jedźcie, nie zwracajcie sobie mną głowy, nie jestem dzieckiem i zostanę, aż mi trochę przejdzie. Pani Wiktoria jak matka, to i nie zginę – mówiła Klara do Uli, Janka i Wojtka.*

*Jednak Wojtek uparł się, że nie zostawi jej samej. Zostali we dwójkę. Po wyjeździe przyjaciół Klara dostała wysokiej temperatury. Budząc się, widziała nad sobą zatroskane oczy Wojtka i pani Wiktorii.*

*– Pij, dziecko, te napary. Pomogą. Do lekarza daleko, to i sami musimy sobie tutaj radzić – mówiła pani Wiktoria i przynosiła metalowe garnuszki z zaparzonymi ziołami.*

*– Posiedź, dziecko, przy łóżku koleżanki i pilnuj, żeby dużo piła. Niech się wypoci. Tu masz termometr. Jakby się temperatura za bardzo podniosła, to trzeba zimnych okładów. Wodę ze studni naciągnij, a tu masz stare ręczniki. Józefiak jedzie do miasta, to się zabiorę do apteki. Kupię, co trzeba, aby Klarze się polepszyło. – Wcisnęła w ręce Wojtka dwa stare ręczniki.*

*Zostali sami. Klara spała. Co jakiś czas czuła, że Wojtek wkłada jej pod pachę termometr, a potem na głowie oraz stopach poczuła zimne okłady i wtedy wzdrygała się.*

*– Przepraszam, ale masz straszną temperaturę. Muszę cię okładać kompresami. Napij się też kompotu z malin. Znalazłem w szafie. Pani Wiktoria nie pogniewa się, że otwarłem dwa słoiki – wyjaśnił.*

*Późnym wieczorem wróciła gospodyni. Klara otrzymała porcję leków.*

*Zbudziła się w nocy. Przesunęła ręką po pierzynie, bo czuła na nogach wielki ciężar. Nagle natknęła się na czyjeś włosy. Wystraszyła się. Otworzyła szeroko oczy. Przez okno wpadała struga księżycowego światła. W poświacie, obok łóżka zobaczyła siedzącego na zydlu Wojtka. Spał smacznie, oparty głową o jej*

tydki. Delikatnie wysunęła nogi i zeszła z łóżka. Poszukała szklanki z kompotem. Zaspokoila pragnienie i wróciła do łóżka. Gdy obudził ją świt, w pokoju nikogo nie było. Od tego dnia szybko dochodziła do siebie.

W przeddzień wyjazdu pani Wiktoria znowu pojechała do miasta.

– Nie gniewajcie się moje dzieci. Muszę wstąpić do starej znajomej. Jeździ na wózku, bo parę lat temu miała wylew. Córka jej prosiła, abym jej dziś potowarzyszyła, bo sama ma parę spraw do załatwienia. Nie czekajcie na mnie. Wrócę ostatnim autobusem. A może i przenocuję, gdy sprawy się przeciągną. Wiem, że jutro wyjeżdżacie, ale nie mogłam odmówić – powiedziała przed wyjazdem.

Spakowali ubrania, zostawiając jedynie te najbardziej potrzebne. Popołudnie było ciężkie. Zanosilo się na burzę. Zmęczeni szybko poszli do łóżek. W nocy Klarę obudziły głośne grzmoty, które echem odbijały się od gór. Wskoczyła z łóżka i boso pobiegła do pokoju Wojtka. Usiadła na pierzynie.

– Wojtek, boję się! – Delikatnie potrzęsała jego ramieniem. – Wojtek!

Obudził się i półprzytomnym wzrokiem popatrzył na Klarę, potem usiadł i przygarnął ją do siebie.

– To tylko grzmoty. Nic się nie stanie – szeptał w jej włosy, gładząc dłonią po plecach, ramionach.

– Och! – Przytuliła się mocno przy następnym grzmocie.

– Moja ty maleńka. Mój maleńki tchórz! – szeptał, całując włosy, ucho, szyję, dekolt. Ręce miał coraz bardziej niecierpliwe, a Klara coraz bardziej tuliła się do jego ramion, piersi, brzucha. Czula potrzebę wtopienia się w te ramiona, w których spodziewała się znaleźć bezpieczeństwo. Czula, że za moment przekroczą jakąś magiczną linię i nie będzie odwrotu. Bała się tej chwili, a zarazem czekała na nią. Zaczęli oboje drżeć ze zdenerwowania i wzajemnie uspakajając się pieścizotą dłoni.

– Przepraszam, ale ja jeszcze nigdy z dziewczyną! – wyszeptał wtulony w jej szyję.

– Ja też jeszcze nigdy z chłopakiem! – odszepnęła.

– Może nie chcesz? Może nie powinniśmy? – spytał. – Tak bardzo cię kocham.

– Też cię kocham. Powinniśmy – odpowiedziała i poprowadziła jego dłoń pod bluzę piżamy.

Zbudził ich poranny chłód, który wdarł się przez otwarte okno i jak bicz, smagnął po plecach. Na palcach, starając się, aby podłoga jak najmniej skrzypiała, wróciła do swojego pokoju, obawiając się, że pani Wiktoria usłyszy jej kroki. Przy pożegnaniu Klara uciekała oczami od wzroku starej kobiety, obawiając się, że odkryje ich tajemnicę.

– Jedźcie, dzieci, szczęśliwie i niech wam Bóg błogosławi – powiedziała

*starsza pani, przytulając oboje do piersi.*

### **Rok 1975, jesień**

*Tęskniła. Gdy otwierała oczy, pierwszą myślą było, czy Wojtek już wstał, co robi, czy myśli o niej, czy tęskni. Czasem dręczyły ją inne pytania. Czy aby inna dziewczyna nie stara się zawrócić mu w głowie?*

*Im było dalej od wakacji, tym tęsknota stawała się bardziej nie do zniesienia. Czula ją prawie fizycznie, a wtedy popłakiwała w poduszkę. Potem biegła na uczelnię, po drodze myśląc tylko o ukochanym. Na zajęciach ciężko jej było śledzić słowa wykładowców. Jak nastolatka kreśliła w brulionie inicjały Wojtka i swoje, łącząc je, zmieniając, ozdabiając ornamentami. Do domu wracała długo. Szła wolno, odmierzając kroki wyliczanką: „tęskni, nie tęskni”, od jednego przejścia przez jezdnię do drugiego. Gdy wypadało jej „nie tęskni”, tłumaczyła sobie, że stawiała zbyt długie kroki albo zbyt krótkie.*

*Po przyjściu do pokoju robiła mocną herbatę, stawiała ją na parapecie i godzinami patrzyła przez okno, ale nie rejestrowała obrazów. Myślała o tym, jak ciepłe są dłonie Wojtka, jak bardzo białe są jego zęby, jak cudowny ma uśmiech, jak niesamowicie miękkie wargi. Gdy nie wytrzymywała tęsknoty, pisała długie listy. Od Wojtka też codziennie dostawała kartki i listy. Pisał krócej, ale w tych kilkunastu zdaniach odkrywała tyle samo uczucia i tęsknoty, co w swoich tasiemcowych epistolach. Jedynie malowanie pozwalało na utopienie cierpienia w barwnych słoikach z farbami, które delikatnie nabierała na koniec pędzla i z namaszczeniem umieszczała na białym płótnie. Zatapiała się w pracy, wyrzucając na płaszczyznę płótna całą swoją tęsknotę. I to pozwalało jej przetrwać okresy pomiędzy spotkaniami.*

*Tego dnia wracała jak zwykle z zajęć późnym wieczorem. Martwiła się, że już od trzech dni nie witała ją w domu żadna koperta. Od chwili gdy zaczęli z Wojtkiem korespondować, raz kochała, to znowu nienawidziła listonoszy. Wszystko zależało od częstotliwości, z którą pojawiały się w skrzynce białe koperty. Dzisiaj ogarnęła ją głęboka niechęć do wszystkich poczt świata.*

*– Po co istnieją? Darmozjady. Nic dziwnego, poczta to instytucja państwowa, więc mogą sobie pracować albo się lenić. Kogo obchodzi, że ludzie czekają na nowiny od bliskich. Może jakaś matka martwi się o swojego syna w wojsku, a tu lenie pocztowcy mają w nosie jej uczucia? Pozwaliałabym wszystkim z pracy. Wtedy zobaczyliby, jak to miło czekać na wiadomość o pracy! – pomyślała mściwie, spoglądając w ciemne szyby zajeżdżającego do zajezdni tramwaju. Podeszła do drzwi domu, w którym wynajmowała pokój. Długo szukała klucza, a gdy w końcu weszła do holu, ze smutkiem zobaczyła, że znowu na bocznym stoliku nie ma żadnej koperty. Zrobiło jej się bardzo smutno.*

– O, widzę, że już przyszłaś. – Gospodyni, u której wynajmowała pokój, wystawiła z kuchni swoją ondulowaną, siwą głowę. – Niech nie zapomina, że w tym miesiącu płaci więcej za pokój. Podnieśli prąd i gaz. Nie będę dokładała do interesu. Już i tak robię grzeczność, że wynajmuję jej pokój. Jest to wyjątek, bo nigdy nie robię interesów ze studentami. U mnie tylko panie pracujące i to te, które dobrze się prowadzą. Tu jest porządny dom!

Pani Kalinowskiej trudno było zdecydować się, czy mówi do Klary po imieniu, czy też w trzeciej osobie.

Klara nie miała ochoty wysłuchiwać deklaracji o wyjątkowej moralności gospodyni, więc grzecznie przeprosiła, wymawiając się bólem głowy. Na pierwsze piętro gonił ją monolog starszej pani.

– Jakie to teraz delikatne! Młode, a ma migrenę. A może to nie migrena, a zwyczajnie głowa ją napierdala? – zacytowała modny dowcip.

Nie zapalając światła, Klara odłożyła torbę, rzuciła na krzesło prochowiec i w ubraniu położyła się na łóżko. Była przygnębiona. Starła się nie myśleć, nie czuć. Usnęła. Zbudziło ją delikatne stukanie do drzwi.

– A niech małpa stuka. Niech da mi trochę pospać. Znowu będzie gniotła swoje moralne teorie – pomyślała, odwracając się na drugi bok.

– Niech pan stuka głośniej! Pewnie śpi – usłyszała głos Kalinowskiej. Niechętnie wstała. Otworzyła drzwi i w sercu poczuła radosny skurcz. W drzwiach stał uśmiechnięty Wojciech.

– No, ale jesteś zaspana. Wpuścisz mnie?

– Ale pan tylko do dwudziestej drugiej. To porządny dom! – nie dawała za wygraną Kalinowska.

Gdy zamknęli drzwi, przestała istnieć rzeczywistość. Naprędce zbudowali swoje małe, dwuosobowe państwko, gdzie istniały tylko wzajemne czułości, uśmiechy. Uczyli się siebie. Pieszczoty jak mapy wskazywały drogę.

– Jesteś, jesteś, a ja tak bałam się, że coś się stało. – Z czułością patrzyła mu w oczy, gładząc twarz, ramiona plecy.

– Mój głuptasku! Po co się na zapas martwić. Zateśknilem, więc jestem. Mam parę dni wolnego, to przyjechałem. Rodzice nic nie wiedzą. Po co pytania, po co wymówki. Cieszymy się wspólnymi chwilami.

Przytulił ją mocno do siebie, całując włosy, oczy, nos...

Zatracili się w pocałunkach i pieszczotach.

Jestem w rajku. Dzięki ci, Boże. Niech ta chwila trwa bez końca. Teraz mogłabym umrzeć, bo jestem bardzo szczęśliwa – myślała Klara.

– Muszę się ewakuować. Cerber pewnie śledzi zegar. – Pierwszy oprzytomniał Wojtek.

– A masz gdzie zanoć? Mój kolega jutro wyjeżdża do siostry. Może dzisiaj ciebie przenocuje. Zaraz zadzwonię. – Zeszła na parter, do telefonu.

– Jacek, czy mógłbyś przenocować mojego chłopaka. Nie może spać u mnie – powiedziała oględnie, widząc, że drzwi do kuchni są uchylone.

– Pewnie, że nie może. Kto to widział takie rzeczy, aby chłop z babą przed ślubem spali w jednym pokoju – mruzczała gospodyni.

– Niech przyjeżdża, jak mu będą odpowiadały warunki. Podaj mu adres. Uprzedź go, że dziś śpi ze mną w jednym łóżku. Od jutra ma wolny pokój na trzy dni.

Wojtek nie miał wyjścia, więc skorzystał z propozycji Jacka.

– Wiesz, mam nadzieję, że Jacek się nie obraził, bo w nocy myślałem, że obok to jesteś ty i przytulilem się. Dopiero oprzytomniałem, jak dostałem kuksańca. I usłyszałem: „daj na luz, bo to nie Klara obok ciebie!” – powiedział następnego dnia. – Ale mi było głupio! Za to teraz mamy pozwolenie na zamieszkanie przez trzy dni w norce Jacka. Ewakuuj się od Pani Moralnej! Mamy luksusowe wakacje!

Tego dnia przenieśli się. Gdy wyjeżdżał, nie potrafiła wyobrazić sobie, że jest w stanie przeżyć do następnego spotkania.

\* \* \*

Kościółek w Brzózkach był stary, kryty gontem. Wtulony w kępę drzew na grzbiecie pagórka, wychylił się do nich dopiero, gdy wyszli z zakrętu. Ścieżka do niego wiodła nierówna, kamienista. Wykrzywiając stopy na kanciastych kamieniach, szli pod górę. Klara pomyślała, że to swoista droga pokuty za wszystkie grzechy, jakie popełniali, razem z tym, że nikogo nie powiadomili o swojej decyzji. Przyjechali tutaj jedynie z dwójką świadków.

Już parę dni temu wzięli we Wrocławiu ślub cywilny, a teraz chcieli ten prawdziwy, przed Bogiem. Szli w piątkę, bo też z panią Wiktoria, która była pośrednikiem pomiędzy nimi a księdzem.

U bramy kościółka czekał stary, zasuszony proboszcz. Był niewiele większy od Klary. Głowa jego przypominała wielki dmuchawiec. Na wietrze tańczyły białe, rzadkie, długie włosy i tworzyły srebrzystą bańkę. Chude dłonie i nogi wystawały ze starej, pocerowanej sutanny. Błada twarz zdawała się składać ze samych zmarszczek. Orli nos pochylał się nad krzywą kreseczką ust o dobrotliwym uśmiechu i szpiczastą, wygiętą ku górze brodą. Z twarzy księdza biła bezgraniczna dobroć i ufność. Przypominał pustelnika. W ręku trzymał wielki klucz, który włożył w otwór zamka. Miał problemy z otwarciem wrót.

– Oj, oj! Ja stary, kościół stary, zamek stary i klucz stary. No to i jak przy

*takiej kombinacji staroci otworzyć się ma od razu? – zapytał przekornie. – Msze tu dla paru ludzi odprawiam tylko w niedzielę, to i nie ma kościelnego. Czasem Jarzębski podjedzie i coś naprawi. Ale też nie za często, bo ma parę kilometrów. Ja tu rzadko, gościnnie, bo nie dałem rozebrać na deski. To teraz obsługuję dwa kościoły. Ale ten bardzo kocham, bo piękny. Kościoły potrafią być piękne na starość, nie to, co ludzie. U ludzi to czasem na starość piękność przechodzi z zewnątrz do środka, ale nie u wszystkich. Gdyby była taka prawidłowość, że na starość wszyscy są wewnętrznie piękni, to kościół miałby połowę pracy mniej. Widzę, dzieci, że wy piękni, młodzi. Czy bardzo się kochacie? No, pytam?!*

*W tym momencie udało mu się przekręcić klucz i wielkie dębowe drzwi, skrzypiąc i trzeszcząc, uchyliły swoje podwoje.*

*– Po co ja pytam? Wy nie stąd. Jakbyście się nie kochali, to nie gnalibyście taki szmat drogi, aby stary ksiądz, w starym kościele ręce wam stulą związał. Poczekajcie chwilę. Ja do zakrystii. Trzeba wszystko przygotować. Pani Wiktoria pomoże.*

*Ksiądz zniknął w drzwiach zakrystii. Stali u stóp małego ołtarza. Klara powiodła wzrokiem po pachnącym starym drewnem, suszonymi kwiatami i ziołami oraz woskowymi świecami wnętrzu. Kościół przybrany był dożynkowymi wieńcami, zasuszonymi bukietami. Jedyne na ołtarzu stały świeże, jesienne róże. Przez małe kolorowe szybki padało słoneczne światło, które dopełniło kolorytu i dodało nastroju tajemniczości i święta.*

*Stali naprzeciw siebie, a gdy ręce ich oplotła kremowa, haftowana stula i spojrzeli sobie w oczy, utonęli w radości.*

Wzruszona, z zapartym tchem i wypiekami na twarzy wyobrażała sobie moment ślubu rodziców, ich zauroczenie, gdy znowu pomiędzy stronami zeszytu dostrzegła luźną kartkę.

### **Zapiski, maj 2000 r.**

*Jak to się dzieje, że żyjemy normalnie, przynajmniej tak się nam wydaje, i nagle, bez żadnego ostrzeżenia, życie nasze zaczyna być spętane? Chodzi mi nie tylko o spętanie przez drugiego człowieka, ale też przez samego siebie. Przez swoje emocje. Po prostu ogarnia nas wszechobecny strach. Skąd wiem, że jestem przez niego spętana? Po prostu przestałam być panią siebie. Zbudził mnie pewnego ranka, mimo iż nic o nim nie wiedziałam. Nie miał imienia. Po prostu był. To taki egzystencjalny strach, przed życiem i przed śmiercią. I nagle zaczęłam bać się, że organizm mój przestanie wykonywać zwykłe funkcje życiowe. Na przykład zapomni,*

że ma czerpać oddech. Sprawdziłam, więc, czy potrafię oddychać. Aż spociłam się z wrażenia, a wtedy serce zaczęło skakać. Zapomniało, że powinno równo i rytmicznie kurczyć się i rozkurczać. Szalało! Za sercem przyszło dziwne odczucie, zaczynające się w żołądku. Jakbym jeździła na karuzeli! Po paru minutach podeszło do gardła i chwyciło mnie z całej siły za szyję.

– Odejdź! – powiedziałam, bo coraz trudniej było mi oddychać. Nie słuchało i jakby mu było mało, zsunęło się w dół. Zaczęło huśtać się na moich dłoniach, aż zadrżały mi palce. Za palcami rąk była kolej na nogi. Stały się miękkie, gumowe. Czulałam, że podłozę, po którym stąpam, uginało się, falowało. Myślałam, że to strach jednorazowy, po prostu odwiedził mnie, aby się przedstawić, ale chyba mu się u mnie spodobało. Zaczął przychodzić coraz częściej. I tak zostało. Gdy w czasie jego odwiedzin byłam poza domem, zaczynałam lękać się otwartych przestrzeni i snułam pod ścianami domów. To asekuracja, którą podpowiadał mi drzemiący w kącie duszy rozsądek. Przynajmniej mogłam w każdej chwili złapać się muru. I już byłam trochę pewniejsza. A tego strach nie lubił. Gorzej było, gdy musiałam pokonać przestrzeń jezdni. Wtedy byłam zdana tylko na niego.

– Pozwól mi przejść! – prosiłam go i aby nie usłyszeć odmowy, zaczynałam w myślach liczyć kroki. Mierzyłam krokami przejście dla pieszych. Potem odliczaniem sprawdzałam drogę od przystanku do pracy. Trzydzieści trzy, trzydzieści cztery... zagłuszałam jad, który sączył mi do ucha strach. Wiedziałam, ile kroków ma każde przejście dla pieszych na mojej drodze do pracy, na zakupy. Znałam liczbę kroków od domu do przystanku i z przystanku do pracy. Swoje życie mierzyłam nie dniami, a krokami.

Z czasem strach codziennie czekał pod moją klatką schodową i towarzyszył mi w każdej, nawet najkrótszej wyprawie. Do domu zaglądał rzadziej. Najczęściej napadał na mnie wieczorem i wtłaczał mi się do gardła, rozpychał w myślach. Był złośliwy. Wtedy parzyłam melisę, łykałam validol i na głos czytałam „Anię z Zielonego Wzgórza”, jakbym miała trzynaście lat. Strasznie wstydziałam się mojego towarzysza. I sposobów, jakimi z nim walczyłam.

Później do rąk wpadła mi książka o treningu autogennym, autoterapii, sposobie relaksacji. Zaczęłam ją stosować i spostrzegłam, że mój gość jej nie polubił. Opuszczał mnie w chwili, gdy czulałam, jak moje ciało ogarniała gorąca fala energii, którą łapałam chyba z kosmosu, a może była we mnie, tylko gdzieś zablokowana. Doszłam do takiej wprawy, że wydawało mi się, że moja dusza opuszcza ciało i wisi gdzieś wysoko pod sufitem, spoglądając na opakowanie. Uczucie było na tyle zaskakujące, że trochę się go bałam...

Zastanawiam się, jak to było z babką Felicją, gdy tchórzyła przed rzeczywistością. Czy strach przed życiem, cierpieniem psychicznym i fizycznym był na tyle duży, że wolalała przejść przez cienką linię, która odgradza nasze zdrowie od



choroby?

*Jak strasznie poniżona, mało warta musiała się czuć w tamtym momencie...*

*Na początku dwudziestego wieku prababka Wacława od razu zaczęła tchórzyć przed życiem i raczkami się z niego wycofywać. Owdowiała jako bardzo młoda osoba po paru latach beztróskiego małżeństwa. Wtedy, zamiast żyć i wychowywać dzieci, postanowiła chorować. Wychowaniem dzieci zajęła się służba. Gdy wychodziła za mąż mając czternaście lat, nikt jej nie pytał, czy podoba związkowi i czy podoba jej się kandydat na męża. Jej rodzice, tak jak i dziadek Tadeusz, myśleli jedynie o pieniądzach, które posiadał kandydat na męża – Wilhelm. Wydawało im się, że fundując zamążpójście, dają córce szczęście. A ofiarowali jej parę lat chorób i przedwczesną śmierć. Nie przypuszczam, aby ktoś z rodziny przygotował ją na wspólne życie z dużo starszym mężem. Nikt nie zaszczepił jej siły, nie nauczył, jak ma rozwiązywać problemy, jak radzić sobie z tragediami. Mogę sobie jedynie wyobrazić, jak bardzo bała się nastoletnia Wacia odpowiedzialności za życie swoje i dzieci.*

*W końcu sama była niewiele od nich starsza. Nie miała zbyt wielu doświadczeń życiowych. Z czego mogłaby czerpać siłę i pewność, że postępuje dobrze? Nic dziwnego, że po śmierci męża stchórzyła i wybrała swój sposób na strach – chorobę.*

*Babka Felicja zmagala się wiele lat ze strachem. Najpierw przed macochą, potem mężem. Tadeusz miał twardą rękę. Nie dyskutował, nie prosił. Żądał. Nie wiedziała, kiedy coś go zirytuje. I nie znalazła innego sposobu na strach, jak chorobę. A nie był to najlepszy sposób, bo w chwili nawrotów choroby przybiegała z oczami rozszerzonymi właśnie strachem. Urastał on w jej głowie do niewyobrażalnych rozmiarów i parokrotnie chciała targnąć się na swoje życie, bo nie wytrzymała jego ogromu...*

Gizełę zasmuciły rozważania Klary. Wróciły trudne, zasnute mgłą wspomnienia sprzed lat. Wygrzebała z pamięci trudny okres w życiu matki, trudny okres z ich życia rodzinnego. Poczula znowu dziwny niepokój, gdy twarz matki stawała się blada jak płótno, wracały jej zawroty głowy... Otrząsnęła się.

Szybko wróciła do pamiętnika.

### ***Pamiętnik Klary, rok 1976, lato***

*– Kochanie, nie siedź na tym strasznym upale. – Anna była zaniepokojona zachowaniem córki. – Lada dzień urodzisz, a pieczesz się na słońcu jak kotlet na patelni. Biedne dziecko zamienisz w skwarka.*

– Mamo, nic mu nie będzie. Lubi ciepło, tak jak i ja

Klara wystawiła brzuch do słońca. Z lubością wyciągała się w wiklinowym fotelu. W tej chwili przypominała Annie Korę, domowego kota, który na trawniku tak samo wyciągał swój grzbiet w stronę słońca.

– A skąd wiesz, że to będzie on, a nie ona? Już niedługo masz termin porodu. Powinnaś przygotować sobie wszystko przed pójściem do szpitala, aby Wojtek nie musiał niczego szukać. Myślę, że dobrego masz tego swojego męża. Podziwiam jego wyrozumiałość. Ty od pierwszego dnia ciąży jesteś jak osa. Skąd on bierze cierpliwość do twoich fochów?

W ocenie córki Anna była bezwzględna.

– A mama tylko: Wojtek i Wojtek. Kto jest twoją córką, ja czy Wojtek?

Klara nadąsała się i wstała z fotela. Poszła do pokoju, który przydzieliła im matka na czas pobytu w rodzinnym domu.

– Mamo, gdzie są moje obrazy? – zapytała matkę przez uchylone drzwi pokoju.

– Gdy byłaś u Irenki, Wojtek wyrzucił je do śmietnika – odpowiedziała Anna. – Powiedział, że farby mogą być trujące i zaszkodzą tobie i dzidziusiowi – dodała.

– Jak on mógł?! – oburzyła się Klara i zrobiło się jej bardzo smutno.

Do końca dnia schowała się w pokoju i z książką w ręku czekała na przyjazd męża. Był piątek. Wojciech przyjechał późnym wieczorem.

– Nie mogłeś wyjechać wcześniej? – Nadąsana wydeła wargi i przytuliła swój wielki brzuch do boku męża. – Tak mi ciężko. Wszystko mnie swędzi. To chyba skóra nie nadąza za pęcznieniem dziecka. Czuję się jak nadmuchany balon, który lada chwila ma pęknąć. Stóp od dawna nie widzę. Nogi to dwa filary. Dłonie jak obwarzanki, a w środku kłębek nerwów – poskarżyła się. – Pomóż mi się wykapać, bo ledwie się ruszam. Bądź samarytaninem.

– No dobrze, tylko sam wskoczę pod prysznic, a potem możemy ciebie szorować. Uśmiechnij się. To już niedługo – powiedział i zniknął w czeluściach łazienki.

Gdy za godzinę dotarła pod prysznic, z ulgą zdjęła przepocone ubrania. Ledwie podniosła opuchnięte nogi i wgramoliła się do wanny. Puściła prysznic. Nagle poczuła na udach mokre ciepło.

Posikałam się – przemknęło jej przez głowę, ale ilość płynu zaniepokoiła.

– Wojtek! – krzyknęła. – Ja rodzę!

Leżała w powiatowym szpitalu i nie mogła doczekać się końca tego koszmaru. Od paru godzin bolało. Czula, jakby jakiś olbrzym rozdeptywał jej miednicę i plecy. Z każdą godziną ból był większy. Szybko chodziła skrajem korytarza i gdy przychodziła fala rozdzierającego bólu, kuciała pod ścianą, jak parę innych rodzących. Co godzinę wołano je pojedynczo na porodówkę. Już parę kobiet

po takich zaproszeniach pozostało i po jakimś czasie słyhać było rozdzierające krzyki, a potem odgłos przypominający miauczenie małego kotka. Klara od wielu godzin słyszała od położników tylko suche zdanie:

– Rozwarcie na trzy palce. Czekamy. – I odsyłano ją z powrotem na korytarz.

Po dziewiętnastej zmieniła się położna.

– Chodź, dziecko! – powiedziała i pomogła jej wgramolić się na wielkie porodowe łóżko. – Zaraz coś dostaniesz i szybko urodzisz.

Krzętała się wokół Klary i szybko zainstalowała kroplówkę. Po dwudziestej pierwszej na świat przyszły dwie panienki, Marcelina i Zuzanna. Klara leżała zmęczona. Zapadł zmrok. Przez otwarte szeroko okna szpitalnej sali nieśmiało zaglądał ciepły wieczór, z muzyką świerszczy, urządzających koncert na pobliskiej łące. Kobieta czuła lekkość i wszechogarniające szczęście. Wiedziała, że przytrafił jej się cud. Dokonała rzeczy niewyobrażalnej. Zdała najtrudniejszy i najważniejszy życiowy egzamin. Z sąsiedniego pawilonu dochodził płacz niemowląt, dowożonych na karmienie. Po twarzy Klary popłynęły ciepłe, czułe łzy.

– Jak kociaki. Jak gromada małych, głodnych kociaków! – pomyślała i usnęła.

### **Rok 1976, jesień**

– Wstawaj, dziś twoja kolej! – Wojtek usłyszał z oddali zaspany głos Klary i płacz dzieci. Obrócił się na drugi bok i próbował ponownie zanurzyć się w sen. Był taki przyjemny. Był w nim kaskaderem. Skakał na motorze przez dziesięć mercedesów i jeździł w wysokiej beczcze. Zawsze o tym marzył. I przynajmniej w śnie ponownie był wolny. Już jakiś czas temu zrozumiał, że wolność jest najważniejsza. Dotarło to do niego zaraz po wyjeździe z Brzózek. Zaraz po zdjęciu z ich dłoni stuły, gdy zrozumiał, że przestał być kawalerem.

Na początku był to tylko maleńki przebłysk nie do końca uświadamianych ograniczeń. Większe zniewolenie zaskoczyło go parę miesięcy po tym, jak Klara pewnego ranka przy śniadaniu spojrzała mu w oczy i zamiast uśmiechnąć się jak zwykle, szybko pobiegła do łazienki. Potem przez miesiące obserwował jej rosnący brzuch, który z czasem stał się wielki jak balon lotniczy i tak samo wyglądał pod kwiciastą sukienką, którą uszyła matka Klary. Ukochana dziewczyna stała się daleka. Brzuch zabrał mu coś, co ich łączyło. Nie czuł się gotowy, aby zostać ojcem. Czuł się oszukany. Wiedział, że tyle w tym było winy Klary, co i jego, ale nie był przygotowany na tak radykalne zmiany. A zmian było wiele. Klara, dotąd łagodna i wyrozumiała, stała się kapryśna, płaczliwa, zbyt wymagająca. Wsluchana w swoje wnętrze, gdzie rosły ich dzieci, odgradziła się od jego pragnień spuchniętymi nogami, obrzmiałym ciałem i snem, w który uciekała, gdy tylko miała

*chwilę dla siebie. Nie chciał tego. Czuł się młody. Chciał towarzystwa kolegów, podróży, jazdy motorem i adrenaliny. A przede wszystkim chciał wolności. Myślał, że po porodzie coś drgnie i wróci dawna Klara, ale płaczące dwa tłumoczki oddaliły ich jeszcze bardziej. Czuł się ukarany nocnymi dyżurami, gdy nieprzytomny, senny musiał wyciągać mokre pieluchy spod obsikanych pup. Znienawidził pralkę pełną poplamionej, śmierdzącej tetry. Klara nie miała pokarmu, więc wiele godzin spędzał na poszukiwaniu niebieskich kartonów mleka w proszku, które potem w parę dni znikало w głodnych brzuskach córek.*

*Dziewczynki rozczulały go i chętnie kąpał różowe maleństwa, ale równocześnie przerażała go odpowiedzialność, do której nie czuł się gotowy. Najchętniej uciekłby gdzie pieprz rośnie.*

*Próbował zwrócić uwagę Klary na siebie. Na to, jak mało ma dla niego czasu. Pewnego dnia posunął się nawet do tego, że świadomie zniszczył całą teczkę pięknych rysunków Klary, wykonanych piórkiem i węglem. Większość z nich pochodziła z okresu, gdy nie byli jeszcze małżeństwem. Powyrzucał też jej farby. Nawet tego nie zauważyła. Zresztą dawno przestała malować. Przeobraziła się w kogoś innego. Kogoś, kogo nie znał, nie rozumiał.*

*Zaczęli klócić się o drobiazgi. Starał się wracać do domu jak najpóźniej. Spędzał z kolegami coraz więcej czasu. Oczy Klary coraz częściej otoczone były czerwonymi obwódkami i spuchniętymi powiekami.*

*Jaka ona brzydka z tymi czerwonymi oczami i czerwonymi włosami! – pomyślał pewnego dnia, gdy późnym wieczorem podchmielony wrócił do domu.*

*– Gdzie byłeś tyle godzin! Ja tu padam z nóg, a ty balangujesz z kumplami! Spójrz, jak wyglądasz! – usłyszał zamiast powitania.*

*– Odczep się! Spójrz na siebie, jaka jesteś paskudna! – odpowiedział, zanim zdążył pomyśleć, co mówi. – Ciuchy porozciągane, spódnice omeszone. Zapomniałaś, jak wygląda szczotka do ubrania? Chodzisz nieporządna jak stara baba. Gdzie się podziała dawna laska? Jak tak będziesz wyglądać, to znajdę ładniejszą. Mężczyzna jest wzrokowcem. – Czuł się oszukany i rozżalony.*

*– A ty zapomniałeś, jak wygląda rodzina. Miałeś wrócić zaraz po pracy i pójść po lekarstwa. Przecież małe są chore. Musiałam prosić sąsiadkę, aby została przy dziewczynkach, i sama poszłam. Już nie mam siły!. Noszę je na przemian cały dzień i rąk nie czuję. Skąd mam brać na to siłę?!*

*Rozplakala się jak mała dziewczynka. Wojtek był wściekły, że Klara zburzyła jego spokój i wpędziła w poczucie winy.*

*– Jak widzę, świetnie sobie poradziłaś. Całe wieki kobiety wychowywały dzieci i nie narzekały. Tylko ty jesteś jak modliszka. Wysysasz z człowieka całą radość życia. Przestań histeryzować i weź się do roboty, bo z każdej strony wychodzi z ciebie lenistwo. Bawienie się z dziećmi to tylko sama przyjemność. Popatrz, jak dom wygląda. Kurze nie pościerane, zabawki i ciuchy rozrzucone. Leń*

*i tyle. Co z ciebie za baba? Byłem u Krzyśka. Jego żona zadbana, jak spod igły. Nogi ma po samą szyję. A jaka miła i uśmiechnięta. W ich domu jak w muzeum. Wszystko na swoim miejscu i czystość, aż lśni. Do takiego domu to człowiek z przyjemnością by pędził – wypalił. Płacz Klary przybrał na sile.*

*– Trzeba było wcale nie przychodzić, jak ci tak ciężko do nas wracać i dom ci śmierdzi.*

*Zaczęła histerycznie szlochać.*

*– Durna histeryczka. Aż człowiekowi się wszystkiego odechciewa – wymruczał wściekły Wojtek i poszedł do łazienki. Ze złością zdejmował ubranie, myśląc o tym, że Klara odbiera mu młodość. Nie chce być starym dziadem. Starym już nic nie potrzeba. Po co dziadkom wysokie pensje? Na co mają wydawać, jak bliżej im do grobu niż do prawdziwego życia? Po co im auta, jak na drogach się ślimaczą. Taki stary to ani na ciuchy nie musi wydawać, bo i tak żadna na niego nie polecą, ani do chałupy już nic nie musi, bo przez całe życie się nakupował. Starzy pędzą nudne życie z paskudnymi babami i tylko zalegają przed telewizorami, pasąc wielkie brzuchy. Grubasy! On będzie młody i nikt mu tego nie zabierze. Był idiotą, że dał się spętać!*

*– A rycz sobie, jak jesteś durną babą. Ja idę spać! Dobranoc! – powiedział w przestrzeń pokoju do drgających ramion żony. I spokojnie, już bez żadnych wyrzutów sumienia, zasnął. W nocy słyszał płacz dzieci, ale celowo udawał, że śpi bardzo mocno.*

*Masz za swoje, za to, że pętasz człowieka – pomyślał mściwie.*

## **Rok 1979, lato**

*– Chodźcie do taty! Już przyszedłem z pracy. No, gdzie moje panienki, dlaczego nikt mnie nie wita, czy nikogo nie ma w domu?*

*Klara siedziała z córkami w pokoju. Czytała im bajki, ale na głos ojca obydwie dziewczynki zerwały się z kanapy i popędziły pod drzwi.*

*Przecież wrócił ich ukochany tatuś – pomyślała z zazdrością. Ja jestem od czarnej roboty, a on spija śmietankę!*

*Zrobiło się jej żal siebie, odrzuconej chwilowo przez córki i coraz częściej przez męża. Od dłuższego czasu ciążyła jej rola gosposi i niańki. Nie miała na nic czasu, a w zamian za ciężką pracę słyszała najczęściej od męża, że robi wszystko nie tak, jak powinna. Nie tak gotuje, nie dość dobrze sprząta. Czuła się jak domowy robot, prawie niezauważana, gdy wszystko szło jak po maśle, ale gdy czegoś nie dopilnowała, wylewały się na jej głowę różnorodne pretensje. Jakby ktoś oblewał ją wiadrem pomyj. Czasem myślała, że Wojtek skrzętnie notuje sobie wszystkie jej potknięcia, aby wypunktować, gdy uzbiera się zbyt wiele. Mógł wtedy zrobić dostatecznie dużą awanturę, aby wyladować swoją frustrację. Była przecież*

*chłopcem do bicia. Zawsze pod ręką.*

*Wojtek wszedł do pokoju. Na ustach miał uśmiech.*

*– Chodźcie na podwórko – powiedział. Był podekscytowany, szczęśliwy. – Chcę wam coś pokazać.*

*Klara założyła dziewczynkom sandaalki i wyszli przed dom. Na parkingu stał samochód. Był szary.*

*– Popatrzcie, co kupilem. Całkiem okazyjnie. Ojciec kolegi chciał sprzedać tę syrenkę. Kupuje nowego fiata. Syrenka jest stara, ale jara. Pojeździmy sobie w niej na wczasy. Chodźcie, wypróbujemy auto. – I już otwierał drzwi przed Klarą i dziewczynkami.*

*– Mamo, ja nie chcę do samochodu – marudziła Marcelinka.*

*– A ja chcę! – Zuzanna uprzedziła siostrę i starała się wejść na przednie siedzenie.*

*– Nie, Zuziu, to miejsce jest dla mamy, wy jedziecie z tyłu. Dzieci nie mogą jeździć na przednim siedzeniu. Proszę cię, to twoje miejsce! – zachęcił zaskoczoną Klarę.*

*– Ale to pewnie będzie nas kosztowało majątek? Przecież wiesz, że z forsq u nas krucho. Przecież tylko ty zarabiasz, i to niezbyt wiele. Ciągłe mamy jakieś tyły – pytała zaniepokojona Klara.*

*Uśmiech zniknął z twarzy Wojtka.*

*– No oczywiście, a jakby miało być inaczej! Ty potrafisz popsuć każdą radość. Chodźcie, dziewczynki. Mama nie chce, abyśmy mieli auto i wygodę w wyjeździe na wczasy. Woli z dziećmi cisnąć się w zatłoczonych pociągach i dźwigać ciężkie bagaże. – Odwrócił się w stronę Klary. – Ale oczywiście to nie ty dźwigasz, więc możesz sobie marudzić. Wiesz, jak bardzo pragnąłem auta, ale nic ciebie nie obchodzi moje marzenia. Wolisz swoje idiotyczne teorie. – Skierował zły wzrok na żonę.*

*– Mamo, ja nie chcę wsiadać. Ja chcę auto. Tato, kup nam auto. Proszę – płakała Zuzia.*

*Marcelina popatrzyła na siostrę i też wybuchła płaczem, chociaż przed momentem nie chciała wsiadać do samochodu. Wojtek wyciągnął z auta płaczące córki. Trzasnął drzwiami i zamknął samochód. Całe popołudnie nie odzywał się do Klary.*

*Było jej bardzo przykro. Nie czuła się winna, ale żal jej było rozczarowania męża. Wieczorem przemyślała całą sytuację. Pójdzie do pracy. To jedyne wyjście. Już czas, aby córki poszły do przedszkola. Wezmą pożyczkę bankową i kupią syrenkę, a potem jakoś spłacą. Wszystko zależy od tego, jaką pensję zaproponują jej w pracy.*

Lekturę pamiętnika przerwała kolejna kartka.

### **Zapiski, grudzień 2001 r.**

*Obudziłam się pewnego ranka, podeszłam do lustra i nie poznałam swojej twarzy, spojrzenia, grymasu ust.*

*Co robi tutaj odbicie obcej kobiety? – zapytałam zdziwiona. Wieczorem żegnał mnie inny obraz. Nocą śniłam sen o szczęściu, o leniwym muśnięciu ukochanych dłoni, o ciepłych, bezpiecznych ramionach, o słodkiej melodii słów, o porach roku przeżytych w szczęściu jednym tchem. Sen śniła młoda, wesola dziewczyna. Gdzie podziła się nocą? Kto zamienił ją w starą, smutną, znużoną kobietę? Widzę jej smugi pod oczami, a zamiast uśmiechu, grymas... Spoglądam w siebie, jak w głęboką studnię. Szukam prawdy o sobie. Jest tak, jakbym rzucała kamienie w toń wody, która gdzieś tam płynie sobie na dnie. Na razie jednak widzę tylko rozchodzące się kręgi i refleksy światła. I jakiś lęk, obawę, że mogę zobaczyć coś więcej... Skąd ten lęk? Czyżbym nie znała siebie dostatecznie dobrze?*

*Zawsze zastanawiałam się nad tym, czego boją się ludzie, kiedy nie chcą nawet przed sobą przyznawać się do prawdziwych uczuć, gdy zakładają maskę?*

*Myślę, że ludzie tworzą sobie na użytek innych jakiś obraz siebie, który wystawiają na zewnątrz i który otoczenie akceptuje. Pokazujemy się przecież innym w ten sposób, aby o nas jak najlepiej pomyśleli. Zatem, skoro jestem tego świadoma, czego mogę się obawiać? Czy naprawdę siedzi we mnie ktoś całkiem inny? A jeśli tak, to jaka jest ta osoba? A może chcę, aby myśleli o mnie, że jestem bardzo niezależna i twarda?... Faktycznie jednak w środku mnie siedzi osoba delikatna i wrażliwa, która obawia się zranienia, odrzucenia, wyśmiania oraz porzucenia. A ja chowam głęboko prawdziwą siebie i pokazuję maskę...*

*Wczoraj starałam się porozmawiać z Marceliną o tym, czego spodziewa się po małżeństwie. Marcela zaskoczyła mnie. Jest dużo dojrzała, niż ja byłam w jej wieku. Dziewczyna wie dokładnie, czego nie chce, a to już dużo. Myślę, że lepiej jest wiedzieć, czego się nie chce, niż co się chce. Moja córka nie chce męża alkoholika. Nie chce, aby mąż nią rządził. Nie chce w domu monarchii absolutnej. Nie chce, aby jej dzieci tułały się po świetlicach z kluczem na szyi. Nie chce własnego domku, bo uważa, że głupotą jest mieszkać gdzieś, gdzie człowiek ma wszystkie problemy związane z ogrodem, dachem, instalacjami, itp. na głowie, jak można spokojnie wynajmować mieszkanie i kłopoty te ma ktoś inny. Nie chce przyjaźnić się z „głupimi gęsiami”, nawet, jeżeli można mieć z tego korzyść...*

*Wybrała człowieka, z którym jest jej łatwiej niż mnie z Wojtkiem, bo dokładnie wiedziała, jakiego człowieka nie pokocha. Ona nie potrafi określić, czym jest szczęście, ale ma doskonałą intuicję i przeczuwa, czym jest nieszczęście.*

*Patrząc na nią, widzę, że jest bardzo szczęśliwa. Z pewnością w sprawach uczuć jest dużo mądrzejsza, niż ja byłam w jej wieku, a może i nawet w tej chwili. Jej miłość do mężczyzny jest inna niż moja. Ale i my bardzo różnimy się, pomimo iż jesteśmy tak bliskie genetycznie. Marceli nie potrzeba przyjaciółek, z którymi mogłaby trochę oplotkować swojego ukochanego, gdy jej zajdzie za skórę. To z nim wymienia swoje myśli, opowiada o nastrojach, niepowodzeniach i sukcesach. Czasem dzwoni do mnie, aby poplotkować. I na tym się kończy. No bo relacje pomiędzy matką a córką nie mogą przekraczać pewnej granicy intymności. Marcela twardo stoi na nogach. A u mnie nie zawsze tak jest... Czasem brakuje mi serdecznej przyjaciółki, czyli kobiety, która mogłaby mnie wysłuchać i zrozumieć. Wojtek nie zawsze rozumie, o co mi chodzi, i nic dziwnego. Przecież jest z Marsa. Ja jestem z Wenus, jak to określa psychologiczna literatura.*

*Zastanawiam się, jak to jest z moimi przyjaciółkami? Dlaczego w podbramkowych sytuacjach czuję się tak bardzo samotna? Nigdy nie byłam pozbawiona koleżanek. Kobiety zawsze mnie tolerowały, a nawet lubiły. Nie miałam kłopotów z nawiązywaniem kontaktów. Jednak przez wiele lat przybierałam postawę tzw. obserwatora. Mało mówiłam o sobie. Raczej starałam się wysłuchiwać zwierzeń, udzielać wsparcia. Wiedziałam, że moje życie nie jest na tyle interesujące, aby o nim opowiadać, bo w zasadzie przecież nie byłam kimś wyjątkowym. W ten sposób o sobie myślałam. Moje przyjaźnie zawsze były „dawaniem”, a rzadko braniem. Staralam się nie wadzić, nie wymagać. Udawałam przed przyjaciółkami i przed sobą, że tak powinno być. Cieszyłam się, gdy ktoś, na kim mi zależało, w końcu chciał mojego towarzystwa, mojej obecności, gdy mi powierzał swoje problemy. Po czym bez skrzywienia przyjmowałam „nie wiem, kiedy będziemy mogły znowu pogadać, bo...”, i tu następowały wyliczenia milionów spraw ważniejszych od rozmowy telefonicznej ze mną, od krótkiego spotkania. Godziłam się na to. A może jestem zbyt dumna, aby zwyczajnie poprosić o pomoc, o zainteresowanie się moim życiem? Chyba łatwiej jest mi dawać, niż prosić o dar. I nie wiem, dlaczego tak jest. Czy czuję się w ten sposób lepsza? Może to dawanie jest większą wartością dla darczyńcy niż obdarowywanego? Czy podnoszę w ten sposób swoją wartość? A może wręcz przeciwnie: nie czuję się „godna” zwracania głowy swoją osobą?...*

Nie, Gizela stanowczo nie zgadzała się z matką. Tak przecież nie było. Pamięta, że wiele dobrych koleżanek matki wyprułoby sobie dla niej żyły, gdyby zaistniała taka potrzeba. A może to matka stawiała ludziom zbyt wysoką poprzeczkę, bo sama dawała z siebie wszystko? Może dawała z siebie zbyt dużo, więcej, niż inni tego oczekiwali? Czy to nie przerażało Wojtka? Tak wysoko



zawieszona poprzeczka? Jak dotrzymać kroku takiej osobie? A jeśli nie można dotrzymać kroku, to co pozostaje? Z tym zawieszonym w próżni pytaniem wróciła do pamiętnika.

### ***Pamiętnik Klary, wrzesień 1979 r.***

*Pojechali nad morze. Do znajomych, bo już na zakładowe wczasy zabrakło pieniędzy. Klara musiała wziąć urlop bezpłatny. Miała z nim sporo kłopotów, bo niedawno wróciła do pracy, ale dziesięć dni bezpłatnego urlopu jakoś udało jej się wyżebrać u szefa.*

*Dziewczynki były zachwycone długimi spacerami po plaży. Kucaly nad brzegiem morza i wybierały z sypkiego piasku małe muszelki. Wraz z Wojtkiem budowały zamki i fosy. Było wietrznie, ale niezbyt zimno, pomimo iż był początek września.*

*Jednak na opalanie się było zbyt zimno. Pod koniec urlopu pogoda zmieniła się. Temperatury oscyływały w granicy dwudziestu pięciu stopni. Klara postanowiła trochę się opalić.*

*– Co ty na siebie włożyłaś? – usłyszała głos Wojtka. – Po urodzeniu dzieci nie powinnaś nosić dwuczęściowego stroju. Chyba dawno nie przeglądałaś się w lustrze?*

*Na twarzy męża widziała niezadowolenie. W jej oczach stanęły łzy, w sercu miała smutek. Dalej chciała być dla niego najpiękniejsza.*

*– I co, znowu fochy?! Człowiek nic nie może powiedzieć. Księżniczka. Prawdy nie chce słuchać. Woli kłamstwa. Człowiekowi odechciewa się życia w takim miodzie!*

*Rozplakana się. Aby Wojtek nie widział łez, wyszła z domu, zostawiając męża z dziewczynkami. Poszła nad morze. Drewnianymi schodkami zeszła z wydmy. Zdjęła buty i poszła brzegiem w kierunku widocznego na horyzoncie cypla. Plaża była wyludniona, tylko gdzieś wędrowali po niej wrześniowi turyści. Widziała też parę kolorowych płotków z kocującymi za nimi rodzinami albo z przytulonymi do siebie parami. Zazdrościła im bliskości, żaru uczucia. Było jej smutno i ciężko. Szła długo przed siebie, aż doszła do całkiem pustej części. Na dzikiej plaży z daleka od wody leżało wielkie drzewo, wyrzucone podczas burzy przez morze. Zdjęła sukienkę i w stroju kąpielowym położyła się na pniu. Wystawiła zapłakaną twarz do słońca. Na drzewie było w miarę wygodnie, ale w głowę uwierał ją koński ogon, więc zdjęła gumkę i rozpuściła swoje długie włosy, które czesane powiewami wiatru momentalnie rozsypały się. Zamknęła oczy i próbowała się uspokoić. Skoncentrowała myśli na słonecznej tarczy, ciepłe promieni, szumie fal. Z wolna wyciszała się. Usnęła. Zbudziło ją poszturchiwanie w ramię i głęboki męski głos.*

– *Mademoiselle! Mademoiselle!*

*Jakiś cień zasłonił jej słońce i wyrwał ze słodkiego, głębokiego snu. Niechętnie podniosła ciężkie powieki. Ze zdziwieniem ujrzała nad sobą wielką szopę kasztanowych włosów. Fryzura typu „Jimi Hendrix” z wolna kiwała się w lewą i prawą stronę. Ktoś się jej przyglądał. Usiadła. Spojrzała na stojącego nad nią mężczyznę. Był chyba w jej wieku. Miał barwną koszulę. Zapięty był w niej jedynie jeden guzik nad paskiem szerokich, wypłowiałych dzwonów. Ogromne, ciemne okulary dopełniały pełni obrazu hippisa. Uśmiech miał szeroki, urokliwy.*

– *Mademoiselle, est-ce que vous parlez français?* – zapytał.

*Klara zazwyczaj nie odpowiadała na żadne zaczepki mężczyzn, ale tym razem szczerze w głosie i urzekający uśmiech spowodowały, że postanowiła odpowiedzieć mężczyźnie, który z taką troską na twarzy patrzył na nią.*

– *Petitement!* – odpowiedziała więc, zgodnie z prawdą.

– *Mademoiselle? Madame?* – zapytał z ciekawością.

– *Madame!*

– *O!* – w głosie obcego usłyszała rozczerowanie.

– *Niedobrze, beaucoup de soleil!* – kontynuował. – *Vous dormir pas. Nie spać!* – poprawił się. – *Madame być malade!*

– *Ja nie śpię! A zresztą, co to pana do cholery obchodzi* – odpowiedziała ze złością. – *Paszoł won!* – dokończyła, ścisząc głos. Miała dość ciągle pouczających ją mężczyzn.

*Najpierw Wojtek, a później ten pacan. Każdy chłop wie najlepiej, czego mi potrzeba, co mi zaszkodzi, w czym najlepiej wyglądam.*

*Myśli jej były gniewne, tak jak ruchy, którymi zgarnęła sukienkę. Nerwowo wciągnęła ją na ramiona i plecy. Poczula na ramionach, dekolcie i twarzy, po której przesuwiał się materiał, żywy ogień. Syknęła. Utknęła w sukience z ramionami uniesionymi w górę.*

– *J'aiderai!* – odpowiedział „Hendriks”, chwytając za kolorowy materiał i delikatnie zsuwając go w dół.

*Klara poczuła się zażenowana, ale wdzięczna. Cały przód ciała piekł ją. Zdjęła z nadgarstka gumkę i związała niesforne włosy.*

– *Jean-François!* – przedstawił się mężczyzna, wyciągając do Klary wielką, pełną odcisków dłoń. Zauważyła, że czyste i zadbane paznokcie jakoś nie pasowały do grubej, zniszczonej skóry. Uścisk dłoni miał pewny i mocny, ale wyraźnie uważał, aby nie zmiażdżyć jej drobnych palców.

– *Klara!* – odpowiedziała mimo woli. – *Dziękuję! Merci!* – Odwróciła się i zaczęła iść w stronę domu.

– *Madame!* – *Jean-François* pobiegł za nią. – *Pardon, gdzie rue Sszrobrego.* – Nazwę ulicy wymówił z wielkim trudem.

– *Tam je dors w mój pensjonat.*

*Klara próbowała mu wytłumaczyć, którędy ma iść, ale niewielka znajomość języka francuskiego nie pozwalała na wytłumaczenie zawilej trasy. Rysunek planu miasta na piasku też nie ułatwił zadania. Zrezygnowana, wzięła mężczyznę za rękę i gestem pokazała, że go zaprowadzi. Szeroki uśmiech mężczyzny pozostał Klarze w pamięci długo po tym, jak rozstali się przed pensjonatem.*

*Letnia pogoda trwała dwa dni. Przyszły deszcze, a oni wrócili do Wrocławia. Dziewczynki zaczęły chodzić do przedszkola, Klara i Wojtek wrócili do pracy. Coś się wyraźnie zaczęło psuć pomiędzy nimi.*

### **Rok 1979, grudzień**

*Zbliżał się Sylwester. Znajomi namówili ich na zabawę w klubie oficerskim.*

*Klara z przyjemnością oglądała się w lustrze. Mama uszyła jej wyjątkowo ładną sukienkę.*

*Jak to dobrze, że udało mi się dostać ten kolorowy jedwab. Pełne koło spódnicy doskonale układa się na biodrach. Czerwień kwiatów ożywia czarne tło i dodaje mu lekkości – myślała Klara, oglądając się w dużym lustrze. Cieszyła się na to wyjście między ludzi. Nawet nie przypuszczała, że tak bardzo brakuje jej muzyki, tańca, atmosfery zabawy.*

*Ostatni raz zlustrowała swoją sylwetkę. Było dobrze! Sukienka podkreślała wąską talię, a tuszowała inne mankamenty urody. Makijaż i buty na wysokim obcasie dopełniły reszty. Wychodząc z pokoju, zobaczyła pełne uznania spojrzenie Wojtka i to jej wystarczyło, aby nabrała pewności siebie. Bawili się doskonale. Klara była rozchwytywana przez znajomych panów. Szalala na parkiecie. Wojtek zaczął obserwować, kto najczęściej prosi żonę do tańca. Stracił humor. Siedział przy stoliku i ostro popijał. Potem wstał i zaczął tańczyć z najładniejszymi i najmłodszymi kobietami.*

*Co ona sobie myśli! Jak może tak mnie traktować! Znalazła się lwica parkietu! To wszystko, aby mi zrobić na złość. Powinna siedzieć grzecznie przy stoliku i czekać, aż ją poproszę do tańca. Zachowuje się, jakby nie była zamężna. Ale już ja jej pokażę. Niech wie, kto w tym związku rządzi! – pomyślał ze złością i puścił swojej tanecznej partnerce perskie oko.*

*– I co, Zosiu, zaszalejemy? – zapytał. Potem mocno objął dziewczynę i czule przyciągnął do siebie. – Cudownie tańczysz. Mógłbym tak do końca świata. – Użył swojego najlepszego tekstu i z zanadrza wyciągnął najlepszy uśmiech, którym do czasu małżeństwa z Klarą czarował wszystkie znajome panny. Po paru pieprznych żarcikach Zosia zaczęła być pod urokiem wysokiego mężczyzny.*

*Po Zosi była Ania, a potem inne. Z każdą tańczył w czułych objęciach i przytrzymał ją blisko swojej szerokiej piersi, starając się tańczyć jak najbliżej Klary, a potem pędzili do baru na dwa szybkie drinki. Do północy było już*

*niedaleko, a wzrok Wojtka stawał się coraz bardziej mętny. Po przetańczonych kawalkach Klara nie zastawała męża przy stoliku. Wprawdzie nie siedziała sama, ale sytuacja stała się dla niej nieprzyjemna. Czuła się skrepowana, upokorzona.*

*– Gdzie się podziewałeś? Mógłbyś przynajmniej raz ze mną zatańczyć. Jest mi samej smutno – poskarżyła się, gdy w końcu przypomniał sobie o towarzysztwie i wrócił do stolika.*

*– Co za zmiana przekonań! Nagle zauważyłaś, że jestem obok ciebie? – wysyczał przez zęby. – Teraz ja się bawię! Do tej pory dawałaś sobie radę beze mnie, to i dalej sobie poradzisz – powiedział ze złością.*

*Orkiestra zaczęła grać, a Wojtek wstał i poprosił koleżankę. Inni panowie poprosili swoje żony. Klara została przy stoliku sama. Poczula się głupio. Nie miała co zrobić z rękami, więc zapaliła papierosa. Przy innych stolikach też opustoszało.*

*Gdzieniedzie siedziały leciwe panie, garstka kiwających się nad stolikami panów, ostro popijająca i tak samo ostro dyskutująca z kompanami, którzy starali się przekrzyczeć orkiestrę. Sytuacja taka powtórzyła się parokrotnie. Wprawdzie podchodzili do niej mężczyźni, aby poprosić do tańca, ale wszyscy byli już na tyle pijani, że ledwie trzymali się na nogach. Poczula się najbrzydszą kobietą na sali, porzuconą nawet przez własnego męża. A na jego twarzy zobaczyła drwiący uśmiech i satysfakcję. Parę minut przed północą, gdy nastrój jej spadł prawie do zera i poważnie myślała o powrocie do domu, do ich stolika podszedł jakiś mężczyzna. Twarz jego wydała się Klarze znajoma. Gdy dokładnie się mu przyglądnęła, od razu skojarzyła z chłopakiem z plaży. Wprawdzie burza włosów nie była tym razem tak rozcapierzona jak we wrześnieu, a nawet lekko okielznana, ale uśmiech miał równie sympatyczny. Ubrany w ciemny garnitur i dopasowany do niego krawat, który pod szyją był lekko rozluźniony, wydał się Klarze całkiem innym człowiekiem.*

*Był sympatyczny i przystojny. Tańczył doskonale i lekko. Nie był natarczywy. Uśmiechał się do Klary i patrzył na nią spod długich, ciemnych rzęs. Szeptał jej do ucha jakieś francuskie słowa. Ton jego głosu był czuły, uwodzący. Zrozumiała, że mówi do niej „mój mały polski kotku” i proponuje jej wypicie bruderszafta.*

*– Wypijmy bruderszaft, aby przypieczętować znajomość – powiedziała uśmiechnięta Klara. Nieznajomy oczarował ją i nie starczyło jej argumentów, aby odmówić. Ujęta za rękę, posłusznie poszła do baru za Jean-François.*

*Wspólnie przywitali nadejście nowego roku. Wojtek po północy nadal szalał na parkiecie. Celowo zapomniał o Klarze i życzeniach noworocznych.*

**Rok 1980**

*Od stycznia dni były szare. Grube chmury pokrywały niebo, nie przepuszczając ani drobinki słońca. Do pracy wychodzili w ciemnościach wstającego zimowego poranka, a wracali o zmroku. W biurowcu Klara siedziała przy sztucznym oświetleniu, wchodząc do mieszkania włączała lampy. Wydawało jej się, że ich obecne życie zalala wielka ilość szarej farby. Pływają sobie z Wojtkiem w ogromnym wiadrze i jak muchy w mazi, babrają się w różnych odcieniach szarości. Utknęli w tym zbiorniku i nie potrafią się wydostać, bo brzegi są zbyt wysokie i śliskie.*

*Idąc ulicą, widziała wartko płynącą rzekę szarych przechodniów, którzy ze smutnymi, bezosobowymi twarzami śpieszyli w sobie tylko znanym kierunku.*

*Jakby na ironię losu, w sklepie na Świdnickiej kupiła sobie szary płaszcz, ostatni krzyk mody. Miał duży kołnierz, rozkloszowane rękawy i taką samą linię główną. Pasował do szarych, tweedowych spodni i czarnego swetra. Pięknie kontrastował z jej ognistymi, długimi włosami i jasną cerą.*

*Jedyny kolorowy akcent w tej szarej brei! – pomyślała, oglądając się w wystawowej szybie, gdy przechodziła ulicą wśród zwałów brudnego, zbrylonego, starego śniegu. Widok miasta też jej dobrze nie nastrajał, jakby miasto upodobniło się do jej szarego, bezbarwnego życia.*

*Od Sylwestra była przygnębiona i niespokojna. Z Wojtkiem niewiele rozmawiała. Mąż utonął w stertach projektów. Deska kreślarska nie zniknęła z blatu biurka. Nadal był obrażony i nieprzyjemny. Zaczęła go unikać. Na niedziele wyjeżdżała do matki. Wychodziła z bliźniaczkami na spacer i długo snuła się po uliczkach rodzinnego miasta.*

*Gdy Wojtek nadal chodził chmurny po domu, czepiając się jej o każdy drobiazg, zaczęła tęsknić, za wesołym spojrzeniem Jean-Francois i radością, którą widziała w jego oczach.*

*Tego dnia miała w pracy wyjątkowy natłok zajęć. Szefowa miała muchy w nosie. Zestawienie kosztów nie zgadzało się. Pilnie szukała błędu, gdy Helenka podała jej słuchawkę.*

*– Ktoś do ciebie – powiedziała*

*– Słucham! – odpowiedziała ostro do słuchawki, zła, że ktoś znowu przerywa jej żmudną pracę.*

*– Madame Klara? – Męski głos w słuchawce był znajomy. Zadrżała.*

*– Tak. Słucham, z kim mam przyjemność? – powiedziała niepewnie, łagodząc ton.*

*– Jean-François. Jestem à Wrocław. Który czas rendez-vous? Gdzie?*

*Ucieszyła się, że może zobaczyć życzliwą osobę. Zaskoczyło ją, że potrafi powiedzieć parę słów po polsku. Wyteżyła pamięć i wysupłała z niej francuskie liczebniki. Podała godzinę i miejsce spotkania. Podeszła do Helenki.*

*– Kto to dzwoni do ciebie? Ma obcy akcent. Słyszałam, że się z nim*

*umówiłaś. A co z dziewczynkami? Gdy chcę umówić się z tobą na ploteczki, to zawsze mówisz, że popołudnia masz zajęte – powiedziała z pretensją w głosie Helenka.*

*– Pracuję dziś do siedemnastej, bo obiecałam szefowej skończyć sprawozdanie. Wojtek odbiera dziś córki z przedszkola. Zawiadomię go, że nie wrócę po pracy, więc możemy spotkać się na rynku gdzieś około osiemnastej. To mój stary znajomy. Już dwa razy przypadkiem się spotkaliśmy. Jest obcokrajowcem. Jakimś marynarzem albo dziennikarzem, czy coś w tym rodzaju. Trochę mu pomogłam, bo czuł się obco. Trochę rozmawiamy. Przeważnie na miği. W bryle rynku, pod arkadami jest taka mała knajpka grecka. Tam się z nim umówiłam o osiemnastej poinformowała koleżankę, bardzo podekscytowana przyszłym spotkaniem. Plątał jej się język, uciekały myśli. Raz czerwieniła się, za moment bladła.*

*– Wiem, gdzie to jest. Tylko nie zapędź się z nim za daleko! – Wyraźnie usłyszała w głosie Helenki zaskoczenie i coś na kształt zazdrości. Koleżanka, pomimo swoich czterdziestu lat, do tej pory nie potrafiła sobie nikogo znaleźć.*

*Klara nie mogła doczekać się końca pracy. Pożyczyła od Helenki piękną seledynową apaszkę, poprawiła makijaż i rozpuściła włosy.*

*Jak to dobrze, że je rano umyłam – pomyślała i pobiegła na spotkanie.*

*Lubiła tę niewielką knajpkę, zagubioną w labiryncie starych kamieniczek. Parę stolików, proste, dobre jedzenie, dyskretne oświetlenie i przytulną atmosferę, jaka panowała we wnętrzu. Gdy wchodziła, kafejkę wypełniała muzyka Eleni, a Jean-François siedział przy narożnym stoliku, wpatrując się w płomień świecy. Na blacie stolika leżała piękna purpurowa róża.*

*Gdy zobaczył Klarę, podniósł się z krzesła. To najbardziej w mężczyznach lubiła. Te nienaganne maniery. W jego towarzystwie czuła się jak prawdziwa dama.*

*– Jak się cieszę, że przyszłaś. Bałam się, że jednak w ostatniej chwili się wycofasz. Doceniam to. Pięknie wyglądasz – zdawały się mówić jego oczy, gdy podawał różę.*

*Uśmiechnęła się.*

*– A niby dlaczego nie miałabym spotkać się ze znajomym, który odwiedził Wrocław? – odpowiedziała mu w myślach. – Wojtek skończył projekt. I tak dzisiaj odbiera dziewczynki z przedszkola, więc może jeden wieczór spędzić z nimi. Zawsze to ja siedzę w domu, a on wychodzi. Niestety, nie możemy wychodzić razem, bo nie ma kto nam zostawać z Zuzią i Marcysią. Jedyne jest taka możliwość, gdy przyjeżdżamy do rodziców – usprawiedliwiła w myślach swoje nieracjonalne zachowanie.*

*– No to cieszę się, że dziś twoje wychodne. Dzięki temu mogę pobycć z najpiękniejszą wrocławianką – odpowiedziały jego oczy.*

– Co ty pijesz? – wydukały z wolna jego usta.

Pokazała mu na migi, że jest głodna. Zajrzeli do menu. Jean-François przejrzał jadłospis. Pokazała mu palcem pozycję, która wybrała. Mężczyzna wstał i podszedł do kelnerki. Powiedział jej coś po francusku. Kelnerka odpowiedziała równie czystą francuszczyzną. W jednej chwili Klara pozazdrościła kelnerce znajomości języka francuskiego. Miała wielką ochotę na rozmowę z tym dziwnym, urzekającym mężczyzną.

Klarze bardzo smakowało jedzenie. Wypiła dwie lampki czerwonego wytrawnego wina i świat stał się bardziej kolorowy. W toalecie popatrzyła na swoje uśmiechnięte oblicze i zdziwiła się. Patrzyła na nią młoda, śliczna, wesola dziewczyna. Gdzieś schowały się pierwsze zmarszczki, kąciki ust wyraźnie powędrowały w stronę czoła. Spojrzenie było promienne.

Stała w stronę Jean-François powłóczył, miękkie spojrzenia i patrzyła mu w oczy. Śmiała się i czarowała. Czowała się piękna. Myśli o bezwartościowej, szarej myszy gdzieś ulotniły się.

Od tego czasu Jean-François przynajmniej raz w tygodniu przyjeżdżał do Wrocławia. I te dni były dla Klary świętem. Czerpała siłę do codziennego życia. Odzyskała wiarę w siebie, wypiękniła. Wojtek podejrzanie przyglądał się żonie, ale i jemu udzielił się jej spokój i radość życia.

Przyszła spóźniona wiosna. Krzaki i drzewa zazieleniły się, w ogrodzie botanicznym zakwitły kolorowe kobierce kwiatów. Pomiędzy Wojtkiem i Klarą relacje się poprawiły. Wróciły cieplejsze gesty, bliskość. Nadal wychodzili z domu osobno. Gdy jedno pilnowało dzieci, drugie miało prawo cieszyć się wolnymi godzinami. Jednak teraz również bardzo często decydowali się, aby posiedzieć razem w domu albo wychodzili z dziewczynkami na wspólne spacer.

– Popatrz, kochana, jak długo jest jasno na dworze. – Wojtek stał przy oknie i patrzył na kwitnące na ulicy drzewa. – Aż żal mi świecić światło. Muszę zaciągnąć zasłony i pozamykać okna, bo w tym roku wyjątkowo wcześnie zaczęły latać komary. Nie znoszę, jak mi nad uchem świdruje bzyczenie.

– A ty myślisz, że ja uwielbiam to bzzzzz, jak sobie smacznie odchodzę w objęcia Morfeusza? – Klara przekornie przekręciła głowę i zaglądała Wojtkowi w oczy.

– Mam pomysł! Ja robię kolację, a ty myjesz pannice. Potem dziewczyny lulu, a my sobie zrobimy małe święto! – powiedział z entuzjazmem Wojtek.

– Doskonale. W lodówce są jajka, śmietana i biały serek. Wczoraj na targu kupiłam szczypior. Zrób kanapki z wiosenną pastą. Małe ją uwielbiają! – Klara zaraziła się entuzjazmem męża.

Zuzia i Marcysia tego dnia poszły do łóżek bez zbytniego marudzenia. Wybiegały się w parku i już przy kolacji prawie zasypiały nad talerzami. Gdy zamknęły się drzwi do pokoju dzieci, Klara narzuciła swoją kolorową chustkę na

lampę stojącą obok narożnika. Pokój od razu zmienił koloryt. Na ściany powychodziły kolorowe smugi. Zrobiło się bardzo przytulnie.

– Chodź do mnie, moja mała, kolorowa wróżko. Nos niebieski, a policzki żółte! To ci dopiero czary! – Pociągnął Klarę i posadził sobie na kolanach.

– Jak dobrze jest schować się w twoich ramionach przed całym światem! – wymruczała wtulona w ciepłą pierś męża.

– Szkoda, że tak mało mamy takich spokojnych chwil! – pomyślała z żalem

– Kochany! A może sprawilibyśmy sobie jeszcze jednego malucha? – zapytała następnego dnia przy śniadaniu. Zuzanna i Marcysia nastawiły uszu.

– Mamo, ale syrenka jest większa od malucha – powiedziała Zuzanna.

– Skarbie, nie podsluchuj rozmów dorosłych, bo ci uszy urosną i będziesz miała takie długie jak osiołek. – Klara wybuchła śmiechem, ale gdy popatrzyła na Wojtka, uśmiech zamarł na jej ustach.

– Mam nadzieję, że Zuzia pyta właśnie o tego malucha! O innym nawet nie myśl – powiedział szorstko, jakby nie było poprzedniego wieczora i gorącej, czulej nocy.

Klara już tęskniła za kolejnym dzieckiem. Namawiała Wojtka, ale od wielu miesięcy jego stanowisko było nieprzejednane.

Wojciech na tydzień wyjechał z dziewczynkami do swoich rodziców. O wyjeździe męża Klara dowiedziała się z kartki, którą pozostawił na kuchennym stole. Oprócz informacji o wyjeździe pozostawił jej parę uwag o tym, czego w niej nie lubi i czego ma dość. Po pierwsze – jej nadętej miny, po drugie – wiecznie skrzywionych ust, a po trzecie – despotycznej postawy. To i tak był w ich relacjach jakiś postęp, bo od tygodnia nie odzywali się do siebie. A w zasadzie to Wojciech ignorował jej obecność, jakby była powietrzem. I tak przeważnie się czuła.

Na początku wpadła w złość i chciała wypisać dzień urlopu, by pojechać za mężem i mu wygarnąć, co o tym wszystkim myśli. Później pomyślała, że może odległość jakoś im pomoże. Potęsknią, nabiorą dystansu. Coraz bardziej przerażało ją to ich kulejące małżeństwo, rozmijanie się w oczekiwaniach, celach. Już wiele razy doprowadzona przez męża do ostateczności, myślała o tym, aby wystąpić o rozwód i zacząć z córkami wszystko od nowa.

Z ciężkim sercem i bólem głowy położyła się na wersalce. Chciała usnąć, ale narastający ból głowy na to nie pozwalał. Wstała i wzięła dwie tabletki z krzyżykiem. Podeszła do kuchennego okna i obserwowała przechodniów. Nagle na przeciwległym chodniku zauważyła znajomą sylwetkę Jean-François. Stał pod jej domem i rozmawiał z jakimś mężczyzną. Nie była do końca pewna, że to był właśnie on, jednak poczuła się dziwnie podekscytowana. Aby się mu lepiej



przyjrzeć, wychyliła się z okna. Nagle zobaczyła, że dostrzegł ją i zastygł w bezruchu. Popatrzył w jej stronę z niedowierzaniem, a zarazem ogromną radością. Szybko zakończył rozmowę i przeszedł przez jezdnię, pod jej dom. Klara, jakby sterowana przez jakieś niewidzialne urządzenie, zarzuciła sobie na ramiona prochowiec, na nogi nałożyła buty i wzięwszy do rąk torebkę oraz klucze, zeszła do niego.

Stał pod drzwiami klatki schodowej, jakby nie potrafił zdecydować się, czy powinien wejść. Gdy w uchylonych drzwiach dostrzegł Klarę, bez słowa chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Szli obok siebie. Milczeli. Klara czuła ciepło twardych i drżących dłoni, ściskających jej palce. Nie protestowała, gdy doprowadził ją do przystanku tramwajowego. Nie protestowała, gdy ramię w ramię jechali w stronę hotelu Wrocław. Po wyjściu z tramwaju poczuła słodki, duszący zapach kwiatów akacji.

„Białe akacje tchną wonią opilą...” – przypomniała sobie słowa wiersza i pomyślała, że tak musi pachnieć namiętność...

Popatrzyła w górę i dostrzegła, że okolice hotelu porośnięte są dużą ilością tych drzew, które właśnie zaczęły kwitnienie. Pod hotelem Jean-François kupił całe pudło malutkich, słodkich babeczek. Wjechali na górę. Mały, czysty pokój zapewniał anonimowość. Przez uchylone okno do wnętrza sączył się słodki, urzekający zapach. Poczula, że czas cofa się i wiruje.

Była kimś zupełnie innym. Znikło gdzieś parę lat życia. Czowała się młodą, piękną, wolną kobietą. W oczach Jean-François widziała podziw i zauroczenie. Chłonęła czar chwili, jak gąbka. Jak pustynia każdą kroplę wilgoci. Ten mężczyzna był lekiem na ostatnie smutne lata, na chwile osamotnienia, rozczarowania, bólu i upokorzenia.

Nie bronila się przed falą podniecenia, które pochłonęło ją. Na wargach poczuła ciepło męskich, zaborczych warg. Były delikatne, niepewne, a zarazem pełne pragnienia. Czułe ruchy dłoni Jean-François poprowadziły ją w nieznaną rzeczywistość. Nie przypuszczała, że tak mocno może reagować jej ciało. Odkrywała je na nowo. Przestała myśleć. Drżała i podążała za swoimi odczuciami, zatracając się bez reszty w pieśczętach. Tonęła i odradzała się.

Lato dawało znak, że niedługo zagości na dobre. Dnie były coraz bardziej słoneczne i gorące. Pewnego dnia Klara poprosiła Helenkę, aby zaopiekowała się jej córkami, a sama postanowiła porozmawiać z mężem w pastelowej atmosferze kwitnącego ogrodu botanicznego. Chodzili alejkami, ciesząc się piękną pogodą. Przsiedli na ławeczce pod rozłożystym drzewem obsypanym zielonymi, drobnymi listkami i mnóstwem blad różowych kwiatów.

– *Chciałam ci coś powiedzieć – odezwała się nieśmiało Klara.*  
– *No, to wal śmiało. – Wojtek miał wyjątkowo dobry humor.*  
– *Ale przyrzeknij, że nie będziesz się gniewać – poprosiła męża.*  
– *No, wydukaj, co masz do powiedzenia. Przyrzekam, że nie będę się złościł.*  
– *Jestem w ciąży – powiedziała cicho.*  
– *No, to mamy problem. Po co nam dziecko. Mamy już dzieci. Ja więcej nie chcę. – Mężczyźnie momentalnie zwarzył się humor. Popatrzył na Klarę złym wzrokiem. – Ty wiesz, jak popsuć człowiekowi dzień. Nie mogłaś poczekać do domu. Musiałaś właśnie tutaj palnąć, aby miało lepszy efekt! Efekiara! – wyszczał. – Już mi się odechciało spaceru. Możemy wracać do domu. Mam nadzieję, że coś z tym zrobisz. Boże, jaka z ciebie głupia baba. Jakbyś nie była światłą panią magister, a prostą babą ze wsi. Nawet dobrze zabezpieczyć się nie potrafisz. Przecież tyle razy mówiliśmy, że na Zuzannie i Marcelinie koniec. Nie ma żadnych innych dzieci, bo nas na to nie stać. Ja już nie mam ochoty na pieluchy, kupki i zupki. Świat nie kończy się na bachorach. Człowiek nie żyje tylko po to, aby się rozmnażać i znosić do gniazda pokarm dla rozdziawionych dziobów. Ja chcę coś mieć z tego życia. Coś chciałbym zobaczyć, coś przeżyć, a ty mi tu wyjeżdżasz ze swoim „jestem w ciąży”. To sobie bądź, ale beze mnie! – Odwrócił się na pięcie i odszedł.*

*Klara długo zanosila się płaczem. Całe szczęście, że siedziała w oddalonej części ogrodu i bez świadków mogła się wyplakać. Wyszła przed zamknięciem ogrodu. Wydawało jej się, że na drewnianej ławeczce zakończyła kolejny etap życia. Ostre słowa męża jak gruba kreska oddzieliły pewien okres. Mimo wielu zmartwień nie najgorszy. Co będzie dalej? Jak teraz będzie mogła żyć? Po tych ostrych słowach nagle poczuła się starsza o wiele lat. Postanowiła utrzymać ciążę. Z Wojtkiem lub bez niego. Na dodatek czuła się winna. Nie była pewna, czy to jest dziecko Wojciecha. Z Jean-François już dawno się nie widziała.*

*Klara nie potrafiła siebie zrozumieć. I ciągle zadawała sobie pytanie, dlaczego po najczulszej i najwspanialszej w jej życiu nocy zaczęła unikać tego wspaniałego mężczyzny. Pamiętała, ile w jego głosie usłyszała miłości, i dziwiła się, że ona czuła tylko złość i rozczarowanie, że nie usłyszała tego od Wojtka. Rankiem poczuła się jak kobieta lekkich obyczajów i pomyślała, że tak łatwo jest sprzeniewierzyć się sobie i złamać jednym czynem swoje życiowe zasady. Wojtek intuicyjnie wyczuwał w niej taką kobietę. Widocznie nie zasługuje na nic innego, jak na wzgardę, którą często karmił ją mąż.*

*Jean-François nie potrafił zrozumieć postawy Klary. Codziennie dzwonił do niej, prosząc o spotkanie. Początkowo nie odbierała od niego telefonów, ale w końcu postanowiła sprawę zakończyć. Gdy po miesiącu zadzwonił do pracy, niechętnie zgodziła się na spotkanie. Spotkali się w greckiej knajpce, tam gdzie za pierwszym razem.*

– Koniec z naszymi spotkaniami! Nous finissons le rendez-vous! – powiedziała na wstępie Klara, chcąc od razu urwać dalszą znajomość. Przemysłała sobie to bardzo dokładnie. Nie chce nikogo dalej krzywdzić. W głębi duszy kocha jedynie Wojtka. Jean-François Bóg postawił na drodze, aby nabrała siły do walki o siebie, o swój związek, aby mogła twardo stanąć na własnych nogach.

– Pourquoi? – Jean-François był zdziwiony i zmartwiony.

– Widzisz, nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Rozminęliśmy się. Ja mam rodzinę, przechodzimy kryzys, a nie chciałabym być nielojalna. To okres, gdy zbyt łatwo mogłabym z różnego powodu zbłądzić. Dzięki tobie odzyskałam wiarę w swoją kobiecość. I będę ci za to wdzięczna do końca świata, ale nie mogę cię oszukiwać. Nie ciebie kocham. Mam jednak dla ciebie dużo przyjacielskich uczuć. Nie możesz sobie dla mnie niszczyć życia. Nie pozwolę na to. Więc żegnaj! mówiła szybko po polsku i widziała w oczach mężczyzny najpierw kompletne niezrozumienie, a później coraz bardziej widoczny strach.

– Je t'aime! – powiedział cicho.

Przeraziła się tego słowa. Przeraziła się szczerości w głosie zmartwionego mężczyzny. Bez słowa wstała z krzesła, po drodze chwyciła swoje okrycie i nie zapinając prochowca, uciekła. Zdruzgotany Jean-François długo jeszcze siedział przy pustym stoliku, patrząc na kółka dymu, unoszące się z porzuconego w popielniczkę papierosa.

Klara biegła do domu, czując ciężar cierpienia Jean-François i wielkie wyrzuty sumienia.

Jestem straszną idiotką – pomyślała. – Zrezygnowałam z mężczyzny, który traktował mnie jak księżniczkę i zamiatał pył spod nóg. A zostałam z facetem o duszy księgowego, z sercem jak portfel.

Gizela zamknęła pamiętnik. Trudno było jej powiedzieć, co czuła. Z pewnością ciekawość, ale i przerażenie, wzruszenie, złość, miłość, wstyd... a może wszystkie możliwe emocje?

Ze złością odrzuciła zeszyt od siebie, ale za moment nie wytrzymała i z powrotem go otworzyła. Ciągnął, jak grzech. Niecierpliwie otworzyła kolejne zapiski Klary. Rozczarowała się. Dotyczyły całkiem innego okresu życia. Ten okres też doskonale pamiętała. Przede wszystkim swój lęk, wizyty w szpitalu oraz Wojciecha, który w ogóle nie radził sobie ze swoimi emocjami. Na nią oraz siostry wylewał ukryty za kurtyną złości strach o życie Klary.

**Zapiski, luty 2002 r.**

*Nie chcę tego, ale ciągle wracam myślami do dziwnego czasu sprzed i po operacji. Bardzo dziwię się sobie, że odnalazłam w środku Klary jakąś inną, bardzo dojrzałą i godną kobietę. Myślę, że chyba zawsze była we mnie, ale nic nie wiedziałam o jej istnieniu. Ujawniła się dopiero w tym wyjątkowo trudnym momencie.*

*Poznałam ją wtedy, gdy dotarła do mnie prawda o ogromnym, nieproszonym gościu, który rezyduje w moim brzuchu. Ordynator był przekonany, że to rak. Ja zresztą też. Byłam zaskoczona, zdezorientowana, przestraszona. Wiedziałam, że muszę podpisać zgodę na operację, bo nie mam innego wyjścia. Muszę czekać, aż zrobią wszystkie badania i przygotują mnie do radykalnej bitwy z bestią, która starała się mnie pożreć od środka. I wtedy z nieuczęszczanego kąta mojej świadomości wyłoniła się ta kobieta. Popatrzyła na mnie i powiedziała:*

*– Tak. Musisz podpisać zgodę. Ja wiem, że decyzja jest trudna, bo możesz nie obudzić się z narkozy, nie przeżyć operacji, ale jakie masz wyjście? Albo ty zabijesz bestię, albo ona pożre ciebie, a zanim pożre, będziesz cierpieła tak, jak w niedzielę. Nic innego ci nie zostało, jak z godnością przeżyć do chwili operacji. Co ci da użalanie się nad sobą? Stracisz tylko resztę swojej godności. Staraj się być ponad to. Przecież i tak jesteś śmiertelna. Wcześniej czy później musisz zamknąć drzwi życia i otworzyć te, które powiodą cię do nieskończoności.*

*– Ale co z moim strachem przed śmiercią. Przeraza mnie niewiadoma. Nie wiem, jak to jest umierać. Boję się nawet o tym myśleć. I mam w sobie żal za wszystkim, co w moim życiu kocham najbardziej. Po prostu nie chcę zostawiać życia. Zbyt mocno je kocham – mówiłam.*

*– A przypomnij sobie chwile, gdy nie chciałaś żyć! Wtedy dobrowolnie sama chciałaś poddać się śmierci. Wtedy nie miałaś dylematów. A teraz to nie ty decydujesz. Ty tylko dostajesz szansę na dalsze życie. Podpisując zgodę, zgadzasz się na nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. I tylko tyle. Reszta jest w rękach opatrności.*

*– Masz rację. Jesteś bardzo mądrą kobietą. Tylko powiedz mi, co mam zrobić ze strachem, który mnie nie chce opuścić? Nie daje mi jeść, nie daje mi spać!*

*– Po prostu zaprzyjaźnij się z nim. Jesteś człowiekiem, dlatego się boisz. Napisz o nim, staraj się go oswoić. Jak go dobrze poznasz, to nie będzie tak straszny.*

*Nie miałam innej opcji. Postępowałam Mądrej, którą od lat ukrywałam i nie miałam o niej pojęcia. Do operacji oswajałam strach i pielęgnowałam godność.*

Samochód zatrzymał się. Gizela otworzyła oczy. Obraz rozmył się,

wspomnienia odleciały. Nawet zdziwienie, które poczuła, odkrywając wielką tajemnicę i przenosząc się w świat młodości Wojtka i Klary. Tak trudno było jej postaciom z pamiętnika nadać kształty i twarze swoich rodziców. Jakby matka opowiadała historię innych zakochanych.

## Rozdział II

### Ruette

Wioska była dobrze oświetlona. Stare jednopiętrowe domy, przytulone bokami do siebie, stały przy szerokich ulicach. Większość z nich była biała. Pozostałe miały pastelowe barwy. Drzwi i okiennice były kolorowe. Przeważał kolor granatowy i niebieski, ale również pojawiał się zielony. Jedyne część stolarki w kolorycie podobna była do tej, która spotykana jest w Polsce. Zdarzały się też domy, gdzie właściciele odważyli się na czerwone okiennice. Ogromna część domów była wyjątkowo stara. Te przeważnie zrobione były z jasnego kamienia. Grubość murów widoczna była przy framugach drzwi, które wydawały się zapadnięte w grube, kamienne wnętrza. Czasem otoczone były potrójnymi odrzwiami.

Gizelę zaskoczyła ogromna ilość kwiatów, które rosły wszędzie: w doniczkach na parapetach okien, na klombach przed domami i nawet na środku skrzyżowania. W większości okien widać było zapalone światła. Domownicy prowadzili za nimi swoje życie, nie troszcząc się o to, że zza koronkowych firanek widać wszystko jak na dłoni.

– Istny teatr cieni! – powiedziała do siebie półgłosem. Mężczyzna, który w tym momencie wyciągał z bagażnika jej walizkę, popatrzył uważnie na dziewczynę i zapytał:

– Qu'est-ce que c'est?

Nie odpowiedziała, bo nie wiedziała jak. Tylko rozłożyła ręce. I zrobiła przepaszający grymas twarzy. W tym momencie zza granatowych drzwi usłyszała jakieś odgłosy, a po paru sekundach jedno skrzydło uchyliło się, wypuszczając na ścieżkę jasną smugę światła i ciemny cień kobiety.

– Zapraszam do domu – usłyszała niezbyt czysto po polsku wymówione słowa. – Jestem twoja babka Nina! To ja wysłała do ciebie list, aby ty przyjechała do Ruette.

– Merci, François! – zwróciła się do mężczyzny. – Au revoir!

François wniósł do mieszkania bagaże i pożegnał się ze starą kobietą. Gizela weszła do domu i z uwagą rozejrzała się po małym kwadratowym holu, w którym stała zabytkowa garderoba. Wisiały na niej jakieś nakrycia, parasolki, a na półce znajdującej się nad dużym, podłużnym lustrem leżały damskie i męskie kapelusze. Z lewej strony holu było przejście do stołowego pokoju. Tak go od razu nazwała, widząc ogromne, wyściełane ciemnozielonym, miękkim materiałem dębowe meble. Na przeciwległej ścianie królował ogromny, rzeźbiony kredens. Na ścianie pokoju wisiały dwa porcelanowe, staromodne talerze oraz wielki zegar z kolumnkami i kukułką.

– No wejdz dalej, *l'enfant!* Niech ci się przyglądam. – Stara kobieta

popatrzyła na Gizelę z dużą uwagą. – Ty bardzo podobna do swej matki – stwierdziła. – Ja widziała jej zdjęcie u mojego syna.

Dziewczyna obserwowała kobietę. Była to dosyć wysoka, szczupła staruszka. Miała starannie obcięte, srebrne, gęste włosy. Nad czołem ułożona była staromodna fala, spięta z boku dwoma ciemnymi spinkami. W jej uszach zauważyła dwa małe złote kolczyki z czarnymi oczkami. Na szyi wisiał delikatny złoty łańcuszek z medalionem. Na ciemnym tle medalionu widniał złoty motyl. Na białej bluzce miała niebieską, ręcznie robioną, ażurową kamizelkę. Niemodna szara spódnica, ozdobiona z przodu kontrafałdą, dopełniała reszty. Twarz kobiety była pomarszczona. Niebieskie oczy, niewielkie, ale bystre, okolone promieniście rozchodzącymi się, głębokimi zmarszczkami, które przy uśmiechu jeszcze bardziej pogłębiały się. Wąska linijka ust uniesiona była ku górze. Poprzeczne zmarszczki, od ciągłego zwijania ust podczas wymowy francuskich słów, nadawały im wyraz zatroskania.

Gizeli od razu kobieta wydała się sympatyczna.

– Czujesz głód? – zapytała staruszka, wchodząc do drugiego, mniejszego pomieszczenia. Było ono drugą częścią holu, ale również małą, codzienną jadalnią. Na środku stał stół i cztery krzesła. Przy niskim oknie, z którego widać było oszkloną werandę, rezydował głęboki skórzany fotel. Drugi umieszczony był naprzeciwko, pod stojącym dużym zegarem.

Na ścianach jadalni wisiały liczne fotografie dzieci w strojach sprzed wielu lat.

Gizela usiadła w fotelu, z uwagą obserwowała pomieszczenie. Przy ścianach stały staromodne meble. Królował duży, biały kredens z kolorowymi szybkami oraz pasująca do niego niewysoka komódka.

Stara kobieta krzątała się, wyciągając z wnętrza kredensu jakieś porcelanowe kubeczki i małe, kolorowe deseczki do krojenia. Ułożyła je na stole, pokrytym ceratowym obrusem. Obok położyła widelce i ostro zakończone nożyki.

– Z diner czekała ja na ciebie. Czuję głód. My teraz dziesięć minut rozmowa i dormir. Jutro też jour. Mamy dużo czas. O ważna sprawa nie mówi się szybko – powiedziała, wychodząc jednocześnie do niewielkiej kuchenki. Poprzez uchylone drzwi Gizela widziała piec gazowy, na którym stał wielki aluminiowy czajnik. Wydobywały się z niego kłęby pary. Obok kuchenki stała lodówka. Babka, bo tak w myślach od razu nazwała ją Gizela, wyciągnęła z lodówki plastry szynki, kawałki sera, masło. Postawiła wszystko na stole.

– Niech Gisèle mange! Pusty brzuch to tylko utrapienie. Jak kiszki marsza grają, to nie ma spania – powiedziała. – Ty musisz dużo manger, by mieć for siła do poznania wszystka rodzina. Ty pewno fatiguée. Jak człowiek mocno zmęczony, głodny, to i myśli noires. Ja bardzo źle parle po polsku. Tyle lat już nie mówiła. Od końca wojny. Kiedyś była tu taka pani, co miała swój sklep. Ona też była Polka. To

ja trochę z nią rozmawiała. A potem umarł jej mąż, to ona zamknęła sklep i wyjechała do rodzina mąż do Paris. I potem ja nie miała z kim parle. Ja uczyła swoje dzieci parę słów po polska, to one się tylko śmiechały. Twój grand papa, co ja mówię, to przecież dziadek, a więc twój dziadek Michael, to on był dobra mężczyzna. On mówił mi, abym choć trochę słowa nauczyła, ale sam nie znał po polska. Kiedy Jean-François wrócił z Polska, to on dużo chciał brać nauka. Ale to był inny czas... A potem to już nie chciał. No, stało się, jak stało. Napij się jeszcze i do la chambre!

Najedzona, szła za babką Niną po wąskich, kamiennych schodach. Na piętrze było troje drzwi.

– Ta la chambre to moja. – Nina wskazała pokój po prawej stronie. – To salle de bains, jak to się mówi po polska? No, nie pomagaj, ja sama! Muszę wytrzepać pamięć! A, tu klozet i duża balia z woda, to jest... łazienka. – Z trudem przypomniała sobie zapomniane słowo. – A tu twój sypialny – powiedziała, uchylając drzwi do pokoju po lewej stronie.

Gizela leżała już w łóżku. Chociaż bardzo zmęczona, nie potrafiła zasnąć. Zbyt wiele wrażeń podniosło jej poziom adrenaliny we krwi, odbierając sen. Mała nocna lampka rzucała ciepłe, pomarańczowe światło na deski drewnianej podłogi. Wyławiała z nocnego mroku sylwetki drewnianych, starych mebli. Obok okna stał wiklinowy fotel bujany. Pod sąsiednią ścianą rezydowała stara rzeźbiona toaletka, na której umieszczona była wielka porcelanowa miska z dzbankiem na wodę. Rysunek na misie był delikatny, ciemnozielony, przedstawiał jakieś sceny z życia pasterki. Lustro toaletki umieszczone było w rzeźbionej, ażurowej ramie. Bokami było lekko zaśniedziałe. Łóżko stare, z niewielkimi kolumnkami, pamiętało chyba dziewiętnasty wiek. Stożące obok dwie szafki nocne idealnie pasowały do sylwetki łóżka i toaletki. Stały na toczonych nóżkach. Drzwiczki miały rzeźbione, a blaty marmurowe. Ciężkie miodowe zasłonki zawieszane na starej, mosiężnej rurce, zakończonej wielkimi kulami, powiewały przy każdym większym podmuchu wiatru. Na szybkach okna widniały koronkowe, ręcznie robione niciane firaneczki. Na jednej z nich dziewczynka dzierżyła koszyczek z kwiatkami, a na drugiej chłopczyk niośł wiaderko, z którego wystawał ogon ryby. Pokój miał zapach lawendy i suszonych owoców. Saszetki z lawendą umieszczone były w wielu miejscach. W każdej szufladzie, na każdej szafce, a nawet w małej alabastrowej miseczce stojącej na niewielkiej komódce. W drugiej, trochę większej, leżały przeróżne suszone owoce, pomieszane z płatkami róż. Nie mogąc zasnąć, po godzinie Gizela wstała z łóżka, pogrzebała w bagażach i wyciągnęła z nich pamiętnik matki.

*Pamiętnik Klary, rok 1980*



*Klara bardzo źle znosiła początki ciąży. Była ciągle zmęczona. Cokolwiek zjadła, zwracała w dwójnasób, i to niezależnie od pory dnia. Czowała, jak rosnąca w niej istotka, tak niechciana przez Wojciecha, broni się przed przekształceniem się z zarodka w niemowlę. Jakby miała pretensję do Klary, że wbrew wszystkiemu powołała ją do życia w świecie, gdzie jej nie chcą. Nocami znowu miewała koszmary. We dnie czuła bóle pleców, piersi i brzucha.*

*Z Wojtkiem zamieniali tylko niezbędne uwagi dotyczące funkcjonowania ich rodziny. Żadnych cieplejszych słów, jakiegokolwiek bliższego zainteresowania drugą osobą. Mąż Klary znikał na całe dni w pracowni projektowej. Funkcjonowanie domu i dziewczynek pozostawił na głowie kobiety. Było to bardzo męczące. Sklepy świeciły pustkami. Zdobywanie najprostszego produktu żywnościowego graniczyło z cudem. Pod każdym ze sklepów stały gigantyczne kolejki. Klara zaczęła obawiać się o to, czy w ogóle przetrwają. Wpadła w stan permanentnego lęku. W końcu zmusiła Wojtkę, aby włączył się w proces zdobywania żywności przynajmniej dwa razy w tygodniu. Gdyby nie zdarzenie pod jednym ze sklepów, gdzie ludzie jej o mało nie stratowali, nie zgodziłby się, bowiem starał się nie ułatwiać Klarze życia.*

*– Wiesz – mówiła Klara do Helenki – wczoraj pod Feniksem o mało nie stałam się ofiarą sytuacji gospodarczej. Rzucili więcej towaru, a ludzie powariowali. Pędzili na oślep. Jestem teraz taka słaba i niezdarna. Przewróciłam się i podciąłam nogi kobiecie za mną. Na nią upadli inni, a ja byłam pod spodem i straciłam oddech. Całe szczęście, że podjechała karetka. Podali mi tlen i odwieźli do domu. Dopiero wtedy Wojtek zmiękł. Oświadczył, że po mięso i wędliny on będzie chodził. Łaskawca!*

*– Potrafię cię zrozumieć, bo mojego starego też nic nie rusza. Ale u mnie po towar stoją moje chłopaki. Takie sprytnie, że czasem i parę kolejek obskoczą. Potem mamy co wymieniać na inne artykuły. Kochana, widzę jednak, że nadal źle wyglądasz. Jak śmierć na chorągwi. Może zadzwonię po starego, aby cię odwiózł do domu. – Helenka patrzyła na Klarę z prawdziwym niepokojem.*

*– No coś ty! Kartki masz dodatkowe na benzynę, czy co? Wojtek samochodem jeździ tylko od święta. Zresztą sama wiesz, jak funkcjonują stacje benzynowe. Tylko jak masz znajomości, to masz paliwo. Co to będzie? Ani pieluch, ani wózków! – Klara naprawdę była zmartwiona.*

*– Czy tu ktoś mówił o wózkach? – Do pokoju głowę wsadziła księgowa Alicja. – Ja właśnie do ciebie, Klaro. Moja znajoma z AGD mówiła, że dziś po południu rzucą enerdowskie wózki. Takie wysokie, na dużych kółkach. Wprawdzie nie są tanie, ale też nie są to nasze rzemieślnicze koszmarki. Wiesz, gdzie jest ten sklep w okolicy rynku? Tam, gdzie ostatnio spotkałyśmy się, jak szłaś z takim kosmatym przystojniakiem.*

*– Ala, no coś ty, kupno wózka przed porodem przynosi pecha! –*

zaprotestowała Helenka.

– Teraz nie ma: pech, nie pech! Teraz jest zdobycie niezbędnego minimum – zaśmiała się Ala i wychodząc z pokoju, uśmiechnęła się do Klary.

– Dzięki. Masz rację. Zwolnię się z pracy i gnam do kolejki – odrzekła Klara i wyszła do kadr, wypisać przepustkę.

Wojtek tego dnia wrócił z pracy wcześniej. Po drodze odebrał dziewczynki, bo Klara dzwoniła, że coś jej wypadło i nie może być w przedszkolu o normalnym czasie. Z początku nie miał ochoty na pomoc, bo czuł do żony straszny żal. Potem jednak uznał, że w końcu nic mu się nie stanie, jeśli posiedzi z dziewczynkami w domu. Małe są spokojne. Potrafią się niezłe sobą zająć. On poczyta książkę.

Książka była nudna i przysnęła. Zbudził go dzwonek telefonu.

– Czy pan Jasiński? – Głos w słuchawce był oschły i urzędowy.

– Tak, a o co chodzi?

– Dzwonię ze szpitala na Brochowie. Przywieźli do nas ciężarną Klarę Jasińską. Leży na ginekologii.

Wojtek nie słuchał dalej. Rzucił słuchawkę. Za chwilę stuknął do drzwi sąsiadki.

– Pani Wiesiu, czy zostałaby pani z dziewczynkami? Muszę jechać do szpitala. Coś się stało Klarze.

Gdy Wojciech dojechał do szpitala, Klara już była po transfuzji. Spała.

– Na szczęście udało się uratować ciążę. Krwotok wprawdzie był duży, ale po obłożeniu pacjentki lodem i założeniu szwów na szyjce jakoś udało się nam wszystko wyciszyć, mimo iż nastąpiły bóle porodowe – powiedział mu dyżurny lekarz. – Przyjdzie pan do żony jutro. Teraz jest wyczerpana i śpi. Jeszcze nie jest całkiem dobrze i musimy nadal stosować okłady z lodu. Powinna też dostać trochę krwi. Mam nadzieję, że zostanie pan honorowym dawcą. Przysłuży się pan żonie. Proszę zgłosić się jutro przed ósmą do naszego laboratorium.

Nie sprzeciwiał się. Posłusznie poszedł do domu. Następnego dnia był w szpitalu dniem odwiedzin. Wojtek przyszedł pod koniec wyznaczonego czasu, aby zbyt długo nie rozmawiać. Aby Klara nie miała czasu na wyrzuty. On czuł się fatalnie. Ciężko na nim brzemień winy, jakby chciał dokonać aborcji.

Prawie tak było! – pomyślał. Zbyt dobrze pamiętał swoje ostre słowa, reakcję na wiadomość o ciąży, swój gniew i upór. Konsekwencję w uprzykrzaniu Klarze życia.

– Gdybym tak mógł cofnąć czas... Przecież nie chciałem tego. Ale też nie chciałem tego dziecka! – Trudno mu było przyznać się nawet przed sobą do okrucieństwa.

Klara leżała w dwuosobowym pokoju. Drugie łóżko było puste. Gdy wszedł, nie zareagowała. Patrzyła tępo na przeciwległą ścianę. Usiadł na krześle i zapytał:

– Jak się czujesz?

– A jak powinnam się czuć? – odpowiedziała pytaniem, ale obojętny wyraz twarzy nie zmienił się. Cierpiała. Nie miała ochoty na opowiadanie o ogromnym bólu fizycznym, o krwotoku, który ledwie zahamowali lekarze lekami i całonocnymi okładami z lodu.

Nigdy nie podzielę się z Wojtkiem swoim bólem. Bólem fizycznym i bólem matki, której mogło umrzeć dziecko – postanowiła. Tak go pragnę i czekam na nie.

Wojtek bez słowa wyszedł z pokoju, zostawiając żonę z bólem na twarzy i zaciśniętymi ustami. Zszedł do szpitalnej kaplicy i tam wpatrzony w krucyfiks, prosił Boga o szczęśliwy finał. Przyrzekł, że zrobi wszystko, aby Klara szczęśliwie urodziła. I pokocha to dziecko najbardziej, jak tylko będzie umiał, ale niech Bóg mu nie odbiera żony.

Klara pozostała w szpitalu przez najbliższe pięć dni. Gdy wróciła do domu, napadły na nią Zuzia i Marcysia. Objęły małymi, lepkimi rączkami, bo właśnie przed chwilą jadły chleb z marmoladą, którą odstąpiła Wojtkowi pani Wiesia. Powoli zaczęła odzyskiwać sens życia. Przecież była matką.

Przez kolejne miesiące ból w sercu zapełniała praniem, prasowaniem, gotowaniem. Nic więcej poza tymi prostymi czynnościami i światem córek jej nie obchodziło. Nie zareagowała na falę strajków, która przetoczyła się przez kraj, na masowe wstępowanie w szeregi „Solidarności”. Gdy kierownik kadr zaproponował jej, aby też wpisała się na listę, wzruszyła ramionami.

– Mam w nosie kolejny owczy pęd. Wkurza mnie to, że nagle wszyscy rzucają czerwonymi legitymacjami, bo „partia jest be”. Nie jestem w stanie uwierzyć, że wszyscy przeszli metamorfozę i wybielili się. A najgłośniej krzyczą ci, co w pierwszych szeregach w pochodzie pierwszomajowym nosili transparenty – powiedziała, kpiąco patrząc w oczy Mięsińskiego. Pamiętała, jak parę miesięcy wcześniej dostała od dyrekcji upomnienie, bo spóźniła się na pierwszomajowy pochód. Właśnie Mięsiński sprawdzał listę obecności i skrupulatnie odnotowywał wszystkich, którzy nie przyszli albo się spóźnili. Pamiętała też, jak „sprawa ręka dyrektora”, należąca do egzekutywy zakładowego oddziału PZPR-u, skrzętnie donosiła szefowi o, jego zdaniem, wrogiej postawie ideowej wielu pracowników. Wskazywał palcem tych, z którymi wcześniej starał się zaprzyjaźnić, „opierając sprawę o bufet”.

Zwykła świnią, nie będzie mnie tu agitować! – pomyślała z odrazą.

– Nie, to nie. Za miesiąc będzie za późno i nawet jak będzie pani chciała, to nie przyjmą do „Solidarności”. A to może być niebezpieczne. Jak to mówią, „kto nie z nami, ten przeciw nam”. Będziemy czyścić kraj!

– O, widzę, że jest pani u siebie! – powiedziała młoda radczyni prawna Justyna Olchowska, mijając się w drzwiach z Mięsińskim, który jak niepyszny opuszczał biuro. – Te cholerne czerwone pająki teraz snują sieci w Solidarności – dodała, gdy za personalnym zamknęły się drzwi. – Słyszałam, że namawiał panią

*na zapisanie się do związku. Ja już należę, ale gdybym wiedziała, że teraz każdy jest „przeciw”, nawet ten, co był „pro”, to chyba darowałabym sobie. Jednak mimo wszystko to niesamowite, jaką potęgą dysponuje naród. Mówię pani, to się nie może dobrze skończyć dla tej czerwonej zarazy, co nas oblaźła. Ale co ja tak „pani i pani”. Znowu nie taka duża między nami różnica wieku. Te pięć latek w te czy we w te, to nie ma znaczenia. – Uśmiechnęła się do Klary i podała jej rękę.*

*– Justyna, a dla przyjaciół Justysia.*

*– Klara. Nie mam zdrobnienia. Paskudne imię wymyśliła dla mnie rodzinka. Jak ze sztuki Fredry. Nie da się zdrobnić, bo brzmi idiotycznie. Wyobrażasz sobie, że w dzieciństwie mówili do mnie Klarcia, Klarunia? A ja nazwałam siebie Kunia i do tej pory czasem słyszę od byłych koleżanek z piaskownicy, że tak mnie nazywają. Idiotycznie! Dlatego nie lubię zdrobnień.*

*– Dobrze, dla mnie będziesz Klarą, bo bardzo podoba mi się twoje imię. Wiesz, trudno teraz połapać się, kto jest faktycznie zaangażowany, aby zmienić stare porządki, a kto tylko zwęszył, że mu to się opłaci, bo idzie nowe i może dostać w dupę. Chodzą słuchy, że naród będzie rozprawiał się z tymi sługusami Moskwy. Twierdzą, że jak pluskwy rozgniotą tę czerwoną zarazę. A propos rozgniotą, jutro znowu strajk.*

*– Nie wygląda to dobrze. Boję się, co to będzie dalej. Mam dwie córki, które muszą nakarmić. W sklepach niczego nie ma. Na półkach tylko ocet i musztarda. Panienki siedzą sobie na lodówkach i pilują paznokcie, zamiast obsługiwać klientów. Plotkują, a jak się wchodzi i pyta o jakiś towar, to obrażone ledwie odburkną. Wczoraj jedna zmierzyła mnie wzrokiem, gdy pytałam o masło, i stęknęła, że z byka chyba spadłam, jak o coś takiego pytam, bo jakby było masło, to byłaby kolejka. Skoro kolejki nie ma, to i nie ma towaru. Każdy głupi to wie.*

*– Niby logiczne! Ale teraz można jedynie cudem coś dostać. Moja siostra Ilona ma sześciomiesięcznego synka. Wczoraj była duża kolejka pod samem, bo przywieźli śmietanę, masło i dżemy. Masło i śmietanę sprzedawali z okienka w bocznych drzwiach sklepu. Pomyślała sobie, że może uda jej się kupić przynajmniej kostkę masła, a jeśli nie, to parę butelek śmietany i wytrzęsie sobie z niej przynajmniej parę grudek masła. Mały nie spał, darł się jak opętany, to wzięła go na ręce i stanęła w kolejce. Otworzyli okienko. Jak tłum ruszył, to jej z dzieckiem mało nie zgnetli. Całe szczęście, że w pobliżu stał znajomy młody mężczyzna, który utorował jej drogę powrotną, a potem sam dopchał się po masło i dał Ilonie. Siostra powiedziała, że wdzięczna mu za to będzie aż do śmierci. W końcu uratował życie jej dziecka – skończyła Justyna.*

*– Moje małe też czasem stoją ze mną w kolejkach. Wczoraj jakaś ekspedientka nie chciała Marcysi sprzedać paczki kawy. Stałyśmy we trójkę. Za kawę można się potem wymienić z kimś innym na potrzebny produkt. Gdy sprzedawczyni powiedziała, że dzieci nie piją kawy, to moja rezolutna córeczka*

oznajmiła, że dzieci jedzą czekoladę, a czekolady nie ma. Jak ona będzie miała kawę, to sąsiadka, która ma cukrzycę, zamieni się z nią na czekoladę, poza tym ona wie, że dzieci też mają swoje prawa. Ekspedientkę zatkało i sprzedała obu moim córkom po paczce kawy. Mam takie wyrzuty sumienia, że dziewczynki zamiast bawić się lalkami, wystają w kolejkach. Ale ja nie mam żadnych znajomych ekspedientek, pracowników hurtowni. Tylko ta grupa zawodowa ma wszystkiego w bród. – Klara posmutniała.

– I przyszły czasy, że wykształcenie to tylko kula u nogi. Po co tyle lat uczyliśmy się? Trzeba było na randki latać i zawodówkę skończyć. Na nasze czasy wystarczyłoby, aby dobrze żyć. Miejmy nadzieję, że nie będzie to trwało wieki.

Tego okresu Gizela nie pamiętała. Pomyślała, że na całe szczęście nie jej dotyczył kolejkowy szal. O tym trudnym okresie jedynie słyszała i trudno jej było go sobie wyobrazić. Sięgnęła więc po zapiski matki.

### **Zapiski, październik 2002 r.**

Złe słowa jak szklanka, która wypada nam z rąk, pękają, tracą kształt, poszarpanym ostrzem miękko wchodzą w nieuważne serce. Nie mam skorupy żółwia! Nic nie chroni mojego bezbronnego wnętrza. Nie wiem, dlaczego najczęściej jestem raniona wtedy, gdy otwieram serce i odkrywam wszystkie swoje słabe strony. Za każdym razem żałuję, że traktuję swojego męża jak przyjaciela i odkrywam przed nim wszystkie swoje tajemnice, pokazuję czułe punkty. W ten sposób narażam się niepotrzebnie na atak bardziej bolesny, dotkliwszy. Wojtek skrzętnie wykorzystuje moje sekrety i słabości. Uderza celnie. Nasz związek stał się jakimś idiotycznym polem bitwy. Obowiązuje prawo wojny i wojenna taktyka. Ale ja nie jestem typem wojownika. Nie robię podchodów, nie szukam słabych miejsc i nie zdobywam przyczółków, by skuteczniej zaatakować. Abym nie została całkowicie zniszczona, stosuję fortel tchórzy, wywieszam białą flagę. Tylko co mam zrobić z tym kacem moralnym, który od lat mnie prześladowuje? Czuję się, jakbym była pod okupacją. Okupacją beznadziejnej miłości w kraju destrukcyjnego związku. Czy dbanie o trwałość destrukcyjnego związku nie jest głupotą?

Babka Felicja nawet nie pomyślała, że mogłaby wyrwać się ze swojego małżeństwa. Przecież przysięgała w kościele i ksiądz wyraźnie powiedział: „co Bóg złączył, człowiek niech nie odważa się rozłączać”. Z wyższością patrzyła na swoje kuzynki, stare panny, które miała w głębokiej pogardzie tylko dlatego, że nie wyszły za mąż i nie miały dzieci. Jako osoba bardzo religijna, biegła do kościoła, modląc się właśnie o łaskę dla nich. Prosiła, aby Bóg zesłał im jakiegokolwiek męża. Czy

*jest w tym jakaś logika?*

*Babka Adela, która kochała swojego męża ponad życie, nie raz musiała godzić się na jego wysoki, przymykać oczy na wiele spraw, z których nie była zadowolona, łącznie z licznymi flamami, o których starała się nie wiedzieć. Jednak nawet do głowy jej nie przyszłoby, że mogłaby żyć bez swojego ukochanego. Ona dopuszczała możliwość rozwodu u innych, ale nie u siebie. I w związku była naprawdę bardzo szczęśliwa.*

*Mama Anna na zewnątrz ukazuje wszystkim swoje skrzywione oblicze. Teoretycznie powinna należeć do bardzo szczęśliwych osób, ale nie raczy tego zauważać. Ciągle jest niezadowolona, a to z męża, bo nie dość uległy, z dzieci, że nie dość zdolne i nie dokonują takich wyborów, jakby sobie życzyła.*

*Mam kuzynkę, Liliannę, która od wczesnego dzieciństwa twierdziła, że wyjdzie za mąż jedynie za bogatego starca, aby stać się bogatą wdową. Zamierzała wydać się za granicą, albowiem wtedy w Polsce nie zdarzali się bardzo bogaci, starzy ludzie. Niestety, gdy doszła do wieku, w którym mogłaby wyjść za mąż, nie było mowy, aby dostała paszport i wyjechała za granicę. Wyszła, więc „na chwilę” za mąż za młodego, biednego i przystojnego rówieśnika. Związek przetrwał zaledwie parę lat. Wyszła z niego zniesmaczona, z pięknym niemowlęciem rodzaju męskiego i niedoborem finansowym. Przez kolejnych parę lat wychowywała syna, zmieniała partnerów i dalej czekała na bogatego starca. Po wielu latach spełniła swoje marzenie. Wyjechała do Stanów i tam pracując jako opiekunka starych ludzi, trafiła na kandydata do jej ręki, wypisz, wymaluj, jak to było w dziecięcych marzeniach. Rodzina staruszka była przeciwna małżeństwu z czysto ekonomicznych względów, bo nawet polubili Lilkę. Poróżniwszy rodzinę z Maksymilianem, bo tak miał staruszek na imię, wyszła za niego za mąż, następnie po paru ciężkich latach opieki pochowała męża i zdobyła część majątku. Do tej pory procesuje się z krewnymi Maksymiliana. Czy jest szczęśliwa? Twierdzi, że tak, ale stała się złośliwa, podejrzliwa. Nie ma tematu, w którym nie zahaczyłaby o „moje dolary...”.*

### ***Pamiętnik Klary, rok 1981***

*Stan wojenny zaskoczył Klarę i Wojtka tak samo, jak zaskoczył większą część społeczeństwa. Klara zastanawiała się nad tym, czy bardziej przypomina wojnę czy pokój. Nie miała żadnych doświadczeń wojennych. Znała ją jedynie z literatury, filmów, opowiadań starych ludzi. Ze zdziwieniem oglądała dziennik telewizyjny, w którym spikerzy ubrani byli w wojskowe mundury, i zastanawiała się, po co ta przebieranka. Kojarzyła się jej z teatrem, w którym poszczególne postaci przebiera się zależnie od przydzielonych ról. Nie do końca rozumiała przedstawione w licznych przemówieniach powody stanu wojennego. Miał bronić*

*naród przed czymś, albo przed kimś? Jednak do końca nie wiadomo było przed kim. Nie można było przemieszczać się po kraju bez zgody władzy. Nie można było zasiedzieć się u znajomych. Aby można było późno wracać do domu, potrzebna była specjalna przepustka. Najbardziej komicznie wyglądało to w Sylwestra, gdy ludzie chcąc pójść do znajomych lub wrócić wcześniej z zabawy, przemykali się konspiracyjnie od klatki schodowej do następnej klatki albo od płotu do płotu.*

*W pewien marcowy wieczór Klara poczuła straszne bóle. Najbardziej bolały ją krzyże. Wojtek nie czekał, aż sprawy zabrną za daleko, i odwiózł upartą żonę do szpitala. Po dwóch godzinach na świat przyszła kolejna córeczka.*

*– Klaro, czy ty zwariowałaś? Jak chcesz nazwać małą? Nie! Ja do tego ręki nie przyłożę. Córka będzie miała do mnie pretensje do końca życia. Ja rozumiem, że operowa Gizel jest ciekawym imieniem, ale po pierwsze nikt mi tak jej w urzędzie nie zarejestruje, a po drugie w dokumentach może być tylko Gizela, a to jakieś niemieckie imię. Z dziewczyny wszyscy koledzy będą się wyśmiewać. Daj już spokój. Ciągłe robisz tak, że wszystkim nam jest pod górkę. – Zdenerwowany Wojtek próbował przeciwstawić się nieugiętej żonie. Jednak i tym razem spasował, pamiętając swoje szpitalne przyrzeczenie. Starał się wypełnić je, jak tylko potrafił najlepiej.*

*Gizela wreszcie zrozumiała, komu zawdzięcza swoje imię. Tyle przez nie stoczyła bitew na przerwach szkolnych. Ale też nie dziwiła się matce, że choć w ten sposób, chciała pozostawić dla siebie małe „cadeau”, które przypominać jej będzie o kimś wyjątkowym, przy kim mogła być sobą.*

*Zamyślona sięgnęła po zapiski, które tkwiły pomiędzy stronami pamiętnika.*

### **Zapiski, czerwiec 2004 r.**

*Czas ogłosił wysoki kurs walut. Siwe włosy za doświadczenie. Wczoraj za miłość zapłaciłam utratą wolności. Dziś za wolność żąda samotności. Co to znaczy samotność? Jak można być samotnym, mając rodzinę? Przecież dzieci ciągle pozostają kimś bardzo bliskim, bez względu na to, czy rodzice są razem czy osobno. I nie ma znaczenia, jak blisko nas mieszkają.*

*Zastanawiam się, co powiedziałyby dziewczynki na to, gdybym zdecydowała się opuścić ich ojca. Czy byłoby im bardzo przykro, a może zrozumiałyby. Przecież widziały nasze zatargi, nieporozumienia. Bardzo nie lubiły naszych „cichych dni”. Nie raz miały pretensję do Wojtka za gorzkie słowa, rzucone pod moim adresem.*

*Czy dorosłe dzieci tak samo mocno odczuwają rozstanie swoich rodziców jak małe? Czy byłoby im tak samo smutno? A ja, jak czułabym się, gdyby nasze drogi się rozeszły? Czy potrafię żyć sama? Pytam też siebie, czy jestem gotowa na samotność? W związku z Wojtkiem nieraz czułam się bardzo samotna, pomimo iż spał obok mnie. Myślę, że to najgorszy rodzaj samotności, najbardziej bolesny. Już*

od dłuższego czasu szukam w sobie odpowiedzi na moją gotowość do życia w pojedynkę. I jej nie znajduję, mimo iż teraz jest mi o wiele łatwiej niż wiele lat temu. Już nie jestem zaślepioną dzierlatką, uwiązaną przy dzieciach. Chyba użyłam złego słowa. Ja nigdy nie byłam uwiązana. Nie czułam się w ten sposób. Myślę, że gdy wyszłam za mąż, naturalnie chciałam mieć dzieci. Zostałam wychowana w kulcie rodziny. Od wielu pokoleń w mojej rodzinie ONA, czyli rodzina, była najważniejsza. A szczególnie więź, która stanowiła o jej mocy i nierozzerwalności. Rodzina była zbiorem jednostek, w których żyłach płynęła ta sama krew. Przenoszenie genów z pokolenia na pokolenie podnoszono do rangi wielkiego zaszczytu, którego można było doświadczać. Zaszczyt ten stawiano na ogromny cokół, aby każdy z daleka widział. Przestrzegali on wszystkich obcych przed naruszaniem tej świętości, którą należało pielęgnować i kultywować. Naturalnie dla mnie było to zapewnieniem, że jak znajdę odpowiedniego mężczyznę, to dostąpi on ZASZCZYTU wejścia do mojej rodziny i wspólnie będziemy kultywować tradycję. Nigdy nie słyszałam, aby ktoś zbezcześcił święte prawo mojej rodziny. Słowa takie jak „rozwód”, „konkubinat” były absolutnie wykluczone z rodzinnego słownika słów ważnych. Słowa te mogły jedynie dotyczyć kogoś innego. Mówiono o znajomych, którym przydarzyło się takie nieszczęście, ścisząc głos, wręcz z pogardą, prawie jakby to dotyczyło popełnienia jakiegoś strasznego przestępstwa bądź wejścia nieszczęślika na drogę prostytutki. Wprawdzie nie byłam potomkiem męskim, ale przenosiłam dumnie swoje geny po kądzieli i byłam najszcześniejsza na świecie, gdy dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Potem kochałam i dalej kocham swoje dzieci tak mocno, jak tylko potrafię. A jednak po tylu latach nagle znajduję w sobie ogrom obcych mi pytań. Często są sprzeczne. I mam świadomość, że jestem pierwsza w rodzinie, która dopuszcza taką możliwość, że sprzeniewierzy się zasadom rodzinnym. Być może jest to wynik obecnego trendu w ideologii społecznej, mody współczesnych czasów, a może nie jestem aż taką konserwatystką, jak mi się wydawało. Obserwuję młode współczesne kobiety, które bardzo szybko rozprawiają się ze swoim męskim buble, którego poślubiły. Większość z nich nie zamierza ciągnąć tego małżeńskiego wózka, w którym koła są nierówne, bo zdają sobie sprawę, że wcześniej czy później grozi katastrofa. Nie chcą w niej ucierpieć. Nie chcą, aby ucierpiały dzieci, więc wychodzą z założenia, że im szybciej rozstaną się, tym lepiej. A ja ciągnę swój wóz i jeszcze robię różne woltyżerskie figury, aby tylko ciągnąć jak najdłużej. A jeżeli sprawa jest prostsza? Może mam jednak w sobie ziarenko niezależności i odwagi? Może gdzieś we mnie jest trochę wątpliwości i obawy. Inną kwestią jest drzemiąca we mnie skaza charakteru, czyli zwykle tchórzostwo. Może nie potrafię dostatecznie dobrze walczyć o trwały związek, o miłość? Kiedyś było mi nieskończenie trudniej, ponieważ dziewczynki tak bardzo kochały swojego tatusia, że na pytanie, czy wyobrażają sobie życie tylko ze mną, zareagowały wielkim strachem i nieśmiałym zapytaniem, czy pozwolę im



*odwiedzać tatusia, bo bez niego umrą? A ja miałam wielką kluchę w gardle i ogromne poczucie winy, że jestem straszną egoistką. Przecież Marcelę, Zuzię i Gizelę kocham nad życie. To dla dzieci chciałam trochę spokoju w naszym zwariowanym domu. Dla nich byłam wtedy gotowa, aby stulić uszy po sobie i mimo wszystko wytrwać, aby nie zabierać im ich ukochanego tatusia. Teraz zastanawiam się, jak to wtedy było z moim odchodzeniem? Od kiedy się to zaczęło, że zdobyłam się na desperacki krok i postanowiłam odejść? I znowu nawet przed samą sobą było mi trudno się przyznać, że zostałam potraktowana w sposób haniebny, podły. Ale wtedy jeszcze nie byłam taka silna. Byłam młoda i słaba. I bardzo głupia. Jak patrzę wstecz, to widzę, że byłam też ładna, świeża, ale myślałam, że jestem najbrzydszą kobietą pod słońcem i Wojtek wyświadcza mi wielką łaskę, że pozwala się kochać. A miłość moja była bezwarunkowa i bezgraniczna. Prawie tak wielka, jak miłość do dziewczynek. Teraz myślę, że byłam strasznie naiwna. Obecnie może postąpiłabym inaczej. Ale teraz mam wąskie pasma siwych włosów. I moje życie jest trochę łatwiejsze. A może nie zawsze? Bo nadal czasem pytam siebie, tak jak i przed laty. Czy jestem gotowa na samotność i życie bez miłości?...*

Młoda kobieta dobrze pamiętała lęk, który ogarniał ją i siostry, kiedy rodzice mieli trudniejsze okresy. Jej zdaniem, dorosłe dzieci tak samo mocno przeżywają rozstanie rodziców. Może są bardziej świadome wszystkiego, jednak uczucia, które im towarzyszą, mają tę samą intensywność. Westchnęła i powróciła do lektury.

### ***Pamiętnik Klary, rok 1982***

*Klaro, mówię do ciebie już od dziesięciu minut, a ty jakbyś ogłuchła. Gdzie moje niebieskie spodnie od dresu? Nie mogę ich znaleźć na swojej półce. Potrzebuję wyjść na salę. Umówiłem się z Jackiem, że trochę pogramy – usłyszała zza swoich myśli głos męża. Ale mało ją obchodziły niebieskie spodnie i chęć gry w piłkę. Od dwóch tygodni była na chorobowym. Psychiatra stwierdził, że przechodzi depresję, i dał leki. Teraz nic jej nie obchodziło, co dotyczyło Wojtka. Jedyne słowa córeczek docierały do jej cierpiącego wnętrza. Jedyne z nimi normalnie rozmawiała. Nie odezwała się, tylko obróciła tyłem do pokoju i zamknęła oczy.*

*– Szlag mnie za chwilę trafi! Gdzie, do cholery, te spodnie. Już jestem spóźniony! – szalał Wojtek.*

*– Zobacz w siatce za drzwiami sypialni. Chyba tam je tydzień temu widziałam. Mówiłam, żebyś wrzucił do brudów, ale ty masz gdzieś to, co mówię!*

*Jesteś niechlujem! – Ostatnie zdanie wymruczała pod nosem.*

*– A ty jesteś leniwa i brzydka – odpowiedział, bo usłyszał, co o nim myśli. – Wynoszę się z tego cyrku, bo nie da się z tobą wytrzymać. Złośliwa, leniwa. Czas wracać do pracy, moja pani, bo szajba ci odbija. – Wojtek upychał znalezione spodnie w czarny plecak. – Przyjdę późno, ponieważ po meczu idziemy na wódkę. Musimy z Jackiem pogadać. Poza tym muszę odetchnąć od ciebie, zgryźliwej histeryczki. Prawdziwa z ciebie hetera. Jedyne papilotów i wałka brakuje, ale jeszcze parę latek i tak będziesz mnie witać na progu – wysyczał i wyszedł.*

*Odetchnęła z ulgą. Zagłębiła się w ciszę mieszkania i sen. Gizela spała, a Zuzia z Marcelinką były u sąsiadki. Wiedziała, że pani Wiesia chętnie zaopiekuje się jej pociechami, bo swoje wnuki miała na drugim końcu Polski. Niemłoda sąsiadka tęskniła do dzieci córki i chętnie zapraszała do siebie jej córeczki, które wypełniały lukę w samotnym życiu. Po dwóch godzinach zbudziło ją stukanie do drzwi i głos Zuzi.*

*– Mamo, mamo, otwieraj! Jesteśmy z panią Wiesią.*

*Niechętnie zwlekła się z łóżka i otworzyła drzwi.*

*– No co, wyspałaś się choć trochę? – Pani Wiesia spoglądała na nią wesoło, a głos miała ciepły i czuły, jakby mówiła do swojej córki.*

*– Na pewno! Czym ja się pani odwdzięczę? – zapytała.*

*– Nie ma o czym mówić, drogie dziecko. Chorujesz, to potrzeba, abyś miała trochę czasu dla siebie. Kto ma nie pomóc, jak samotna sąsiadka? – zadała retoryczne pytanie i nie czekając na odpowiedź, kontynuowała: – To i dla mnie przyjemność. Już rewanżem jest możliwość przebywania z twoimi małymi. Są urocze. Moja córka daleko. Też sama z dziećmi, bo co tu mówić, chłopcy nie rozumieją, nie pomogą, bo to inny gatunek człowieka. Męża miałam dobrego, nie powiem. Nie krzyczał, wszystko mu pasowało, co robiłam, ale do dzieci też nie był wrywny. Kochał je, ale z daleka. Więc potrafię zrozumieć, że i twój do nich się nie pcha. Jak ja tobie pomogę, to może ktoś pomoże mojej Urszuli. I tak w życiu powinno być. Kobiety powinny siebie wspierać i sobie pomagać, bo życie i bez tego jest teraz bardzo ciężkie. A może chciałabyś trochę papieru toaletowego, bo rano rzucili do domu towarowego. Mogę trzy rolki odstąpić. Nie płąć mi za nie. Może masz trochę drożdży, to upiekłabym rogaliki. Mam jajka i mąkę. Połowę dałabym twoim dziewczynkom.*

*Klara uściskała sąsiadkę.*

*– Pani jest kochana. Co ja bym bez pani zrobiła? – powiedziała i rozplakała się. Pani Wiesia przytuliła ją do siebie i długo kołysała, aż łzy obeschły. Potem piły herbatę Ulung, który Klarze w prezencie przyniosła do szpitala Helenka.*

*– Wiesz, kochanie. Martwię się tym światem. Wszystko na głowie postawione. Już jedną wojnę przeżyłam i niejedno widziałam, ale żeby policjanci tak tłumnie do kościołów chodzili i księży szpiegowali, tego jeszcze nie widziałam,*

nawet w czasie niemieckiej okupacji – zamyśliła się sąsiadka.

– Dla mnie też ten świat jakiś taki bardziej kabaretowy. Nie dlatego, że wesoly, ale że same absurdy – podchwyciła wątek Klara.

– Masz rację, bo kawałów teraz co niemiara. Nie pracuję, ale tyle nasłucham się ich na ulicy. Najgorzej, że rodziny są tak mocno podzielone. Jedno z małżonków za „Solidarnością”, a drugie za rządem. Brat z bratem tłuką się o politykę. Czy to coś dobrego przyniesie? W czasie wojny przynajmniej wiadomo było, kto wróg, a kto swój, a teraz? Znam taką rodzinę, w której jeden ze szwagrów jest organizatorem strajku, a drugi w policji kazania księdza w notesie zapisuje. Jak sobie na rodzinnych imprezach samogonu popiją, to do oczu skaczą i się wyzywają. Żony do tych ich kłótni się nie mieszają, ale już zaczynają na siebie wilkiem patrzeć.

– No właśnie. Jak mówi pani o samogonie, to muszę się pożalić, że już tego smrodu nie wytrzymuję. Co wejdę do jakiejś klatki schodowej, to cuchnie drożdżami i zacierem, a czasem nawet i bimbrem. Ja od szpitala jestem strasznie czuła na ostre zapachy i mam cofkę. U nas w klatce też dwa dni temu ktoś pędził bimber – pożałowała się Klara.

– Dużo ludzi pędzi bimber, bo na strapienie najlepsza wódka. Jak nie ma państwowej, to zaczyna być manufaktura. W czasie wojny też tak było. Ludzie sami sobie przygotowują rozweselacze. Podobno najlepszą aparaturę mają policjanci, bo to ze skonfiskowanego towaru. Jednak to mnie tak nie martwi, jak te groźby, które słyhać w radiu i telewizji, że niby Ameryka nas najedzie, albo i Związek Radziecki. Ale chyba głupoty mówią, bo Rosjan i tak u nas pełno. Już dawno najechali i zostali, więc tylko może być ich trochę więcej. – Pani Wiesia ściszyła głos. – I tak jesteśmy już pod okupacją – dodała – ale jakby Rosjanie z Amerykanami wzięli się za łby, to i nam by się oberwało. A tego to już bardzo się boję.

Wojtek przyszedł w nocy. Śmierdział alkoholem. Ale tym razem ją to niewiele obeszło. Otworzyła szeroko okno i pierwszy raz od wielu nocy spała twardo, a sny miała spokojne. Przed pójściem do łóżka zadecydowała, że już nie idzie na chorobowe. Wraca do pracy! Postanowiła też, że w przyszłości pójdzie na studia podyplomowe. Wreszcie coś zrobi dla siebie. Może uda jej się jakoś uniezależnić od Wojtka!

## **Rok 1983**

Już długo nie przytulali się do siebie, nie dotykali. Przemykali obok i gdy niechcący trafiali na siebie w wąskiej futrynie drzwi, oboje uważali, aby nie trącić się nawet ramieniem. Późnym wieczorem i nocą Klara połykała łyżę, starając się robić to bezgłośnie. Aby mąż nie usłyszał i nie miał żadnej satysfakcji. Czuła ból

*i samotność.*

*Wojtek teraz najczęściej przebywał poza domem. Od chwili przyjazdu z wycieczki z Czeskiej Republiki Ludowej przestał w jakikolwiek sposób zabiegać o zmianę atmosfery domowej.*

*Klara czuła, że coś niedobrego kryje się pod tą pozorną obojętnością i brakiem jakiegokolwiek zainteresowania domem.*

*Tego popołudnia siedziała w kuchni i przygotowywała obiad na następny dzień, gdy od niewesołych myśli oderwał ją dzwonek telefonu.*

*– Halo, słucham. Tu mieszkanie Jasińskich.*

*– Czy pani Klara Jasińska? – Męski głos brzmiał niepewnie i słabo.*

*– Tak, a z kim rozmawiam?*

*– Tu Marian Okoń. Pani nic pewnie nie mówi moje nazwisko, ale ja wiem o pani dużo więcej. Moja żona pracuje w zakładzie z pani mężem. To nie jest rozmowa na telefon. Chciałbym się z panią spotkać i porozmawiać. Niech mi pani wierzy, że leży to zarówno w moim, jak i pani interesie. Czy dzisiaj możemy umówić się w „Kolorowej”? Przypuśćmy, za dwie godziny. – Mężczyzna zawiesił głos, czekając na odpowiedź.*

*– No, nie jestem pewna, czy powinnam z panem rozmawiać.*

*Klara wpadła w popłoch. Zastanawiała się, czego chce od niej ten obcy mężczyzna. Strach podpełznął pod stopy i poczuła, że miękną jej kolana. Jednak ciekawość zwyciężyła rozsądek.*

*– Dobrze. Zgadzam się na spotkanie. Będę w „Kolorowej”.*

*Gdy po dwóch i pół godzinie weszła do kawiarenki, od stolika stojącego w najdalszej części pomieszczenia podniósł się niski, nieciekawy mężczyzna w trudnym do określenia wieku. Podszedł do niej.*

*– Witam panią. Jestem Okoń. Widziałem panią z mężem na ostatnim czynie społecznym przed Pierwszym Maja. Stąd wiem, jak pani wygląda. Niech się pani nie obawia, nie jestem żadnym szantażystą ani innym kryminalistą. Jestem mężem Danusi, która jest sekretarką w zakładzie pana Wojciecha. Obawiam się, że ostatnio jedziemy na tym samym koniu i możemy z niego spaść, jeżeli w porę nie zaradzimy nieszczęściu. Długo zastanawiałem się, czy z panią rozmawiać. Bo to w końcu nic przyjemnego, przynosić komuś hiobową wieść, ale po rozważeniu wszystkich za i przeciw, doszedłem do wniosku, że gdy się razem za to weźmiemy, to może rozgonimy chmury, które wiszą nad naszymi małżeństwami. Czy coś pani wypije? Kawę, a może ciasteczko do kawy? Cukier dobrze robi na stres. – Mężczyzna starał się być bardzo uważający i opiekuńczy.*

*– Nie. Myślę, że mineralna wystarczy. Proszę przejść do rzeczy. Niech pan powie, co ma do powiedzenia, i rozstańmy się. Szkoda naszego czasu. Już i tak żałuję, że zgodziłam się na to spotkanie.*

*– Niech mi pani wierzy, że i ja niechętnie rozmawiam o tym, co boli. Ale*

*niestety zdarza mi się to nie pierwszy raz i wiem, czym to pachnie. Otóż, jak powiedziałem, jestem mężem Danusi, sekretarki. Pani mąż nie jest pierwszym jej szefem. Już wcześniej miała dwóch szefów i za każdym razem historia ta powtarza się. Danusia nie jest złą kobietą, ale za każdym razem zachłystuje się osobowością swoich pracodawców. Po prostu imponują jej szefowie. Najpierw strasznie dużo o nich mówi, a potem skacze koło nich, stroi się do pracy i kokietuje. No cóż, ona jest straszną kokietką i piękną kobietą. Nie wystarcza jej marny urzędnik państwowy, jakim ja jestem. Danusia jest flirciarą. Lubi zdobywać mężczyzn. Nie będę wchodził w szczegóły, ale już dwukrotnie przyprawiła mi rogi i obawiam się, że i teraz tak może być. Pani nie była na wycieczce i ja nie byłem w Czechach, ale mój dobry znajomy był w tym czasie akurat na sympozjum lekarzy w Pradze.*

*Okoń nabrał powietrza i ciężko je wypuścił, widać sprawa, o której mówił, bardzo dużo go kosztowała, a następnie kontynuował:*

*– No cóż, okazuje się, że świat jest bardzo mały. A więc, jak mówię, był na tym sympozjum, a potem z kolegami poszli sobie do kawiarni. Było to na Hradczanach. Wszedł właśnie do jakiejś kafejki, i kogo widzi? Moją Danusię, która siedzi przy stoliku z jakimś wysokim mężczyzną i słodko mu w oczy patrzy. Trzymają się za ręce, jak prawdziwie zakochani. Mariusz jest nie w ciemną bity. Od razu kapnął się, że to nie ze mną siedzi sobie Danusia, więc kolegów pokierował, aby do drugiej sali weszli. Stolik wybrał za palmą, więc mógł zza niej obserwować słodką parę, a przy tym nie był sam widziany. Przypatrzył się facetowi. Z jego opowieści wynika, że to musiał być pani mąż. Chwilę siedzieli, ale gdy koledzy Mariusza zbyt wiele wypili czeskiego piwa i głośno zaczęli dyskutować, parka usłyszała polski język i w popłochu opuściła kawiarnię. Nie wiem, jak daleko Danusia zaszła z pani mężem. Może więcej między nimi nie było, ale radzę, aby coś zrobić, bo nie zaprzestanie swoich zabiegów, dopóki nie usidli delikwenta. Potem się jej znudzi, ale wtedy może być po państwa związku. Pewnie pani ciekawa, dlaczego jeszcze się z nią nie rozwiodłem? Sprawa jest bardzo banalna. Po prostu ją kocham, taką, jaka jest. Cierpię, ale daruję wszystko. Danusia zawsze do mnie wraca, więc tak sobie od lat żyjemy. Godzę się, bo wiem, że ani ze mnie Apollo, ani Rockefeller. Mózgu naukowca też nie mam. Dzieci nie mamy, to i nikomu nie szkodzi, żyjąc w taki sposób. U państwa jest inaczej. Córeczki nie mogą zostać bez ojca. Niech pani ratuje małżeństwo. A teraz przepraszam panią jeszcze raz, że zburzyłem spokój. Nie będę więcej zajmował czasu. Życzę powodzenia.*

*Klara długo wracała do domu. Szła piechotą, ze wzrokiem utkwionym w kałuże, które po porannym deszczu zalegały wgłębienia chodnika.*

*Początkowo czuła jedynie odrętwienie. Treść rozmowy dotarła do jej świadomości, ale skutek był tak ogłuszający, że przytłumił wszelkie emocje. Czuła jedynie wielkie zdziwienie.*

*Nie, to niemożliwe! – przekonywała siebie, ale zaraz przychodziła refleksja.*

*A może jednak? To tak, jak z wiadomością o chorobie, śmierci. Niby na poziomie świadomości dopuszczamy myśl, że niczym nie różnimy się od innych ludzi. Tak jak inni chorujemy, umieramy. Nasi bliscy również, ale wiadomość, że właśnie ten przypadek choroby dotyczy nas, zadziwia... Jak to możliwe? Nie, nie wierzę, że Wojtek, ten mój kochany Wojtuś podeptał wszelkie zasady, zdradził nasze uczucie i zachował się jak śmieć! To nie jest możliwe. Tyle przecież mówi na temat godności człowieka, honoru, uczciwości. Twierdzi, że brzydzi się kłamstwem, oszustwem. To niemożliwe! Jednak gdy pomyślę o jego zachowaniu w ostatnim okresie... Nie, Klaro, nie! Zbyt łatwo wierzysz komuś, kogo przed chwilą poznałaś. Wojtka znasz tyle lat. Jak możesz tak od razu uwierzyć obcemu i przestać ufać mężowi? To przecież byłby koniec wszystkiego! Koniec miłości, koniec małżeństwa.*

*Prowadziła wewnętrzny dialog, który nie pomagał. Powoli zaczęła docierać do niej świadomość konsekwencji tego, co usłyszała. I poczuła ogromny lęk. Do domu dotarła parę godzin później, zmarznięta, zmęczona, blada. Dziewczynki były u sąsiadki. Cicho otworzyła drzwi. W mieszkaniu było ciemno. Zapaliła światło. Podeszła do szafy.*

*Nie! Co ty robisz? – pytała siebie. Przecież nie poniżysz się do szperania w jego rzeczach. Nie możesz tak nisko upaść!*

*Stała niezdecydowana. Chęć natychmiastowego poznania prawdy korciła. Wiedziała, że jedynie stuprocentowa pewność, że to, co usłyszała, jest kompletną bzdurą, uspokoi i wyrzuci z wnętrza ten straszny lęk. Uczucie, które ogarnęło ją, gdy zrozumiała, co znaczy informacja Okonia.*

\* \* \*

*– Kochanie, otwórz oczy. Błagam cię, otwórz oczy! – Głos Wojciecha dochodził z oddali. Klara czuła się, jakby umieszczono ją w wielkim futerale.*

*Może to futerał basetli? A może wiolonczeli? Przecież nie zmieściłabym się w futerale na skrzypce.*

*Myśli jej szybowały niezależnie od ciała, uwięzionego w czymś ciasnym.*

*Jak to było z tą piosenką Grechuty? Tą o wiolonczelistce? A może to nie Grechuty? Czy Grechuty, to ta o prześlicznej wiolonczelistce? A może to o niej, Klarze? Czy ona jest prześliczną wiolonczelistką? Nie jest prześliczna, skoro Wojtek szuka innej. Ale czy to ma teraz jakieś znaczenie?*

*Była senna i zmęczona. Nie chciała odpowiadać, choć słyszała w głosie męża straszny niepokój. Nie miała siły otworzyć oczu, chociaż chciała przekonać*

*się, czy wokół niej jest jasno czy ciemno. Czula, że jest jej duszno i gdzieś wokół biją dzwony, a może to nie dzwony, a stado dzieciółów stukających zajadle w jakieś drzewo. Potem do uszu doszedł ostry dźwięk karetki.*

*Gdzie ta karetka jedzie? – pomyślała. Może do pani Wiesi! Zaniepokoiła się. Jęknęła.*

*– Cicho, kochanie. Cicho, zaraz dojedziemy!*

*W pobliżu jakiś kobiecy głos uspokajał:*

*– Oddychaj głęboko! Zaraz będzie mniej duszno.*

*Poczuła, że już nie jest w ciasnym futerale. Futerał poszerzył się. A może ona zmalala? Tak, z pewnością jest coraz mniejsza i mniejsza! Zapadła w ciemność.*

*Gdy otworzyła oczy, leżała w niewielkim, białym pokoju. Była noc. Przez otwarte okno wpadała wielka rzeka srebrzystego światła. W nogach łóżka stała postać. Patrzyła na Klarę smutnymi oczami.*

*Jaka ona piękna! – pomyślała Klara. Jaka dobra. Jaka spokojna. Ogarnęła ją radość, a zaraz smutek.*

*Co ja zrobiłam? – przeraziła się i zawstydzila. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia, jakby musiała zdawać z czegoś niegodziwego relację.*

*– Życie jest wartością najważniejszą! – usłyszała w głowie smutny głos. – Nic nie jest tak ważne, aby poświęcać najwyższą wartość!*

*Usnęła.*

Gizela jak przez mgłę pamiętała wizyty ojca i innych krewnych w szpitalu, szepty dorosłych. Rozumiała tylko, że coś złego weszło do ich domu. Coś się przydarzyło mamie i jest bardzo chora. Coś się działo się niedobrego. Później mama wyzdrowiała, ale na zawsze o tym okresie nie rozmawiano w domu. Teraz dopiero zrozumiała dlaczego.

### **Zapiski, luty 2006 r.**

*Ostatnio zastanawiałam się nad czasem, ale moje rozważania poszły w bardzo dziwną stronę. Dziś muszę jednak pomyśleć o tym, czym jest dla mnie czas. Dla mnie, kobiety. Czym był kiedyś, gdy byłam dużo, dużo młodsza, a jak moje spojrzenie na czas zmieniło się z biegiem upływających lat. Myślę, że miałam w swoim życiu parę punktów przelomowych.*

*Na początku czas włókł się tak bardzo, że wydawało mi się, że jestem w jakiejś poczekalni. Ciągle tylko czekałam. Najpierw na pójście do szkoły, gdzie zaczęłam dostrzegać, że dziewczyny są tak odmienne od chłopców. Przeważnie*

unikalam chłopców. Nie miałam brata i osobnicy rodzaju męskiego byli dla mnie istotami niezrozumiałymi. Przerażała mnie ich wojowniczość, agresja, krzykliwość. Wolałam spokojniejsze klimaty. Rosłam, bawiąc się lalkami, obchodząc chłopców wielkim kołem. Nie potrafiłam z nimi rozmawiać. Jednak podświadomie bardzo zależało mi na ich opinii. Ciągle bałam się, że ocenią mnie tak, jak oceniali inne koleżanki, jako głupią babę. A potem nie mogłam doczekać się pierwszego biustonosza, który był symbolem wrót do dorosłości i bliżej nieznanego mi intymnego świata damsko-męskiego. Potem znowu siedziałam w poczekalni i tęskniłam. Tym razem za pierwszym pocałunkiem, a gdy miałam go za sobą, to za wielką miłością. Najpierw platonyczną. Już wtedy powoli uczyłam się porozumiewać z tą inną płcią, ale dalej była dla mnie niezrozumiała. Chłopcy bardzo mnie peszyli. Nadal bałam się ich oceny, szczególnie dotyczącej mojego intelektu, statusu. Nie chciałam być kimś gorszym niż oni, być na gorszej pozycji. Miałam w sobie własną godność i nie pozwalała mi ona robić słodkich oczu do każdego przystojnego chłopaka, jak to przydarzało się moim koleżankom, które miały największe powodzenie. Ważne dla mnie było to, aby po prostu mieć tego kogoś, kto poza mną świata nie będzie widzieć. Czekałam na przyjaciela, człowieka na identycznej pozycji jak moja. Niestety, w naszym społeczeństwie, w którym jednak przeważa patriarchy, nie jest to w pełni możliwe. Czasami analizuję, jak to wygląda na co dzień, i to w różnych warstwach społecznych. I mam przed oczami następujący obrazek. Stoi sobie grupka ludzi. Podchodzi do niej mężczyzna, który mieni się w miarę dobrze wychowanym. Jest w średnim wieku. I co robi? Mówi „dzień dobry” i podchodzi po kolei do każdego mężczyzny, aby podać mu rękę. Kobiety sobie stoją, jakby ich nie było! I mogę przytaczać wiele przykładów na to, że jednak w naszym społeczeństwie kobieta traktowana jest jako mniej wartościowy jego członek. Tak więc czekałam, tęskniłam, aż doczekałam się na mężczyznę mojego życia. Jednak nadal nie wiem, czy ja jestem kobietą jego życia?

Wracając do moich dywagacji, jak to ze mną było, to przypominam sobie, że gdy wszystko, na co czekałam, otrzymałam, od tego czasu zaczęłam być bardziej pazerna. Zapragnęłam, abym poczuła się jak prawdziwa kobieta, i to z wszystkimi konsekwencjami. Początkowo czas był dla mnie bardzo łaskawy.

– Chcesz, to bierz! – mówił i spełniał moje życzenia...

Tak było do operacji. Pierwszy raz uzmysłowiłam sobie, że czas już nie jest moją dobrą wróżką, gdy musiałam zmierzyć się ze świadomością, że jestem śmiertelna i oto moja wędrówka po ziemi może się skończyć.

Potem opatrzność ofiarowała mi nowy czas. Po paru miesiącach spostrzegłam, że jest inny. Nie tak łaskawy. Sam ofiarowuje mi prezenty, których nie oczekuję. Wątpliwym prezentem była trudna do pogodzenia świadomość, że w jakiś sposób już nie jestem pełnowartościową kobietą. Czas po prostu odebrał to, co wcześniej tak ochoczo podarował. Nie wiem, jak czuje się z tym Wojtek. Ja czuję



*się tak, jakbym mu coś cennego zabrała. I bardzo tęsknię. Za czym tęsknię? Za sobą. Za Klarą sprzed wielu lat. W gabinecie Wojtka, nad biurkiem wisi nasze zdjęcie. Jesteśmy na nim tacy młodzi, wpatrzeni w siebie. Było to tak dawno, że nawet nie pamiętam, kto zrobił nam to zdjęcie. Stoimy sobie pod jesiennym drzewem. Pod naszymi nogami leżą złote liście i rude kulki kasztanów. Wtedy nasz świat był pełen barw, jak ta otaczająca nas jesień, i tak gorący jak rude słońce, które właśnie postanowiło zachodzić. Tęsknię za tamtym światem. Za jego kolorami. Teraz nasz świat najczęściej ma różne odcienie szarości, jakby ktoś na niebie podmienił słońce i zamiast złotej kuli oświetlał nas fioletowy neon.*

*Zajęta kłopotami nie dostrzegam pór roku. No, może je rejestruję, ale nie przeżywam, nie delektuję się nimi. Dzień jest podobny do dnia. Noc do nocy. Kiedyś wysyłaliśmy do siebie takie sygnały, że trudno byłoby zabłądzić. A teraz nie ma znaków, według których moglibyśmy trafić do siebie. Pogubiliśmy się w tym szarym świecie. Jedynym łącznikiem jest właśnie cisza, bo już nawet na kłótnie nie mamy ochoty. Jest to ciężka, ołowiana cisza, która jak kamień przygniata nasze serca. Więc jak mam nie tęsknić za tamtymi szczęśliwymi chwilami, za tamtym Wojtkiem, a przede wszystkim za tym, co wtedy czułam. I jest tak, jakbym bardzo dawno temu, gdzieś tam na wielkim oceanie życia, na bezludnej wyspie, która należała do nas, zakopła skarby. Zrobiłam do nich mapę i gdzieś mi zaginęła, a teraz muszę odnaleźć do niej drogę, ale boję się, czy aby ją odnajdę? I boję się podróży przez ocean.*

Nina tej nocy bardzo długo nie potrafiła usnąć. Słyszała, jak wnuczka chodziła po pokoju, długo wierciła się na łóżku. Trzeszczało stare drewno, piszczały sprężyny.

Już dawno powinnam wymienić ramę łóżka – pomyślała stara kobieta.

Analizowała w myślach podobieństwo Gizeli do jej rodziny, ale oprócz koloru i gęstości włosów Jean-François nie potrafiła nic innego znaleźć.

No, może jeszcze mój kształt nóg, cieniutkie pęciny, które tak zachwyciły Michaela, gdy pierwszy raz zobaczył mnie w domu niemieckiego oficera Kurta Heindricha. Zawsze mówił, że poszedłby za tymi nogami do piekła. Ale nie będę wracała myślami do tych strasznych czasów! – pomyślała w popłochu. Nienawidziła powracających wojennych wspomnień. Nienawidziła wspomnień sprzed wojny. Wyławiała z nich jedynie to, co dobre. Nie chciała pamiętać o trudnym życiu dziecka wychowywanego na wschodnich rubieżach Polski przez samotną wdowę z trzema córkami, zmuszoną na całe dni porzucać rodzinę, aby w pobliskim majątku zarobić na parę kromek chleba.

Było już dobrze po północy, gdy Nina wstała z łóżka, wsunęła nogi

w ciepłe bambosze i cichutko wyszła z sypialni. Spod drzwi pokoju wnuczki wydobywała się cienka strużka światła. Podeszła do drzwi i cichutko zastukała. Odpowiedziała jej cisza. Ujęła klamkę i uchylila drzwi. Pokój zalegała ciemność, tylko niewielka ilość światła z lampki nocnej oświetlała szafkę i łóżko, na którym smacznie spała Gizela.

Nina przyjrzała się wnuczce. Dziewczyna usnęła na brzuchu, z rozrzuconymi rękami. Ubrana była w niebieską, satynową piżamę, która odbijała się od bieli staromodnej, haftowanej pościeli. Długie, lekko kręcone, gęste włosy rozsypane były na poduszce. Profil twarzy był delikatny, cera jasna, z lekko piegowatym noskiem, który dziewczynie dodawał uroku. Usta niewielkie, pełne, lekko zaczerwienione, podobne kształtem do ust Jean-François były lekko rozchylone, a na policzkach dostrzegła delikatne rumieńce. Stara kobieta cichutko, aby nie zbudzić Gizeli, podeszła do lampki. Uśmiechnęła się z rozrzewnieniem do śpiącej dziewczyny i zgasila światło. Wróciła do swojego pokoju i zaczęła zastanawiać się, w jaki sposób najlepiej pokazać wnuczce życie w Ruelle oraz przybliżyć jej obraz rodziny.

Bardzo zależało jej na tym, aby Gizela zbliżyła się do niej i rodziny. Przecież zabiegała o to od dawna. Bardzo żałowała, że nie udało się jej przekonać Klary wcześniej. Wyrzucała sobie, że była za mało stanowcza i przekonująca. Teraz wiele się zmieniło. Ale lepiej późno niż wcale. Przypomniała sobie to stare przysłowie i uspokojona, wreszcie usnęła.

## Ogród

W ogrodzie wszystko wydawało się normalne. Brama, jak zawsze, lśniła rosą. Nad świetlistym ogrodzeniem unosił się aromat mieszanki kwiatów i słodkich owoców. Alma w myślach próbowała rozłożyć go na czynniki pierwsze, jednak nie potrafiła. Często sprzeczała się o to z Gabrielem. Ona sądziła, że przeważa zapach róż i ananasa, on z kolei uważał, że najwyraźniej wyczuwa się poziomki i akacje, a może jeszcze bez z odrobiną fiołka. Gdy Kira i Ariel usłyszeli ich rozmowę, stwierdzili, że oni rejestrują przewagę zupełnie innych zapachów. Najwyraźniej ogród dostosowywał się do każdego gustu. Zresztą tak samo było z dźwiękami. Każdy słyszał inne melodie, choć wydawało się jednocześnie, że panuje oszałamiająca cisza.

Tym razem, gdy przekraczali bramę, ogród zaszumiał. Usłyszeli delikatne, kryształowe dźwięki dzwoneczków i nagle z pomarańczowej mgły otulającej drzewa wyłonił się rój różnokolorowych, pastelowych motyli i jak wielki barwny balon uniósł się w powietrze. Tęczowy obłok wznosił się coraz wyżej i wyżej. Stawał się coraz mniejszy i bledszy, aż stopił się z błękitem nieba.

– Poleciały do woliery – powiedział Gabriel – szkoda! Wydawało mi się, że dzisiaj jest więcej seledynowych i cytrynowych. Ale widziałem również trochę fioletowych.

– Śpieszmy, aby zobaczyć, co z drzewem. – Alma była wyraźnie zaniepokojona.

Nie rozglądając się na boki, popłynęli w głąb ogrodu. Po chwili dotarli na miejsce. Tam, gdzie Szefer dał szansę awansu i pozwolił udowodnić, że dojrżeli do tego, aby stać się prawdziwymi malarzami dusz. To, co zobaczyli na szmaragdowej murawie, zasmuciło oboje. W zielonej, miękkiej trawie, pokrytej połyskującymi kropelkami rosy, leżał piękny, lawendowy kwiat.

– Już wczoraj przypuszczałem, że odpadnie – pokiwał głową Gabriel. – Ten zarys na korze! To było ostrzeżenie, ale mimo wszystko je zbagatelizowałem.

– A ja myślałam, że jak zwykle wszystko się rozejdzie i jakoś to będzie. – Alma miała do siebie pretensje, że nie dość uważnie słuchała Szefa. Przecież znała instrukcję, ale zgubiła ją zbytnia pewność siebie. Przypuszczała, że jest gotowa, aby startować w konkursie. Teraz nie wiedziała, co będzie dalej i jak zakończy się sprawa. A jeśli drzewo straci wszystkie kwiaty, a może nawet liście? Zostanie tu, w szkółce, nagie i czarne, jak wyrzut sumienia. Będzie pomnikiem ich zbytniej pewności siebie, ku przestrodze dla innych!

– Pewnie Szefer myśli, że poddam się i ustąpię miejsca. No, to się myli! – W Almie wstąpił duch walki. – Bierzmy się do pracy póki czas. Na początku obserwacja i analiza. Obejrzyjmy pierwszy kwiat. On zakwitł, gdy byliśmy przekonani, że jesteśmy szczęściarzami.

Schylła się i ujęła lawendowy kielich. Położyła na dłoni i ujęła jeden z płatków.

– Jeszcze nie otwieraj – powstrzymał ją Gabriel. – Obiecaliśmy Kirze i Arielowi, że jeśli tak się stanie, to wspólnie będziemy zaglądać w kwiat. Zaraz ich przyprowadzę. Mignęli mi na czwartym zakręcie. Poszli po pokarm dla swojego drzewa.

Gabriel wtopił się w tęczowy gąszcz ogrodu. Alma usiadła na miękkim poszyciu. Oparła plecy o fioletowo-turkusowy pień i zamknęła oczy. Czuła soki drzewa. Jeszcze nie umierało. Szumiało sobie w podwójnym rytmie. Wydawało się, że jest równy i mocny. Tylko od czasu do czasu rytm zaburzał się, szum ustawał. Gdy zaniepokojona przykładła dłonie do kory i uważniej wsłuchiwała się w odgłosy dochodzące zza aksamitnej osłony, drzewo od nowa zaczynało tętnić. Nagle usłyszała głosy przyjaciół.

– Jesteśmy. Możesz uchylać rąbka tajemnicy. – Ariel starał się być bardzo dowcipny, co nie zawsze mu wychodziło.

Alma odchyliła pierwszy płatek i wewnątrz kwiatu zajaśniało.

Cała czwórka pochyliła głowy nad kielichem. Z początku widzieli tylko białą mgłę, ale za chwilę obraz zaczął nabierać kształtów. Patrzyli zafascynowani. Gdy obraz przygasł. Alma i Gabriel czuli wzruszenie.

– Wtedy zdecydowaliśmy się – wyjaśnił Gabriel.

– Nie dziwię się. Ja też bym się zdecydował, nawet w ciemno. Tyle było żaru, tyle piękna. Zapowiadało się, że można sadzić drzewo. To prawie pewniak. – Ariel rozumiał przesłanki decyzji Gabriela.

– A teraz pozwólcie, aby odleciał. Niech czeka w wolierze. Szef będzie dbał, aby całkiem nie wyblakł, nie umarł. Może da radę przetrwać do czasu, gdy drzewo nabierze siły. Musimy wierzyć, że znajdziemy sposób, aby naprawić błędy. Muszę przypomnieć sobie zasady mieszania kolorów i nie mylić się – powiedział zaszepiony Gabriel.

Alma uniosła dłoń z kwiatem. Dotknęła ciepłym oddechem każdego płatka, jakby mu dodawała mocy i odwagi, aby wystartował. Kwiat zatrzepotał płatkami i jak lawendowy motyl wzniosł się ponad drzewo. Okrążył jego koronę. Pożegnał się z braćmi i dołączył do innych motyli, które startowały ku lazurowi.

– Leć, kochanie! Trzymaj się! Mam nadzieję, że stanie się cud i wrócisz. – Za lawendową drobiną uniół się pożegnalny śpiew Almy.

Na murawę spadła wielka, tęczowa łza. Gdy motyl zniknął w przestrzeni, Alma spojrzała na Ariela i Kirę.

– A wam jak idzie? – zapytała. – Czy też macie problemy w szkółce?

– My dużo później stawaliśmy do konkursu. W dodatku podjęliśmy się tego za namową Szefa. Twierdził, że nasz wybór jest doskonały. Wierzył w nas i drzewo. On z góry wiedział, że wszystko zapowiada się nieźle. Wprawdzie

przestrzegał, że może i nam zdarzyć się niespodzianka, bo „licho nie śpi”, ale przy zachowaniu czujności, możliwe będzie wcześniejsze zapobieganie – odpowiedziała Kira.

– To inna sprawa. Szef nas przestrzegał, że drzewo jest niepewne i ma dwa rdzenie. Jeden jest prawoskrętny, a drugi lewoskrętny. Utrzymanie takiej rośliny w doskonałym kolorycie i formie jest trudne, ale na razie nie było większego problemu. Owszem, były różne kryzysy, wyblaknięcia, rozszczenia, jednak później drzewo wracało do formy. Gabriel malował, a ja rzeźbiłam, i rosło, puszczało liście i kwiaty. Nie były doskonałe, ale myśleliśmy, że z czasem kwiaty nabiorą głębi i doskonałości. Już widzieliśmy się na podium. Jestem uparta i nie przemawiał do mnie argument barw kontrastowych, niekompatybilnej materii pierwotnej. Myślałam, że jak się postaramy, pomożemy, to pewnego dnia drzewo będzie tak piękne i mocne, że Mistrz sam poprosi, aby je przesadzić do Absolutu. I dostąpimy zaszczytu malowania uczuć najwyższych, dusz idealnych. Po to w końcu studiowaliśmy u najznamienitszych. Przez całą wieczność bez jakiegokolwiek buntu myśliśmy pędzle i trzymaliśmy palety, nawet z najciemniejszymi kolorami. – W głosie Almy słychać było rozgoryczenie i rozczarowanie.

– Myślę, że byliśmy ślepi i zarozumiali. Od razu wiedzieliśmy, że drzewo jest tak odmienne. Tak trudno przyjmowało pastelowe kolory. Najłatwiej można było je malować ciemnymi odcieniami i granatem, a to niedozwolone. Pamiętasz, jak zaczęły rdzenie oddzielać się i rozchodzić? Spędziłaś wiele nocy i dni, aby je na nowo formować, naginać. Myślałem wtedy, że poddasz się i odpadniemy. Chyba w tamtym czasie powinniśmy byli zrezygnować. Oszczędzilibyśmy sobie wstydu. Na początku każdy może przymierzać się do konkursu. Mistrz by zrozumiał i dał nam inne możliwości.

Gabriel starał się zrobić rachunek sumienia. Nie miał wątpliwości, że zbyt szybko się zdecydowali. On był skłonny ustąpić, ale urzeczony entuzjazmem Almy, przyłączył się do jej szalonego dzieła. Teraz postanowił zebrać całą swoją mądrość i zdobytą wiedzę, aby po raz ostatni spróbować uratować życie ich lawendowego marzenia.

– A teraz was pożegnam – zwrócił się do pozostałej trójki, obchodzącej drzewo. – Idę przyjrzeć się innym drzewom w sadzie. Później postaram się zdobyć pokarm, a jeśli nie będzie to możliwe, to przynajmniej pozbię trochę łez, aby podlać korzenie. Mam nadzieję, że mają odpowiedni odczyn. Ostatnio był zbyt kwaśny i długo musiałem czekać, aż zobojętnieje. Całe szczęście, że kobieta jest czasem tak zasadnicza – zażartował. – Gdyby ten stan trwał dłużej, z pewnością nowe pędy uschłyby i nie byłoby czego ratować.

– Wracam do codziennych zajęć. Wczoraj Ona złożyła zamówienie na rozmowę z wieloma naszymi braćmi. Muszę poszukać ich w niebycie i przekazać

przesłanie miłości i pokoju. Niech pomagają. Po to są – powiedziała Alma i zniknęła w turkusowym gąszczu.

\* \* \*

Poranek przywitał Gizelę pogodnym niebem, na którym rozgościło się jasne słońce. Na niebie wolno przesuwały się niewielkie, rzadkie obłoczki. Stała w oknie i obserwowała ulicę, na końcu której zza ściany domów wyłaniała się kościelna wieża. Właśnie zegar wybijał godzinę dziewiątą. Otworzyła walizkę i wydobyla z niej potrzebną garderobę oraz ręcznik.

Gdy już wykąpana i ubrana schodziła na parter, w połowie schodów poczuła zapach świeżo zaparzonej kawy i ciepłego pieczywa. Na stole stało śniadanie.

– Dzień dobry, Gizel! – usłyszała od strony werandy. Babka właśnie podlewała czerwone kwiaty begonii, rosnącej na werandzie. – Jak spałaś? Czy dobrze? – Podniosła głowę i spojrzała na wnuczkę.

– Dzień dobry! – odpowiedziała. – Miałam dziwne sny. Śnił mi się jakiś zamek. Szukałam klucza do wielkiej skrzyni, w której podobno był pierścień przeznaczony dla mnie. Ale nie potrafiłam nic znaleźć. Tyle tam było pokoi, tyle ciężkich drzwi. Śnił mi się także jakiś mężczyzna. Był młody, ale nie pamiętam jego twarzy. Na głowie miał kask, który zakrywał mu twarz. Coś w nim było niepokojącego... – Zamyśliła się nad obrazem ze snu. – A później śnił mi się kolorowy ogród i jakieś anioły. – Gizela w myślach próbowała odtworzyć uczucie, które pojawiło się we śnie, ale nic oprócz niepokoju nie przychodziło jej do głowy.

– Sen mara, Bóg wiara! – przytoczyła stare przysłowie babka Nina, chcąc uspokoić wnuczkę. – Siadaj do manger. Później opowiem ci trochę o twoja familia. Rano zrobiła rozmowa telefonem z Marlen, żona twój wujek. Przyjdą na obiad. Po manger zrobicie trochę promenade. Zobaczysz Ruelle i *l'environs*. Zapoznacie siebie.

Gizela od razu polubiła Marlen. Miła, wiecznie uśmiechnięta kobieta była ładna, choć bardzo naturalna. Nie poprawiała makijażem swojej urody. Nosila się sportowo, nie przykładając specjalnej wagi do stroju. Pomimo iż przekroczyła już pięćdziesiątkę, sprawiała wrażenie dużo młodszej. Natomiast jej partner, Paul

wyglądał na swoje lata. Krótko ostrzyżone, szpakowate włosy na czubku głowy były dobrze przerzedzone. Krótka bródka była całkiem siwa. Na nosie miał niewielkie okulary, które dodawały mu sienkiewiczowskiego wyglądu. Śmiał się tubalnie, śmiesznie marszcząc wydatny nos. Gizela od razu zauważyła pomiędzy nimi dużą więź emocjonalną. Wzajemnie o sobie starali się zadbać. Widać to było podczas obiadu, gdy podsuwali sobie co lepsze kęski, a także później, gdy wspólnie starali się przemierzać niewielkie uliczki Ruelle.

Ten weekend w Ruelle mieszkańcy przeznaczili na urządzenie wielkiej wystawy prac artystów plastyków. Przyjechali tu malarze, rzeźbiarze, graficy, fotografowie, a także rysownicy, koronkarze i patchworkarki z okolicy.

Marlen trochę w języku francuskim, a trochę na migi starała się jej wyjaśnić, że odbywa się tu coroczna wystawa prac różnych artystów i część domów zamieniła się w galerie.

W pierwszym domu Gizela odkryła piękne akwarelki, malowane przez kobietę o japońskim nazwisku. Akwarele urzekły ją kolorytem, niesamowitą atmosferą wyzierającą z barwnych plamek, zaskakujących wyłaniającym się z nich rysunkiem. Delikatnie zaznaczone mocniejszymi pociągnięciami piórka linie ukazywały urzekający, bajkowy świat. Ta pierwsza galeria, w której przeżyła duże artystyczne wzruszenie, nastroiła ją wyjątkowo pogodnie do dalszej części spaceru. Bezpowrotnie ulotnił się gdzieś lęk przed barierą językową, która nie pozwalała młodej kobiecie dobrze porozumieć się z sympatyczną parą. Szła swoim tempem, przyglądając się z uwagą artystycznym dziełom oraz wiosce. Zaskoczyła ją duża ilość zwiedzających. Szli całymi rodzinami, wступując do poszczególnych galerii. W trakcie zwiedzania na niektórych pracach zaczęły pojawiać się karteczki „vendu”.

Największe powodzenie miały wystawy koronek, biżuterii i bibelotów. Przed gablotami tłoczyły się nastolatki, przymierzające kolczyki, korale i bransolety. W uszach ich migotały barwne rybki, kolorowe kwiaty, tęczowe kule. Na dłoniach pojawiały się pierścionki z ogromnymi oczkami ręcznie malowanych wzorów.

Gizelę zaskoczyła galeria patchworków, zainstalowana w średniowiecznym kościele. Pomiędzy płaskorzeźbami przedstawiającymi drogę krzyżową, barwnymi wzorami odbijały się wielkie kapy. Mniejsze obrazki wisiały na drewnianych, okrągłych patykach pomiędzy surowymi figurami świętych, nadając im bardziej swojskiego, ziemskiego charakteru. Odbijały się od ciemnych desek, zdobiły białe ściany. W zakrystii wystawiono prace graficzne o istic diabolicznej tematyce cierpienia, brzydoty, wszelkiego grzechu. W kościelnym ogrodzie, usadowionym za wysokim kamiennym murem, umieszczono wystawę rzeźb nowoczesnych. Zatopione w ażurowym cieniu rzucanym przez dziwacznie powykręcane stare drzewa, abstrakcyjne sylwetki nowoczesnych rzeźb dostawały barwnych

słonecznych skrzydeł, co nadawało im wyglądu mieszkańców nieznanymi planet.

Obok ogrodu urządzono zadaszoną scenę, a poniżej wystawiono ławki i stoliki. Tu Gizela postanowiła na chwilę odpocząć. Nozdrza jej podrażnił zapach gofrów. Poczula głód. Na scenie jakiś mężczyzna grał na gitarze i śpiewał do mikrofonu stare światowe przeboje z drugiej połowy dwudziestego wieku. Głos miał mocny. Kiedy przechodziła obok niego, uśmiechnął się i puścił oczko. Oddała uśmiech i podeszła do prymitywnego baru, umieszczonego na końcu ogrodu. Dukając, zamówiła lokalne piwo. Usiadła na skraju ławki, obok innych biesiadujących przybyszy. Przysłuchiwała się znanym przebojom, obserwowała rozradowanych ludzi. Słońce bardzo mocno grzało. Zaczęła wzrokiem szukać miejsca w cieniu. Pod starym murem odkryła niską, kamienną ławkę, bardzo mocno oddaloną od sceny. Wzięła swój plastikowy kubek z piwem i zanurzyła się w cienistej alejce. Usiadła na ławce, lekko obrośniętej mchem. Oparta plecami o omszałe kamienie, odpoczywała. Chłód przyniósł jej ulgę. Wyciągnęła zmęczone nogi i zamknęła oczy. Dźwięki muzyki lekko przycichły. Usnęła.



## Ogród

Zapadał zmierzch. Alma siedziała już pod drzewem i czekała na Gabriela. Nagle ujrzała poświatę, która przybliżała się. Po chwili spostrzegła, że to Kira i Ariel, trzymając się za ręce, płyną w jej stronę. Oboje mieli bardzo smutny wyraz twarzy.

– Co się stało? – zapytała przyjaciół.

– Jeszcze wczoraj mówiliśmy o naszym drzewie, że jest pewniakiem, a tu dziś mamy co do tego duże wątpliwości. – Kira nie potrafiła ukryć rozczarowania.

– Powiedz Almie, o czym dowiedzieliśmy się przed chwilą – zwróciła się do Ariela, po czym usiadła obok Almy i żdźbłem trawy zaczęła rozczesywać skrzydła.

– Dosłownie przed chwilą przyleciał goniec z listem od Mistrza. Donosi w nim, że mamy szykować się na trudne chwile, bo właśnie moja podopieczna dowiedziała się o swojej ciężkiej chorobie. Zdaniem Mistrza nie są to przelewki. Na razie o chorobie wie tylko ona. Jej mąż o niczym nie ma pojęcia. Mistrz nie wie, jak postąpi kobieta i co z drzewem będzie dalej. Myślimy, że to chyba koniec naszych starań, że nie znajdziemy się w Absolucie. Mamy złe doświadczenia. Już trzy drzewa rosnące obok naszego uschły w przeciągu paru lat od otrzymania wiadomości o chorobie. Kwiaty zaczęły nagminnie opadać, liście żółknąć, gałęzie szerniały i koniec marzeń!

Ariel był przybity smutną wiadomością. Dotknęła go podwójnie. Zawsze smuciło go spotkanie z cierpieniem ludzkim, ale także martwiła go świadomość rychłego końca przygody. Już niedługo będzie musiał pożegnać Kirę. Kochał ją miłością czystą i piękną od pierwszej chwili, gdy poznał ją u Mistrza. Myślał, że już zawsze zostaną razem w Absolucie i będą przewodnikami dusz, ogrodnikami ich drzewa.

– Na razie nasze drzewo stało się tylko bardziej pastelowe – pocieszyła go Kira. – O! Wraca Gabriel! Dobrze, że zdążył przed pierwszą gwiazdką – powiedziała i podniosła się z murawy.

Rozpostarła skrzydła i zatrzepotała nimi, unosząc się ponad drzewem. W powietrze poleciał różowy puch. Pofrunął coraz wyżej i wyżej, aż zawisł pomiędzy chmurami, tworząc różową zorzę.

– Już czas! – zwróciła się do Gabriela. Sfrunęła na murawę i podała mu dłoń. – Chodźmy sprawdzać pąki. Po wczorajszej awanturze mogą być przymrożone i szernieją, jeśli im na to pozwolimy. Musimy rozgrzać je ciepłem wspomnień. Zróbmy to razem.

Podeszli do drzewa i zaczęli dotykać po kolei każdego pąka, aż trafili na wyjątkowo zimny. Czuli, jakby mieli w dłoniach sopel lodu.

– Podaj swoje dłonie. Pąk jest zbyt zimny, aby mój dotyk mógł mu pomóc. Taki sopel może rozgrzać jedynie dotyk pary dłoni aniołów.

Alma chwyciła skostniały pęk, a Gabriel nakrył jej dłonie swoimi. Oboje zajaśniali mocnymi barwami, a palce ich nabrały mocy. Nagle w mieszaninie różu i zieleni rozbłysła mała iskierka, która zaczęła się powiększać i coraz bardziej rozżarzać, aż stała się gwiazdą. Rozchylili dłonie. Gwiazda wzniosła się ponad drzewo. Cała czwórka spojrzała na migocące światło... Gdy światło przygasło, Alma spojrzała na Gabriela.

– Szkoda, że najszybciej odlatują te najbardziej kolorowe, najpiękniejsze. Może tym razem uratowaliśmy piękny kwiat i nie opadnie – powiedziała.

– Myślę, że powinniście być jak najlepszej myśli. Dobre nastawienie pomaga. – Kira starała się podtrzymywać przyjaciół na duchu. – Nie smućcie się. Jesteśmy wszyscy zaproszeni na wielkie święto. Przybywają do nas Noel i Noemi. Mistrz pozwolił im na prace eksperymentalne, pomimo iż nie skończyli terminowania. Podobno są obdarzeni wyjątkowymi zdolnościami. Trzeba się radować! A propos święta. Miało zacząć się o wschodzie słońca. Noemi wybrała ocean i delfiny. Mistrz bardzo przestrzega ceremonii, zanim pozwoli na narodziny.

– Ciekaw jestem, co podarują drzewu. Zawsze wiedziałem, że podarek ma największe znaczenie. – Gabriel był bardzo zasadniczy.

– Pójdziemy przygotować się do święta. Musimy zajrzeć jeszcze do naszej części ogrodu. – Kira schyliła się i podniosła piórko, które wcześniej wysunęło się z jej prawego skrzydła. – Bardzo przybiła mnie wiadomość, którą otrzymaliśmy od Mistrza. Odbija się to nie tylko na moich barwach. Tracę pióra – pożaliła się Almie i odleciała w zielony gąszcz.

Za chwilę pod drzewem pozostała tylko Alma. Gabriel poszedł sprawdzić, jakie barwy będą tego dnia potrzebne do malowania drzewa. Odlatując, poinformował, że spotkają się na miejscu.

Wstawał świt. Ocean przypominał marszczoną, granatową bibułę i ciągnął się od horyzontu po horyzont. Niebo miało odcień ciemnego, szarego błękitu, który oddzielała od granatu mała smużka delikatnego fioletu, jakby na horyzoncie ktoś rozsypał ogromny kosz fiołków. Ku białym obłokom, które nieruchomo zawisły ponad falami, ze wszystkich stron nieboskłonu płynęły pastelowe smugi. Osiadały na puszystej bieli, nisko, nad niewielkimi grzbietami fal. Ariel z Kirą próbowali wśród tęczowej mgły odnaleźć parę przyjaciół. Po długich poszukiwaniach, z boku, na małym obłoczku zauważyli charakterystyczne, złote wykończenie skrzydeł Almy. Siedziała z Gabrielem z daleka od tłumu innych aniołów, ciekawych nowych ogrodników.

– Chodźcie szybko. Już prawie się zaczęło. Popatrzcie. – Alma wskazała skrzydłem linię horyzontu. Fioletowa smuga zaczęła podnosić się do góry, ciągnąc

za sobą róż, który stawał się coraz bledszy. Potem nabrał innego odcienia, aż przeszedł w pomarańcz. Kolor ten w miarę podnoszenia się ku zenitowi, nabierał coraz bardziej złotej barwy, w końcu zamienił się w czyste złoto jasnej tarczy słońca. Granat morza zbladł i nabrał turkusowego odcienia. Grzbiety fal rozjaśniły się. Pojawiły się na nich srebrzyste, koronkowe cienie. Od horyzontu nadpłynęła wielka ławica delfinów. Ssaki wznosiły się ponad falami, wyskakując ku przyglądającym się im aniołom, jakby chciały powiedzieć: chodźcie do nas! Później chowały się w nurtach oceanu, nurkując radośnie ku kolorowej drobnicy ryb. Po chwili anioły przyjęły zaproszenie i nad falami pojaśniało. Krople wody rozbłysły diamentowymi skrami. Jasne, mokre grzbiety delfinów oplecione zostały tęczowymi smugami anielskich cieni. Skrzydła szumią. Wtórował im śpiew delfinów. W przestrzeni błękitu zawisł nastrój szczęścia i spokoju. Nagle rozchyliły się białe kłaczki chmur i z bezkresu nieba wyłonił się złoty promień. Po obłokach przeleciał szmer.

– Droga dla Mistrza!

Dwa nieznane Almie anioły podpłynęły ku promieniowi. Wyciągnęły dłonie.

– Co ofiarujecie? – Głos Mistrza był głęboki jak grzmot.

– Pobłogosław, Mistrzu, dobroć i łagodność. Niech karmią nasze drzewo, aby rosło na przyszłą chwałę Absolutu.

– Niech stanie się, jak rzekliście. Teraz możecie zaprosić wszystkich na akt narodzin drzewa – potoczyło się echem po grzbietach fal. Złoty promień zmienił się, nabrał wyrazistości i spoczął na dłoniach Noemi i Noela. Anielskie dłonie zabłysnęły, jakby trzymały płomień. Jego języki przygasły, zmalowały i nagle zmieniły się w złote ziarno. Kolorowa tęcza opuściła delfiny, uniosła się ponad falami i popłynęła za Noemi i Noelem, którzy niosąc drogocenny dar Mistrza, skierowali swój lot ku ogrodowi.

Gabriel i Alma od razu udali się w najnowszy rejon. Wiedzieli, że to właśnie tam powstaje kolejna szkółka drzew, które w przyszłości być może doświadczą zaszczytu przeniesienia do Absolutu. Już tyle razy oglądali cud narodzin, ale mimo wszystko i tym razem nie chcieli rezygnować z tak wzruszającego przeżycia. Zawsze napawało ich to otuchą i dodawało sił, aby zmagać się z przeciwnościami oraz trwać w swojej części ogrodu, wierząc, że wszystko będzie dobrze. Tym razem też zajęli najdogodniejsze miejsca.

Po chwili korowód zbliżył się do przygotowanego kawałka żyznej gleby. Noemi złożyła złote ziarno do przygotowanego dołka. Następnie powolnymi ruchami dłoni nałożyła na nie warstwę ściółki. Dłonie jej wykonywały posuwiste ruchy, jakby nie był to akt sadzenia, a delikatna pieśń. Noel wzniosł w górę kryształowy dzban.

– Karmię cię uczuciem czystym. Rośnij na chwałę Mistrza! – powiedział.

Anioły wzniosły się w powietrze i zatoczyły krąg. Rozległ się cichy śpiew i skrzydła zaszumiały. Każdy z aniołów zbliżał się do kopczyka i upuszczał na glebę jedną łzę wzruszenia. Zanim dotarła do ziarna, skrzyła się w powietrzu, jak czystej wody pięknie oszlifowany diament. Powiał ciepły wietrzyk. Rosnące na skraju szkółki starsze drzewa zaszumiały. Pojaśniały liście, barwy kwiatów stały się bardziej wyraziste. Nagle z szumu, jak spod podniesionej kurtyny, wyłoniły się delikatne dźwięki skrzypiec. Usypany dłońmi aniołów kopczyk zaczął się wybrzuszać i pękać. Dźwięk wzmacnił się, a z ziemi wysunął się tęczy promień. Ogród utonął w migoczących, tęczy refleksach. Jednocześnie do skrzypiec dołączyły dźwięki harfy. Pomiędzy pniami drzew popłynęła sonata. Ze ściółki wysunął się mały czubek roślinki. Był malinowy, mieniący się brokatem. Powietrze rozedrgało się mocnymi dźwiękami organów. Dźwięk potężniał, odbijając się echem od chmur. Aż osiągnąwszy apogeum, przycichł, jak grzmot dalekiej burzy.

Alma poczuła wzruszenie. Przypomniała sobie, jak wiele lat wcześniej kiełkowało ICH drzewo. Przywołała sobie tamten nastrój i swoje zdumienie, że może być coś tak cudownego w dziele powstania. Z małej, złotej grudki może powstać kolorowe życie. Wtedy kiełkująca roślina miała seledynowo-lawendowe pędy i była niepowtarzalna, jak senne marzenie anioła.

## Rozdział III

### Nina

– Gisèle! Gisèle! – usłyszała z oddali głos Marleny. – Est-ce que tu dors?

– Je ne dors pas! – odpowiedziała szkolnym zwrotem, bo zawstydziła się, że usnęła.

Wrócili do domu po paru godzinach, zmęczeni, ale bardzo zadowoleni. Marlen kupiła patchworkową powłoczkę na poduszeczkę, a Paul obrazek. Gizeli podobały się malutkie kolczyki, przedstawiające rozkoszne aniołki. Były srebrne, a sukieneczki miały zrobione z jakiegoś błękitnego kamienia. Wyglądały tajemniczo. Nie potrafiła odmówić sobie prezentu.

Gdy Marlène i Paul oddalili się, Nina podeszła do Gisèle.

– Chodź, trochę opowiem ci o nasza familia – powiedziała babka.

Gizela zagłębiła się w treść opowieści i powoli znikło wewnątrz pokoju. Pojawiła się stara wioska na wschodnich rubieżach Polski. Zobaczyła cztery małe, umorusane, bosc dziewczynki.

### Rok 1936

*Jasia, gdzie ty znowu idziesz? Mamusia kazali pilnować Broni.*

*Zaniepokojona dziesięcioletnia Nina trzymała za rękę młodszą siostrzyczkę. Mała miała zaledwie pięć lat i bardzo płakała. Była głodna, a równie głodna Nina nie wiedziała, czym ją nakarmić. W domu nie było niczego do jedzenia. Zaczął się listopad i pomimo iż dni jeszcze nie były zbyt zimne, coraz ciężiej było w lesie znaleźć coś do jedzenia. Kromka chleba i mleko, które zostawiała rankiem matka, wychodząc na służbę, starczały na krótko. Z burczącym brzuchem trzeba było czekać do wieczora. Matka zawsze przynosiła coś ze dworu. A to parę gotowanych ziemniaków, a to trochę mleka i mąki, z której robiła zacierkę, a czasem nawet jakieś resztki z dworskiego obiadu. Wtedy było święto. Często jednak nic nie dostawała prócz chleba, a wtedy z pustym brzuchem trzeba było czekać do następnego ranka, który był równie głodny, jak wieczór. Czasami najstarsza z rodzeństwa, Franciszka coś przyniosła ze swojej wyprawy na dworzec kolejowy, do miasteczka. Tam prosiła o jałmużnę dla sierot. Po śmierci tatusia często tam chodziła, aby choć trochę pomóc zmęczonej i wiecznie zatroskanej matce. Nie potrafiła głodna usiedzieć w domu. Miała już dwanaście lat i zdawała sobie sprawę, że też jest odpowiedzialna za swoje młodsze siostry. Ona najlepiej pamiętała czasy, gdy jeszcze było im dobrze. Wtedy mieszkali w Kowlu. Tatuś prowadził sklep, a mamusia mu pomagała i rodziła kolejne dzieci. Ich rodzina nie miała szczęścia. Chłopaki nie dożywali dziesiątego roku życia. Jeden zmarł na suchoty, a drugi latem utopił się w rzece. Próbował złapać ukrywające się pod*

*kamieniami jazie. Zanurkował i wsunął rękę zbyt daleko między kamienie. Ręka mu ugrzęzła, bo coś się obsunęło. Nie wypłynął. Gdy go wyciągnęli, już nie żył. A później coś nie udało się w handlu i rodzice musieli zamknąć sklep. Ojciec znalazł posadę na wsi we dworze. Pracował w stajni przy koniach, bo trochę znalazł się na tej pracy. Jeszcze w tym samym roku okazało się, że też ma suchoty. Nie dożył Bożego Narodzenia. Dola samotnej kobiety z czwórka córek nie była w tym czasie do pozazdroszczenia.*

*Nie było wyjścia, matka musiała dzieci pozostawić w domu i najęła się w majątku do krów i innych posług w chlewie i oborze. Miała wiele szczęścia, bo dziewczka od dojenia krów wydała się dobrze za mąż i porzuciła posadę. Ekonom ulitował się nad wdową i gdy skończyły się oszczędności ze sprzedaży sklepu, zaczęła służyć. Ale marny to był zarobek. Ciężko było utrzymać trzy dorastające dziewczyny i jedną małą. Klepały biedę, przeważnie głodując.*

*W końcu któregoś dnia Franciszka nie wróciła z miasteczka. Po paru dniach matka przywiozła ją sztywną na jakiejś furmance. Była ostra zima i ktoś znalazł ją w zaspie śnieżnej. Zamarzła w drodze do domu. Teraz najstarsza była Jasia, ale jej nie w głowie było zajmować się, jak to mówiła, „zasranymi bachorami”. Uciekała z domu do innych dzieci. Najczęściej bawiła się z tymi, u których w chałupie nie było tak strasznej biedy. Tam czasem poczęstowano ją kromką chleba czy też miską cienkiej zupy. Mała Bronia zostawała z Niną.*

*Nina nie miała sumienia pozostawić siostry samej. Często płakała razem z Bronią. Mała z głodu, a ona z głodu i bezsilności. Najlepiej było latem, gdy w lesie pojawiały się jagody, jeżyny i maliny oraz wielkie, kolorowe kapelusze grzybów. Piekły je na dużych kamieniach, rozgrzanych w ognisku. Czasem uczta była jeszcze lepsza, gdy udawało się złapać jakąś rybę. Ryb było dużo pod kamieniami na dnie rzeki. Jednak nie tak łatwo było je złapać...*

Stara kobieta zamyśliła się. Umilkła. Przetarła załzawione oczy. Obraz wschodniej wsi gdzieś uleciał.

– To było tak dawno. Ja nie wiem, jak wtedy można było żyć. Ciężkie było nasze życie. Ciężkie było życie naszej mamusi. Nie wiem, jaki cud sprawił, że Bronia żyła. Teraz ludzie mają wszystko. Dzieci mają bardzo dobrze. Niedobre te myśli! Jak ja w domu sama, to mówię do myśli „allez, allez!!!”. Oj, nie chce powracać już dziś do Sołotwina. Może ta wieś dziś jest kaput?! – powiedziała z mocą, kończąc opowieść. – Ty masz zmęczone nogi? Dużo chodziłaś „à pied”? Ja muszę do moja chambre. Przywiozła sobie jeszcze z Kowla le livre do modlitwa. Kupiła go za pierwsze diengi, co dostała od taka pani, u której w czas wojny pracowała. Kartki już teraz każda sobie, ale polska modlitwa dla mnie dobra.

Poleżę na wieczór, poczytam słowo do Boga i myśli spokojne. – Zakończyła swoją smutną opowieść.

Nina krzątała się jeszcze chwilę w kuchni, a później ze szklanką wody w ręce poszła do swojej sypialni, zostawiając Gizelę samą.

Dziewczyna zeszła na werandę i usiadła na kamiennym progu. Przed oczami miała rozkwiecony ogródek babki, położony na stoku miękko schodzącym w dolinę i ciemność nocy. Światło werandy wyławiało z letniej nocy kolorowe plamy kwiatów. Szczególnie dużo było pięknych, pełnych georginii, bo tak Nina nazywała kolorowe kule dalii. Ale były też malwy i delikatne, smukłe gladiole. Przeciwny stok porastał las, który w nocy stanowił jedynie ciemne tło dla oświetlonych krzewów i drzew ogródka. Gizela wróciła myślami do pamiętnika matki. Jakże inne było ich dzieciństwo.

Biedna babcia Nina! – pomyślała ze współczuciem.

Późnym wieczorem znowu wróciła do wspomnień i pamiętnika matki.

### ***Pamiętnik Klary, rok 1983***

*Klara powoli doszła do siebie. W domu sytuacja unormowała się. Wojtek przestał wychodzić. Zmienił się. Wrócił dawny, czuły mężczyzna jej życia. Tylko na dnie jej serca pozostał mały, ostry kamyczek, którego w żaden sposób nie potrafiła wyrzucić. Jednak nigdy nie zapytała Wojtka o Danutę Okoń. Parę dni po powrocie ze szpitala znalazła w skrzynce białą kopertę, adresowaną do niej. W środku była kolorowa kartka z życzeniami powrotu do zdrowia. Na dole kartki widniało zdanie, zaczynające się od słowa „przepraszam” i informujące, że Danuta Okoń wyjechała do innego miasta. Kartkę podpisał Marian Okoń.*

*A parę dni później zdarzył się wypadek komunikacyjny, w którym ucierpiała Gizela.*

*Klara właśnie jechała z córeczką do lekarza, gdy tramwaj wyskoczył z torów. Rannych było parę starych kobiet i Gizela.*

*U Klary skończyło się jedynie na dużym guzie i paru siniakach. Niestety dziecku potrzebna była transfuzja krwi. Oboje z Wojtkiem stawili się w punkcie krwiodawstwa i właśnie wtedy dowiedzieli się, że Wojciech nie jest biologicznym ojcem dziewczynki.*

*Mimo obaw Klary, Wojtek nadzwyczaj dobrze przyjął tę informację. Oddał tyle krwi, ile tylko mógł. Odwiedzał dziecko codziennie i starał się dowiadywać o stan jej zdrowia, gdy tylko lekarze chcieli udzielać informacji. W dniu wyjścia Gizeli ze szpitala pomógł Klarze odwieźć dziecko do domu, po czym spakował walizkę i bez słowa wyjechał.*

*Zajęta rekonwalescencją córeczki Klara nie miała czasu ani siły, aby przejąć się tym, co się stało. Zdrowie dziecka wymagało stałej uwagi kobiety*

*i zabierało ogromną ilość czasu. Klara biegła z dzieckiem na zajęcia rehabilitacyjne, ćwiczyła z nią w domu, a gdy już wszystkie córki spały, myślała o tym, że powinna poinformować prawdziwego ojca dziecka.*

*Którejś bezsennej nocy podjęła decyzję. Rankiem wstała, odszukała w starych notatkach adres Jean-François i napisała krótki list z informacją, że jest on ojcem Gizeli. Poinformowała, kiedy dziecko się urodziło, że miało wypadek, ale już jest wszystko w porządku. I wysłała list. Nie otrzymała odpowiedzi.*

*A pod koniec lata Wojtek wrócił do domu.*

### **Jesień 1983 r.**

*– Pani Klara Jasińska! – usłyszała głos rektora i wyszła z ławki, aby odebrać kolejny w swoim życiu indeks. Zaczął się rok akademicki. Wracając do domu, zastanawiała się nad fenomenem zmian życiowych. Tyle zapowiadają. Tyle mogą pomóc. Pomimo iż nie było to łatwe, czuła się fantastycznie. Zrobiła pierwszy krok, aby odmienić swoje życie. Zapowiedź zmian wyrwała ją z apatii. Przede wszystkim nagle poczuła się bardzo młoda. Poza tym zrozumiała, że już nie poddaje się bezwolnie losowi, ale ma jakiś wpływ na to, co się z nią dzieje. Nie czuje się już jak marionetka, która ma do rąk i nóg przytroczone sznurki. Wojtek za nie pociąga i zmusza ją, aby robiła tylko to, co jemu odpowiada. Bardzo ciążył jej ten małżeński teatr, z wcześniej przygotowaną dla niej rolą matki, kobiety, a przede wszystkim żony. W podświadomości tęskniła za możliwością dokonywania własnych wyborów, układania życia po swojemu. Nie bała się, że w sztuce braknie roli dla Wojtka, jednak wolala, aby to ona mogła budować swoją postać. Musiała coś zmienić w swoim życiu, więc uparła się na kolejny fakultet. Wojtek nie był zachwycony decyzją żony. Zasypywał ją gradem pytań i rzucał kłody pod nogi.*

*– Kochanie, jak sobie wyobrażasz nasze życie, kiedy ty będziesz studiować?*  
*– To było pierwsze zdanie, które wypowiedział, gdy próbowała mu opowiedzieć, jak bardzo cieszy się, że zdała egzamin i została przyjęta na studia. Zaniemówiła. Bo co mogła odpowiedzieć na swoją obronę. Przecież Wojtek by nie rozumiał. W jego ocenie były to jej fanaberie, bo komu potrzebne kolejne studia. Taka bezsensowna zachcianka, jak określił Wojtek. Przecież miała już dyplom ukończenia uczelni. Argument, że nigdy nie lubiła swojej pracy i nie czuła się na swoim stanowisku dobrze, nie był dla niego wystarczający. Zdaniem męża, marnowała swój czas, zabierała dzieciom siebie, mamę Klarę. Zabierała jemu gospodynię domową i żonę.*

*– Przysięgam ci, że nigdy nikt nie odczuje moich studiów. Konsekwencje swojego kroku poniosę sama – powiedziała w końcu, patrząc w podłogę, aby nie zobaczyć łez, które pojawiły się w oczach.*

*Z ciężkim sercem chodziła raz w miesiącu na zajęcia, mając wielkie wyrzuty sumienia i świadomość, że odziera rodzinę ze swojej obecności w domu. Wcześniej*



gotowała posiłki, przygotowywała półprodukty, pakowała, mroziła, aby Wojtkowi pozostało tylko odgrzanie jedzenia, aby miał jak najmniej pracy. Uczyla się tylko nocami, gdy już wszyscy spali. Napuszczała do wanny gorącej wody i siedziała z książkami i tylko od czasu do czasu dopuszczała sobie ciepłej wody. Po paru godzinach jej skóra przypominała pomarszczoną bibułę, ale nikomu tym nie przeszkadzała.

Z czasem polubiła tę wodną naukę i kiedy była sama w mieszkaniu, a więc mogła uczyć się w pokoju, jakoś czuła się nieswojo, a wiedza słabiej „wchodziła” jej do głowy. Z czasem nabrała większej pewności siebie. Z zajęć przychodziła odmieniona, uśmiechnięta. Za każdym razem potykała się o wnikliwe spojrzenie męża, ale nic nie mówił. I tak minęły pierwsze miesiące nauki. Pewnego zimowego dnia pani Jadzia, socjalna, powiedziała, że zbiera pieniądze na świnie, bo trudno w sklepach o mięso. Zaopatrzeniowiec pojedzie służbową nyską pod Lublin, bo tam ma swoją rodzinę, która mieszka na wsi i hoduje na swoje potrzeby również świnki. Już rozmawiał w tej sprawie z ciotką. Dla niego cała świnia to za dużo, a i nie ma czym przywieźć. A jak już ma wieźć z daleka mięso, to niech również inni skorzystają. Podzielił mięso sprawiedliwie pomiędzy wszystkich chętnych.

Klara ucieszyła się. Dziewczynki były jakieś blade, słabo odżywione. Wojtek też narzekał na brak mięsa.

Zaopatrzeniowiec pojechał w piątek i słuch o nim zaginął. Gdy we wtorek rano nie pojawił się w pracy, wszyscy byli już mocno zaniepokojeni. W środę około południa do kadr zadzwonił sierżant z posterunku MO na trasie wyjazdu. Okazało się, że pracownik został zatrzymany za szmugiel. Dużo energii i znajomości potrzeba było, aby sprawie „ukręcić łeb”. Ale świnia bezpowrotnie przepadła. Przymuszalnie trafiła do garnka rodziny funkcjonariuszy z posterunku MO.

– Kochanie, zbliżają się święta. Jak tu je wyprawić, kiedy nic nie mamy – zamartwiała się Klara – a świnia przepadła. W sklepach tylko ciężarne i staruszki mają szansę na jakieś ochłapy.

– No, właśnie! Ja nie mam żadnych szans, bo jestem chłopem, ale ty możesz być w ciąży!

Głos Wojtka dochodził z łazienki, więc mężczyzna nie zauważył miny Klary.

– Oczywiście nie naprawdę w ciąży, ale jakbyś wepchnęła pod sukienkę poduszkę, to mogłabyś udawać, że jesteś przy nadziei. – Wojtek nie miał żadnych wątpliwości co do moralnej strony tego przedsięwzięcia. – Wiesz, teraz liczy się prawo buszu. Albo ty pożresz, albo ciebie pożrą. Jak chcesz przetrwać, to musisz kombinować!

Nie była pewna oczywistości takiej pokrętej moralności, ale nie miała wyjścia. Pojechała do oddalonej od śródmieścia dzielnicy i tam stanęła w kolejce dla osób uprzywilejowanych. Specjalnie na ten cel wzięła sobie dzień urlopu.

Założyła zieloną sukienkę, której krój doskonale pasował do jej roli. Do

*tego szary, rozkloszowany płaszcz. Rozpuściła długie włosy i mocno wypięła brzuch do przodu. Pomyślała, że pierwszy raz w życiu do czegoś przyda się jej mała oponka na brzuchu, z którą tak bardzo walczyła i która nie poddawała się, taka była oporna.*

*W sklepie zastała już wielki, kotłujący się i kłócący tłum. Stała skromnie z boku, w kolejce dla uprzywilejowanych, która również była dosyć długa.*

*– Pani w czerwonym płaszczu tu nie stała – krzyczał jakiś rozgorączkowany, rudy jegomość, stojący w połowie kolejki, do blondynki w zaawansowanej ciąży. – Tym ciężarnym to dawać co trzeciej, bo nam cały towar wykupią – instruował ekspedientki, uwijające się przy ladach. – Bo nam nie wystarczy! – bardzo krytycznie popatrzył na stojących spokojnie inwalidów oraz młode, ciężarne kobiety.*

*– A inwalidów to trzeba sprawdzać! Niech pokaże taki książeczkę, czy rzeczywiście ma grupę inwalidzką! Teraz każdy może powiedzieć, że jest inwalidą – poparła rudego tęga kobieta w futrze z nutrii. – Panie! – zwróciła się do mężczyzny. – Słyszałam od znajomej, że dzieci na rękach to sobie ludzie pożyczają, byle tylko oszukać. Kupi taki towar bez kolejki w jednym i w drugim sklepie, właśnie dzięki pożyczonym dzieciom, a najbardziej to te handlary, co potem za mięso biorą dwa razy tyle. Niejedna już na naszej biedzie majątku się dorobiła.*

*– Niech się pani nie wymądrza! – odpowiedziała szczupła szatynka z dzieckiem na ręku, podchodząca właśnie do lady. – Pani nie wygląda na taką biedaczkę – dodała i zwróciła się do ludzi stojących w kolejce. – W nutriach w kolejkę chodzi. Sama jest pewnie burżujka!*

*Zaczęły się dyskusje, kłótnie i utyskiwania. Klara stała jak na szpilkach. Spociała się. Na czoło jej wyszły krople potu, ale bojąc się, że ktoś odkryje mistyfikację, nie rozpiniała płaszcza.*

*– Ludzie, sumienia nie macie – powiedziała w pewnym momencie starsza, starannie ubrana i zadbana siwa kobieta. – Popatrzcie, jak cierpi ta dziewczyna. W ciąży jest, źle się czuje, aż pot jej wyszedł na czoło, ale dzielnie stoi i nie odzywa się, a wy co? Tylko widzicie czubek swojego nosa i gotowi jesteście pozabijać się za pół kilo strażackiej kielbasy.*

*Ludzie w kolejce na chwilę zamilkli, a Klarze zrobiło się wstyd. Jednak pozostała w kolejce. Straciła cały dzień. Dostała mięso i kielbasę, a nawet trochę baleronu. Na święta zaprosiła teściów. Chciała ukarać siebie za chwilowy brak kręgosłupa moralnego. I przyrzekła sobie, że nigdy więcej nie poświęci swoich zasad dla pęta kielbasy.*

Gizela nie знаła tej części historii swojej rodziny. Klara niechętnie mówiła

o trudnych czasach. O swoich moralnych wyborach nie mówiła wcale. Zdziwiona postawą matki, sięgnęła do kolejnych zapisków.

### **Zapiski, wrzesień 2006 r.**

*Od paru dni tłucze mi się po głowie pytanie, jaką jestem matką? Co jest najważniejszego w wychowywaniu dzieci? Może w tej chwili, gdy córki są dorosłe, jest to już „musztarda po obiedzie” i powinnam nad tym zastanawiać się dużo wcześniej. Jednak wiadomość, która ostatnio dotarła do mnie z takim opóźnieniem, zmusiła mnie do przyjrzenia się sobie jako matce. Nie jest to pierwszy wgląd w siebie. Z pewnością nie raz zadawałam sobie różne pytania i moje życiowe wybory uwarunkowane były odpowiedzią na nie. Odpowiedzią na pytania, jakie zadawałam sobie w ciężkich i łatwych momentach życia. Na prostej i na różnych życiowych zakrętach.*

*Gdy byłam bardzo młoda, rzadko zastanawiałam się nad życiem. Wydawało mi się, że bycie matką jest instynktowne, no bo co w tym trudnego? Rodzi się dziecko i już się je kocha, opiekuje się nim. Zwykły instynkt. Zwierzęta też go mają i w chwili zagrożenia robią wszystko, aby potomstwo przetrwało. Czasem nawet poświęcają swoje życie. Jednak nie zadawałam sobie pytania, czy aby być dobrą matką, tyle wystarczy? Nie wnikałam w to, co tak naprawdę potrzebne jest dzieciom, aby dobrze się rozwijały i były szczęśliwe.*

*Na początku byłam przekonana, że dzieciom najbardziej potrzeba pełnej rodziny. Muszą w końcu wiedzieć, na kim mogą się wzorować jako kobiety, a jak powinien funkcjonować mężczyzna, z którym chciałyby się związać. Powinny też widzieć swoją kobiecość na zasadzie kontrastu z mężczyzną, funkcjonującym w domu. Oszczędziliśmy z Wojtkiem dziewczynkom ciężkich chwil związanych z rozpadem rodziny, z życiem z jednym tylko rodzicem i ogromną tęsknotą za drugim. Czy to wystarczyło, aby córki nasze weszły w dorosłe życie pewnie, z zapleczem rodzinnej miłości i wyposażone we wszystko, co niezbędne, aby dokonywać mądrych wyborów oraz budować szczęśliwe życie? Przecież nie oszczędziłam moim kochanym dzieciom naszych kłótni, ciszy, ciężkiej i przytłaczającej wszystkich. Nie potrafiłam stworzyć domu ciepłego, wesołego i bezpiecznego. A tak bardzo chciałam. Jednak mogę w tej chwili przyznać się sama przed sobą, że tak naprawdę nie wiem, jaki jest nasz dom. Czy jest on ciepły czy zimny? Myślę, że najtrafniejszym określeniem jest „bardzo niestabilny emocjonalnie”. Raz kipi szczęściem i uczuciem, a innym razem wieje w nim lodowaty wiatr wzajemnych pretensji. A więc kolejne pytanie: czy moje córki były szczęśliwymi dziećmi? Czy nasze dążenie do własnego szczęścia nie stało w sprzeczności z ich spokojem i bezpieczeństwem? Czy też byliśmy za bardzo egoiści, aby oszczędzić dzieci?*

*Z całą pewnością nie jest dobrze, gdy rodzina jest rozbita. Ale też nie jest dobrze, gdy rodzice skaczą sobie do oczu i nie potrafią się dogadać. Gdy mają muchy w nosie i nie starają się siebie nawzajem zrozumieć. Obserwuję Marcelinę, Gizelę i Zuzannę. Każda z nich jest inna, ma inną wrażliwość, inaczej odbiera porażki, w inny sposób dąży do sukcesów. Marcela i Zuzia są bliźniętami, a wydaje się, jakby były dziećmi wychowywanymi w innych okresach naszego życia i przez innych rodziców. Więc czym uwarunkowane jest to, że jedna z nich jest bardziej nastawiona na zaspokajanie swoich potrzeb i przez życie idzie, rozpychając się łokciami? I czy taka postawa życiowa jest zła w dzisiejszych, drapieżnych czasach?*

*Z pewnością inaczej wychowywałam Zuzię i Marcelinę, a inaczej Gizelę. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale jest to pewnik. Która z nich trzech jest więc dobrze wychowana? Dlaczego nie potrafiłam dobrze wychować wszystkich dziewczynek? A może nie to jest ważne, jak się idzie przez życie? Czy w bardziej ugrzeczniejszy sposób czy bezpardonowo? Różne są poglądy na to, kto ma rację, czy ten człowiek, który sięgając po coś, pyta, czy można, czy ten bezpardonowy, który sam bierze? I jak tu wpajać dzieciom, że nie powinno załamywać się, gdy bez dania racji czegoś im odmawiają? A może właściwą drogą jest właśnie to „bepardonowe sięganie”? Ciągłe słyszę, że obecny świat jest jak dżungla, że teraz obowiązuje „wyścig szczurów”, bo młodzi to takie „młode wilki”. Gnają do sukcesu, nie szcędząc sił. Są mądrzy i pracowici. A przecież ja nie chciałam wychować córek, które deptałyby innych, „byle do przodu po swoje”. Więc jaką jestem matką?*

*Ponoć wychowanie to nauczanie dziecka życia w świecie, w którym ma ono przetrwać. A jeśli ten świat ma wartości, z którymi się nie zgadzamy, czy wtedy dzieci trzeba wychowywać wbrew sobie, swoim wartościom? Paradoksalnie, gdy już skończyłam swój okres wychowania dzieci, nadal zadaję sobie pytanie: co to znaczy dobrze wychować dzieci?*

*Myślę, że ważne jest, aby człowiek był szczęśliwy. Więc moim zdaniem „dobrze wychować” to wychować dziecko, które w życiu potrafi być szczęśliwe. A jak to będzie z Gizelą, do której miałam wyjątkową słabość i nie zawsze potrafiłam stawiać właściwych granic? Czy moje córki będą szczęśliwe? ...*

Młoda kobieta, wzruszona wyznaniem matki, postanowiła, że zrobi wszystko, aby wypełnić jej życzenie. Z tym gorącym postanowieniem wróciła do pamiętnika.

### **Pamiętnik Klary, rok 1985**

*Tego dnia Wojtek zaskoczył ją zdaniem:*

– Najwyższy czas pomyśleć o własnym domu!

– Ale skąd weźmiemy na to pieniądze? Skąd działka? To przecież będzie kosztowało majątek – zapytała zaskoczona Klara.

– Już rozmawiałem w urzędzie miejskim. Można składać podania na zakup działek na wsi. Niedługo już rozszerzone będą granice miasta. Teraz te działki są za grosze, bo to nieużytki wiejskie. Cena zakupu bardzo mała. Twoja pensja! Działka ma zostać przekształcona w przyszłości na budowlaną. Ale wtedy to już będą inne pieniądze, więc musimy teraz starać się o nią. Jest ryzyko, że w inną stronę rozszerzą się granice miasta, ale niewielkie. Tylko musimy zdecydować, który kawałek by nas interesował. Może dziś po południu pojedziemy zobaczyć, jak to wygląda?

Pojechali. Minęli granice miasta i skręcili w wąską dróżkę, biegnącą w stronę lasu. W pewnej chwili głębokie dziury uniemożliwiły dalszą podróż. Wojtek zatrzymał samochód. Poszli piechotą w stronę wzgórza. Gdy je minęli, zobaczyli u jego podnóża ciemne futro lasu, wchodzące jęzorem w rozłożoną mleczami łąkę. W jednym miejscu ciemnozielone ramiona drzew nie trzymały eliptycznej linii i bezkarnie obejmowały małą zatoczkę łąki, pełną kolorowych kwiatów, na której skraju stało pięć małych brzózek. Widok był niesamowity. Klara popatrzyła na chylące się ku zachodowi słońce. Długie cienie drzew biegły pod jej stopy, jakby chciały się przywitać i jak wierne psiaki spokojnie położyć obok. I pomyślała z zachwytem, że tylko tu mogłaby zbudować swój dom. Może brzozy to jakiś znak, że tu powinni zbudować swoją rodzinną przystań? A wtedy poczuła na ramieniu ciepłą dłoń męża. Przygarnął ją do siebie.

– Tu będzie nasze królestwo. Widzę, że i tobie się podoba.

Długo błądzili po łące budując w marzeniach swój dom.

– Wiesz Wojtku, niech te brzozy pozostaną. Może uda się nam wkomponować je w ogród. Będzie taki oryginalny. Inny niż u wszystkich.

– My też jesteśmy inni, niż wszyscy – odpowiedział mężczyzna i przytulił się do pleców żony. Patrzyli na działkę, na coraz niżej wiszące nad horyzontem słońce i coraz dłuższe cienie. Barwy zmieniały się, zasnute fioletem mrokiem.

– Chodźmy po koc i kanapki. Zostały mi z drugiego śniadania, bo nie miałem czasu na jedzenie. A teraz będą jak znalazł.

Siedzieli na skraju łąki, jedli zeschnięte kanapki i patrzyli na kępę brzóz. Brzozy obojgu kojarzyły się tylko ze szczęściem. Następnego dnia Wojtek złożył podanie o zezwolenie na przydział działki, którą mogliby kupić pod budowę domu jednorodzinnego.

## **Rok 1986**

Dla Klary letnia sesja zaczęła się w połowie czerwca. Do paru egzaminów

*przystąpiła w terminie zerowym. To był jej sposób na przedmioty, których nie lubiła albo najslabiej wchodziły jej do głowy. Wracala z egzaminu. Wstąpiła do Feniksa, bo nic nie miała na kolację, i zaskoczyły ją ulotki porozrzucane z boku korytarza. Podniosła jedną z nich.*

*– Niech pani szybko chowa, bo to bibuła. Można za to beknąć. Ale warto przeczytać! – szepnęła jej do ucha przechodząca kobieta.*

*Szybko schowała do torby parę sztuk ulotek. Wychodząc ze sklepu spotkała koleżankę ze studiów. Ulka szła do domu. Przystanąły na rogu rynku, plotkując o wykładowcach. Nagle od strony ulicy Świdnickiej nadjechały policyjne samochody. Ludzie zaczęli uciekać. Ula złapała Klarę za rękaw i również pobiegły w dół ulicą Świdnicką, jak najdalej od rynku. Klara zasapała się, stanęła i odwróciła. Widziała za sobą białe bicze wody, biegnących ludzi. Nagle z drugiej strony, od domu towarowego PDT zaczęły podjeżdżać kolejne policyjne samochody. Ktoś krzyknął.*

*– Gazem rzucają! Uwaga na gaz!*

*Serce biło jej jak młot. Zobaczyła niedaleko drzwi kawiarni. Wbiegły. Długo siedziały wystraszone, bojąc się wystawić nos na ulicę.*

*– Wiesz – mówiła Ula – moja kumpelka, która dojeżdża na zajęcia i musi załatwiać sobie hotel, została z godziny na godzinę usunięta z pokoju. Był zjazd ZOMO-wców. Przyszła po zajęciach i kazali jej zabrać rzeczy, a potem wynocha. Wszystkie hotele zostały zajęte przez tę szarańczę. Koleżanka musiała nocować u znajomych, w jakiejś suterynie, bo co miała zrobić. Dobrze, że miała znajomych, którzy wynajmowali suterynę studentom teologii, aby mogli się w niej uczyć. I dobrze, że ich wtedy nie było w pokoju.*

*– Gdzieś ty była? Chyba sobie kogoś na tych studiach przygruchałaś! – Wojtek siedział zmęczony i naburmuszony. – Dziewczynki już dawno w łózkach. Musiałem Gizeli bez końca czytać, bo ciągle płakała, że nie ma ciebie w domu. Jak ma tak wyglądać twoja nauka, to nie wiem, czy to wytrzymamy. Zastanów się, czy nie powinnaś zrezygnować.*

*– Były armatki wodne i gaz, więc nie mogłam się ruszyć. Za to przyniosłam bibułę. Poczytaj trochę prawdy. – Zamknęła mu usta pocałunkiem.*

*– Masz tu jakiś zagraniczny list.*

*Udobruchany Wojtek podszedł do kredensu i podał jej białą kopertę, wielokrotnie ostemplowaną. Nie podejrzewając, że ten skrawek papieru będzie dla niej jak materialny wyrzut sumienia, drżącymi rękami rozdarła kopertę, na której przyklejony był znaczek świadczący o tym, że list wysłano z Belgii. Ze środka wypadła mała, biała kartka. Nierównym pismem, w języku polskim napisane było kilkanaście zdań.*

*Nie знаła tego rozchwianego, nierównego pisma. Z początku nie potrafiła zrozumieć treści, bo list pisany był bardzo niegramatycznie, a niektóre wyrazy nie*

*pasowały do kontekstu.*

*„Pani Klaro! List Pani ja otrzymała po wielu, wielu miesiącach. Od data, która napisała na dole był daleko. List do mojego Jean-François. On tak lubił pani Klara. Czekał na ta wiadomość. I nie doczekał się. Nie dowiedział się, że ma córka.*

*Jean-François nie ma na ten świat. On odszedł, a ja nawet nie mam jego mogiła. Nie wiem, gdzie ona leży. Teraz ja by chciała zobaczyć moja wnuczka, przytulić. Ja wiem, że u nas tam w Polska jest wojna. I nie można jechać. Proszę tylko o jedno foto. Nina”.*

*W nocy śnił się jej wielki pożar. W płomieniach zobaczyła Jean-Francois, a później twarz swojego męża, skrzywioną bólem, i twarzyczki córek. Gizela wyciągała rączkę do płonącego ojca, a później rozplakała się i pobiegła do Wojciecha. Schowała się w jego ramionach. Klara zbudziła się zapłakana. Z ulgą odkryła, że to tylko sen, i mocno przytuliła się do pleców Wojtka. Parę dni później, gdy dziewczynki dawno już spały, Wojtek przysiadł na brzegu tapczanu, na którym leżała Klara.*

*– Czy możesz mi powiedzieć, skąd był ten list? Od kogo? Czy to od ojca Gizeli? – Wyraz twarzy miał zatroskany i zrezygnowany.*

*– Nie, to nie od Jean-François, a od jego matki. Nie ma już ojca Gizeli, ale została jej babcia. Chciałaby zobaczyć wnuczkę. Wie, że teraz to niemożliwe, ale chciałaby czegoś dowiedzieć się o Gizeli i mieć jej zdjęcie.*

*– To może okrutne, ale ulżyło mi. Bardzo kocham nasze ostatnie dziecko i dręczyło mnie, że któregoś dnia ktoś może stanąć w drzwiach i powiedzieć mi, że nie mam prawa do Gizeli. Druga, a w zasadzie trzecia babcia dziewczynce nie zaszkodzi. Od przybytku głowa nie boli. Powinnaś napisać jej o nas, o jej wnuczce i wysłać fotografię. Proszę cię tylko o jedno. Nie burzmy spokojnego świata Gizeli. Po co jej wiedza o innym ojcu, innej rodzinie. Przecież jeśli on nie żyje, to ta wiedza do niczego nie jest jej potrzebna. Nie było mi łatwo, i dalej nie jest, pogodzić się z twoją zdradą. Ja wiem, że też nie byłem święty – uprzedził zarzut Klary. – I zostawmy to. Było, minęło. Przysięgam, że nigdy nie wrócę do tamtego okresu. Proszę cię tylko, aby ta sprawa nie stała się pomiędzy mną a dzieckiem.*

*– Masz rację. To stare dzieje. Po co wracać do bolesnych spraw. Co tu dziecko winne – odparła ze smutkiem. I już zastanawiała się, jak wytłumaczyć matce Jean-François, że może nigdy nie zobaczy wnuczki.*

## **Rok 1987**

*Awantura, która wybuchła tego popołudnia, była dla Klary kompletnym zaskoczeniem. Poprzedniej nocy tulili się do siebie i opowiadali, jak będzie wyglądał ich przyszły dom. Wprawdzie w dalszym ciągu nie dostali żadnej odpowiedzi z urzędu, ale to nie przeszkodziło im w wymyślaniu rozmieszczenia pokoi, wybieraniu kolorów tynku i ścian.*

*– Jutro zadzwonię z pracy do urzędu i zapytam, co słyhać w sprawie naszego podania – szepnęła Wojtkowi wieczorem, przed zamknięciem oczu. Cały następny dzień miała trudny. Wprawdzie parę razy próbowała skontaktować się z panią zajmującą się sprawami działek, ale za każdym razem telefon odbierała jej koleżanka, informując, że pani Goliwoda jest na naradzie. Po trzynastej musiała wyjść do urzędu skarbowego. W urzędzie sprawa przeciągnęła się do piętnastej.*

*– I co, załatwiłaś? – zapytał Wojtek zaraz po przyjsciu do domu. Było to pierwsze zdanie, jakie przywitało ją w progu mieszkania.*

*– Nic! Przepraszam cię, ale...*

*Nie zdążyła wyjaśnić, bo Wojtek wypadł z pokoju. Z marsową miną stanął w drzwiach.*

*– No pewnie, jak zwykle obiecanki cacanki. Miliony tłumaczeń. Jakie kłamstwo tym razem wymyśliłaś? Jak zwykle kręcisz jak twoja mamuśka. Nic normalnie! Kłamczucha i krętaczka! Powiedz od razu, że nie zależy ci na naszym domu. Tylko że ty nie potrafisz przyznać się wprost. Ty musisz udawać i kręcić. Choćbyś dziesięć fakultetów zrobiła, to i tak durna zostaniesz. Tylko niepotrzebnie forsę na te głupie książki wydajesz!*

*Klara patrzyła na niego zdumiona. Nie rozumiała, co stało się, skąd taka wrogość. Po głębszym zastanowieniu odkryła pewną prawidłowość. Zły humor męża, awantury nasilały się w okresie sesji. Jakby robił wszystko, aby utrudnić jej, uniemożliwić dalszą naukę. Nie potrafiła tego zrozumieć. Przecież zmiana zawodu mogła pomóc im finansowo. Zawsze lepsze możliwości, a nuż większe pieniądze. Nie bez znaczenia była też satysfakcja Klary.*

*Ale co go obchodzą moje uczucia! Jakby był kimś obcym. Jestem sama i muszę sobie z tym poradzić! Jednak nie poddam się! Nie tym razem! – pomyślała.*

*Od tego dnia awantury powtarzały się bardzo często, aż do końca sesji. Klara była zmęczona nauką i poczuciem rozżalenia, jakie pozostało po wyjątkowych epitetach, którymi obdarzył ją mąż w czasie poprzedniej awantury. Doszło do tego pchnięcie jej na tapczan. Po raz pierwszy.*

*I po raz ostatni! – powiedziała sobie, bo postanowiła nie darować mu takiego zachowania. Po przyjsciu z pracy spakowała w wielką walizkę rzeczy swoje i dziewczynek. Z ciężkim sercem wyprowadziła się do mieszkania pani Wiesi. Klucze tydzień temu zostawiła jej sąsiadka, zanim wyjechała do córki.*



– Kochana, podlej mi kwiatki, a jeśli będziesz chciała trochę odpocząć od swojego ślubnego, to nie obrażę się, jak trochę pomieszkasz. Nie będzie mnie przez dwa, trzy miesiące. Córce zamknęli przedszkole i muszą trochę pomóc przy dzieciach – powiedziała na odchodnym.

Klara zostawiła mężowi na stole kopertę i podała w niej powód odejścia. Była pewna, że na zawsze opuszcza swojego partnera.

„Mimo wszystko, Kochany mój, a może powinnam napisać Wojtku, bo dziś nie jestem pewna, czy jeszcze powinnam myśleć o Tobie: »Kochany«!” – pisała. „Nie sprawdziliśmy się jako małżeństwo. Otrzymaliśmy wielki dar, który nie wszyscy dostają, wielkie i gorące uczucie, a zgasiliśmy je obelgami, brakiem szacunku. Sam wiesz, jak wiele w ostatnim okresie przeszliśmy, jak bardzo staraliśmy się, aby oszczędzić Marcysi, Zuzi i Gizeli rozpadu rodziny, ale nie wyszło. Długo myślałam nad tym, co lepsze: czy wulkan z dwojgiem wrzeszczących na siebie rodziców, czy spokojne życie z jednym z nich i możliwość odwiedzin przez drugiego. Chcę uratować przynajmniej tę odrobinę godności, która w nas pozostała.

Mimo wszystko kocham Cię i dlatego odchodzę, aby miłość nie wygasła. Zostaniemy u pani Wiesi, bo wyjechała do córki. W międzyczasie może Tobie albo mnie uda się coś innego wynająć. To ja złożę pozew rozwodowy, ale nie bój się, bez orzekania o winie. Klara”

Dziewczynki początkowo protestowały. Nie chciały bez taty mieszkać, ale przekonała je, że to tylko tymczasowo, bo tata musi odnowić mieszkanie.

Pierwsza noc była dla Klary okropna. Późnym wieczorem słyszała przyjście męża do domu, chwilę ciszy, a potem trzask zamykanych z wielkim impetem drzwi i szybkie kroki na schodach. Zbiegał ze złością po klatce schodowej.

Mieszkanie pani Wiesi mieściło się dokładnie nad ich mieszkaniem, więc dokładnie słyszała, co się u dzieje u Wojtka. Z duszą na ramieniu czekała na powrót męża, leżąc na dywanie z uchem przystawionym do podłogi. Marcelinka i Zuzia smacznie sobie spały, a ona płakała. Żal jej było siebie, córek, miłości, małżeństwa. Następnego dnia zabrała dziewczynki ze sobą do sądu. Postanowiła iść za ciosem. Weszła do sekretariatu wydziału rodzinnego.

– Pani do kogo?

Naburmuszona, drobna kobieta oderwała wzrok od repertoriów i znad szkieł spojrzała ostro na Klarę. Potem zmierzyła wzrokiem uwieszone z obu stron córeczki.

– Chciałam się dowiedzieć, czy tu składa się pozew rozwodowy? – nieśmiało odpowiedziała Klara.

– Tu! – odburknęła drobna blondyna. Była w średnim wieku i sprawiała wrażenie zasuszonej starej panny.

– A co trzeba do pozwu dołączyć?

– Jak pani ma dzieci, to akty urodzenia, zaświadczenie o zarobkach, no i podać świadków, że nastąpił trwały rozkład pożycia. Najlepiej napisać krótko i treściwie. Sędzia nie ma czasu, aby czytać powieści. To nie będzie od razu rozpatrzone, bo tu nie piekarnia. Najpierw smarkacze żenią się, a potem chcą zmieniać mężów jak rękawiczki. – skomentowała. – Aha, jak pani chce alimentów, to niech sobie wyliczy, ile ją kosztują dzieci. Najlepiej, jak sobie wynajmie adwokata.

– Czy drogo kosztuje adwokat?

– Jak panią stać na rozwód, to i na adwokata – skwitowała urzędniczka.

Klara poczuła się dotknięta pogardliwym spojrzeniem, pogardliwym tonem. Została oceniona, choć kobieta nic nie wiedziała o jej życiu.

Wieczorem znowu nasłuchiwała, co się dzieje w ich mieszkaniu. Cierpiała. Wojtek nie odzywał się. Wracał do domu po północy. Parę dni później Klara postanowiła napisać pozew.

Uzasadnienie żądań szło jej bardzo opornie. Jak może w paru zdaniach opisać powody, dla których postanowiła odejść od męża i narazić córki na życie tylko z jednym rodzicem?

Czy jest to w ogóle możliwe? To, co napisała, było tak puste, że sama nie wierzyła, że to o ich życiu, ich bólu.

Następnego dnia na progu mieszkania znalazła koszyk truskawek i karteczkę z napisem: „Dla Klary, Marcysi, Zuzi i Gizeli. Kocham Was”.

Przez całe trzy miesiące, kiedy mieszkali osobno, witały ją nowe niespodzianki. A to bukiet kwiatów, a to butelka soku, a to kolorowa karteczka. Pewnego dnia zadzwonił do pracy, prosząc o spotkanie. Zgodziła się, pomimo iż w szufladzie jej biurka od dawna leżał komplet dokumentów rozwodowych, tylko nie miała siły, aby złożyć je w biurze podawczym sądu. Umówili się na Ostrowie Tumskim. Biegła na spotkanie wystrojona, uśmiechnięta, z lekkim drżeniem serca, jakby czekała ją cudowna randka. Zobaczyła go z daleka. Stał na moście, wpatrzony w nurty Odry. Wyglądał tak, jak Jej Kochany Wojtek.

Długo błądzili po wyspie, zawstydzeni, skrępowani, jakby nie znali siebie już tyle lat. Jakby byli nowo poznanymi, zauroczonymi sobą ludźmi. Nie wracali do ostatnich zdarzeń, nie patrzyli sobie w oczy. Gdy zapadł zmrok, przysiedli na ławeczce i wtedy zadał jej pytanie:

– Co z nami będzie? Co postanowiłaś?

Nie miała siły, aby powiedzieć o rozwodzie, więc odpowiedziała pytaniem.

– A myślisz, że co postanowiłam?

Popatrzył jej w oczy i powiedział:

– Złożysz pozew? – Głos Wojtka był cichy i drżący.

– Tak! – odpowiedziała prawie bezgłośnie, ale usłyszał.

– Proszę, daj nam jeszcze jedną szansę.

- Wiesz, że wszystko musi się zmienić? – zapytała.
- Wiem. Postaram się, abys tego nie żalowała. Czy mi wierzysz?

Rozplakała się. Z oczu płynęła jej rzeka łez i nie potrafiła jej powstrzymać. Wojtek też miał wilgotne oczy. Przytulił ją do siebie. Z początku zeszywniała i tkwiła w jego ramionach jak kawałek drewna, ale ciepło jego ramion, czułe pocałunki, którymi starał się spić z jej twarzy słoną ulewę, przełamały obcość. Zamarznęta bolesna grudka, którą nosiła w sercu, stajała. I załamała się. Przyznała w duszy, że mu uwierzyła. Chciała wierzyć najbardziej na świecie.

Wrócili do domu razem. Po drodze zabrali dziewczynki od koleżanki Klary, Krystyny.

### **Zapiski, maj 2007 r.**

*I znowu jestem niepoprawna, bo wracam do pytań. Po raz kolejny pytam siebie, jaka jestem? Tym razem, jaka jestem jako kochająca kobieta? Gdzie leży tajemnica udanego związku? Dlaczego mój związek tak trudno ocenić? Czasem wydaje mi się, że jesteśmy dwojgiem najszcześniejszych ludzi, a innym razem uważam, że to grzech tkwić w takim układzie, w którym oboje czujemy się w jakiś sposób zniewoleni. Bez względu na realia, mam swoje zdanie na temat udanych związków. Myślę, że wszystko zależy od dwojga ludzi, od ich oczekiwań wobec drugiej osoby. Jeżeli ludzie w jakiś sposób starają się wzajemnie sprostać oczekiwaniom partnera, nie poświęcając siebie, to jest szansa na to, aby związek był udany.*

*Czy można mówić o szczęściu, gdy jeden z partnerów czuje się stłamszony? Czy ja też jestem osobą, która tłamsi, pożera? A może odwrotnie, daje się pożerać? Czy nasze awantury to właśnie przez obronę własnego terytorium? A jakie ja mam granice? Czy potrafię ich bronić, a może ich nie postawiłam? Zastanawiam się, dlaczego prawie w każdym związku tak często toczy się walka o to, kto tu rządzi. Po co ludziom świadomość, że to oni rządzą. Dlaczego nie może być związków demokratycznych, w których wszystko byłoby negocjowane i decyzje podejmowane byłyby ugodowo. Przecież w systemie prawnym już dawno takie formy jak mediacje, negocjacje, ugoda istnieją. Dlaczego ludzie nie wprowadzają tego do związków? Dlaczego wreszcie my: ja i Wojtek tego nie potrafimy? Gdy byłam młodsza, wydawało mi się naturalne, że w miłości powinniśmy zlać się ze sobą, stworzyć całość jabłka, aby nie można było odróżnić mojej części od jego. Wydawało mi się, że to naturalne, że ludzie zaczynają czuć tak samo, myśleć w ten sam sposób. Jak dwa ciała splecione w miłosnym uścisku, co w ekstazie stanowią jedność.*

*Teraz, z perspektywy tych paru dziesiątków wspólnych lat, wielu przeżyć, nauczyłam się, że nie do końca tak jest. Szczęśliwy związek to taki, w którym oboje*

*partnerzy są szczęśliwi.*

*Na początku byłam Klarą, która zauroczyła Wojtkę, bo była niepowtarzalna, zadziorna, miała swoje zdanie. I wtedy zrobiłam straszny błąd. Z miłości zaczęłam patrzeć na świat oczami Wojtki. Mówić jego słowami, a potem już nie musiałam mówić, bo po co być echem? A przecież nie taką Klarę pokochał Wojtek. Może wtedy moja miłość była już tak zaborcza, że zabrałam sobie siebie? I uśpiłam czujność. Nie postawiłam granic. Przez przeżyte wspólnie lata zmieniłam się. W którymś momencie zadziałał chyba instynkt samozachowawczy. Z obawy przed zniknięciem zaczęłam odkrywać, że czegoś chcę, mam swoje odczucia, potrzeby. Patrzę i myślę. Potrafię analizować. W jakiś magiczny sposób, nawet do końca nie zdając sobie sprawę kiedy, nauczyłam się nie być kameleonem. I zaczęłam mieć swoje zdanie. Powoli zaczęłam stawiać granice. To było trudne dla drugiej strony, bo kto lubi być zdetronizowany? Kto lubi utratę oddanego niewolnika?*

*Teraz stoję na swoich nogach. Nie wiem, na ile mocno, ale nareszcie wiem, czego nie chcę. Z pewnością wiem, że już nie chcę tracić Klary. Jest mi bardzo bliska.*

*Chciałabym, aby w naszym małżeństwie nastąpił teraz etap samodzielności. Mam dość życia cudzym życiem. Nie mam ochoty na cudzy gust. Nikt długo nie przetrwa jako niewolnik. Może teraz, gdy zaczęłam odróżniać swoje potrzeby, będę mogła z powrotem zbudować swoją, osobną drogę życia. Nie chodzi mi o to, aby szła w przeciwnym kierunku niż Wojtki. Niech sobie biegnie obok jego drogi, ale niech będzie tylko moja. Chcę odkryć swój sens życia. Przecież kiedyś realizowałam swoje marzenia. Teraz też chcę mieć swoje zainteresowania, swoje miejsce w życiu, a w zasadzie na rynku życia, a nie w Wojtkowym cieniu. Myślę, że tak jest o wiele ciekawiej, gdy każdy żyje, jak mu jest wygodniej, a tylko od czasu do czasu spotyka się na wspólnej części, choćby po to, aby naopowiadać drugiej stronie, co ciekawego u niego się wydarzyło. I chyba taki partner jest dużo ciekawszy niż ten, który potakuje, ale jest ciągle podwieszony jak syjamski brat. Myślę, że taka symbioza jest bardzo szkodliwa.*

*Wiele razy zastanawiałam się nad fenomenem braci syjamskich. Niedawno oglądałam w telewizji program o takich braciach. Byli już starszymi mężczyznami. Mieli wspólną część tułowia. Jeden drugiego nosił na swoim grzbiecie. Nie można ich było rozdzielić, bo z biologicznego punktu widzenia, nie mogli istnieć bez siebie. Wiele narządów mieli wspólnych. Bardzo różnili się usposobieniami. Jeden był bardziej ugodowy niż drugi, który był do tego stopnia agresywny, że potrafił pobić brata. Marzeniem ich było odpocząć od siebie, chociaż z drugiej strony nie potrafili sobie wyobrazić życia solo. Lekarze twierdzili, że śmierć jednego z nich spowoduje po kilkunastu minutach śmierć drugiego.*

*Ludzie często się od siebie tak uzależniają, że są jak ci bracia. Śmierć*

jednego powoduje niemożliwość życia przez drugiego i wtedy programują się na śmierć. Po paru miesiącach umierają. Znam takie pary, które były zarówno dobrymi małżeństwami, jak i te, które żyły ze sobą jak pies z kotem. Symbioza wszystkie takie pary niszczyła. Postanowiłam więc, że póki czas, odetnę się. Nie chcę być jednym z braci syjamskich.

### **Pamiętnik Klary, rok 1990**

Czas goił rany w kraju, a także w życiu prywatnym Wojtka i Klary. Minął stan wojenny. Obrady okrągłego stołu zapoczątkowały zmiany ustrojowe. Dorastanie dziewcząt zmieniało funkcjonowanie ich rodziny.

Nina pogodziła się z decyzją Klary. Kobiety pisywały do siebie dwa razy w roku. Po prostu przy okazji świąt obok kartki z życzeniami przemycały parę informacji. Klara pisała o Gizeli, a Nina wspominała syna, mając nadzieję, że może gdy wnuczka dorośnie, matka przekaze jej trochę wiedzy na temat biologicznego ojca. W gruncie rzeczy rozumiała argumenty Klary i nie chciała krzywdzić dziewczynki ani rozbijać spokoju rodziny.

– Mamo, czy kupisz mi ten czarny komplet, który ci wczoraj pokazywałam na Świdnickiej? – zapytała któregoś dnia Marcelina.

– Kochanie, czy jesteś pewna, że go chcesz? Moim zdaniem, jest paskudny. Jak będziesz w nim wyglądała?! Bardziej pasuje do starszej kobiety niż do młodej, ładnej dziewczyny.

Od rana Klara toczyła boje o ciuch, który Marcelina miała założyć na koniec roku szkolnego. Zazwyczaj Klara starała się nie ingerować w gust swoich latorośli, ale tym razem córka przesadziła. Komplet, na który się uparła, zdaniem Klary był paskudny i w żaden sposób nie pasował do nastolatki. Marcelina zazwyczaj starała się nie naciągać rodziców na drogie ubrania i chętnie nosiła to, co jej Klara kupowała. Tym razem było inaczej.

– Jak tak bardzo o nim marzysz, to dam ci na niego pieniądze. Ale myślę, że za miesiąc nie ubierzesz go na siebie – skapitulowała Klara.

Słyszac zgodę, córka rzuciła się jej na szyję.

– Cudnie! Kocham cię, mamusku! Będę miała taki sam ciuch jak Sonia!

Wreszcie Klara dowiedziała się, skąd pochodzi zachcianka córki.

– Marcelinko, co to za pomysł, aby wyglądać jak syjamska siostra przyjaciółki? Nigdy nie lubiłaś, jak ubierałam ciebie i Zuzię tak samo! – skomentowała Klara.

– Co innego moja głupia siostra, a co innego Sońka. Obiecałaś!

Klara uśmiechnęła się. Nie miała zamiaru zmieniać zdania i pozbawiać córki odrobiny radości. Marcela tak rzadko artykułowała swoje marzenia.

To mnie tak mało kosztuje, aby sprawić jej radość – pomyślała. Poczuli się

spokojna i zadowolona. W ostatnim okresie często czuła się dobrze. Tylko jedna rzecz zakłócała jej poczucie bezpieczeństwa i spokoju. Biała koperta, którą przyniósł listonosz jeszcze w czasie trwania stanu wojennego. Koperta była chyba gdzieś na poczcie otwarta, a później nikt nie silił się, aby dostatecznie starannie ją zakleić. Nie zadbał, aby adresatka nie zorientowała się, że ktoś obcy czytał list przeznaczony dla całkiem innej osoby.

Klarę bardzo zdenerwowała myśl, że jakieś brudne łapska trzymały ten list, otwały go, a później jacyś ludzie odkryli jej tajemnicę i pewnie długo z niej się naśmiewali. Dlatego nie miała odwagi otworzyć listu. Dopiero po miesiącu zdecydowała się zapoznać się z jego treścią.

Drżącymi rękami rozerwała kopertę. List był w języku francuskim, ale za pomocą słownika i rozmówek francusko-polskich zrozumiała jego treść. Wysłany był przed rokiem.

Jean-François przyznawał się w nim, że od dawna próbował się z nią skontaktować, ale jakoś mu to nie wychodziło. Po rozstaniu początkowo skapitulował. Kochając Klarę, postanowił, że nie będzie samolubny. Da jej przestrzeń. Nie będzie psuł jej związku z mężem. Bardzo tęsknił. Chciał ją zobaczyć i nawet przymierzał się, aby przyjechać do Polski i spróbować przynajmniej z daleka ją zobaczyć, ale przeszkodził mu w tym stan wojenny.

Potem próbował układać sobie życie, ale jakoś tak się zdarzało, że każda kobieta, z którą się wiązał, po jakimś czasie go denerwowała. I nic z tego nie wychodziło. Gdy wreszcie mógł przyjechać do Polski, zachorował. Jedząc zupę, po prostu stracił przytomność, a gdy zbudził się w klinice, okazało się, że ma sparaliżowaną jedną stronę ciała.

Dochodził do siebie bardzo powoli. W szpitalu często myślał o niej. Myślał również o sobie. O swoim życiu. Postanowił, że nigdy nie ożeni się z inną kobietą. Zresztą, po co mu to było? Przecież miał taką ciekawą pracę. Nie musiał pustki życia rodzinnego, której nie odczuwał, zapępiać zimnym związkiem. W tym momencie najważniejsze było jego zdrowie...

Życzył jej szczęścia i miał nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkają.

Z treści listu Klara wywnioskowała, że nic nie wiedział o Gizeli.

### **Wiosna 1996 roku**

Od kiedy Marcelina i Zuzanna zaczęły chodzić i mówić, ciągle ze sobą konkurowały, walczyły i starały się, jak tylko mogły, odróżnić jedna, od drugiej. Klara jakoś dogadywała się z córkami, ale trudny okres dojrzewania bardzo źle znosił Wojtek. Denerwowało go demonstracyjne, buntownicze zachowanie Zuzanny, płaczliwość Marceliny.

Klarę z kolei martwiła niechęć Wojtka do Zuzi. Wiecznie ze sobą walczyli,

byli ciągle wzajemnie na siebie obrażeni albo złośliwi. Zuzanna była głośna, leniwa. Ciągle wszystko poddawała krytyce. Miała naturę wolną, bujającą w obłokach. Szalone pomysły starała się realizować za wszelką cenę, nie zważając na protesty rodziców. Materialistka, niepatrząca na możliwości Klary i Wojtka, domagała się markowych ciuchów, drogich butów, nowych gier komputerowych. Marcelina była jej przeciwieństwem. Należała do tak zwanych moli książkowych. Była karna i ambitna. Myślała za siebie i Zuzannę. Starła się uchronić siostrę przed strasznymi konsekwencjami zwariowanych pomysłów i nieciekawego towarzystwa.

Gizela niczym nie przypominała starszych sióstr. Nie była w żaden sposób podobna do Marceliny ani Zuzanny. Swoim uporem i zawziętością biła na łeb Zuzię, ale była również bardziej wrażliwa niż siostra. Najmłodsza, starała się dla siebie wyszarpać od rodziców i rodzeństwa jak najwięcej. Po matce odziedziczyła artystyczne zamięłowania i zdolności.

Wojtek był dla córek twardy, nieustępliwy. Klara starała się łagodzić domowy reżim. Gdy stawiała w obronie córek, narażała się na wyrzuty męża, który zarzucał jej, że podważa jego autorytet. Dlatego zaczęła kryć przed mężem szkolne wybryki Zuzanny, jej nieciekawe oceny. Bała się, że Wojtek może potraktować córki w sposób, który spowoduje zerwanie wszelkiego porozumienia pomiędzy nimi a dziećmi. Jedynie Gizelę Wojciech traktował bardzo ulgowo. Miał dla niej najwięcej uczucia i cierpliwości, mimo iż córka wystawiała niejednokrotnie jego nerwy na próbę.

Czasem Klarze zdawało się, że mąż próbuje w ten sposób nadrobić wszystkie złe słowa, rzucone przed poczęciem dziecka i wymazać ze swojego życia złe wspomnienia.

Kobietę cieszyły uzdolnienia córki, łatwość nauki, wrodzona inteligencja. Gizela w zasadzie wychowywała się bezproblemowo. Nie trzeba było jej gonić do odrabiania lekcji. Wszystko chciała poznać. Lubiła ruch, a więc należała do SKS-u. Ale także kochała książki, które czytała bez wyboru. Miała duże zdolności do nauki języków obcych. Klarę martwił jedynie jej słomiany zapal do wszystkiego. Nigdy przy niczym nie zatrzymywała się na dłużej. Wszystko traktowała po łebkach. Siostry miały do małej dużą słabość i często kryły przed matką jej wysoki, pomagając wykaraskać się z nieciekawych sytuacji. A więc życie Gizeli nie sprawiało większych trudności i wydawało się miłe i ciekawe.

Pewnego dnia od nawału czynności służbowych oderwał Klarę telefon z posterunku policji.

– Czy pani Klara Jasińska? – usłyszała służbowy, suchy męski głos.

– Tak, słucham! – odparła.

– Tu komisariat policji, dzielnicowy Gajdzik. Jestem mężem pani koleżanki z pracy, Katarzyny Gajdzik. Mam na posterunku nastolatkę, która podaje się za

*pani córkę. Ma na imię Gizela.*

*– To niemożliwe, aby to była moja córka. – Klara była zdumiona. Nie wierzyła, że policjant mógł pomyśleć, że jej kochana córeczka mogła popełnić przestępstwo.*

*– Nazywa się Gizela Jasińska i ma bujne rude włosy. Na prawym policzku mały pieprzyk. Czy to pani córka? – upewniał się policjant.*

*– No, chyba jednak to moja Gizela. Czy została aresztowana? – Pod Klarą ugięły się nogi.*

*– Nie, ale została zatrzymana w grupie bardzo głośno zachowującej się młodzieży. U dwóch osób znaleziono parę opakowań marihuany. Wszyscy pili alkohol. Proszę przyjechać po córkę, bo inaczej trafi do policyjnej izby dziecka.*

*– Dobrze! Już jadę. Proszę jej nie odsyłać. Przyjadę, jak najszybciej będę mogła.*

*Trzęsącymi rękami zgarnęła wszystkie papiery i schowała do biurka. Założyła płaszcz i poszła do kadr po przepustkę. Pojechała taksówką, nie patrząc na koszty z tym związane, chociaż ostatnio obiecywała sobie ściśle analizować wszystkie wydatki. Chciała przynajmniej raz pojechać z rodziną za granicę, bo wreszcie nie mieli problemów z wyrobieniem paszportu. Na posterunku podszedł do niej mężczyzna ubrany w cywilne ubranie. Poznała twarz męża Kasi.*

*– Proszę tutaj. Najpierw porozmawiamy u mnie. Proszę siadać. – Mężczyzna zaprosił ją do swojego pokoju. – Pani córka będzie musiała stanąć przed sądem dla nieletnich – powiedział. – Wprawdzie nie przy niej znaleziono narkotyki, ale również i ona piła z koleżankami alkohol. Nie miała go dużo we krwi, przypuszczam, że było to pół piwa. Jednak jest nieletnia i nie powinna w ogóle sięgać po alkohol. Naruszyła przepisy ustawy o nieletnich i musi odpowiedzieć. To jeszcze nie tragedia, ale musi pani uważać na jej towarzystwo. To, w którym ją zatrzymano, nie jest najlepsze.*

*Klara była przerażona. Wyrzucała sobie, że zaniedbała dziecko. Zamiast poświęcić dziewczynkom więcej uwagi, uczyła się. Zafundowała sobie trójkę dzieci, a nie miała dla nich czasu.*

*Jestem straszną egoistką!. Jak mogłam tak zrobić? Jak mogłam zbudować dom, w którym są ciągle nieporozumienia. Jak mogłam nie zauważyć, że z Gizelą coś niedobrego się dzieje? – pytała siebie, czekając na zwolnienie córki.*

*Zabrała córkę z komisariatu, chciała z nią porozmawiać, ale dziewczynka zacięła się. Wieczorem Klara opowiedziała wszystko Wojtkowi.*

*– To twoja wina! Masz rezultaty swojej liberalnej polityki – powiedział z przekąsem.*

*Wezwanie do sądu było dla wszystkich jak kubek zimnej wody. Skończyło się na rozmowie ostrzegawczej i na wielkim wstydzie. Ale od tego dnia relacje Gizeli z Wojtkiem bardzo się skomplikowały. Rozczarowany najmłodszą córką, zaczął*



*bardziej krytykować również Zuzannę.*

*– Kłamczucha i leniwiec! Z pewnością nie zda egzaminów. Ale jak nie chce się uczyć, to won do pracy! Nie będę utrzymywać darmożjada – usłyszała Klara następnego wieczora komentarz Wojtka, który wrócił z wywiadówki. – Co innego Marcelina. Tej się nie powstydzisz. Ambitna, pracowita. Kompletne przeciwieństwo tego lekkoducha. A za niedługo koniec semestru. Marcelina myśli o pójściu na równoległy kierunek studiów, może nawet prawo. Biega na dodatkowe zajęcia. Siedzi ciągle z nosem w książkach. Trzeba ją od nich wręcz odganiać. – Ciężko westchnął i kontynuował: – Zuzanna powiedziała beczelnie, że na razie sobie odpocznie, bo jest zmęczona. Nie wie, co chce w życiu robić. Już po maturze chciała zatrudnić się w jarzyniaku. Podobno nawet rozmawiała z właścicielką sklepiku z naszej ulicy. To wstyd, aby tak zdolne dziecko marnowało swój potencjał przy oskrobywaniu z ziemi marchewki. Ale jak sobie pościele, tak się wyśpi. Ciekawe, czy wystarczy jej pieniędzy na te markowe džinsy, które tak lubi, bo ja nie zamierzam dokładać do jej pensji. Niech na własnym tyłku uczy się życia – dodał mściwie.*

*– Jesteś niesprawiedliwy! Gizelę traktujesz jak świętą krowę. Na wszystko jej pozwalasz, a Zuzannę zawsze tłamsisz, a więc szaleje – powiedziała zaczepnie.*

*– No, chyba o to nie powinnaś mieć pretensji. Gizela dopiero co nieźle się popisała! – odpowiedział z przekąsem i wychodząc, trzasnął drzwiami.*

Gizela odłożyła pamiętnik i zapiski, bo czuła, że lada chwilą zaśnie z zeszytem pod głową. I po chwili już spała.

## Ogród

W ogrodzie pociemniało. Kolory zszarzały, przygastały, jakby do czystej palety barw ktoś dodał kropelkę czerni. Muzyka drzew była cicha. Wkradały się fałszywe dźwięki.

Alma właśnie dochodziła do środkowej części ogrodu, gdy zobaczyła Gabriela. Stał zafrasowany pod jednym z najstarszych konarów. Przyglądał się liściom i kwiatom. Drzewo miało zwieszane gałęzie. Wyglądało na przywiędłe.

– Co się stało? Już z daleka słyszałam, że coś się dzieje. Ten szum może oznaczać tylko jedno, że nie jest dobrze. – Alma próbowała wyprzedzić złe informacje, bo bała się, że Gabriel może powiedzieć coś, co na zawsze zburzy ich marzenia. Wołała uprzedzić bieg wydarzeń. Taki miała sposób na lęk. Do tej pory zawsze skutkował.

– Przed chwilą było naprawdę źle. Drzewo tak pociemniało, że myślałem, iż na zawsze straci kolory. Od niego cały ogród nabrał odcienia szarości. Ale już odzyskuje barwy. Martwi mnie jedynie to więdnienie kwiatów. Nie wiem, czy największe przetrzymają. Szczególnie jeden jest narażony na odlot. Popatrz, Almo, to ten, który zobaczyliśmy wtedy o wczesnym świcie. – Skrzydło Gabriela wyraźnie wskazywało wielki, lawendowy kielich, na którym widoczne były gdzieś tam subtelne, pomarańczowe smugi. Delikatna pajęczyna żyłek wyglądała, jakby kwiat miał swój własny układ krwionośny. Pokażny kielich, który zawsze łapał promienie w otwartą trąbkę kwiatu, teraz smętnie zwisał w dół. Gdy Alma dotknęła go, chcąc sprawdzić, czy jest przywiędły, jakby na to czekał. Zsunął się po jej palcach i spoczął w kołysce dłoni. Popatrzyli z przerażeniem na piękny kielich.

– Trudno, spójrzmy jeszcze raz i przypomnijmy sobie, jak to było, gdy zakwitł. Otwórz kielich! – Gabriel miał bardzo zrezygnowany ton głosu.

Alma schyliła usta ku kielichowi. Wtedy kwiat ożył, zatrzepotał płatkami i jak wielki motyl odfrunął w przestrzeń.

\* \* \*

Gabriel siedział w tęczowym cieniu pobliskich drzew i z daleka patrzył na swoje dzieło. Nowe pędy nabrały głębokiego koloru. Drzewo sprawiało wrażenie mocnego, pięknie wybarwionego. Liście delikatnie trzepotały na wietrze. Nad całym ogrodem unosił się delikatny kwiatowy zapach i słychać było cichą,

spokojną sonatę. Powiódł wzrokiem po okolicznych drzewach i pomyślał, że czas odwiedzić Kirę i Ariela. Niepokoił się o ich drzewo. Wstał i udał się do miejsca, gdzie rosło żółto-pomarańczowe, smukłe drzewo o wyjątkowo mocnych, skórzastych liściach, które pod spodem miały kolorowe, aksamitne włoski. Kwiaty, podobne kształtem do kiści bzu, spływały obfitą kaskadą aż do samej podstawy pnia i mchu, którym obłożone były wystające jak zakrzywione szpony korzenie.

Zastał obydwaj anioły zajęte podlewaniem drzewa i pielieniem ostrych kolców, które opanowały przerwy pomiędzy korzeniami.

– Pokój z wami! – przywitał przyjaciół.

– Pokój z tobą, na chwałę Mistrza! – odpowiedzieli ochoczo, ale nie przerwali zajęcia.

– Widzę, że macie problemy z chwastami. Uczyłem się, że to wyjątkowo trudne przy takim przypadku jak wasz. Mistrz zalecał nadzwyczajne środki pomocy. Czujność nadzwyczajna, szczególnie gdy nadejdzie okres zwątpienia i buntu. – Starał się, jak mógł, wspomagać.

– Dzięki za przypomnienie. Już byliśmy u Mistrza po dodatkowe wskazówki. Popatrz na nasze dzieło. Od paru dni wydaje nam się, że jest wyjątkowo piękne. Tylko te chwasty są strasznie uciążliwe. Już przestaliśmy malować i rzeźbić. Całą energię tracimy na walkę z nimi i inne wyjątkowe środki. Przed momentem wspominaliśmy chwile pojawiania się kolejnych pędów, liści i kwiatów. To dodaje siły do walki. – Ariel nie wykazywał oznak załamania.

– A może i wy powinniście częściej wspominać okresy kwitnienia, to naprawdę wzmacnia. Myślę, że może pojawiłyby się nowe pomysły, dodałoby to wam otuchy, a może inaczej spojrzelibyście na problem i jakoś pomogli go rozwiązać.

– Macie rację. Jak sobie przypomnę trzeci kwiat, to myślę, że macie rację.

\* \* \*

Dzień chylił się ku zachodowi. Nina przygotowała ciepłą kolację dla Gizeli, Marlen i Paula. Na kolację miała przyjść również Cindi oraz Yannick, którzy postanowili przyjechać do babki, aby poznać kuzynkę. Właśnie Gizela pomagała babce w lepieniu pierogów z ziemniakami, gdy usłyszały dźwięk dzwonka i do domu weszła roześmiana para ludzi mniej więcej w wieku Gizeli.

– Bonjour, grand-mère! – Nad Niną pochyliła się Cyndi, witając się z babką.

– Qu'est-ce que c'est? Est-ce que ce sont pierogi? – zapytała.

– Gisèle! – przedstawiła wnuczkę babcia. – Sindi et Yannick! – powiedziała do Gizeli.

Młodzi podeszli do Gizeli i cmoknęli ją w policzek.

– Merci, Gisèle! Bonne fête! P-ie-ro-gi! – puściła oko do kuzynki. I bardzo szybko powiedziała coś do Niny. Gizela wyczuła, że dziewczyna ma o coś pretensje.

– Cindy mówi: ty dawno nie robiła swoje pierogi. Przyjechała Gisèle i ty faire pierogi. To musi być duże święto – uśmiechnęła się Nina. – Ona trochę robić zazdrość – dodała i pogroziła palcem Cindy. – Ja teraz już nie pamiętam inna potrawa polska. Dużo lat do tyłu ja dużo robiła inna potrawa, ale zapomniała. Swoje pierogi też już nie tak często ja travaille. Oj, stara ja, stara babka! – podsumowała. – Vous travaillez! – wskazała na kredens. – Rozłóż talerze na stół – powiedziała do Gizeli.

Kobieta otworzyła kredens i podała kuzynce naczynia. Ta przekazywała swojemu chłopakowi, który je zanosił. Po chwili stół był zastawiony, a Nina z kuchni zaczęła podawać parujące miski z pierogami, marchewką i groszkiem oraz pieczeń w gęstym sosie.

Siedzieli już przy jedzeniu, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. To przybyli spóźnieni goście: Marlène i Paul. Szybko przysiedli się do stołu i zaczęli coś tłumaczyć Ninie. Marlène mówiła energicznie, gestykulując rękami. Gizela domyśliła się, że przekazują coś ważnego.

– Czy ty masz zdrowe swoje nogi? – zapytała po chwili Nina, spoglądając na Gizelę. – Marlène pyta, czy ty chcesz chodzić dwanaście kilomètres po las z nimi. Idą też inni z ich wioska i oturde. Jutro jest taka excursion. Oni wszystkie chodzić cały wieczór. Do ciemna noc. Potem wszystkie siadać do taka restaurant i tam być biesiada.

– Bardzo chętnie pójdę na ten długi spacer! – uśmiechnęła się Gizela – W końcu nic lepszego nie mam do roboty! – dodała. – Przynajmniej trochę poznam okolicę i ludzi. To w końcu są moje wakacje. Najlepsze wakacje są w ruchu – stwierdziła.

Babka potakująco kiwała głową, przekazując decyzję Marlène.

Wyruszyli następnego dnia około dziesiętnastej, gdy już minęły najgorętsze momenty dnia. Podjechali do pobliskiej miejscowości, gdzie pod kościołem zebrało się ponad dwieście osób. Gizela była zaskoczona ilością chętnych, którzy postanowili wspólnie wyruszyć na długą wyprawę. Gdy wysiadła z samochodu, zaskoczyła ją nie tylko ilość ludzi, ale również ich przekrój wiekowy. Obok młodzieży i osób w średnim wieku dostrzegła rodziny z małymi dziećmi, jak również ludzi wiekowych. Pochód prowadził przewodnik ubrany w kamizelkę odblaskową. Za nim ruszyła kawalkada młodych i starych. Z psami

i bez psów. Jedni byli ubrani w markowe stroje sportowe, inni w kolorowe t-shirty, a na nogach mieli zwykłe sandały. Gizela ubrana była w krótkie spodenki, zwykłą podkoszulkę i kolorowe tenisówki. Biodra opasała koszulą z długimi rękawami, tak na wszelki wypadek, gdyby wieczorna temperatura okazała się niższa niż ta, na jaką liczyła. Związała zwykłą gumką na czubku głowy burzę włosów i upchała pod słomkowy kapelusz.

Marlen podeszła do wysokiej kobiety, ubranej w odblaskową kamizelkę i wyposażoną w olbrzymią latarkę oraz kompas. Zamieniła z nią parę zdań i zwróciła się do Gizeli.

– Gisèle! Véronique! – Dokonała prezentacji pomiędzy kobietami. – Weronika est guide! – wyjaśniła.

Przeczekali, aż przejdą wszyscy, i powoli przyłączyli się do kolumny. Weronika zamykała pochód, pilnując, aby nikt nie został poza kolumną. Przeszli uliczkami wioski i wyszli poza zabudowania na piaszczystą drogę. Kolorowy wąż piechurów wił się pomiędzy polami, kierując się w stronę zalesionych wzgórz. W pewnym momencie drogę przecięła drewniana brama. Była uchylona. Gizelę to rozśmieszyło. Pomyślała, że co kraj, to obyczaj. Do tej pory nie spotkała się z bramą do lasu.

Za uchyloną bramą na leśnej ścieżce leżały ułożone z szyszek strzałki i wskazywały kierunek marszu. Poczła się jak w dzieciństwie, gdy należała do harcerstwa. Wtedy nie raz z koleżankami bawiły się w podchody. Dzieliły się na dwie grupy i jedna z grup biegła przodem, wskazując szyszkami, patykami kierunek. Bądź rysowały strzałki na ścieżkach. Gdy biegnąc za koleżankami, znajdowały symbol koperty, a obok nakreślone cyfry, szukały zawzięcie, odmierzając kroki do schowanego polecenia. Gdyby któregoś nie znalazły, nie wykonały, skazałyby się od razu na przegraną.

Teraz poczuła, jak przed laty, dreszczyk na plecach. Wszyscy poszli w kierunku, który wskazywała strzałka. Zanurzyli się w las. Szpalery drzew prześwietlone były promieniami wędrującego coraz niżej słońca. Cienie drzew przecinające ścieżkę, coraz bardziej się wydłużały. Szli wolno. Już dawno z zasięgu wzroku zniknęli ostatni piechurzy. Co chwilę zatrzymywali się, aby odkręcić korek butelki i napić się wody, która stawała się coraz cieplejsza, coraz mniej smaczna. Po drodze oglądali piękne huby, które jak bajkowe kwiaty pojawiały się na powalonych drzewach.

Droga prowadziła przez lasy i polany. Przecinała wzgórza i strumyki oraz troszkę większe rzeczki, z przerzuconymi przez nie kładkami. Odkrywali stare drzewa z dziuplami, mieszczącymi dorosłego człowieka, leśne łąki, pachnące rozkwitłymi ziołami i kłosami zsychniętych wysokich traw.

Po trzech godzinach, gdy słońce schowało się już za lasem i niebo powoli z czerwonego zmieniło barwę na granatowe i rozświecił je rój gwiazd, zanurzyli

się w wyjątkowo gęsty kawałek lasu. Po chwili marszu nastąpiła atramentowa ciemność. Gizela poczuła strach. Przez moment pomyślała o możliwości zagubienia się pomiędzy obcymi drzewami i konieczności spędzenia tutaj całej nocy. Na skronie wystąpił pot, a serce przyspieszyło swój bieg. Stan ten ogarnął ją jednak jedynie na chwilę, bo z daleka zobaczyła światło latarki. To Weronika światłem dawała znak, że odnalazła ułożoną z polnych kamieni strzałkę, wskazującą kierunek marszu. Gizela przyspieszyła kroku i po chwili dogoniła swoją grupę. Po kwadransie wyszli z lasu. Byli na skraju wsi. W oknach domów rozbłysły światelka. Na falujących łąkach pół puzaty księżyc rozkładał swoje srebrne welony. Zmęczeni, przysiedli na powalonym pniu drzewa.

– Ale piękna noc! – zamruczała pod nosem Gizela.

– Le beau soir! Quelle belle nuit! – potwierdziła Véronique.

Marlène i Paul nic nie mówili, zbyt zmęczeni, aby wdawać się w rozmowę.

Siedzieli przytuleni, objęci, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo.

Czasem fajnie jest, gdy nie można się porozumieć. Milczenie w takiej chwili jest czymś najlepszym – pomyślała Gizela i poczuła wielką sympatię do towarzyszących jej ludzi.

Po krótkim odpoczynku podeszli pod gospodę. Przez otwarte okna słychać było gwary głosów, śmiechy, nawoływania oraz brzęk szkła.

Gizela nie miała ochoty na towarzystwo obcych osób i na migi pokazała, że zostanie na małej ławeczce pod gospodą. Marlen z Paulem niechętnie pozostawili ją samą. Zmęczona, zamknęła oczy i pomyślała o pamiętniku matki.

### ***Pamiętnik Klary, lipiec 1997 roku***

*Stan wody na Odrze w Miedoni był wyjątkowo wysoki. Od paru dni lato bez przerwy. Dziennik telewizyjny donosił o fali powodziowej, która szła od granicy z Czechami, w stronę Wrocławia. Pod wodą zniknęły kolejno wszystkie miasta położone nad Odrą.*

*Tej nocy Klara spała bardzo źle. Przez całą noc słyszała radio. To Wojtek śledził stan wody na Odrze. Zza sennej zasłony docierały do niej pojedyncze słowa, cicha muzyka. Podświadomie zaczęła odczuwać wielki niepokój. Śniły jej się koszmary.*

*Wstała wczesnym rankiem, niewyspana, połamana. Tego dnia było pochmurno. Nie padało, ale krajobraz za oknem wyglądał jak posypany popiołem.*

*Zrobiła sobie kawę, ale nie była w stanie usiedzieć przy kuchennym stole. Szybko ubrała się i wyszła przed blok. Miasto jeszcze spało. Na ulicach nie widać było porannej krzątaniny. Dzielnica wyglądała jak wymarła. Spojrzała w głąb ulicy. Na samym jej końcu zobaczyła srebrne pasmo. Wyglądało jak rozsnuta między domami gruba warstwa świątecznej lamety. Rozszerzała się bardzo szybko.*

*Zdawało się, że zza domów wylania się srebrzysta mgła, która snuje się nad jezdnią.*

*Klara chwilę zastanawiała się nad tym dziwnym zjawiskiem. Z galopady myśli wyrwało ją przejmujące zimno. Nagle poczuła, że ma mokre buty. Spojrzała pod nogi i ze zdziwieniem dostrzegła swoje nogi w kałuży, która z sekundy na sekundę stawała się coraz szersza. Rozglądnęła się wokoło, chcąc zlokalizować źródło wody. Rzut oka w stronę najbliższej przecznicy wystarczył. To stamtąd, podstępnie, przy krawężniku pełzła brudna struga. Rozglądnęła się po jezdni i dostrzegła małe fontanny wody, wydobywające się z kratek ściekowych. Szybko zorientowała się, co to znaczy, i zdenerwowała się. Obróciła się na pięcie i z impetem pobiegła do mieszkania. Krzyknęła w stronę Wojciecha, aby pozbiierał dokumenty i wszystkie najpotrzebniejsze przedmioty. Muszą przenosić się na wyższe piętro. Najlepiej do zaprzyjaźnionej sąsiadki. W tym momencie opanowała ją panika i przestała działać automatycznie. Gdy próbowała zebrać myśli, to okazywało się, że nie potrafi. Nie wiedziała, co ma robić, które przedmioty zbierać w pierwszej kolejności. Kręciła się po mieszkaniu całkiem bezproduktywnie, zbierając, co jej wpadło w ręce, i gnała do sąsiadki. Wojciech działał w podobny sposób.*

*Biegąc do góry, po drodze zawiadamiali sąsiadów. Z tobołami na plecach, jak mrówki biegali z parteru na piętro, mijając się z innymi, którzy tak jak i oni starali się zgarnąć i ocalić jak najwięcej z posiadanego dobytku. W czasie bieganiny stracili poczucie czasu. Zahamował ich ból tydek i zmęczenie. Zdążyli poprzemnieść pościel, trochę ubrań, dokumenty, fotografie. Włoczyli telewizor i przystawkę magnetowidu na górne szafki meblościanki. Na stoły powkładali kanapy, a na nie fotele i krzesła. Klara nie wiedziała, skąd u niej znalazło się tyle siły, aby pomagać dźwiganiu ciężkich mebli. Gdy wspinali się po schodach z pudłami pełnymi ulubionych książek, gonił ich odgłos huczającej, spadającej do piwnicy wody, głuche dudnienie wywracających się lodówek, brzęk rozbijanych szyb. Już bezpieczni na piętrze, obserwowali, jak na dole kotłowało się i trzaskało. Woda rwała, wchłaniała wszystko, czego dosięgła.*

*Z niepokojem patrzyli na pogrążające się w wodzie coraz wyżej i wyżej okoliczne kamienice. W brunatnym szlamie i wodzie znikły ozdobne gzymsy.*

*Każdy miał miernik, według którego sprawdzał przyrost wody. Klara obserwowała znikający powoli napis sklepu spożywczego. Zauważyła, że przerażająco szybko woda wchłaniała kolejne linijki napisu. Ogarnął ją strach. Bała się o córki i Wojtka! O sobie w tym czasie nie myślała. W tym uczuciu strachu dotrwała do wieczora, który okazał się najtrudniejszy, bo ciemny i zimny. Gdy zapadł zmrok, podeszła do okna i obserwowała okoliczne kamienice. W czarnych plamach okolicznych domów dostrzegła gdzieś tam małe, jasne iskiereki światełek. Były świadectwem istniejącego obok życia. Dodawały nadziei. Wzięła*

świeczkę i wstawiła w słoik. Otworzyła szeroko okno. Postawiła słoik na parapecie. Chciała dać prezent innym, u których nie było światła, bo zabrakło latarki, czy świeczek.

Uczucie niepewności i strachu towarzyszyło jej przez parę kolejnych dni, kiedy korzystając z życzliwości sąsiedzkiej, koczowali w obcym mieszkaniu, czekając, co będzie dalej. Klara pomagała sąsiadce w uprzączeniu zapchanego mieszkania. Próbowaly jakoś ogarnąć zatłoczoną przestrzeń, aby dało się prowadzić normalne życie. Na turystycznej kuchence gotowały wielkie gary jedzenia, aby nic nie uронić z wnętrza rozmrożonych lodówek. Kuchenkę wraz z butlą gazową znalazła pod łóżkiem Zuzi. Tym razem lenistwo córki wyszło im na dobre. Zuzanna zwykle bardzo opieszale wykonywała polecenia rodziców, co bardzo denerwowało Wojtkę. Po przyjeździe z biwaku wrzuciła butlę pod łóżko i o niej zapomniała.

Zaczęli poznawać sąsiadów. Wreszcie nie było tylko codziennego „dzień dobry”, a prawdziwe zainteresowanie drugim człowiekiem. Zintegrowali się z sąsiadami. Na klatce schodowej panował handel wymienny. Każdy miał czegoś w nadmiarze, za to brakowało mu innych artykułów. Nowe, tymczasowe życie przynosiło nie tylko ograniczenia i strach, ale również wprowadzało nowości. Klara pierwszy raz w życiu jadła jajecznicę usmażoną na patelni położonej na grillu, bo w nadmiarze miała węgiel drzewny i jajek. Mogła obdzielić jajecznicą paru sąsiadów.

Gdy rankiem następnego dnia otworzyli oczy, widok z okna był niesamowity. Zanurzone w wodzie okoliczne kamienice wyglądały jak weneckie budowle. Świeciło słońce i Klara nabrała optymizmu. Potem nad kamienicami ukazały się ratownicze helikoptery, wyglądające na tle błękitnego nieba jak wielkie ważki. Z uwagą i napięciem obserwowała ewakuację ze stromego dachu jakiejś tęgiej kobiety.

Patrzyła też z wielkim strachem na parę staruszków stojących na balkonie pierwszego pietra. Wymościłi balkon jakimś dywanikiem. Na parapecie okiennym postawili obraz z Matką Boską Częstochowską i klęczeli, modląc się o ratunek albo bezbolesną, rychłą śmierć. Widziała, jak do balkonu podpłynęła jakaś łódka z dwojgiem młodych ludzi, którzy próbowali ewakuować staruszków. Niestety, zadanie było trudne, bo zniedołężniali, nie potrafili wygramolić się na barierkę balkonu. W końcu jeden z mężczyzn wziął po kolei każdego z nich na plecy i zaniósł na łódkę. W czasie przenoszenia starego mężczyzny, łódka niebezpiecznie się zakotłosała i o mały włos oboje nie wpadli do wody. Obserwujący ich ze swoich okien ludzie z przerażenia zamarli. Kilka kobiet nawet krzyknęło. Całe szczęście, że drugi z ratowników opanował sytuację i pomógł staruszkowi. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Łódka odpłynęła.

Klara miała łzy w oczach. Długo w nocy wspominała obrazek odpływającej



*łódki, na tle zachodzącego słońca.*

*Poziom rzeki zaczął opadać. Na wodzie obok ich kamienicy co chwilę przepływały amfibie, łódki. Zaczął pojawiać się też jakiś sprzęt pływający z ludźmi wiozącymi butle z wodą, bochny chleba, konserwy, środki czystości i kalosze. Klara, wcześniej odczuwająca wielkie rozczarowanie władzami miasta, które nie przewidziały możliwości takiej tragedii i dopuściły do zalania jej ukochanego miasta, poczuła się spokojniejsza i pewniejsza. Już nie taka samotna. Znowu odczuła, że jednak nikt ich wszystkich, powodzian, nie porzucił. Ktoś o nich myśli i dba, aby nikt nie umarł z głodu i pragnienia. Jeszcze przez trzy dni nie mogli dostać się do swojego mieszkania. Gdy woda opadła i wreszcie zeszli na swoje piętro, widok zniszczeń był porażający. Brud, szlam, kupa gratów! Mieszkanie wyglądało jak brudna, czarna nora. W żaden sposób nie nadawało się do mieszkania. Poczuli się prawdziwie bezdomni. Najgorsze było to, że Klara nie mogła sobie przypomnieć tych dni, gdy tkwiła w obcym mieszkaniu. Nie odtwarzała, co robiła, jak żyła, jakby wymazała z pamięci szczegóły tego koczowania. Nie pamiętała też, co robił Wojtek i dziewczynki.*

*Znowu zaczęła odczuwać wielką samotność. Widziała, że to samo dzieje się z jej mężem.*

*– Jakoś będzie! – powiedział, gdy zabrali się do sprzątnięcia swojego mieszkania. – Wszystko wróci do normy!*

*Jednak od tego momentu nic już nie było takie jak wcześniej.*

*Powódź zmieniła nie tylko ich mieszkanie, które już przestało być przytulnym gniazdem, a stało się zwykłą norą. Z czasem okazało się, że odcisnęła również ślad na ich wspólnym życiu. Grubą kreską oddzieliła okres przed tragedią. Zmieniło się też miasto.*

*Ukochana dzielnica w ciągu jednego dnia przeobraziła się w wielkie wysypisko zniszczonych, zabłoconych, cuchnących śmieci. Pod domami piętrzyły się mokre, brudne, szare piramidy mebli, dywanów i domowych sprzętów. Wszędzie widać było jakieś brudne szmaty, potłuczone słoiki.*

*Chcąc przejść do niezalanych dzielnic miasta, chodzili w tunelach, między szarymi górami cuchnących odpadów. Klarze zaczęło zdawać się, że cały otaczający świat stał się szary i cuchnący. Nawet słońce wylegujące się na chodnikach było zszarzałe, wyblakłe. Takie zaczęło wydawać się Klarze ich życie. Wieczorami napadały na nich chmary komarów, mimo iż miasto zrobiło akcję trucia insektów.*

*Kobieta bardzo mocno odczuła stratę przytulnego azylu, jakim było mieszkanie. Najbardziej żał jej było pięknego zbioru książek, który został całkowicie zniszczony. Płakała nad każdą zaplesniałą stroną. Próbowwała je suszyć, ratować. Wszystko jednak na darmo. Wilgoć była zabójcza. Opanowała większość książek. Pokryły się zielonym nalotem pleśni. Nie dały się w żaden sposób*

uratować. Marcelinie i Gizeli też było bardzo przykro rozstawać się ze swoim zbiorem. Z ciężkim sercem żegnały się z każdym egzemplarzem, jak z dobrym przyjacielem.

Czasem, po kryjomu jedna przed drugą, chowały książki, które wydawały się im nadające do uratowania. Niestety, po paru dniach okazywało się, że i one pokrywały się wielkimi jęzorami agresywnej pleśni. Na stosie przed domem zaczęło przybywać wyrzuconych egzemplarzy.

Wojtek, jak tysiące innych ludzi, wpadł w wir prac remontowych. Dzielił czas pomiędzy pracę zawodową i remont mieszkania. Był rozżalony, że żona pomaga mu jedynie przy uprzątnięciu i wyrzuceniu zalanych przedmiotów. Ponadto gotowała posiłki i załatwiała sprawy urzędowe oraz sprawunki. Uważał, że to stanowczo za mało. Na dodatek w żaden sposób Klara nie potrafiła mu fachowo doradzić, zarządzić, co ma robić. Wojtek czuł się z każdym dniem bardziej zagubiony i przerażony ogromem prac, do których nie czuł się stworzony. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że oskarża Klarę bezpodstawnie, że zwala na nią swoje poczucie winy, że nie radzi sobie z sytuacją, ale tak mu było łatwiej i jeszcze bardziej wpadał w złość. Po wielu złośliwych docinkach, które codziennie słyszała Klara, kobieta zamknęła się w sobie. Zaczęła chorować. Nie rozumiała pretensji męża, który wymagał od niej pracy na miarę męskiej siły.

– Jestem z wszystkim sam. Znikąd pomocy. – To zdanie Klara słyszała od rana do wieczora. Wojtek powtarzał je jak mantrę, aż w końcu sam w nie uwierzył. I wtedy jeszcze bardziej oddalili się od siebie, oboje zatopieni we własnym bólu, niepewności, rozpaczy. Nie klócili się, ale też nie wymieniali innych zdań, oprócz komunikatów dotyczących prac remontowych. Stłoczeni w piątkę w jednym małym pokoiku mieszkania sąsiadki, czuli brzemień bezdomności, chociaż zapewniano ich, że nie przeszkadzają.

Zaczęła się ich fizyczna separacja. Wojtek ze swojego mieszkania przychodził zmęczony, zdenerwowany, bo trudno było mu porozumieć się z fachowcami. O każdego z nich było bardzo ciężko, bo przecież nie byli jedyni w tak trudnej sytuacji. Wieczorem mężczyzna kładł się na łóżko i spał do rana kamiennym snem. Klary nie zauważał. Czasem próbowała przytulić się do męża, ale odsuwał się od niej, jakby jej dotyk parzył. W ferworze remontu mieszkania znikła dawna fizyczna bliskość. Zaczęli żyć jak dwoje obcych ludzi. Gdy pewnego razu próbowała o tym porozmawiać, usłyszała, że trudno zbliżyć się do siebie, gdy dzieli się pokój z córkami. Z bólem serca musiała przyznać mu rację. Przecież on nie rozumiał, że chodziło jej tylko o przytulenie, czuły gest.

rzeżyta powódź na dalszy plan odsunęła ciągle kłopoty z Zuzanną i Gizelą, które w obliczu pogromu okazały się mikroskopijne. Marcelina pomagała we wszystkim i towarzyszyła Klarze w codziennych zajęciach, również w przygotowaniu garów jedzenia, które szykowały malarzom, tynkarzom, cieślom

*i innym fachowcom, aby szybciej doprowadzili ich gniazdko do porządku.*

*Zuzanna powódź przepała. Tak było jej łatwiej. Odmówiła pomocy przy pracach remontowych. Parokrotnie zmuszana do noszenia, wyrzucania, sprzątania, robiła to niechętnie, utyskując nad swoim losem, okropnymi rodzicami, których otrzymała w zestawie przy pojawieniu się na świecie. Gizela w tym czasie po prostu zniknęła. Klara nie wiedziała, gdzie jej córka całymi dniami przebywa, sama zagubiona pomiędzy pracami remontowymi, załatwianiem spraw urzędowych a śpiącą Zuzanną.*

*Gizela od początku starała się nie rzucać nikomu w oczy. Coś tam od czasu do czasu pomagała, coś nosiła, a później gdzieś na wiele godzin przepadała. Nikt nie wiedział gdzie i z kim przebywa. Dziewczyzna żonglowała pomiędzy rodzicami i siostrami, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. W zasadzie bardziej solidaryzowała się z Zuzanną, z którą miała wiele wspólnych cech charakteru.*

*A potem przyszła kolejna fala opadów, która spowodowała, że napięte do granic możliwości nerwy nie wytrzymały. Jednego, wyjątkowo trudnego dnia, gdy ponownie pogoda dała się we znaki, wracająca z pracy Klara już od drzwi klatki schodowej usłyszała odgłosy wielkiej awantury. Dochodziły z ich mieszkania. Gdy weszła, potrąciła otwartą puszkę farby, która przewróciła się na świeżo położone panele.*

*– Kto to postawił pod drzwiami? – zdenerwowała się Klara.*

*– Pewnie znowu będzie na mnie. Jak zwykle. Od rana słyszę tylko wasz jazgot. Jesteście jak te gęsi. Albo gęgacie i syczycie na siebie, albo na mnie! Mam was dość! – krzyknęła Zuzanna.*

*– Jak mówisz do matki! – Wojtek nie był jej dłużny. – Masz matkę szanować!*

*– I ty to mówisz? Ty nic nie wiesz o szacunku! Jak można traktować tak jak ty osobę, o której mówisz, że ją kochasz. Hipokryta! – odcięła się córka.*

*Klara, jak w zwolnionym tempie, zobaczyła rękę Wojtka, która zatoczyła łuk i wylądowała na policzku Zuzanny. Widziała okrągłe ze zdziwienia oczy córki. Zapaliły się w nich ogniki złości i upokorzenia. Cała trójka na chwilę zamarła. Wszyscy poczuli niedowierzanie.*

*– Nienawidzę ciebie! – wyrzeszczała Wojtkowi w oczy Zuzanna i z impetem wypadła przez drzwi. Zbiegła po schodach i za chwilę oboje usłyszeli głośny trzask drzwi wejściowych. Później zapadła ciężka cisza.*

*– Jak mogłeś? – nie wytrzymała Klara.*

*– Oczywiście, znowu to wszystko moja wina. A jak ty możesz nie zauważać, że stanąłem w twojej obronie? Ta smarkula wykorzystuje każdą sytuację, aby uzyskać to, czego tylko chce, i to jak najmniejszym nakładem swojej pracy. Tylko żąda. Okręciła sobie ciebie wokół palca. Już jest dorosła, a zachowuje się, jakby miała pięć lat. Nie podoba mi się to, co oglądam. Robi nas cały czas w balona.*

*A gdzie solidarność rodzinna? Gdzie poczucie obowiązku? Gdzie zwykła przyzwoitość? Od dziś nie zamierzam jej niańczyć! Jak chce pracować i zarabiać na siebie, to niech pracuje. Jak chce się wyprowadzać, to niech szuka mieszkania. A jak będzie na swoim, to niech robi co chce.*

*Zaciśnięte szczęki, które zakończyły tyradę mężczyzny, zamknęły usta Klarze. Chciała mężowi powiedzieć, że tak nie można, że dzieci mają prawo do błędzenia, ale nie odezwała się. Wyszła z mieszkania i poszła piętro wyżej, gdzie Gizela kończyła odkurzanie. Wieczorem nie czekała na przyście Wojtka. Ból serca zmusił ją do zażycia niedawno przepisanych leków i usnęła ciężkim, bolesnym snem, pełnym majaków i dręczących obrazów.*

*Niedługo po tym zdarzeniu powrócili do swojego mieszkania, nigdy jednak nie wrócili do poprzedniego życia. Relacje pomiędzy Wojtkiem a Zuzanną wyraźnie popsuley się. Związek Wojtka i Klary też zaczął się zmieniać. Oboje nie wiedzieli, czy na lepsze czy gorsze. Powoli wróciła bliskość fizyczna, ale już nie taka, jak przed powodzią.*

*I wtedy listonosz przyniósł list. Drżącymi dłońmi ujęła kopertę i rozerwała. Ze środka wypadła mała, biała kartka. Trzęsącym się pismem, w języku polskim napisane było kilkanaście zdań.*

*Gdy po wielekroć przeczytała go na głos, zrozumiała, że przynosi on kolejne wieści z obcego kraju i jest zarazem prośbą starej matki Jean-Francois o prawdę. Jednak Klara nadal nie była gotowa, aby zburzyć spokój swojej najmłodszej córki. Nie teraz, nie w tak trudnym dla wszystkich okresie.*

*Następnego dnia, gdy wracała z pracy, na wystawie jednej z małych galerii dostrzegła sporych rozmiarów obraz. Urzekł ją kolorami, tajemnicą bijącą z wnętrza. Przedstawiał jakiś bajkowy ogród ze stojącym pośrodku pięknym drzewem. Oczarował ją. Był jak barwna oaza wśród szarości ulic. Skojarzył się jej z dobrem, życiem, odrodzeniem. W myślach nawalała go „drzewo życia”.*

*Weszła do środka. Zapytała o cenę. Była bardzo wysoka. Posmutniała. Sprzedawca zauważył na jej twarzy rozczarowanie.*

*– A ile dałaby pani za obraz? – zapytał.*

*Wymieniła kwotę, która w tej chwili była dla niej również horrendalna, ale możliwa. Sprzedawca chwilę pomyślał, a później bez słowa zaczął pakować obraz.*

### **Zapiski, kwiecień 2008 r.**

*Od dawna nie potrafię odpowiedzieć sobie na pytanie, jak to jest z moją wiarą w Boga? Jestem katoliczką. Ochrzczono mnie, posłano do komunii, do bierzmowania. Czy to już jest równoznaczne z wiarą? Czym dla mnie jest Bóg? Jak go pojmuję? Gdy świat wali się mi na głowę i nie mam żadnych pomysłów na powstrzymanie totalnej tragedii, powierzam opatrności siebie i swój świat. Czy to*

znaczy, że wierzę w Boga?

*Ktoś kiedyś powiedział mi o teorii wielu światów. Podobno każdy człowiek tworzy sobie swój własny świat. Związane jest to z innym postrzeganiem otoczenia, innymi odczuciami, które towarzyszą temu postrzeganiu. Idąc za tym tokiem rozumowania, każdy ma swoje postrzeganie lub niepostrzeganie Boga. Jedni mają świadomość jego obecności, inni nie.*

*Ja MAM POTRZEBĘ Jego obecności i pomocy. Muszę mieć Boga, aby czuwał nad moim światem i rozwiązywał problemy, którym sama nie potrafię zaradzić. Z tego chyba wynika, że jestem wobec opatrności bardzo roszczeniowa, choć staram się, aby w moich modlitwach nie było zbyt wielu tak zwanych pierdoł.*

*Gdy byłam małą dziewczynką, nie dostrzegałam obecności Boga, mimo iż regularnie uczestniczyłam w mszach. Nudziły mnie długie obrzędy, które oglądałam zza pleców dużo większych ode mnie ludzi. Męczył niesamowity tłok, panujący we wnętrzu starego gotyckiego kościoła. Nie rozumiałam łacińskich wersów, które wyśpiewywali kapłani. Jedyne, co lubiłam, to nastrój obrzędów, zapach kadzidel, wosku i blask świec. Ten nastrój powodował, że starałam się być grzeczna i posłuszna rodzicom.*

*Teraz myślę, że była to dla mnie, małej dziewczynki, obecność Boga w życiu. Taka materialna oprawa, która implikowała konieczność wewnętrznego doskonalenia.*

*Czy teraz mój BÓG to okruch przyzwoitości tkwiący we mnie? Czy bardziej jest to wewnętrzne przekonanie o opatrności, której mogę powierzać nierozwiązywalne problemy, z wewnętrzną pewnością, że znajdzie się na nie sposób? A jeśli nie, to widać tak ma być, bo opatrność ma dla mnie swój plan. Czy jestem w związku z tym wierząca, bo zrozumiałam, że jestem słaba i niedoskonała?*

*Od chwili, gdy zaczęłam w ten sposób myśleć, zrobiło mi się lepiej. Jestem spokojniejsza. Przestałam się szarpać. Gdy zaczynam bić głową w mur i czuję pierwszy ból, rezygnuję. Nawet jak na początku wpadam w rozpacz, to szybko przypominam sobie, że mam „telefon do przyjaciela”.*

*Od lat mam już świadomość tego, że mój świat to nie tylko świat Wojtka. Przez wiele lat nie potrafiłam zrozumieć, że mój mąż nie może na życie patrzeć tak jak ja, bo nie patrzy moimi oczyma, tylko swoimi. Teraz chciałabym tylko, aby nasze światy były jak dwa zbiory matematyczne, które mają sporo punktów wspólnych. Nie muszą się pokrywać. Chciałabym, aby Wojtek też zrozumiał, że nie mogę widzieć spraw, tak jak on.*

*I mam nadzieję, że mój Bóg czuwa, aby zbyt wiele wspólnych elementów naszych zbiorów nie należało do zbioru pustego...*

## Rozdział IV

### Sergiej

Następnego dnia zbudziło Gizelę cichutkie stukanie do drzwi. Po późnym powrocie do domu długo nie mogła usnąć. Przeszkadzał jej księżyc, zagląający przez okno do sypialni. Noc była wyjątkowo pogodna, a księżyc wielki jak deserowy talerzyk. Po paru godzinach przewracania się, odkrywania i zakrywania kołdrą postanowiła zaciemnić pokój. Spuściła rolety i pomieszczenie ogarnęła nieprzenikniona czerń. Szybko usnęła. Rankiem nie obudziło jej słońce. Śpiąc w ciemnym pokoju, straciła poczucie czasu.

– Gisèle, czy ty malade? Już pół dzień za tobą, a ty jeszcze dormir – usłyszała zaniepokojony głos Niny.

– Nic mi nie jest, babciu! Po prostu późno zasnęłam i teraz odsypiam. Ale już schodzę, tylko wezmę prysznic.

– Salle de bains jest préparée. Ty rób la douche i szybko do la cuisine. Marlène i Paul zrobili rano telefon, że wy razem l'excursion do Montmedy. Oni tam teraz mają swój mały dom na les vacances. Oni biorą swoje diner, chleb i kiełbasa. Wy tam la promenade po Montmedy, a jutro wy jechać do Aviot. To parę kilometr od Montmedy. Taka bazylik. Bardzo ładna. Ty musisz dużo zobaczyć i potem opowiedzieć swoja rodzina – prowadziła swój monolog babka.

Gizela chwyciła taśmę rolety i podciągnęła do góry. Pokój załała złota lawa południowego słońca. Zmrużyła oczy, nieprzyzwyczajona do takiej ilości światła. Na chwilę oślepla. Po paru minutach oczy przyzwyczyły się do jasnego oświetlenia. Dziewczyna odzyskała wzrok. Przeglądnęła się w lustrze toaletki. Zobaczyła sypialnię i rozczochraną, zaspaną młodą kobietę. Uśmiechnęła się do swojego odbicia. Podobało się jej to, co zobaczyła. Boso pobiegła do łazienki. Po piętnastu minutach czysta, z mokrymi, rozczesanymi włosami była już na dole gotowa do wycieczki.

– No i gdzie Paul i Marlène? Mówiłaś, że jadę na wycieczkę. – zapytała ze śmiechem.

– No i widzisz, Boże, jak to z młodymi? Szast prast i już są na inny plac. Poczekaj. Ty jeszcze nie piła kawa i nie jadła chleb. Pusty brzuch to niedobrze na podróż. Siadaj do table. Tu jest dzbanek z kawa i chleb, a tu masz confiture, szynka, fromage. Szykuj jedzenie. Musisz jeszcze do swój chambre i weź jakie ubranie na jutro, piżama i pil. Wieczór to może być zimna temperatur. Weź też parasol. W tele mówili, że może być deszcz.

Nina krzątała się wokół wnuczki i podsuwała jej co lepsze kąski. W pewnej chwili, gdy podeszła bardzo blisko, pogłaskała wnuczkę po włosach.

– Jaka ja rada, że przed śmiercią poznała córka mój Jean-François. Szkoda, że ty nie znała swój ojciec. To był dobry człowiek, tak jak i twój dziadek. Ja z nim

bym poszła na koniec świata. Teraz też niedługo za nim pójdę. Tak pusto bez mój mąż.

– Bonjour! – usłyszały razem z dźwiękiem dzwonka wiszącego nad wejściowymi drzwiami. Do domu weszli uśmiechnięci Marlène i Paul.

– Bonjour, belle-mère. – Marlen uściskała Ninę i pocałowała pomarszczone policzki kobiety.

– Bonjour, maman! Ça va? – Do matki podszedł Paul i przytulił się do kobiety.

– Bonjour – powiedzieli do Gizeli. – Tu as bien dormi?

– Bien! – odpowiedziała i uśmiechnęła się do nich.

– Café? – zapytała Nina przybyłych.

– Non! – Odpowiedział Paul i wskazując na zegar, powiedział – Midi! – A później coś dodał, czego Gizela zupełnie nie zrozumiała, bo mówił szybko, a równie szybko Nina mu odpowiadała. Po czasie babka zrozumiała, że Gizela zupełnie nie wie, o czym rozmawiali, i powiedziała do wnuczki:

– Paul mówi, że już południe, a daleka droga przed wami. Szkoda czas. Chcą na granicy z Francja kupić w piekarni taka długa bułka do dîner. Jak już ty zjadła, to musicie jechać. Spotkamy się jutro na wieczór.

Słońce raz chowało się za białymi obłokami, które jak małe stateczki żeglowały sobie po błękitnym niebie, to ciekawie zza nich wyglądało, a wtedy mokra od niedawnego deszczu szosa wyglądała jak brzuch wielkiego wieloryba. Jechali już ponad godzinę, obserwując pofałdowany teren, porośnięty ciemnym lasem, jasnozielone łąki i pastwiska, na których pasły się nakrapiane, rude krowy. Gizela zamknęła oczy i wystawiła twarz do ciepłych promieni słońca. Szum kół rozleniwiał i usypiał.

## Ogród

Gabriel od godziny namawiał Alnę, aby każdą wolną chwilę spędzali na delikatnym zagładaniu w kielichy kwiatów. Powinni przypomnieć sobie, co napędzało ich do wysiłków przy pielęgnacji, gdy drzewo było jeszcze niewielkie, ale wyjątkowo piękne. Zniechęcona ostatnimi odlotami kwiatowych motyli, towarzyska sceptycznie podchodziła do tego pomysłu. Obawiała się, że smutek za tym, co było i już nigdy nie wróci, o czym była szczerze przekonana, obezwładni ich.

– Proszę cię, dziś tylko jeden i będziesz mogła polecieć jak zwykle na każde jej zawołanie. – Nie potrafił zrezygnować z drobinki ironii. Uważał, że Alma zbyt łatwo ułatwia życie rozchwianej emocjonalnie kobiecie, usuwając jej spod nóg wszystkie przeszkody. Zbyt ją niańczy.

– Jeżeli uważasz, że dobrą postawą anioła jest unikanie pomocy i rezygnacja z ochrony, to mogę ci tylko złożyć kondolencje! Tylko tak dalej, a nie tylko nie dostaniesz się do Absolutu, ale nawet nie doświadczysz miejsca w świecie Mistrza. Co gorsze, obawiam się, że nawet możesz skończyć jako wykluczony. A może na tym, że będziesz błąkał się jako goniec pomiędzy ziemią a niebem. Zastanów się dobrze, skąd ta twoja postawa. Może zbyt uosabiasz się z ludźmi? Oni też są tak radykalni i zasadniczy. Same wymogi, nakazy. No, dość tych przepychanek. To nie przystoi ogrodnikom. Myślę, że możemy spróbować zagładać co jakiś czas w inny kielich. Także ja potrzebuję łyku nadziei, aby nasze wybory były dobre, a droga właściwa. Teraz mam chwilę czasu. Od dawna chciałam przypomnieć sobie ten moment, gdy zakwitł biały kwiat.

Alma podeszła do drzewa i ujęła w dłoń piękny kielich. Wyglądał jak biały król motyli. Płatki jego opalizowały, a gdy poruszał się na wietrze, mieniły się delikatnym liliowym odcieniem, czasem szmaragdowym, z lekką poświatą oranżu. Był wciąż świeży i żywy, jak pierwszego dnia, gdy po rozchyleniu pąka oczarował ich. Schylili głowy nad kielichem, a ten rozchylił płatki, ukazując perłowe pręciki.

\* \* \*

Obudziła ją nagła cisza. Samochód stanął. Z ciekawością popatrzyła przez okno. Stali pod dziwnym pomnikiem. Na wysokim cokole, z lekko wzniesionym ku niebu dziobem, dumnie stał ogromny, metalowy kogut. Pod cokolem, na podwyższeniu, oparty o karabin żołnierz w niebieskim mundurze i hełmie patrzył



w dal. Pod nim przykręcono tablicę upamiętniającą śmierć żołnierzy w latach 1939-1945.

– Nous nous arrêtons, la frontière! – poinformował Paul.

Zrozumiała, że zatrzymują się na granicy z Francją. Po drugiej stronie samochodu zauważyła piekarnię i napis informujący, że właścicielem sklepu jest niejaki Nicolas. Marlène z Paulem weszli do piekarni i już po chwili wyszli z niej z wielką papierową torbą pełną długich bagietek. Ruszyli w dalszą drogę. Niedługo później na horyzoncie pojawiło się wzgórze z dwoma wieżami, zatopionymi w zieleni drzew. Gdy podjechali bliżej, okazało się, że wjeżdżają do małego miasteczka, usytuowanego u stóp fortu. Z zielonego, wysokiego wzgórza, górującego nad okolicą wystawały dwa poziomy kamiennych murów, dwie wieże zakończone okrągłymi kopułkami i sterczącymi w górę ostrymi szpicami. Zza drugiego poziomu wystawało parę spadzistych dachów.

Przejechali miasteczko i zjechali z głównej szosy. Krętą dróżką zaczęli wspinać się na kolejne wzgórze. Tuż przy drodze minęli wielki kwietnik ze zwieszającymi się z niebieskich skrzynek różowymi pelargoniami i tablicą z napisem: „Tivoli de Montmedy”. Jechali jak w tunelu pomiędzy dwoma kamiennymi murami, gdzieniegdzie obrośniętymi zielonym bluszczem oraz mchem. Co kilkanaście metrów mur przecinała stara drewniana furtka. Zza kamiennej ściany widać było wystające gałęzie drzew owocowych, kwitnących krzewów i kwiatów.

Zatrzymali się przed bramą, obok której przybita była tabliczka z numerem posesji. Na niebieskim tle widniała siedemnastka. Marlène wyszła z samochodu i wielkim kluczem otworzyła starą drewnianą bramę. Wjechali do olbrzymiego ogrodu. Mieścił się na stromym zboczu. Usytuowany tarasowo krył kamienny domek, półkolisty taras wyłożony szarą kostką i dużo starych, wysokich drzew. Przy bramie wjazdowej rosło parę młodszych drzew owocowych. Kręta kamienna dróżka prowadziła w dół stoku. Zeszli do letniego domku. Ścieżka wiała się pomiędzy wysokimi klonami, parkowymi platanami, krzewami rododendronów, bzu i jaśminu. W połowie zbocza, parę metrów pod tarasem Gizela dostrzegła następną półkę, a na niej kolejną część ogrodu, pełną kamiennych grot. Od razu oczarowała ją stara, nieczynna fontanna, usytuowana w samym sercu ogrodu.

Marlène z Paulem wynieśli z domu meble ogrodowe, otworzyli okna, aby wywietrzyć długo nieodwiedzany letni domek.

Gizela z ciekawością oglądała taras. Z boku stała kamienna ławka i zbudowany z piaskowca ogrodowy grill. Widać, że często był używany, bo wypukłe kamienie były okopcone, a na palenisku widniały resztki węgla drzewnego. Drzewa okalające domek dawały przyjemny cień, więc dziewczyna chętnie usiadła na chłodnej ławce i przyglądała się krzątającym się osobom.

Paul przyniósł jej długą szklankę z zimną wodą i cytryną. Napój był

smaczny, orzeźwiający.

Marlène usiadła obok Gizeli. Wskazała palcem zatopione w zieleni dachy domów, widniejące pod wzgórzem.

– La prison! – powiedziała.

Gizela przypomniała sobie, że słowo to oznacza więzienie. Marlène pokazała palcem ogród, w którym siedzieli, i zaczęła wolno opowiadać jego historię. Gizela starała się wyszukiwać w pamięci znajome słowa i układała je jak puzzle w historię fortu. Opowieść tę postanowiła przedstawić babce.

Późnym popołudniem wyruszyli do fortecy. Słońce nadal niemiłosiernie prażyło. Doszli do zwodzonego mostu. Potężne łańcuchy, na których w przeszłości wisiała ruchoma kładka, pozwalająca dostać się do fortu, tym razem pełniły tylko rolę dekoracji. Ławeczka w budce strażniczej była pusta. Zmęczeni, usiedli na zimnym kamieniu i spostrzegli mały otwór, widniejący nad ławką. Przez okienko zawiął przyjemny ciepły wiatr. Poczuli zapach skoszonej trawy. Odpoczywali. Po paru minutach postanowili kontynuować zwiedzanie.

Przez wielkie, otwarte wrota weszli na teren małego miasteczka. Zobaczyli wybrukowane ulice i kolorowe kamieniczki. Część z nich była zamieszkała, a część pusta i mocno sfatygowana. Zdarzały się też takie budynki, z których pozostała tylko fasada, podparta przed zawaleniem ogromnymi belkami. Wyglądała jak sceniczna dekoracja jakiejś historycznej sztuki. W dwupiętrowym domu, stojącym obok bramy, za czerwonymi solidnymi drzwiami znajdowała się agencja turystyczna i muzeum Cytadeli Montmedy. Tam zapoznali się z mapą fortu i trasami zwiedzania

Wędrowali po urokliwych, małych uliczkach, wchłaniając piękno zastygłe w starych murach. Odkryli, że widoczne z daleka dwie kopuły są zakończeniem wież kościelnych, a po koronie murów i na dnie porośniętych murawą fos wiedzie trasa spacerowa. Na małym rynečku, do którego przylegały domki z różnokolorowymi okiennicami, znaleźli uroczą studnię, z której kiedyś czerpano wodę. Pod okalającymi placyk drzewami stały wielkie donice z kolorowymi kwiatami. Oczami wyobraźni Gizela cofnęła się parę wieków i zobaczyła kobiety w jasnych bluzkach i kolorowych, szerokich spódnicach, oparte na cembrowinie, które z wypiekami na twarzy wymieniały się informacjami o mieszkańcach Montmedy.

Marlène z Paulem usiedli pod drzewami. Gizelę zainteresowały małe schodki, prowadzące na podłużny, niewielki podwórzec, przy którym było parę sklepików z pamiątkami i galeria malarska. Sklepiki okazały się zamknięte, ale drzwi galerii były uchylone, więc z ciekawością zajrzała do środka. Pomalowane na biało, dość obszerne wnętrza zastawione były białymi ściankami, na których wisiały różnej wielkości kolorowe obrazy. Większość z nich przedstawiała sportretowanych współczesnych ludzi. Kobieta z uwagą przechodziła od płótna do

plótna, śledząc ciekawe zestawy barw. Na końcu pomieszczenia odkryła rysunki niepodobne do obrazów widzianych wcześniej. Były to grafiki. Przedstawiły kozaków, kłusujących po stepach. Widok tych prac zdziwił Gizelę. Zatrzymał. W chwili, gdy zastanawiała się, kto może być autorem takich rysunków, usłyszała za sobą głęboki, niski męski głos.

– Bonjour, madame!

Zdziwiona odwróciła się w kierunku źródła głosu.

– Bonjour! – odpowiedziała.

Usłyszała, że mężczyzna o coś ją pyta, podchodząc coraz bliżej. W końcu wyłonił się z cienia. Jego aparycja zaskoczyła Gizelę. Zobaczyła przed sobą wysokiego, niewiele od niej starszego blondyna, o pociągłej, typowo męskiej twarzy, szerokich, gęstych brwiach i szerokim uśmiechu. Fiołkowe oczy dopełniały obrazu słowiańskiej urody. Przypominał twarze kozaków, wyzierające z oglądanych przed chwilą obrazów.

– Je ne connais pas le français – poinformowała go, zawstydzona brakiem znajomości języka francuskiego.

– Wy pa ruski gawaricie? – zapytał.

– Niemnożko! – odpowiedziała zgodnie z prawdą. Języka rosyjskiego uczyła się bardzo dawno w szkole. Nauka szła jej łatwo, ale później przez wiele lat nie miała styczności z tym językiem.

– Sergiej Woroncow! – przedstawił się dziewczynie.

– Gizela Jasińska – odpowiedziała automatycznie, zdziwiona swoją odwagą. Zazwyczaj nie była zbyt skora do zawierania szybkich znajomości.

– A to wy Polka. No, intieriesno! Nrawitsia wam maja rabota? Podoba się moja praca? – zapytał po polsku, bardzo wolno wymawiając poszczególne słowa.

Zaskoczył ją. Miło jej było nagle usłyszeć rodzinny język. Gizela uśmiechnęła się. Spodobał się jej szeroki uśmiech mężczyzny, otwarta twarz, wesołe oczy, a przede wszystkim łatwość, z jaką przeszedł na jej rodzinny język.

– Podobają mi się pana obrazy. Oglądając obrazy, zastanawiałam się, czy autorem jest mężczyzna czy kobieta. Widać, że potrafi pan znaleźć w twarzy to, co najciekawsze, jakby oblicza same opowiadały swoją historię. Byłam przekonana, że tak malują kobiety. Ale ja nie znam się na profesjonalnym malarstwie. Jednak muszę przyznać, że najbardziej zaskoczyły mnie rysunki przedstawiające kozaków. I wtedy pan się pojawił, gdy pomyślałam, że taka tematyka może tylko interesować trzy narody: Polaków, Ukraińców i Rosjan – mówiła chaotycznie, bardzo szybko, chcąc wytłumaczyć swoje speszenie.

– Nie tak bystro! Nie tak szybko – zatrzymał jej wywody. – Ja mówię po polsku, ale nie jest to mój rodzony język. Moja babka była Polką i ona nauczyła mnie mówić po polsku. W zasadzie to ona mnie wychowywała. Matka zmarła przy moim porodzie. Dziadek i ojciec byli Rosjanami. Babka zmarła parę lat temu

i wtedy wyjechałem do Francji. Mieszkam tu już parę lat. Mam wielu przyjaciół. Teraz mam swoją galerię. Pracuję też w reklamie. Jestem grafikiem. Czy pani przyjechała tutaj na wakacje? – zapytał.

– Tak. Właśnie jestem z dalekimi krewnymi na wycieczce. Marlène i Paul mają niedaleko swój kamienny letni domek. Dzisiaj chcieliśmy zobaczyć cytadelę. Wieczorem wybieramy się do Aviot. Potem przenocujemy w domku. Zostajemy do jutra.

– Jeśli interesuje panią kręcenie historycznego filmu, to za kwadrans zapraszam na plac pod zbrojownię. Dorabiam sobie tam jako statysta. Właśnie nagrywamy scenę musztry. Jak pani widzi, jestem taki „człowiek orkiestra”. Jak oglądała pani kiedyś taki film z Luis de Funès, to wie, o czym mówię! Teraz bardziej modny jest zwrot „wash & go” – uśmiechnął się i puścił do niej oko.

– Ale ja jestem z kuzynostwem. Nie mogę sama szwendać się po cytadeli – odmówiła ze smutkiem.

– Nie znam słowa „szwendać”, ale musztra jest na placu przed wejściem na wały. Każdy może popatrzeć. Zapraszam z kuzynami – zapewnił zmartwioną Gizelę.

Ucieszyła się, że jeszcze zobaczy tego ciekawego człowieka o fiołkowych oczach. Trochę jej zrobiło się wstyd, że w jednej chwili uległa jego czarowi i pomyślała, że zachowuje się jak niedojrzała, egzaltowana pannica. Od razu postanowiła zatrzeć złe wrażenie, które musiała zrobić na Sergieju.

– Powiem Marlène. Jeśli tylko będą mieli ochotę, to może zagłębimy na plan. – Powiedziała wolno, starając się, aby ton głosu wypadł jej jak najbardziej niezobowiązująco.

Niech nie wyobraża sobie, że jestem taka, co to leci na każde skinienie ciacha, no bo co tu ukrywać, prawdziwe z niego ciacho – pomyślała.

– No to do zobaczenia na planie. – Sergiej uśmiechnął się szeroko, jakby czytał w jej myślach.

Splonęła się jak pensjonarka i szybko wyszła z galerii. Po kwadransie siedziała w pełnym słońcu pod wałami i obserwowała maszerujących żołnierzy. Przekrój ich wieku był ogromny. Byli starszycy z pękatymi brzuskami, mężczyźni w średnim wieku i chudzi nastolatki. Prezentowali broń i dziarsko maszerowali w skwarne popołudnie, ale Gizela widziała tylko jasną czuprynę, bo jakoś dziwnie przyciągała jej wzrok. Po jakimś czasie niechętnie podniosła się z trawy, bo Marlène wyraźnie była już zniecierpliwiona zbyt długą przerwą w zwiedzaniu.

Siedzieli w ogródku restauracji „La Grange” i ochładzali się lodami.

Wieczór był wyjątkowo parny. Mimo iż słońce już dawno schowało się za horyzontem, słupek rtęci spadł jedynie o parę kresiek. Gizela patrzyła na ażurowe wieżyczki bazyliki i zastanawiała się, co może kryć jej wnętrze. Gdy przyjechali do Aviot, ogromne drzwi bazyliki były już zamknięte. Mimo tego sakralna budowla urzekła ją. Trochę zniszczona, górowała nad położoną u jej stóp miejscowością. Oświetlone reflektorami rozety, malowały grube, jasne kreski egzotycznych kwiatów w ciemnych łukach okien. Piaskowe łby rzygaczy, uważnie śledzące okolicę, dumnie sterczały z granatowego tła nieba. W zwieńczeniu portalu wrót kościelnych światło wydobywało z mroku Matkę Boską, dzierżącą na ręku Dzieciątko. Obok niej klęczały dwa anioły, a u stóp w falach łuku wypływały z ciemności liczne postaci świętych i aniołów. Kobieta jak urzeczona chłonęła obraz ażurowej budowli, gdy z zamyślenia wyrwał ją ostry dźwięk zbliżającego się motoru. Po chwili pod bazylikę podjechał wielki harley. Siedzący na nim mężczyzna ubrany był w ciemne skórzane spodnie i także kurtkę.

Gdy zatrzymał motor i zdjął kask, wysypały się z niego pszenicznego koloru włosy.

Gizela poczuła w gardle dziwny skurcz. Poznała sylwetkę.

– Bonjour! – usłyszała, gdy mężczyzna zbliżył się do ich stolika.

– Bonjour! – odpowiedziała i przedstawiła Sergieja swojemu towarzystwu.

Marlen i Paul swobodnie rozpoczęli rozmowę z młodym mężczyzną. Po chwili naturalnie stał się on tłumaczem dla Gizeli.

– Marlen mówi – tłumaczył dziewczynie – że w środku jest tablica upamiętniająca pobyt Jana Pawła II w 1993 roku. Musisz tutaj przyjechać jutro rano. Marlène z Paulem mają trochę pracy w swoim domu. Muszą nadzorować pracę murarza, który ma zająć się bieżącymi naprawami. Ja mogę cię tutaj przywieźć, jeśli będziesz chciała. – Sergiej szybko zaczął mówić do Gizeli po imieniu.

– A pana galeria? – zapytała, utrzymując dystans, bo nie wiedziała, czy mężczyzna przejął się.

– Mojej galerii może jeden dzień popilnować kolega. Chętnie cię pomogę i posłużę za przewodnika. Marlen mówiła, że na stałe mieszkają nie tak daleko od granicy francuskiej, więc prawie jesteśmy sąsiadami. Sąsiedzi powinni sobie pomagać. – Sergiej mówił coraz lepiej i szybciej po polsku, nieznacznie jedynie zmiekczejac i przeciągając samogłoski.

– Teraz jedziemy do domu na kolację. W takim razie spotkamy się jutro. Jak masz po mnie przyjechać, to musisz jechać za nami, aby wiedzieć, skąd masz mnie rano odebrać – powiedziała.

Sergieja zwrócił się do Marlène i Paula. Oni roześmiali się i oboje skinęli głowami.

– Masz pozwolenie, aby teraz jechać ze mną. Mam zaproszenie na kolację.

Pojedziemy za samochodem Marlen. Wsiadamy, bo Paul już zapłacił rachunek.

Jechała, przytulona do pleców Sergieja. Czowała zapach jego wody toaletowej pomieszany z własnym zapachem mężczyzny i chłonęła tę chwilę. Wiatr rozwiewał jej włosy. Powietrze chłodziło rozgrzaną skórę. Nagle poczuła się bardzo spokojna i prawie szczęśliwa.

Wieczorem, pomimo wrażeń i zmęczenia, chętnie wróciła do pamiętnika matki. Coraz częściej czuła potrzebę przenoszenia się myślami do minionych lat i spoglądania na rzeczywistość oczami Klary. Jakby matka siedziała obok niej i opowiadała o minionych dniach, swoich odczuciach. W ten sposób czuła się jeszcze bliżej Klary.

### ***Pamiętnik Klary, rok 2000***

*Szarpięcie za ramię obudziło Klarę. Otworzyła oczy i spojrzała zaspanym wzrokiem na intruza.*

*– Proszę o bilet. – Konduktor był młody i patrzył na nią ze zniecierpliwieniem. – Dokąd pani jedzie? – zapytał. – O, widzę, że będzie musiała pani przesiąść się w Kłodzku. Zaraz dojeżdżamy. Pomogę zdjąć walizkę – powiedział uprzejmie i już zdejmował z półki samotną walizkę, która leżała nad jej głową. Klara nie zauważyła nawet, kiedy została sama w przedziale. Pośpiesznie ubrała na siebie kurtkę i skierowała się ku wyjściu.*

*Brzózki przywitały ją czerwienią zachodzącego słońca.*

*– Jak tu pięknie! – powiedziała do siebie, schodząc z peronu i przechodząc obok dawno zamkniętego, zdewastowanego, starego dworca kolejowego.*

*Było po deszczu. Rozgrzana ziemia parowała. Nad kopami gór unosiły się białe pióropusze mgły. Powietrze miało zapach świeżej trawy, rozkwitłej łąki i słodkich kwiatów akacji, które otaczały budynek dworca. Klara zastanawiała się, jak trafi do pensjonatu „Anielin”. Postanowiła, że postara się jak najszybciej dotrzeć do pierwszego domu i dowiedzieć się o drogę. Szła wąską, piaszczystą ścieżką, ciągnąc za sobą walizkę. Kółka niechętnie obracały się na piaszczystym podłożu. Obcasy grzęzły w piachu.*

*Dotarła do pierwszych zabudowań zmęczona i spocona. Kurtkę już dawno zdjęła i powiesiła na rączce walizki.*

*– Dobry wieczór! – Przystanęła przy płocie obejścia.*

*– A dobry, dobry! – Stary mężczyzna, który właśnie zaganiał krowy do obory, przystanął i przyjrzał się Klarze. – Widzę, że pani nietutejsza – stwierdził.*

*– Szukam pensjonatu „Anielin” – poinformowała.*

*– A to pani do naszej Anielci. Ucieszy się. Lubi gości. Ona zresztą wszystkich lubi – mówił mężczyzna, przeciągając końcówki, ze wschodnim zaśpiewem. – Jak ją w ubiegłym roku młodzi grzybiarze, których też lubiła, okradli*

*z dwóch obrazów, to tylko powiedziała: „na zdrowie”, czyli że chciałaby, żeby im ta kradzież wyszła na zdrowie. Jakby poprosili, to sama by im obrazy podarowała. I martwiła się, że teraz na sumieniu grzech mają. Bardziej się tym ich sumieniem martwiła niż swoją stratą. Dziwna kobieta. Inaczej żyje niż my wszyscy. Inaczej się ubiera. I całe dnie niewiele robi, tylko pędzłem macha. Ona nietutejsza. – uzupełnił swoją opowieść. – Pani poczeka. Krowy zamknę i zawołam syna. Na motorze panią zawiezie do Anielci. Jej pensjonat daleko. Za górą. Piechotą to długo będzie pani szła, a noc za pasem. Irek zawiezie szybko. Zaraz zatelefonuję do Anielci, żeby się na pani przyjazd szykowała.*

*Za kwadrans gnała na wielkim motorze, obok którego na wertepach, w małej przyczepce, podskakiwała jej kraciasta walizka. Kurczowo trzymała się skórzanej kurtki pana Irka i modliła się, aby dowiózł ją w całości. Od dawna nie miała możliwości jazdy na motorze. Od czasu, gdy jeszcze jako nastolatka odwiedzała rodzinę ojca. Teraz przypomniła sobie to niesamowite wrażenie pieszczoty wiatru, który buszował w jej włosach, i poczuła się szczęśliwa.*

*– Zmarzła pani? – Ireneusz odwrócił głowę w jej stronę, starając się przekrzyknąć wiatr. W tym samym momencie motor lekko zadrzał i skręcił. Klara zamknęła ze strachu oczy. Ireneusz pochylił się nad kierownicą i wyrównał.*

*– Niech się pani nie boi! – pokrzykiwał. – Już dojeżdżamy. Jeszcze tylko mała rzeczka i za kępą jodeł już łąka, a na niej mieszka Aniela.*

*Za chwilę przejechali drewniany mostek, łączący dwa brzegi wartkiej górskiej rzeki. Dojechali do granatowej, zanurzonej w wieczornym mroku grupy drzew. Za nią droga ostro skręciła w lewo i na rozległej łące Klara dostrzegła ciemny zarys okazałego domu, ze złotymi punktami okien.*

*Drzwi domu otwarły się w momencie, gdy podjechali pod ganek. W oświetlonym otworze drzwi stała kobieta. Jaskrawe światło prześwitywało jej długą spódnicę i wydobywało cienie zgrabnych nóg i wąskich bioder. Gąszcz białych, kręconych włosów, luźno spiętych na czubku głowy, tworzył wokół twarzy srebrną aureolę. Rogi chusty, zarzuconej niedbale na ramiona, powiewały na wietrze.*

*– Trafiłam do domu anioła – pomyślała ze zdziwieniem Klara.*

*– Witaj, Irku! – Głos pani Anieli był młody, wesoly i nie przystawał do srebrnych włosów. – Dziękuję, że mi przywiozłeś gościa. Wejdiesz na herbatę? Zaparzyłam tę, którą lubisz, z płatkami róży – zapraszała.*

*– Jaka szkoda, że nie mogę. Umówiłem się, a Janka nie daruje mi spóźnienia. Może wpadnę na herbatkę innym razem – odmówił pan Irek z niechęcią. I już wsiadał na motor. Za chwilę obydwie kobiety zostały na ganku same.*

*– Witaj w moim królestwie. Może powinnam powiedzieć: witam panią, pani Klaro. Ale jak widzę, jestem dużo starsza, więc pozwolisz, że nie będę bawić się*

w ceregiele i będziesz dla mnie Klarą. Ja też proszę, abyś mówiła do mnie po imieniu. Sąsiedzi przeważnie mówią mi „Anielciu”.

Pani Aniela wyciągnęła rękę do Klary, a ta mocno ją uścisnęła. Od razu poczuły wzajemną sympatię.

– Chodźmy na piętorko. Pokażę ci pokój. Przygotowałam go wczoraj, jak mi napisałeś e-maila, że przyjeżdżasz. – Stara kobieta szła przodem, wskazując Klarze drogę. – Na razie jesteś w moim pensjonacie sama. Jeszcze nie ma sezonu. Od lipca mam zajęte wszystkie pokoje. Teraz jesteś tylko ty. Mam nadzieję, że ci się spodoba. Pensjonat nie jest duży. Parter zajmuję ja, a piętorko wynajmuję. Są tu zaledwie trzy pokoje. Dorabiam sobie do emerytury. Od lat przyjeżdżają tutaj moi znajomi. Czasem tylko obcy, a i ci szybko stają się znajomymi. I nie narzekam, trafiam na dobrych ludzi. Nie ma z nimi wiele roboty.

Pani Aniela doszła do szczytu schodów. Z góry popatrzyła na Klarę.

– Już ci pewnie powiedzieli o mojej jesiennej przygodzie – kontynuowała. – Oczywiście i mnie się zdarza, że źle kogoś ocenię, ale niech im idzie na zdrowie. To tylko obrazy. Po to są, aby na ścianach wisiały. Widać im się spodobały, a że pieniędzy nie mieli, to się sami obsłużyli. Co mi tam, namalowałam zaraz inne. Miejsce przynajmniej na ścianach się zrobiło na nowe płótna. Może to obcowanie ze sztuką, nawet taką kulawą jak moja kogoś choć trochę odmieni – stwierdziła. – A ty malujesz? – zapytała, otwierając drzwi pokoju.

– Kiedyś trochę malowałam, ale kiedy to było? Jeszcze przed ślubem. Kiedy dziewczynki się urodziły, to nie było na to czasu, a potem to nawet nie myślałam, aby wracać do malowania – odpowiedziała Klara. – O, jaki cudny ten pokoik! – stwierdziła, przyglądając się przytulnemu, kolorowemu wnętrzu.

– Powinno ci być tu dobrze. Jutro zobaczysz, jakie piękne są widoki z twojego okna. Odpoczniesz, nabierzesz energii na dalsze zmagania z życiem. Popatrz, tu obok pokoju masz łazienkę z prysznicem. Ogarnij się, wykup i zejdź na kolację. Zostawię jedzenie w kuchni na stole. Ja chodzę spać wcześniej, ale też i wcześniej wstaję. Jakby mnie już w kuchni nie było, to życzę ci dobrej nocy. Jutro porozmawiamy. Lubię sobie przed snem poczytać. Jakbyś jeszcze czegoś potrzebowała, a w kuchni nie znalazła, to zastukaj do mojej sypialni. Nawet jak mnie zbudzisz, to nic się nie stanie. Nie mam problemów z zasypianiem! – Aniela uśmiechnęła się do Klary i odeszła, zamykając za sobą drzwi.

Klara otworzyła walizkę, wyciągnęła kapcie i zdjęła buty. Usiadła na miękkim łóżku. Rozglądnęła się. Ściany pokoju były białe. Pokrywały je dwa rzędy obrazów. Na płótnach kolory były jasne, pastelowe, ciepłe. Widać, że osoba, która je malowała, jest pogodna i pogodzona z życiem.

Będę tu się dobrze czuć – pomyślała Klara. Wzięła telefon komórkowy i napisała SMS: „Jestem w Brzózkach. Moją gospodynią jest anioł! Przesyłam pozdrowienia z raję”.



\* \* \*

– Kochanie, czy napijesz się kawy? – usłyszała zza drzwi, a do nosa jej dotarł świeży, mocny zapach czarnego, aromatycznego napoju. Popatrzyła na zegarek, leżący na nocnym stoliku. Była dziewiąta. Z niedowierzaniem wyskoczyła z łóżka. Uchyliła drzwi.

– Zaraz zejść, tylko się ubiorę! – krzyknęła do pani Anieli, która krzątała się piętro niżej.

– Nie ma pośpiechu. Kawa jest w ekspresie. Pośpiech jest dobry tylko przy łapaniu pcheł! – odpowiedziała ze śmiechem kobieta. – O, widzę, że spałaś dobrze. To z powodu powietrza. Tu nikt nie cierpi na bezsenność.

– Poczulałam, jaki niesamowity zapach ma powietrze, gdy tylko zeszlłam z peronu. Pachnie dokładnie tak, jak wiele lat temu. Nie do wiary, że człowiek może tak dobrze zapamiętać zapachy.

Klara usiadła przy wielkim drewnianym stole i nalala sobie kawy. Ujęła filiżankę w obie dłonie i delektowała się mocnym, głębokim zapachem.

– A co byś zjadła? Mam świeży twaróg ze szczypiozem i śmietaną. A może wolisz wędlinę? – zapytała gospodyni.

– Wolę twaróg i do tego chleb z masłem. Pycha! Widzę, że masz chleb razowy.

– I to nawet pieczony w domu, bo przez Irenkę Kąkolewską. Od lat piecze chleb w piecu chlebowym swojej mamy. I podplomyki robi. Jak będziesz chciała spróbować z mlekiem prosto od krowy, to poproszę Ircię, aby więcej zrobiła. Ircia raz w tygodniu piecze dla swojej rodziny, a ja kupuję od niej dla siebie i letników – wyjaśniła. – Jedź szybko, bo dzień jak marzenie. Szkoda czasu na siedzenie w ciemnej kuchni. Idę pod brzoźki, malować chmury. Jak nie masz lepszych planów, to weź kocyk, książkę i możesz koło mnie posiedzieć. Mnie to nie przeszkadza w malowaniu. I zawsze milej pracować w towarzystwie. – dodała.

\* \* \*

*Klara już od dwóch godzin wystawiała nos do słońca i kątem oka obserwowała Anielę, która wtopiła się w świat sztuki. Nieobecna duchem, zapamiętała machała pędzlem. Na wielkim płótnie, stojącym na sztalugach, jeden po drugim pojawiły się obłoki i wycinek nieba.*

*– A może i ty byś spróbowała. Z malowaniem jest tak jak z jazdą na rowerze. Nie zapomina się drogi do swojego wewnętrznego świata. Z początku trzeba sobie jedynie przypomnieć kierunek i zrobić pierwszy krok, a potem sama nie będziesz wiedziała kiedy, farby i pędzel staną się wielką siecią, w którą złapiesz nastrój i przeniesiesz na płótno.*

*– Pewnie masz rację. Na razie nie mam chęci. Może innego dnia. Teraz chciałabym pójść do wsi. Mam ochotę przypomnieć sobie Brzózki. Mam nadzieję, że niewiele się zmieniły – wymówiła się Klara.*

*– No to zbieramy się. Ja coś ugotuję. Musimy mieć obiad. Potem pomyślę. Lubię wracać myślami do dawnych lat, ludzi, którzy odeszli. Rozmawiam sobie z nimi. Nie bój się. Nie mam omamów. Prowadzę dialog gdzieś w sobie, tak bardzo głęboko, i wiem, że mnie słyszą, a nie raz mi odpowiadają. A może i obok gdzieś są, tylko ich nie widzę. I nie czuję się samotna, bo mam swoje wspomnienia. Czasem coś napiszę... A ty zrób sobie spacer sentymentalny. Jak wrócisz, to nastawię ziemniaki i zjemy obiadek. Jakby mnie nie było, to klucz jest pod słomianką. Wchodź śmiało i zastąp mnie w domu. A jakby się pojawiło wielkie, czarne kocisko, to wpuść go. To Jaga. Włóczy się po lesie i poluje. Mam nadzieję, że nie na ptaszki. Ona jest strasznie niezależna. Jak na dworze ciepło, to pojawia się tylko na mleko i gna dalej. Tylko w zimie nie można jej wygnać na dwór. Całymi dniami wygrzewa się przy kominku.*

### **Zapiski, lato 2000 r.**

*Niedawno poznałam wspaniałą kobietę, Panią Anielę, która pomaga mi przyjrzeć się sobie. Jest ciepłą i serdeczną starszą damą. Ma w sobie wiele mądrości i doskonale rozumie inne kobiety. Może z powodu świadomości, iż jest bliżej nieba. Spotkałam ją w odpowiednim momencie, aby powstrzymać swoją destrukcyjną działalność. Dzięki temu, że pomogła mi inaczej spojrzeć na siebie, odkryłam, że jestem, jaka jestem, ale mam siebie tylko taką i innej mieć nie będę. Mam wiele wad, mam też trochę zalet i jestem niepowtarzalna. Dla siebie najbliższa. Powinnam, więc traktować siebie wyjątkowo dobrze, a nie jak dotychczas. Nie mogę nadal widzieć w sobie wroga. Koniec z zaprzeczaniem Klary! Zrobię sobie plan odnowy: biologicznej i duchowej. Moje życie w moich rękach! Pod wpływem pani Anieli wróciłam znowu do moich rozmyślań o Bogu, losie, ludziach. Zastanawiam się, jak to się dzieje, że los stawia nam na drodze właściwych ludzi we właściwym momencie. Gdy pogubimy się w życiu, są jak*

*drogowskazy, wyznaczające szlak. Gdy tylko je odczytamy, już wiemy, w którą stronę powinniśmy iść. Jednak nie zawsze zwracamy uwagę na wyznaczone nam kierunki. Myślę, że jeśli potrafimy odczytać właściwe znaki, to zdążamy w kierunku wyznaczonym nam przez Boga, los, przeznaczenie... Nie ma co spierać się o nazwę.*

*Ludzie, którzy robią na nas wrażenie, którzy pozostawiają w nas ślad, są takimi drogowskazami. Zmieniają nas, nasz sposób pojmowania życia, świata, ważności jednych spraw i bagatelizowania innych. Zmieniają naszą opcję spojrzenia na życie. Czasem jest to zmiana nagła, zgoła rewolucyjna, innym razem seria drobiazgów, które z czasem, powoli, jak krople, które drążą skałę, robią z nas inne osoby. W swoim życiu spotkałam wielu takich ludzi – drogowskazów. A teraz czuję, że Aniela jest znakiem, który pozwoli mi odszukać właściwą drogę. Może dzięki powrotowi do świata barw, światłocieni trafię na swój właściwy szlak? Myślę też, że nie ma znaczenia, czy ludzie-drogowskazy będą nam towarzyszyć przez dalsze życie, czy tylko pojawili się w nim chwilowo. Nie to jest istotne. Ważne jest, że pojawili się wtedy, kiedy najbardziej ich potrzebowaliśmy. Myślę, że i my wzajemnie wyciskamy na ich życiu wielkie znamię. Pozostawiamy swój ślad. Jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. Oni nam jako drogowskazy, a my im jako kamienie milowe na drodze ich życia. Jesteśmy jakimś nowym doświadczeniem, kolejnym bliskim. I nie ma co rozpaczać, gdy okazuje się, że nasze drogi po pewnym czasie muszą się rozejść, bo potrzebni są innym. Musimy to zaakceptować i cieszyć się, że dane było nam zaprzyjaźnić się choćby na chwilę.*

*Gdzieś niedawno przeczytałam sentencję, że każdy z ludzi jest aniołem, który ma tylko jedno skrzydło. Aby mieć parę skrzydeł, trzeba się objąć. Trzeba być jak najbliżej drugiego człowieka. Myślę, że tak jest z przyjaźnią i miłością. Nic dziwnego, że drugie powiedzenie mówi, że miłość uskrzydla. Gdy jesteśmy tak blisko, że bliżej już nie można, to jesteśmy w stanie pokonać każdy problem, dokonać rzeczy niemożliwych. Mając zaplecze w bliskiej osobie, tworzymy najpiękniejsze obrazy, najpiękniejsze wiersze. Przyjaźń i miłość jest naszym najlepszym pokarmem, naszą prawdziwą wiarą w swoje siły i możliwości.*

*Bierzemy od kochanej osoby to, co najlepsze, i dajemy z siebie to samo.*

### ***Pamiętnik Klary, rok 2000***

*Klara chodziła po Brzósłkach. Było popołudnie i wiał lekki letni wietrzyk. Wioska wyglądała ospale i bardzo sielsko. Kobieta obserwowała wielkie zmiany, które zaszły w Brzósłkach przez lata, gdy tu nie była, i przypominała sobie drogi, którymi wiele lat temu przechadzała się z Wojtkiem. Szukała znajomych domów, obejść. Dostrzegła, jak wiele się zmieniło. Większość domów nie istniała. Zostały zburzone, a na ich miejscu jak grzyby po deszczu wyrosły nowe wille. Domu pani Wiktorii nie udało się jej znaleźć. Z żalem dostrzegła, że w miejscu, w którym*

*pamiętała stary piętrowy domek, gdzie tak bardzo zbliżyli się z Wojtkiem do siebie, stała teraz okazała rezydencja, okolona pięknym, kutym ogrodzeniem. Zniknął stary sad. Jedyne świadek dawnych czasów, stary dąb, sterczał samotnie w rogu ogrodu. Ucieszyła się i z tego.*

*Przynajmniej jeden zasuszony kwiatek w pamiętniku! – pomyślała z radością i ogarnęło ją wzruszenie.*

*Krążąc po wsi, odnalazła drogę do starego kościółka i okalającego go cmentarzyka. Kościół był remontowany. Otwarte drzwi wpuszczały do środka promienie słoneczne. W środku widać było kręcących się fachowców. Przed kościołem stały stare płyty nagrobne, które wcześniej umieszczone były w posadzce kościoła. Napisy na nich były wytarte, ledwie widoczne. Widocznie czekały na renowację. Chodząc wkoło kościoła, długo szukała grobu pani Wiktorii. Gdy zmęczona chciała już zrezygnować, pomiędzy trawami, na małym wzgórku dostrzegła kawałek metalowego krzyża. Był mocno pochylony, jakby z pokorą kłaniał się zniszczonemu kościołowi i tym, co dawno temu odeszli. Klara rozgarnęła trawy i dostrzegła, że z krzyża zwisa tabliczka z wyblakłymi literami. Odetchnęła z ulgą. Znalazła grób pani Wiktorii! Po dwóch godzinach zdołała powyrywać chwasty i odsłonić niewielką, zapadłą mogiłę, na której zapaliła znicz. Wróciły wspomnienia. Wróciły echa dawnych wzruszeń.*

*Było późne popołudnie. Cienie pobliskiego lasu zrobiły już długą podróż po okolicy polany, wydłużyły się i podeszły pod ganek „Anielina”. Niskie słońce szykowało się do zajścia za drugą górę.*

*– Dlaczego myślisz, że jesteś słaba? Ja widzę dojrzałą kobietę, która dotychczas nie żyła pod kloszem. Odważnie zmagala się z życiem i swoim losem. Dokonywała swoich wyborów. Chyba nie były one złe?*

*Aniela siedziała na leżaku, machała stopą i klapkiem, który zsuwał się z nogi. Jej srebrne włosy tego popołudnia były jeszcze bardziej zmierzwiłone, do złudzenia przypominające aureolę. Spod przymkniętych powiek uważnie obserwowała Klarę.*

*– Masz dobre, ciekawe życie. Masz rodzinę, którą kochasz. Masz dobrą pracę. Powiedz mi, skąd u ciebie ta pewność, że jesteś mało wartościową osobą, że nic nie znaczysz, że nie zasługujesz na uznanie, przyjaźń, miłość? Przecież wychowałaś piękne, uczciwe kobiety. Przygotowałaś je do dorosłego życia. Nie cierpiały przez ciebie.*

*– No, właśnie nie jestem tego pewna. – Klara zawahała się i zamyśliła. – Wychowywały się w domu, który nie zawsze był oazą spokoju – powiedziała. – Nasz związek nie był idealny. Były awantury, a my nie zawsze potrafiliśmy powstrzymać*

się, gdy dziewczynki były w domu. Nie potrafiliśmy panować nad emocjami. – Zżalem rozpamiętywała minione lata. – Nie potrafiłam wybrać właściwego człowieka, który ze mną stworzyłby idealny związek. A co najgorsze, przez wiele lat budowałam związek na kłamstwie. Skrzywdziłam tym wiele osób.

Do Klary wróciły wyrzuty sumienia i poczucie winy wobec dziewcząt. Zastanawiała się, czy niechęć Zuzanny do małżeństwa nie wynika z ich burzliwego życia małżeńskiego, a co z Gizelą? Czy Wojciech daruje jej błędy sprzed lat? Jak odkupi swoje winy?

– Dziecko, życie nie jest idealne. Jesteś żywym człowiekiem. Masz prawo czuć, buntować się, popełniać błędy. Nie ma idealnych ludzi i idealnych rodziców. Musimy się tylko starać, aby być jak najlepszymi nauczycielami życia dla dzieci. One też nie będą idealne, bo nie żyją w idealnym świecie. Muszą sobie dawać radę w tym nieidealnym. Życie jest w jakim sensie walką – tłumaczyła Aniela.

– A miłość? Jak one będą umiały kochać, kiedy napatrzyły się na to, jak raniliśmy się, jak czasami było mi trudno z myślą, że Wojtek mnie nie kocha? One to widziały, czuły – zastanawiała się Klara.

– Klaro, pokazaliście im związek dwojga ludzi, którzy nie są wobec siebie obojętni, którymi targają różne uczucia. Nie zawsze potrafią sobie z nimi dawać radę, ale są autentyczni. Nic nie udają, nie zakłamują wzajemnych relacji. Jakoś dotąd nie rozwiedliście się, więc sobie radzicie. Wasza miłość jest mocna, chociaż nielatwa. Nie jest to wystygłe ognisko, z którego wiatr wywiewa resztki żaru, a żywy ogień. Ogień jest piękny, hipnotyzuje, grzeje, ma swoją moc, ale też parzy, gdy niewłaściwie się z nim postępuje. I właśnie to pokazujecie dzieciom. Co one wezmą z tej wiedzy o miłości, to od nich zależy, od ich wyborów, od ich cech wewnętrznych. A ty, dziecko, też chyba robisz duży błąd, mierząc uczucie Wojtka swoją miarką. To jest mężczyzna. Inaczej wyraża zainteresowanie tobą, przywiązanie, uczucie. Z tego, co opowiadasz o swoim życiu, wnioskuję, że on wiele rzeczy robi dla ciebie, z myślą o tobie. Uczucie okazuje, jak potrafi. Postawiłaś mu wysoką poprzeczkę, wysokie wymagania.

– Chyba przesadzasz. Ja nic od niego nie wymagam. Ja dużo wymagam od siebie – oburzyła się Klara.

– Kochanie, ja cię nie oskarżam. Widzę, że oceniasz siebie bardzo surowo, ale też tak oceniasz swojego męża. Czy aby jest on w stanie zrealizować twoje marzenia o człowieku, który może cię kochać? Pozwól mu być sobą, kochać ciebie po swojemu. Niepotrzebnie cierpicie, walczycie. Całą energię zużywacie na rzeczy niepotrzebne, mało konstruktywne. Ale może w tym tkwi siła żywego uczucia. Zresztą, kto to wie. Dojdź do ładu ze sobą, a łatwiej ci będzie pogodzić się z postawą Wojtka. Życie jest zbyt krótkie na marnowanie go na bezsensowne, wyimaginowane zmartwienia. Jutro pierwsza lekcja malowania. Zgoda? – zmieniła temat Aniela.

– Zgoda. Przypomnisz mi, jak kładzie się farby. Może rzeczywiście powinnam wrócić do malowania. Tak mnie kiedyś to wyciszało.

Następnego ranka po wczesnym śniadaniu poszły do cienia, pod brzoźki, gdzie już godzinę wcześniej Aniela rozstawiła sztalugi.

– Przypomnę ci, jak przygotowuje się blejtramy do malowania – powiedziała Aniela.

Gdy Klara weszła w świat kolorów, znikło otoczenie. Była ona, płótno i farby. Aniela parę razy podchodziła do Klary, starała się podpowiadać, poprawiać, ale po jakimś czasie dała spokój. Wróciła do swojego obrazu. W południe zjadły chłodnik i ziemniaki z kefirem. Aniela poszła na swoją poobiednią drzemkę. Klara też weszła do pokoju i położyła się na łóżku, z którego obserwowała zalane słońcem zbocze góry. Myślała o swoim obrazie i przyjemności, jaką sprawił jej powrót do malowania. Nie chciała oceniać swojego dzieła. Nie to było ważne. Ważna była sama czynność tworzenia, która niosła niesamowicie uczucie wychodzenia z wnętrza i wtapiania się w kolorową fakturę płótna. Zajęcie dawało spokój, ukojenie. Tylko jedna sprawa niepokoiła Klarę. Mimo iż starała się nakładać pastelowe kolory, obraz wyglądał szaro, ciężko, momentami niepokojąco. Gdy wieczorem rozmawiała o tym z Anielą, ta uśmiechnęła się i powiedziała:

– Malowanie częściowo jest rozmową ze sobą. Widocznie na tym etapie taki jest ton twojej rozmowy. Takie masz w sobie uczucia. Nic na to nie poradzisz. Po prostu jesteś ze sobą szczerą. Nie udajesz, nie wchodzisz w inną rolę. Z obrazu wyziera twoje zagubienie, niepokój. Jak sobie trochę w środku poukładasz, to i obrazu zmieniają barwy. Bardzo ważne jest w życiu, aby być ze sobą szczerą i nikogo nie udawać. Wtedy jesteś w stanie siebie bardziej zrozumieć. Ale ważne, że malujesz. Człowiek musi otwierać się na świat i odkrywać przed innymi, aby wiedzieli, co czuje, co myśli. Wtedy i innym jest łatwiej. Nie tak bardzo ranią, są bardziej ostrożni. Z natury ludzie nie są źli. Często robią coś bezmyślnie, niechcący, bo nie wiedzą, że mogą innych skrzywdzić.

– Jesteś dużą optymistką i masz wiele wyrozumiałości dla innych. Skąd się to u ciebie bierze? Chyba nie słyszałam, abyś kogoś źle osądzała? – zadając pytanie, Klara pomyślała, że Aniela jest jednak bardzo naiwna.

– Przeżyłam wiele. Na razie nie chcę cię zanudzać ani martwić opowiadaniem o moich przeżyciach. Jednak wiem jedno. Ludzie robią wiele złego z powodu strachu, niewiedzy, głupoty. A potem cierpią z tego powodu. Czasem nie potrafią żyć z brzemieniem winy i popełniają największy grzech z możliwych. Dezerterują przed życiem.

– Widzisz, ja też jestem taką dezerterką. Nie chciałam nikomu nic złego zrobić, a zrobiłam wiele zła. W jednej chwili życia wydawało mi się, że nie potrafię żyć z nie swoim grzechem, a w innej sama zgrzeszyłam. I do tej pory nie wiem, czy to był grzech, czy próba ratowania się przed szaleństwem. Nie znam prawdy. –

*Klara nie wiedziała, dlaczego otwiera się przed tą niedawno poznaną kobietą. Nie rozumiała, dlaczego powierza jej swoje największe i najbardziej wstydlive tajemnice. Ale czuła, że musi to zrobić.*

*– Słucham ciebie, a widzę siebie sprzed wielu, wielu lat. Teraz już wiem dużo więcej. Wiem, że nie zawsze jest tak, jak nam się wydaje. Nie zawsze wszystko dobrze widzimy, właściwie oceniamy. Postępujemy pochopnie. Tracimy z jakiegoś powodu wiarę w ludzi, w dobroć, w uczciwość, w miłość, w życie. I wtedy grzeszymy. No, ale zaczęłyśmy o malowaniu, a jak zwykle skończyło się na intymnych opowieściach. Może posłuchamy muzyki. Ostatnio w prezencie dostałam dobrą kasetę z poezją śpiewaną. Między innymi śpiewa Turnau. – Aniela nastawiła kasetę i otuliła się białym szlafrokiem kąpielowym. Pociągnęła nogi pod brodę i zapadła się w fotelu. Klara usiadła w drugim i obydwie zanurzyły się w świecie poezji i dźwięków.*

*Nastaly dżdżyste dni. Po szybach ściekały strugi deszczu. Poziom w potoku podniósł się tak bardzo, że Aniela zaczęła obawiać się, że woda zatopi jej przydomowy ogródek. Przydymione światło dnia zniechęcało Klarę do malowania. Gdy przestawało padać, na zielonych kopczykach gór pokazywały się watowane czapy mgieł.*

*Kobiety spędzały wiele godzin przy książkach, muzyce i rozmowach. Wspólne chwile bardzo zbliżyły je do siebie.*

*– Popatrz, jak to się dziwnie w życiu dzieje. Jesteś szczęśliwa, wesola, bogata i nagle coś się wydarza, co wywraca ci cały świat do góry nogami. I już nie jesteś ani wesola, ani szczęśliwa – powiedziała Klara do Anieli, która krzotała się przy stole, przygotowując ciasto drożdżowe na placek z wiśniami.*

*Aniela oderwała ręce od ciasta i z uwagą popatrzyła na Klarę. W oczach jej dostrzec można było iskierkę popłochu. Jednak Klara wpatrzona w ekran telewizora, niczego nie dostrzegła. Za bardzo zajęta była reportażem o więźniarkach.*

*– Ona była naprawdę głupia! Jak mogła dźgnąć nożem swojego męża? Jak można zabić kogoś, kogo się kocha? Nie jestem w stanie zrozumieć tego egoizmu – mówiła oburzona Klara.*

*– Myślę, że nadszedł czas, abym opowiedziała swoją historię. Zrozumiesz, skąd u mnie inne spojrzenie na życie, ludzi, ich grzechy.*

*Aniela wygarnęła ciasto na blachę i włożyła do pieca.*

*– Dawno temu byłam młoda, piękna, szczęśliwa. Miałam kochanego męża Ryska. Dobrze zarabiał. Skończył AGH, miał dobre stanowisko. Wzięliśmy pożyczkę i Rysiek zbudował dom. Urodził się nam zdrowy syn. Rósł dobrze, był wysportowany. Uczył się. Miałam też dobrą pracę. Niewiele zarabiałam, bo pracowałam w szkole, na stanowisku psychologa szkolnego. Miałam jednak bardzo dużo czasu na dom oraz rodzinę, no i na doksztalcanie. Myśleliśmy o drugim*

dziecku, ale Rysiek zachorował na głupią dziecięcą chorobę, świnkę z powikłaniami i już nie było mowy, aby powiększyć rodzinę. Robert rósł, nie wiem kiedy wszedł w wiek nastolatka. Nie sprawiał nam żadnych kłopotów. Bardzo go kochaliśmy. Między nami też dobrze się układało. Wprawdzie w wielu sprawach ustępowałam Ryśkowi, bo trochę mieliśmy inne doświadczenia z domów rodzinnych, ale ogólnie było niezłe, aż do pewnego, ciepłego, letniego dnia. Byłam wtedy z synem na wakacjach na wsi. Robert poszedł z chłopakami nad Wisłę. Dobrze pływał. W tamtym miejscu, gdzie chcieli się kąpać, rzeka rozlewała się, tworząc różne zakola, meandry, rozlewiska. Tam chłopcy z okolicznych wsi zawsze chodzili w gorące dni. Były też małe stawy. I właśnie tam moje życie przewróciło się do góry nogami. Gdybym nie upominała, aby nie skakał na główkę, gdybym nie przestrzegала, ale przysięgał mi, że będzie rozsądny. A ja, głupia, mu uwierzyłam. Jestem psychologiem, a uwierzyłam, że nastolatek nie będzie chciał zaimponować kolegom, a co najważniejsze, koleżankom. I poszedł z chłopakami. Już nie wrócił na własnych nogach. Koledzy wyciągnęli go na brzeg. W szpitalu wiele dni leżał w śpiączce. Co ja wtedy przeżyłam?! Myślałam, że zwariuję. Operowali go, a ja siedziałam pod ścianą korytarza i kołysałam się, jakbym miała chorobę sierocą. Siedziałam i modliłam się. Miałam nadzieję, że wymodlę u Boga jego życie. I wymodliłam, ale tylko życie. Rysiek na weekendy przyjeżdżał, jednak nie miałam w nim wsparcia. Sam cierpiał. Nie potrafił sobie z nieszczęściem poradzić. Szukał wsparcia u mnie, a ja byłam zajęta tylko synem i swoim bólem. Gdy Robert oprzytomniał, zrozumiałam, że zostało z niego tylko bezwładne opakowanie. Niedotlenienie mózgu zrobiło swoje. Był sparaliżowany i nie był już naszym mądrym synekkiem. Zwolniłam się z pracy i opiekowałam się Robertem w domu. Jeździłam na salę rehabilitacyjną i wierzyłam, że stanie się cud. W tym czasie wyrobiłam sobie niezłe mięśnie od pchania wózka, dźwigania syna. Świat mój stał się bardzo prosty i sprowadzał się do opieki nad synem. Przestałam mieć jakiegokolwiek potrzeby. Czekałam tylko na jego uśmiech, uwagę. Modliłam się o nie. Rysiek pomagał mi w domu, wnosił wózek przez próg, wkładał do samochodu, ale zauważyłam, że strasznie wstydzi się przed ludźmi swojego dziecka. I zaczęło to mnie tak bardzo boleć, że odsunęłam się, zamknęłam w swoim świecie. Wobec Ryśka stałam się oschłą, obca. Miałam w sobie zbyt wielki żal, że nie potrafił zaakceptować naszego dziecka takim, jakie ono wtedy było. Nie rozmawialiśmy na temat syna. Od początku stał się on tematem tabu. Nie rozmawialiśmy na temat naszych uczuć, cierpienia. Cisza między nami zaczęła być ołowiana. Powietrze można było kroić! Nocami leżeliśmy w łóżkach samotni, bojąc się własnych ciał, dotknąć. Najczęściej do późnych godzin, w czerni nocy bezgłośnie tykałam łyż, które moczyły poduszkę. I wtedy stała się rzecz najgorsza. Pewnego dnia wyszłam po zakupy, a po przyjsciu do domu znalazłam Ryszarda w stanie skrajnego wyczerpania nerwowego. Krzyczał na Roberta, bo nie potrafił sobie poradzić ze



zmianą pieluchy. Pobrudził dywan, siebie, syna. A nie były to czasy pampersów. „Po co on żyje. Lepiej byłoby, aby wtedy nie obudził się ze śpiączki!” – krzyczał i płakał. I wtedy złapałam za nóż leżący w kuchni. Chciałam zabić swojego ukochanego męża. Byłam w amoku. Nie myślałam. Zaślepiła mnie nienawiść. I czułam wielki ból. Nie wiem, co powstrzymało moją rękę. Może sam Bóg, może anioły, a może Rysiek. Nie pamiętam. To zdarzenie uderzyło mnie w środek serca. Z nienawiścią popatrzyłam na Ryśka i już wiedziałam, że to koniec naszego związku. Kochałam go i nienawidziłam równocześnie. Nie byłam w stanie zaakceptować jego słabości. Z pogardą pomyślałam, że jeśli nie potrafi kochać bezinteresownie swojego dziecka, które już nie jest takie idealne jak kiedyś, i traktuje je jak wybrakowane, to i ja nigdy nie będę mogła na niego liczyć. Nie potrafiłam mu darować, że jest tak małostkowy. Zaczęłam budować swój własny świat, w którym był tylko Robert i ja. Rysiek stał się niepotrzebnym balastem i dostarczycielem środków do życia. Wiedziałam, że w życiu mogę liczyć tylko na siebie i swoich rodziców, którzy wtedy jeszcze żyli. Zaczęłam bać się momentu, gdy coś mi się stanie. Bałam się o swoje dziecko. Bezsenne noce przynosiły pytania, co stanie się wtedy z moim dzieckiem. Jak go będą traktować obcy ludzie, jak sobie poradzi. Wyszukiwałam wiadomości na temat zakładów opiekuńczych, które w przyszłości, po mojej śmierci mogłyby przygarnąć moje kalekie dziecko i dobrze się nim zająć. Zmusiłam Ryśka, aby założył osobną księżeczkę oszczędnościową na ten cel. W bólu byłam straszną egoistką. Widzisz, nie jestem tak idealna, jak o mnie myślisz. Wtedy z pewnością byłam okrutna. Potraktowałam Ryśka bardzo przedmiotowo, jak bank wypłacający mi comiesięczne procenty od lokaty. Nie patrzyłam na niego jak na człowieka cierpiącego, który też w jakiś sposób stracił syna. W jego biologicznej rodzinie nie było miejsca dla ludzi z defektem. Wtedy nie wiedziałam dlaczego. Teraz wiem, że od dziecka wpajano mu ten wstyd przed światem, bo wujek Ryśka był niedorozwinięty umysłowo. Wstydem było posiadać w rodzinie osobę niesprawną umysłowo, psychicznie chorą. Wtedy taką osobę chowało się przed ludźmi na strychu, w piwnicy i nie przyznawano się do jej istnienia. A ja demonstracyjnie pokazywałam Roberta światu. Mówiłam do niego przy obcych, chwaliłam się jego drobnymi postępami, które tylko ja widziałam. Moje zmagania z niepełnosprawnością Roberta i opieką nad nim trwały zaledwie trzy lata. Złapał infekcję. Wdało się zapalenie płuc i zmarł w ciągu paru dni. Nienawidziłam siebie za uczucie ulgi, jakiego wtedy doświadczyłam, bo już nie musiałam martwić się o to, co się z nim stanie po mojej śmierci. Potem sama byłam na pograniczu choroby umysłowej. Każdy dzień witalam ze smutkiem. Żałowałam, że się zaczyna. Nie chciałam wstawać z łóżka, nie chciałam pracować, wychodzić z domu, żyć. Życie przestało mieć dla mnie jakikolwiek sens. Nocami słyszałam swoje dziecko, które wołało do mnie z pustego pokoju. Biegłam tam i zastawałam puste łóżko. Pokochałam sen. We śnie byłam z Robertem. Rozmawialiśmy,

*chodziliśmy razem na spacer. Był taki, jak przed wypadkiem. Z Ryśkiem rozstaliśmy się. Wniesienie sprawy o rozwód było pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, gdy jakoś doszłam do siebie. Jednak na zawsze połączyło nas wspólne dziecko. Z początku spotykaliśmy się nad jego grobem. Potem zaczęliśmy nad nim rozmawiać. Wyjaśniliśmy sobie to, co tylko się dało. Wtedy ujrzałam Ryszarda w innym świetle. Dostrzegłam w nim człowieka, który mnie bardzo kochał. Bardzo kochał nasze dziecko, ale nie sprostął moim oczekiwaniom. Postawiłam zbyt wysoką poprzeczkę. Zostałam sama. Wróciłam do pracy. Jak powiedziałam, stawiam mężczyznom zbyt wysoką poprzeczkę. Jediną osobą, która prawie do niej dosięgała, był Ryszard. I tak już pozostało. Gdy zmarł, umarła moja wielka miłość. Z czasem ból przytępił się. Nauczyłam się jakoś z tym wszystkim żyć. Od szaleństwa wyratowało mnie malowanie. Okazało się, że niezłe mi to wychodzi. Zaczęłam wykorzystywać malowanie w mojej pracy terapeutycznej z innymi. I tak już zostało. To niezła terapia, dlatego tak namawiałam ciebie, abys do niego wróciła. Zrobiło się bardzo późno. No, to teraz do łóżek. Wystarczy tych smutnych wynurzeń. Do jutra!*

*Następnego ranka Aniela przywitała Klarę z podkrążonymi oczami.*

*– Źle wyglądasz, co się stało? – zaniepokoiła się Klara.*

*– Myślę, że wywołałam duchy przeszłości. Wróciły męczące sny. Co chwilę budziłam się zrana potem. Wydawało mi się, że po pokoju chodzi Ryszard z Robertem. Przekręciłam kontakt i nikogo nie było. Tak było przez całą noc. Rozboliło mnie serce. Już zażyłam leki. Będzie dobrze. Dobrze Kościół mówi, że nie wolno wywoływać duchów – zazartowała.*

*Kolejne dni były znowu gorące. Aniela nie malowała. Leżała w cieniu i odpoczywała na leżaku, z tomem poezji na kolanach.*

*– Ten Norwid jest naprawdę niezły – powiedziała do Klary. – Przerósł swoje czasy. Nic dziwnego, że Ryszard go lubił. Jest trochę mroczny, trochę zagmatwany, jak... – Aniela urwała w połowie zdania i zasnęła. Oddychała płytko i nierówno.*

*– Niech sobie pośpi. Ostatnio bardzo źle wygląda – pomyślała z czułością Klara i uśmiechnęła się. Spojrzała na Anielę i dostrzegła na jej ustach lekki uśmiech, widać we śnie spotkało ją coś miłego.*

*Malowała długo. Zapamiętała machała pędzlem. Nie zauważyła, kiedy słońce zaczęło chować się za górę. Zrobiło się chłodniej i ciemniej.*

*– Anielu! Zaraz będzie wieczór. Czas wstawać, śpiochu! – krzyknęła w stronę leżaka. Nie usłyszała odpowiedzi, więc podeszła do starej kobiety i przyjrzała się jej. Na jej twarzy nadal gościł delikatny cień uśmiechu. Twarz miała kolor białej parafiny i zlewała się z kolorem włosów. Dotknęła jej ręki. Była zimna.*

## **List w przestrzeń, jesień 2000 r.**

*Wiem, że idiotyzmem jest pisanie do osoby, która odeszła z tego świata, ale nie mogę się powstrzymać i muszę się z Anielą jakoś pożegnać, a więc:*

*Kochana Anielu!*

*Przykro mi, że Twoje plany życiowe zostały odwołane, ale jeszcze bardziej przykro mi z powodu okoliczności odwołania. Opuściłaś mnie nagle, bez uprzedzenia. Po prostu pozwoiliłaś mi nadal cieszyć się malowaniem i wycofałaś się po angielsku (a może anielsku?). Czy tak robią przyjaciele? A przecież mówiłaś, że jesteś moją przyjaciółką. Z tego powodu jestem na Ciebie wściekła. Twoje odejście mnie zasmuciło i zmartwiło.*

*Jednak chciałam podzielić się z Tobą, gdziekolwiek jesteś, moimi refleksjami. Usłyszałam dziś bardzo mądre zdanie, pod którym mogłabym się podpisać. Może niedokładnie je przytoczę, ale myślę, że złapałam sens, a przecież o to chodzi: „z osobami, które kochamy, możemy się zgadzać albo nie. To tak jak z rodzicami. Jesteśmy na nich czasem wściekli, czasem wydają się nam żenujący, ale jak ich już nie ma, to czujemy smutek i dopiero wtedy inaczej ich postrzegamy. Wtedy zauważamy to, co za ich życia przesłaniały nam inne sprawy, że mieli wiele zalet i byli najważniejszymi osobami...”*

*Ja zawsze wiedziałam, że opatrność stawia nam na drodze ludzi, aby ukierunkować nasze życie. Postawiła Ciebie na mojej drodze też z jakiegoś powodu. Znałam Cię bardzo krótko, ale wystarczająco długo, aby wiedzieć, ile miałaś zalet i że od razu stałaś się dla mnie kimś bardzo ważnym. Odejście każdego człowieka pozostawia po sobie jakąś pustkę. Niby świat kręci się tak samo, ale dla każdego z nas nigdy już nie jest „tak samo”. Ten wieczór, gdy odeszłaś, zaskoczył mnie. Myślę, że tak jak wszystkich, którzy Ciebie kochali. Zawsze zaskakuje nas śmierć obcych i bliskich. Z początku nie chce się wierzyć, że tak mogło się stać. Ale po pierwszym okresie niedowierzania i buntu przychodzi świadomość nieuchronności losu. W końcu przecież modlimy się „bądź wola Twoja”, a każdy ludzki los kończy się śmiercią! Śmierć bywa różna: spokojne wygaśnięcie płomieni życia, a czasem nagle zdmuchnięcie, tak jak w różnych tragicznych wypadkach, katastrofach. Myślę, że wszystko w naszym świecie ma jakiś ukryty sens, o którym wie tylko Bóg. Może Twoja śmierć w tym dniu była po to, aby coś się zmieniło w moich relacjach z bliskimi? Czas pokaże, jak spożytkuję kolejną lekcję. W moich myślach i sercu jest wielki zamęt. Mam też różnorodne, często przeciwstawne myśli. Jedną z nich jest ta, że gdy umiera po wielu latach po ukochanym bardzo kochająca kobieta, to być może otrzymała ona wielki dar. Dar spotkania w innym świecie ze swoją wielką miłością. Może to jakieś pocieszenie?*

*Nie wiem, czy mam prawo tak myśleć. Bez względu na to, ile wątpliwości i sprzecznych myśli wypełnia mnie, te ostatnie dni są czasem, w którym pozwoliłam sobie na zatrzymanie i zastanowienie się, co czuję. Oprócz smutku przepelnia mnie wiele pytań. Nie wiem, w jakim punkcie życia jestem. Co mogę zrobić, aby naprawić błędy? Nagle też zdałam sobie sprawę z tego, jak wielkim i cudnym darem jest życie, z wszystkimi zakrętami, radościami i smutkami. Dobrze mieć choć jednego człowieka, którego się kocha. Dobrze mieć wokół siebie prawdziwie życzliwych ludzi. Zrozumiałam też, iż wielkim darem jest przyjaźń. I za to dziękuję Bogu i wszystkim, których kocham! Pewnie po to, abym otrzymała tę lekcję, potrzebne było Twoje odejście. Dziękuję za to, że spotkałam Ciebie na swojej drodze. Dziękuję za wszystko, czego mnie nauczyłaś. Bardzo chciałabym kiedyś móc popatrzeć na ludzi i otaczający świat z taką miłością i życzliwością, z jaką Ty patrzyłaś. Żegnaj! Może gdzieś tam, kiedyś, w innej formie spotkamy się?*

*Klara*

Gizela miała dość wrażeń. Zmęczona wycieczką i lekturą, usnęła. W sennych marzeniach zawędrowała znowu do dziwnego ogrodu.

## Ogród

Alma lubiła wlatywać w przestworza, zagłębiać się w obłokach i nurkować w nich, jak w chłodnej pianie, szczególnie w letnie wieczory, gdy słońce ledwie chowało się za horyzontem. Wprawdzie nie czuła wrzasku dnia, unoszącego się pod chmurami, ale pławienie się w delikatnej, chłodnej wacie, zawieszanej w błękicie, wprawiało ją w wyjątkową euforię. Brała w ręce delikatną gazę i otulała się małymi strzępkami bieli, jak wielkim szyfonowym szalem. Potem na czubkach palców biegła szybko grzbietem chmury. Kręciła piruety, to znów unosiła się w tanecznych podskokach i wlatywała ponad białe obłoki. Nie tylko ona była amatorką wieczornego baletu. Spotykała w lazurze inne baraszkujące anioły. Trzepotały skrzydłami i tańczyły, gubiąc pióra na niebiańskiej łące. Gdy zapadał zmrok, długo chodziła po nieboskłonie, zbierając pogubione pióra i układała je w bukiety. Przystrajała nimi wieczorną zorzę. Gabriel obserwował taniec z ogrodu. Wlatywał ponad drzewo i starał się zapamiętać, gdzie rozmieszczała bukiety. Potem, gdy zapadał zmierzch i różowe zatoki nieba pustoszały, ukradkiem zakradał się na skraj niebiańskiej łąki. Zbierał na paletę pastelowe kolory, którymi zorza wybarwiała pióra. Starał się zdążyć przed nocnym obchodem straży Mistrza, która zbierała bukiety i umieszczała w Absolucie. Pewnego razu został zauważony przez strażników.

– Co robisz, ogrodniku? – zapytali.

Długo tłumaczył się, że tylko zbiera drobinki pasteli. Nakazano mu, aby czynił to szybko, zadowolił się tylko pyłem barw i nie zubożał bukietów, bo inaczej czyn potraktowany będzie jako występki, a on powiększy grono wykluczonych.

– Gdzie mam szukać potrzebnych barw? – zapytał zatroskany.

– Uważam, że pytanie nie jest na miejscu i nie my powinniśmy być jego adresatami. – odpowiedzieli strażnicy. – To podstawy wiedzy malarskiej. Może czas wrócić do szkoły? My jesteśmy strażnikami, a nie malarzami.

Wycofał się jak niepyszny i musiał przyznać, że mieli rację. Od tego zdarzenia szukał barw gdzie indziej, a tylko w wyjątkowych momentach po balecie Almy zbierał unoszący się w przestworzach barwny pył.

Spała twardym snem. Nagle przez zasłonę snu wdarł się świergot ptaków, a szczególnie jednego, wyjątkowo złośliwego. Gizela otworzyła oczy. Spojrzała w kierunku źródła dźwięków. Na parapecie okna siedział szary ptaszek i spoglądał na nią małymi jak czarne główki od szpilek oczkami. Przekręcał głowę i świergotał.

Dziewczyna poruszyła głową, chcąc spojrzeć na wskazówki budzika.

Spłoszony ruchem ptak odleciał. Właśnie zastanawiała się, która to godzina, gdy usłyszała ciche pukanie. Do pokoju weszła Marlène. Coś powiedziała. Gizela zrozumiała, że woła ją na śniadanie. Szybko wskoczyła pod prysznic i za chwilę siedziała z Marlène i Paulem na tarasie przy ogrodowym stole. Z ekspresu unosił się mocny aromat świeżo zaparzonej kawy. Na środku złożyły się świeże croissants. Gizela szybko wypła szklankę soku pomarańczowego, zagryzła rogalikiem nadzianym czekoladą, poprawiła grzanką z miodem. Posiłek zakończyła filiżanką mocnej kawy. Syta, czekała na Sergieja, przeglądając pamiętnik matki.

Z rozmyślań wyrwał ją wesoły głos.

– Bonjour, zdrastwujcie, dzień dobry! – Zza kamiennego domku wyłonił się Sergiej. – Jesteś gotowa na wycieczkę? – zapytał Gizelę, podchodząc do Marlène i Paula.

Szybko przywitał się z nimi cmoknięciem w oba policzki i podszedł do Gizeli. Nachylił się nad nią. Znowu poczuła świeży zapach męskiej wody kolońskiej i dobrego mydła.

– Jak się czujesz? Jak spałaś? – patrzył w jej oczy i musnął suchymi ustami miękkie policzek dziewczyny.

– Pachniesz jak wszystkie kwiaty w tym ogrodzie! – wymruczał i uśmiechnął się, a Gizela poczuła się zażenowana. Coś było w tym mężczyźnie, co nie pozwalało jej na spokój, gdy przebywał niebezpiecznie blisko.

– Świetnie spałam. Czuję się bardzo dobrze. Możemy jechać – terkotała Gizela i jak oparzona zerwała się z fotela. W tym momencie stuknęła głową o schylone jeszcze czoło Sergieja. Cios był silny. Poczula ból. Zamroczyło ją. Usiadła z powrotem na fotelu. Sergiej też trzymał się za czoło.

– Nie tak bystro! Auu! – powstrzymał dziewczynę. – Powoli. Wolniej jedziesz, dalej budziesz, jak mówiła moja babcia. Pewnie powiedziałyby, że jesteś w gorącej wodzie kąpana.

– Jak ci się nie podobam, to nie patrz – prychnęła niegrzecznie.

Sergieja chwilę jej się przyglądał, a później roześmiał się.

– Pięknie z tą złością wyglądasz. Chciałbym cię taką namalować – powiedział poważnie.

Gizela skapitulowała. Grzecznie wstała z fotela, zabrała okulary przeciwsłoneczne, kapelusz. Torebkę przerzuciła przez ramię i stanęła obok Marlen.

– Gotowa? – upewnił się mężczyzna. – Wot, pajdiom! – powiedział do Gizeli i skierował się do bramy. Gizela bez słowa, posłusznie poszła za nim.

Jechali wiejskimi drogami, wijącymi się w zielonym krajobrazie

francuskich łąk. Poranek był rześki. Powietrze jeszcze nie obezwładniało letnim żarem. Kilkanaście kilometrów drogi minęło bardzo szybko. Tym razem zastali drzwi bazyliki otwarte. Bogato rzeźbiony portal zachęcał do zwiedzania. Piaskowe ściany tonęły w powodzi porannego słońca. Gizela ostrożnie stawiała stopy na wypukłych, wyszczerbionych zębem czasu kamieniach posadzki. Obserwowała swój cień, płynący obok cienia Siergieja. W jakiś sposób cienie pasowały do siebie. Jakby żyły swoim życiem, wydawały się odbiciem pary bardzo bliskich ludzi.

Weszli przez potężne, okute drzwi do ciemnego, zimnego wnętrza kościoła. Gizela zatrzymała się, chcąc przyzwyczać oczy do półmroku. Surowe wnętrza zaskoczyło ją.

W głównej nawie widniało niewiele ozdób. Najbogatszymi z nich były niewielkie, oprawione w okrągłe, złocone ramy obrazy przedstawiające drogę krzyżową. Wyglądały jak duże medaliony i ożywiały surowość ścian. Średniowieczne figury świętych spoglądały na nich z niszy umieszczonych w gotyckich filarach, podtrzymujących sklepienie. Ściany zdobiły czerwone i niebieskie chorągwie z wymalowanymi na nich białymi gołębicami i złotymi monstrancjami.

Gizela usiadła w potężnej dębowej ławie. Zamknęła oczy. Pogrążyła się w modlitwie. Chłonęła atmosferę bazyliki. Zdawało jej się, że nagle obok na ławce pojawiła się Klara i z aprobatą uśmiechnęła się do córki, zadowolona z miejsca, w którym się znalazła.

– Mądra mała – usłyszała w głowie jej szept. – Dobrze zrobiłaś, że przyjechałaś tutaj i odważyłaś się poznać rodzinę ojca. Czasem z brzydkich nasion wyrastają piękne kwiaty. Czerp całymi garściami z nowych doświadczeń, a może coś z tego zbudujesz. Ale pamiętaj, nie zawsze to piękne, co się świeci! – usłyszała i otworzyła oczy.

Wiedziała, że to niemożliwe, aby usnęła. Poczula się nieswojo. Spojrzała w bok. Na małym bocznym ołtarzu stała Madonna, ubrana w atłasową, biało-błękitną sukienkę. Na głowie jej i Dzieciątka widniała korona. Uśmiechała się. I Gizeli naraz zaczęło się wydawać, że lekko zmrużone oczy Madonny patrzą na nią kpiąco.

Nagle poczuła na swoim ramieniu dotyk dłoni. Wystraszyła się.

– I co, już jesteś gotowa do wyjścia? Pięknie tu. Popatrz, jakie piękne witraże. Są bardzo stare. Bazylikę od dawna remontują. Zdawało się, że popadnie w ruinę, a tu niespodzianka. Kilkanaście lat temu znalazły się pieniądze i prace trwają dalej. Jest coraz piękniejsza. Papież Jan Paweł II koronował Matkę Boską z Aviot. Stąd te złote korony – usłyszała.

Nasyceni pięknem starego kościoła, postanowili wrócić do Montmedy, gdy zegar na kościelnej wieży wybijał południe.

Paul właśnie kończył prace w ogrodzie. Marlen zmieniała pościel

i porządkowała wnętrze domu. Wielki gar z zupą bulgotał na kuchence. Grzanki dopiekały się w piekarniku.

Przed domkiem, w cieniu starych drzew falowały brzegi obrusa, przypiętego do ogrodowego stołu kolorowymi klipsami.

– Cudny obrazek letniska, jak z obrazu impresjonistów – powiedziała Gizela. – Brakuje tylko pań w długich, jasnych sukniach z kapeluszami ozdobionych kwiatami i panów w melonikach.

– Masz rację, jest malarsko! – zachwycił się Sergiej i uścisnął dłoń dziewczyny.

Chętnie usiedli na ogrodowej ławie, w przyjemnie orzeźwiającym cieniu platanu, odpoczywając po południowym skwarze drogi. Obiad smakował wyśmienicie. Lody i kawa były jego smacznym ukoronowaniem.

Gizeli lekko szumiało w głowie. Pomyślała sobie, że w taki upał zimne piwo przed obiadem, mimo iż z początku dobrze gasiło pragnienie, nie było najlepszym pomysłem. Mimo tego świat zaczął wydawać się jej piękny jak nigdy, a Sergiej wyjątkowo interesującym mężczyzną. Gdy ponowił poranną propozycję, że chętnie by ją sportretował, wyraziła na to zgodę. Propozycja była bezpieczna, bo przecież tego wieczoru wyjeżdżali do Ruelle, a Sergiej pozostawał w Montmedy. Co jej szkodziło się zgodzić?

\* \* \*

– Dzień dobry, moja mała wnuczka! – Nina stała na progu domu i obejmowała Gizelę tak mocno, jakby jej nie widziała co najmniej rok. – Dziecinko, jak ja bardzo za tobą tęskniła. Wy mieli być w Ruelle na midi, a już la nuit. Ja stara, to miała duży stres, że coś tam złego było. Oj, Marlène i Paul! Ja dużo będę na nich krzyczeć! Niegrzeczni bardzo! – powiedziała do Gizeli i już podeszła do samochodu, w którym siedzieli winowajcy.

Gizela pomachała im ręką i weszła do domu. Babka jeszcze chwilę stała obok samochodu, rozmawiając z Paulem.

– Tu es fatiguée? – zapytała wnuczkę po powrocie.

– Nie, babciu, tylko trochę jestem zmęczona. Chętnie przegryzę kromkę chleba. Trochę zgłodniałam – odpowiedziała.

– Paul mówił, że ty dużo jeździła i oglądała, to i zmęczona jesteś. Ja w cytadeli w Montmedy była jeszcze z twój dziadek. To było dużo razy, bo dziadek w każdą niedzielę lubił brać swój samochód i mówił, aby ja naszykowała



do koszyka chleb, masło, pomidor, ogórek i fromage. Czasem ja też dawała ciasto, oranżada i my jechali na ekskursję. My jechali nad la mer, nad taka mniejsza woda, jak ona się nazywa? Taka większa staw?... A, jezioro! Oj, ta moja pamięć! Dzieci bardzo lubili takie l'excursion. Jak dzieci już pożenili się, to my jeździli z siostra dziadek i jej mąż. To było dawno. Było dobrze. Twój dziadek był taki dobry mąż. Był grzeczny mężczyzna. On wiele lat pracował w kopalnia na Francja. Cały dzień go w domu nie było. Wracał na la nuit. Le dimanche nigdy nie był na kopalnia. Tylko w domu z dziećmi czy na l'excursion. – Nina krzątała się w kuchni, cały czas rozmawiając z wnuczką.

– Babciu, a jak poznałaś dziadka? – zapytała Gizela.

– Jak opowiadałam już tobie, ja go poznała u ta państwo, gdzie ja służyła – zaczęła swoją opowieść Nina.

### **Rok 1945, Niemcy**

*Pani Elizabeth wstała tego dnia wyjątkowo niezadowolona. Bolała ją głowa. Nie wyspała się na papilotach, które ta „Polka – Nina” znowu bardzo źle zawinęła.*

*Muszę jej dokręcić śrubę! – pomyślała. Przypomniała sobie, co mówiła jej niedawno Ursula, najlepsza przyjaciółka i powiernica wszystkich najskrytszych tajemnic.*

*– Za dużo pozwalasz tej Ninie. Co to za porządki, aby niewolnica miała wychodne i kieszonkowe! Te Słowianki są stworzone do posług. Taka Polka powinna być zadowolona, że ma gdzie służyć. Ma dach nad głową, swój pokój i jedzenie, jak państwo. A przecież jest wojna i nie można wszystkiego kupić, szczególnie w ostatnim okresie. Dobrze, że Kurt tego nie widzi, bo miałby do ciebie żal, że jej pobratymcy do niego strzelają, a ty traktujesz Ninę, jakby była takim samym człowiekiem, jak my wszyscy. Mój Johan na każdej przepustce opowiada o bandytach, którzy polują na nich jak na zwierzynę. W każdym lesie jest ich co niemiara. Nie stosują żadnych zasad. Johan dużo mówił mi o konwencjach, zasadach wojennych, ale wiesz, że takie rzeczy się mnie nie trzymają. Zresztą po co? Bandyta jest bandytą i tyle. Mówię ci, weź się w garść i trzymaj krótko tę małą – zakończyła Ursula.*

*Elizabeth nie traciła dłużej czasu na rozmyślanie, tylko szybko zarzuciła na siebie ciepły szlafrok, bo mimo wiosny temperatura w mieszkaniu nie sprzyjała negliżowi. Poszła do kuchni, obok której w małej służbówce mieszkała Nina. Dziewczyna już od dawna była na nogach. Pod blachą kuchni buzował ogień. Na stole stały świeżo upieczone bułeczki.*

*Wyfroterowana podłoga miała ostry zapach terpentyny, który mieszał się ze słodkim aromatem ciasta. Jednak nawet czystość panująca wokół nie poprawiła*

*humoru pani domu.*

*– Gut morgen! – przywitała dziewczynę. Długo tłumaczyła jej, że tego dnia przyjeżdża pan Kurt i wieczorem z tej okazji zapraszają do siebie paru znajomych oficerów z żonami. Fer stein? – zapytała w końcu, marszcząc czoło.*

*– Ja! – odpowiedziała Nina jednym z niewielu znanych jej słów, bo pomimo wielu lat spędzonych w domu Heidrrichów niewiele nauczyła się mówić. Owszem, trochę z tego chropowatego, szczekającego języka rozumiała, jednak świadomie nim nie mówiła. W ten sposób było jej dużo łatwiej, mimo iż pani Elizabeth uważała, że jest ona wyjątkowo tępą kobietą. Nie wyrzucała jej od siebie z uwagi na jej wspaniałe wypieki i talent kuchenny. Nina nie raz błogosławiła w myślach Barbarę Kotlińską, u której w Wilnie służyła do chwili, gdy zatrzymana na ulicy została w bydłym wagonie wywieziona do pracy w głąb Niemiec.*

*To Kotlińska uchyliła jej rąbka tajemnicy sztuki kulinarnej i tajniki kuchenne przestały być dla niej obce. U Kotlińskiej ukrywała się, o parodio, przed wywózką do Niemiec. Przecież gościła ona u siebie wiele osób chwalcących się koneksjami u Niemców. Już parę razy Kotlińska wybroniła ją, jednak wszystko miało swój koniec. I w końcu nie udało się.*

*– Nina, arbajt na hause! Michael arbajt na hause! – usłyszała ciepły, męski głos i do kuchni wszedł młody mężczyzna, ubrany w uniform koloru khaki. Nina przyglądnęła się młodzianowi. Był średniego wzrostu młodym człowiekiem, o sympatycznej twarzy i miłym uśmiechu. Jego kręte, krótko przystryżone, rudawe włosy przylegały do skóry. Twarz miał bardzo szczupłą, starannie wygoloną z wielkimi, szarymi oczami. Uniform pozbawiony był naszywek i dystynkcji. Mógł spokojnie uchodzić za skromną cywilną odzież. Nina nie odpowiedziała chłopakowi. Odwróciła się do pieca i spokojnie mieszając w garnkach, doczekała się wejścia do kuchni pani domu, która przydzieliła Michaelowi odpowiednie zajęcie.*

*Wieczór przebiegał bardzo dobrze. Potrawy przygotowane przez Ninę cieszyły się powodzeniem. Towarzystwo było już dobrze podchmielone. Śpiewało modne niemieckie piosenki. Przerzucało się dowcipami na temat Żydów i Polaków. Panowie porozpinali mundury, panie coraz częściej wychodziły do toalety, aby poprawić makijaż, a szczególnie podmalować czerwone usta szminką, która zniknęła z ust przy kolejnym smacznym kąsku. Michael przebrany w odpowiedni strój, w białych rękawiczkach, pomagał podawać Ninie do stołu, gdy nagle światło zaczęło migać i zawyła syrena. Towarzystwo zamarło, a po chwili ktoś krzyknął, aby schodzić do schronu. Gdy Nina przy drzwiach starała się szybko podawać okrycia wychodzącym paniom, Elizabeth Heidrrich pochyliła się do niej*

*i wysyczała w ucho, że schron jest tylko dla Niemców. I dodała, że Nina z Michaeliem mają pozostać w mieszkaniu i pilnować, by żadni bandyci w czasie ich nieobecności niczego nie powynosili.*

*Chwilę po wyjściu Niemców usłyszeli ostry, narastający warkot, a za nim dziwny gwizd i nagle powietrze zalała fala narastającego huku wybuchów. Dom zatrzęsł się. Zgasło światło. Szyby wypadły z okien. Na zewnątrz rozpoczęło się piekło. Raz za razem wybuchały gdzieś na zewnątrz bomby. Nina wślizgnęła się pod dębowy stół, skuliła, zakrywając rękami głowę i uszy. Obok poczuła ciepło drugiego człowieka. To Michael również w tym miejscu szukał schronienia. Trwali w tym ciemnym piekle, rozjaśnianym raz za razem oślepiającymi rozbłyskami. W końcu w pokoju zrobiło się jasno. To od licznych pożarów w okolicy. I gdy myśleli, że już po nalocie, powietrze znowu rozdarł warkot, świst i dom zatrzęsł się. Wokoło leciały jakieś cegły, tynk, szkło. Stół odrzucony pod przeciwległą ścianę przestał dawać schronienie. Michael złapał Ninę za rękę i zaczęli biec w stronę wyjścia. Słyszeli, jak za nimi przewracają się meble, spadają belki. Całe szczęście, że drzwi stały otworem, a oni pobiegli po schodach, które trzęsły się i ruszały, jakby były powieszona na linie. Biegli w dół, oby być jak najdalej od tej murowanej pułapki.*

*Nagle, prawie już na parterze, Nina poczuła, że stopnie uciekają spod jej stóp, coś uderza ją w głowę. Machinalnie wypuściła rękę Michaela i wpadła w czerń. Obudził ją ostry ból kolana. Prawą nogę miała podrapaną, przygniecioną paroma ceglami, ale poza bólem czoła, z którego sączyła się cienka strużka krwi, i rozbitego kolana czuła się dobrze. Wokoło szalał pożar kamienicy, w której dotychczas mieszkała. Nie widziała nigdzie Michaela. Nagle wystraszyła się, że mógł zginąć, i zatęskniła za szarymi, dobrymi oczami. Irracjonalnie poczuła, że ten obcy mężczyzna stał się dla niej bardzo ważny. Wydostała się spod gruzu i utykając oraz rozmazując krew, sphywającą jej na oczy, zaczęła wołać chłopaka.*

*– Michael! Michael! Michael!*

*Strach ogłuszył ją. Biegła pomiędzy palącymi się kikutami domów, omijając wielkie leje i kupy cegieł i nie słyszała powracających samolotów, wybuchających dalej bomb.*

*Nina była w tej chwili jedynie wołaniem:*

*– Michael!*

*Nagle z wielkiej kupy gruzów usłyszała głośne:*

*– Nina!*

*Podbiegła do cegieł. Rozdrapywała kopiec, odrzucała porozbijane cegły i grube kawały tynku i zaprawy. W końcu dokopała się do piwnicznego okienka. Z otworu wystawała męska ręka.*

*Kolejne dni zapamiętała jak rozmazane, pourywane kadry starego filmu. Michael opiekował się nią, gdy krążyli między gruzami, chowali się w pustych,*

czarnych czeluściach cudzych piwnic, a potem szli przed siebie, byle dalej na zachód. Po paru dniach pojawiły się inne mundury, inne czolgi i zrozumieli, że to już koniec ich poniewierki. Michael zabrał ją ze sobą do Belgii. Obiecał, że tam, w rodzinnej wiosce ożeni się z nią w katolickim kościele.

Jak przez mgłę pamięta długą podróż do Belgii, a później mały domek rodziców Michaela i ich wielką radość, że syn wrócił cały i zdrowy, oraz równie olbrzymią rozpacz, że synowa pochodzi z kraju, o którym nawet nie słyszeli.

Nina od razu postawiła warunek, że muszą zamieszkać osobno, bo nie będzie w stanie dzielić kuchni z ruchliwą i gadatliwą matką Michaela. Jednak na początek musiała zamieszkać z teściami, znosić ich zaciekawione, podejrzliwe spojrzenia, kręcenie głową nad polskimi potrawami, które były zdecydowanie inne niż belgijskie. Jedynie pierogami zaimponowała surowej teściowej, i swoją niewzruszoną katolicką wiarą. Do ślubu poszła w poźółklej sukni teściowej, wyciągniętej ze starego kufra. Pokryty grubą warstwą kurzu, zapomniany, stał od dawna na strychu, mieszczącym się pod dachem, nad sypialnią teściów. Suknia wymagała poprawek, bo teściowa była kobietą niską i kręłą. Nina sama poradziła sobie z szyciem, czym zdobyła kolejne uznanie w oczach Jeanette, bo tak miała na imię matka Michaela. Teść, Jean Baptiste, od samego początku przyglądał się synowej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Obserwował Ninę spod mocno naciągniętego na czoło runda starego filcowego kapelusza, z którym nie rozstawał się przez cały dzień. Szare oczy, które do złudzenia przypominały oczy Michaela, wodziły za Niną, a z nieodłącznej fajki, zwisającej z kącika ust, co chwilę wyskakiwało kółko białego, aromatycznego dymu. W przeciwieństwie do swojej żony był człowiekiem małymównym, zrównoważonym. Pracowita synowa od razu spodobała się Jean Baptyście. Jej wschodnia, razowa uroda dawała gwarancję zdrowego i urodziwego potomstwa. Tak, o takiej żonie dla syna myślał. Szybkość, z jaką Nina starała się opanować język francuski, zaimponowała mu. Już w pierwszym miesiącu Nina zdobyła się na samodzielne wyjście do sklepu i zrobienie zakupów. Uznał więc, że sprawa załatwiona i nie ma co dłużej podejrzliwie przyglądać się synowej. Trzeba dać nowej rodzinie potrzebną pomoc, w postaci odłożonych pieniędzy, na zakup zrujnowanego starego domu. Michael dołożył do pieniędzy ojca swoje wcześniej odłożone grosze, które z czasem uzbierał w całkiem ładną sumkę, bo był oszczędny i nie wydawał na, jak to mówił, żadne głupoty, i zakupił mały stary domek, wciśnięty pomiędzy dwa inne i przylegający do nich dwoma ścianami. Wymurował nowy komin, bo stary lada moment mógł się zawalić, podłączył do niego kuchenkę z nową wierzchnią blachą, fajerkami i duchówką, aby było na czym gotować posiłki. W pokoju przylegającym do zrujnowanych schodów postawił stare małżeńskie łóżko, w którym na nowo wypchanym słomą sienniku począł pierworodnego syna. Powoli wyremontował dom. Z czasem uwili w nim z Niną prawdziwie przytulne rodzinne gniazdo.

*Lagodny charakter Michaela pomógł Ninie spędzić z nim sześćdziesiąt pięć lat w obcym kraju, który z czasem stał się jej własnym. Wychowała dzieci na Belgów. Gotowała, prowadziła dom, dbała o męża. Michael początkowo pracował we francuskiej kopalni, a po przejściu na emeryturę spędzał szczęśliwe, spokojne dni u boku Niny. Ani razu nie żałował swojej decyzji pojęcia za żonę cudzoziemki.*

– Tak sobie myślę, że Pan Bóg postawił was na jednej drodze, abyście nawzajem dali sobie dużo szczęścia – skomentowała opowiadanie Gizela. – Za cierpienie otrzymaliście nagrodę.

– Muszę zdradzić tobie sekret. Ja w Niemczech modliła się, aby dostać dobrego męża. Nie zależało mi, aby była ładna. Moja mamusia zawsze mówiła: „Nina, z ładnej miski się nie najesz”. I ja pamiętała te słowa. Michael miał dobre oczy i jak nimi popatrzył na mnie, to ja wiedziała, że z nim tylko dobre życie. I takie miałam. Byłam szczęśliwa. Twój dziadek zawsze był uważający na mnie. Nawet w ostatniej chwili. – W oczach Niny pojawiły się łzy.

– Nie chcę cię ranić, ale może opowiesz, jak zmarł dziadek? – Gizela przytuliła się do Niny i zagłębła jej w oczy.

– Ja wiem, że ty nie chcesz mi dać bólu. Widzisz, trochę czasu minęło, a jeszcze boli. Ja stara babka jestem, a serce boli, jakbym dwadzieścia lat miała i tęsknota co dzień to większa. Ja wiem, że gdyby Michael trochę mniej był za mną, trochę mniej uważał na moją wygodę, to może jeszcze jego nogi nosiłyby go po świecie... – Nina zamyśliła się i zaczęła opowieść.

– Była jesień, parę lat temu. Twój Grand Papa trochę pracował na naszym ogrodzie. On powinien mieć mniej roboty. I ja na niego krzyczałam, aby do domu szedł, ale on śmiał się i mówił, że zima przychodzi i ogród trzeba préparer. W nocy ja spałam, bo le médicament wzięłam, a on chyba po tej robocie spać nie mógł i poszedł na la cuisine napić się wody. Jak wchodził na etaż, to upadł w tył na kamienne schody. Rozbił swoją głowę. Na czterech wszedł do naszego la chambre i nie chciał mnie zbudzić. On cichutko położył się na swojej stronie łóżka. I ja nie wiem, jak długo on w tym łóżku tak leżał. Jak ja się do toalety zbudziłam, dotknęłam swoją nogą jego stopę, to ona była zimna jak la glace. Ja zrobiłam światło. Cała kołdra była w krew. Michael nie miał przytomności. Ja wezwałam swojego lekarza, on zawiózł Michaela do klinik i właśnie tam mój mąż zmarł. Ja została sama stara babka. Ja mam dobre dzieci, one do mnie przychodzą, ale wszystkie mają swoje życie. A ja została jak ta sierota. Bóg twierdzi, że jeszcze nie czas na mnie, abym pukała do drzwi nieba. Jeszcze nie zrobił mi rezerwacji na miejsce w kolejce u Świętego Piotra. Bóg wie, co robi, bo jakby ja już była w niebie, to moja wnuczka Gizel ja oglądałaby z wysoka i nie mogła jej objąć.

– Ja też się cieszę, że mogę cię obejmować. Cieszę się, że poznałam moją trzecią babcię – „la grand-mère”.

Tego wieczora, będąc już w swoim pokoju, Gizela wróciła do zeszytu Klary. Tym razem zaczęła lekturę od białej, luźnej kartki, włożonej pomiędzy strony.

### **Zapiski Klary, rok 2003**

*Miłość ma wiele imion. Miłość ma wiele postaci. Czy miłość może człowieka pętać i zniewalać? Czy może odbierać rozum?*

*Zastanawiam się nad tym, czy aby zawsze miłość jest darem. Czasem wydaje mi się, że nic tak nie rani, jak złe słowa, które wypowiada nasz ukochany. Nikt mnie tak nie jest w stanie dotknąć, jak człowiek, którego kocham. Może więc najszcześniejszymi ludźmi są ci, którzy nigdy nie poznali tego uczucia? Jakby wyglądało moje życie, gdybym nigdy nie spotkała Wojtka? Nigdy go nie pokochała? Z pewnością byłabym bardziej wolna. Ale również o tyle odczuć uboższa. Nigdy nie oglądałabym świata, fruując jak ptak pod chmurami. Nigdy nie czułabym tego niesamowitego drżenia wewnętrznego, słodkiego, radosnego smutku, wzruszenia, słodkiej niemocy i bezustannego myślenia o ukochanym. Przez chwilę, gdy mam świadomość miłości, czuję się wybrana spośród wszystkich kobiet. Ale również myślę, że to niewola, a brak miłości to właśnie wolność. A jednak nie potrafię zdecydować się na odrzucenie miłości. Czyli nie jestem gotowa na życie bez pęt? Czy może jestem strasznym tchórzem, obawiającym się, że nie zniosę bólu i cierpienia, jakie wyskoczy z pustego łóżka, pustej szafy po ubraniach, pustego fotela... Płacę bardzo wysoką cenę za dobrowolne poddanie się miłości. Bo wolność dla mnie jest bardzo ważna. Ale z mojej postawy wynika, że nie najważniejsza.*

*Czasem przyglądam się kobietom po pięćdziesiątce, które na siłę starają się ubierać jak nastolatki, czesać jak nastolatki. Nieporadnie używają żargonu młodzieżowego i zalotnie patrzą na młodych mężczyzn, starając się zdobyć ich względy. Te, które przesadzają z pasją odmładzania, są zazwyczaj zgorzkniałe i niezadowolone z życia. Nie pomoże im krótka kiecka, bo o młodości świadczy nie figura, stan zdrowia, ale młode, świeże wnętrze, otwarty umysł, pogoda ducha. Żal mi tych starych nastolatek, dla których wartość kobiety liczy się wtedy, gdy obok niej jest życiowy partner. Często swoją zachłannością na usidlenie samca już na wstępie płoszą faceta, który być może chętnie uwilby z nimi gniazdko, ale w swoim tempie, na swoich zasadach. I cierpią, gdy po raz kolejny zostają porzucone, odtrącone, a same do tego doprowadziły, swoją pazernością na meblowanie wspólnego mieszkania po pierwszej nocy z facetem. Czy ja jestem taka sama, równie żalosna? Czy też powstrzymuje mnie lęk przed nowym, czyli innym życiem?*

*A może Wojtek jest jakimś narkotykiem, a ja nie zdając sobie w pełni z tego sprawy, z biegiem lat uzależniłam się i tylko może pomóc terapia odwykowa? A może ja jestem strasznie głupia, starając się zrozumieć miłość? Bo albo się kogoś kocha, albo nie. I ten, kto kocha bezwarunkowo, po prostu jest mądry? ...*

### ***Pamiętnik Klary, bez daty***

*Pogasty wszystkie lampy. Miasto zanurzyło się w nocy, jak w czeluściach olbrzymiego kałamarza. Świat wydawał się być zanurzony w czerni, jakby z olbrzymiego komina wygarnięto górę sadzy i przysypano nią drzewa, domy, drogi. Klara szybko poczuła się senna. Powrót z Brzózek bardzo ją zmęczył. W ciągu jednego dnia pojechali z Wojtkiem do Brzózek i wrócili do domu. Klarze bardzo zależało, aby odprowadzić Anielę na mały cmentarzyk, a nie chciała nocować poza domem. Brzócki bez Anieli były straszliwie puste.*

*Przed zaśnięciem myślała o Anieli, jej pogmatwanym życiu i pogodzie ducha, jaką miała mimo przeżytych tragedii.*

*Usnęła. Znalazła się w pokoju, w Anielinie. Był jasny, słoneczny dzień. Otwarte okno wpuszczało do wnętrza ogromną strugę słonecznych promieni. Kryształowa lampa u powały zakołysała się, a wpadające promienie rozszczepiły w kręcących się kryształach i pokój utonął w kolorowej tęczy. Klara zsunęła stopę z łóżka, na którym leżała, i poszła w kierunku wirującej tęczy. Coś ją do tej barwnej karuzeli przyciągało. Nagle zobaczyła, że nie jest sama. Obok niej stoi Aniela. Miała rozpuszczone, białe włosy, wśród których dostrzegła czerwone, dojrzałe wiśnie. Owoce zwisały jej z uszu, okalały smukłą szyję. Tiulowa, długa suknia, miękko otulająca jej postać, też przybrana była bordowymi kulami wiśni.*

*Aniela wyciągnęła do Klary rękę i uśmiechnęła się szeroko.*

*– Wita, moja droga! – powiedziała. – Cieszę się, że znowu mnie odwiedziłaś. Przecież nie skończyłyśmy lekcji malowania. Zobacz, jak pięknie mi w tych wiśniach. Od kiedy pierwszy raz, jako mała dziewczynka, włożyłam wiśnie w uszy, zakochałam się w ich kolorze, formie i liczbie. Dwójka to dla mnie szczęśliwa liczba. Lubię rzeczy parzyste. Przynoszą szczęście. Dwie nogi do tańczenia. Dwie ręce do malowania. Dwoje uszu do słuchania śpiewu słowika. Dwie piersi do wykarmienia dzieci. Szczęście w pojedynkę jest tylko połowiczne. Pełne może być tylko w parze. Teraz jestem szczęśliwa. Tańczę, śpiewam i maluję w duecie. Chodź, coś ci pokażę. Zobacz, skąd mam te cudne wiśnie. Wczoraj odkryłam piękny ogród. Tańczyłam na łące. Kręciłam piruety, biegałam, nagle usłyszałam koncert słowików. Był delikatny i cichy. Pobiegałam w tamtym kierunku. Biegałam, biegałam, aż dotarłam do ogrodu. Przy bocznej bramie czekało na mnie drzewo, oblepione mnóstwem wiśni. Chodź, chcę ci pokazać ogród.*

*Klara dotknęła ręki Anieli. Poczuła w dłoni aksamitnie miękkie, wąskie*

*palce, przypominające gładkością pióra ptaka. A wtedy zobaczyła ogród i dziwne pastelowe drzewo.*

*– Do dzieła, Klaro! Maluj! Całą duszą! Całym sercem! Jesteś gotowa! – usłyszała.*

*Ranek przywitał ją chłodem. Wstała bardzo wcześnie. Czula w sobie spokój. Zastanawiała się nad snem. Obraz jego w pamięci Klary był lekko rozmyty. Niewiele z niego zostało. Jednak ten mały urywek, który utkwiał w pamięci, przytłumił żal po Anieli i zmusił Klarę do sięgnięcia po pędzle.*

*Zza horyzontu wychodziło słońce. Dzień zapowiadał się słonecznie. Był niedzielny poranek. Klara spojrzała na łóżko. Wojciech spał smacznie, lekko pochrapując. Leżał na wznak. Twarz jego była gładka, wypogodzona. Znikła pionowa zmarszczka, której tak nie lubiła, bo zjawiała się w chwili, gdy był niezadowolony i zdenerwowany. Wygładzona twarz przypominała jej oblicze Wojtka z chwili, gdy go pokochała, gdy ją zauroczył.*

*Na palcach wyszła z sypialni. W dawnym pokoju Gizeli stały rozstawione sztalugi. Przywiozła je z Anielina. Były pamiątką po Anieli. Postawiła na sztalugach blejtram i powoli zaczęła przygotowywać go do malowania.*

*W głowie miała słowa Anieli. Czula potrzebę przeniesienia na płótno sennego obrazu. Gdy podkład wysechł, wzięła do ręki ołówek i zaczęła rysować pień drzewa.*

*– Gizela! Masz gościa! – usłyszała głos babki, dobiegający z parteru. Siedziała na dywaniku pod łóżkiem, oglądając stare fotografie. Ociągając się, niechętnie podniosła się z podłogi. Wygładziła koszulową bluzę i wolno zeszła na werandę, na której Sergiej, rozparty w ratanowym fotelu, wyraźnie czarował starą kobietę.*

*– O, widzę, że już świetnie się poznaliście! Skąd tu się wzięłeś? Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? – przywitała ich kąśliwie.*

*– O, widzę, że panienka ma dziś nie najlepszy humor! – wpadł w podobny ton Sergiej. – A zgadnij, skąd miałem adres?*

*– O, widzę, że padła kosa na kamień! – skwitowała Nina, mimowolnie rozładowując napięcie.*

*Poskutkowało. Roześmiali się.*

*– Wymieniliśmy się z Marlène numerami telefonów. Po prostu do niej zadzwoniłem i powiedziała, gdzie mam ciebie szukać. Przypominam, że przyrzekłaś mi pozowanie. Właśnie przyjechałem zapytać, jakie masz w najbliższych dniach plany?*

*– Mam ochotę pojechać na linię Maginota, tę koło Montmedy. Obiecałeś*



pokazać mi parę bunkrów. Możemy połączyć to z pozowaniem. Jak masz czas dzisiaj, to weź ze sobą szkicownik.

– Jak będziecie dziś jechać w stronę Montmedy to chciałabym, abyście wstąpili do Marlène i Paula. Oni dziś jadą do Juliette i Pierre po miel. Chcą porozmawiać o ekskursję do Juliette. Jak ty chcesz, to oni ciebie zabiorą, abyś zobaczyła, jak wyjmuje się miel z maison pszczół – zaproponowała babka.

Gizeli bardzo spodobał się pomysł wyciągania miodu. Nigdy nie widziała, jak to się robi. Wycieczka z Sergiejem też miała swój urok. Gizela polubiła jazdę motorem. Zawsze lubiła wycieczki rowerowe, kiedy wiatr rozwiewał jej włosy, gdy czuła na skórze muśnięcia wiatru, gdy wdychała zapachy rosnących wokół roślin. Jazda motorem była stokroć wspanialsza.

Pofałdowany teren pogranicza z Francją, porośnięty lasami, łąkami oraz pastwiskami był wspaniałą trasą motocyklową. Na motorze nie czuć było żaru letniego popołudnia, natomiast dochodziły do niej zapachy rozgrzanej leśnej ściółki, żywicy, kwiatów porastających kolorowe łąki. Wszystkie te letnie zapachy, pomieszane z wodą toaletową Sergieja, odurzały. Jechali bocznymi drogami, delektując się wspaniałymi widokami. Przytulona do szerokich pleców mężczyzny, znowu poczuła się bezpieczna i szczęśliwa. Odwróciła głowę w bok i przytuliła policzek do jego skórzanej kurtki. W tym momencie Sergiej musiał chyba wyczuć nastrój Gizeli, bo oderwał rękę od kierownicy i czule pogładził dłonie dziewczyny, obejmujące go w pasie.

Zadrżała i wystraszyła się tej rodzącej się bliskości, ale nie była w stanie odebrać sobie odrobinki przyjemności, którą dawało wsparcie o gładki kawałek skórzanej kurtki. Trwała więc dalej mocno przytulona do motocyklisty, starając się zatrzymać w pamięci nastrój, zapach i ciepło ciała mężczyzny.

Po jakimś czasie na horyzoncie w zieleni drzew dostrzegła wylaniające się charakterystyczne dwie wieże. Podjeżdżali do Montmedy. Galeria była otwarta. W środku siedziała jakaś piękna brunetka.

– Zdrastwuj, Sergiej! – powiedziała z ciepłym uśmiechem, wstając z krzesła.

– Priwiet! – odpowiedział mężczyzna, podchodząc do dziewczyny i całując ją w policzek. – To Olga, a eta Gizel! – dokonał prezentacji. Olga podała dłoń, która była wiotka i delikatna. Gizela pomyślała, że woli mocniejsze uściski dłoni, bardziej zdecydowane, które dużo mówią o charakterze. Gdyby w tej chwili miała na podstawie uścisku określić charakter kobiety, oszacowałaby ją jako miękką, słabą istotę, często zmieniającą zdanie.

Olga, jakby wyczuwając myśli Gizeli, delikatnie wyciągnęła swoją dłoń, obciągnęła długą, prostą spódnicę i z powrotem usiadła na krześle.

– Przepraszam na minuteczkę, muszę omówić z Olgą nasze interesy – powiedział Sergiej do Gizeli. Pochylił się nad piękną kobietą i wyszeptał jej coś do

ucha. Wdzięcznym, kocim ruchem Olga podniosła się z krzesła i poszła na zaplecze. Gizela w jednej chwili pozazdrościła dziewczynie nie tylko urody, kociego wdzięku, ale nieskrępowanej bliskości, jaką tamta okazywała mężczyźnie. Zrobiło jej się dziwnie smutno. Nagle rozzłościła się na siebie. Przecież nie miała żadnego prawa do poznanego niedawno człowieka, do uczucia zazdrości. Odgoniła od siebie niewygodne myśli. Postanowiła przestać myśleć o głupotach, a dokładniej przyjrzeć się galerii.

Podczas poprzedniej wizyty wydawało jej się, że wystawiane prace są jednorodne. Teraz dostrzegała, że są to obrazy kilku artystów. Dostrzegała też stojącą na półkach z lewej strony galerii ceramikę artystyczną. Z dużą ciekawością oglądała kolorowe talerze, dzbany, medaliony. Zaskakiwały barwami i formą.

– Ładne, prawda?

Tuż przy uchu usłyszała głos Sergieja. Podskoczyła, bo nie zauważyła kiedy podszedł.

– Co jesteś taka płochliwa? – roześmiał się. – Pazurki masz jak pantera, więc myślałem, żeś jak ona odważna, a tu okazuje się, że płochliwa jesteś jak dziki ptak – zakpił.

– Znawca dzikiej przyrody się znalazł – oburzyła się Gizela. – Jak ci się nie podoba, to trudno. Szukaj innej modelki.

– Co taka szybka jesteś? Co to znaczy szukaj? A gdzie twoje słowo? Nie będę tracił czasu na poszukiwania. Połączymy twoją chęć obejrzenia bunkrów z moimi szkicami. Niedaleko jest grupa bunkrów na Linii Maginota. Wezmę szkicownik i pooglądamy co trzeba. Myślę, że znajdę również czas na szkicowanie. Już porozmawiałem z Olgą, żeby jeszcze tego popołudnia popilnowała galerii, a ja w przyszłym miesiącu odrobię jej godziny. Jak widzisz, nie tylko moje prace są tutaj. Nie stać byłoby mnie na samodzielne wynajmowanie galerii, więc skrzyknęliśmy się w parę osób. Pomieszczenie duże, to i obrazów można powiesić sporo. Dyżurujemy w galerii we troje. Ta ceramika to prace Olgi. Z przodu galerii wiszą prace Luciena. Moje grafiki są na końcu. Nie potrzebują tyle światła co kolorowe obrazy.

– Chodźmy. Niedługo będzie się ścieniało – ponagliła mężczyznę, chociaż bardzo chciała się dowiedzieć, kim dla Sergieja jest Olga.

Słońce dawno zaszło za horyzont, pozostawiając za sobą niebo w kolorze fukcji. Siedzieli na szczycie olbrzymiego bunkra, na który wdrapali się po metalowych kłamrach. Był porośnięty mchem, trawą, ziołami, a nawet małymi krzaczkami. U podnóża bunkra rosły drzewa i krzaki, których korony dawno przerosły ściany bunkra. Czuli się, jakby siedzieli w zaroślach zagajnika. Sergiej

naszpicował Gizelę z każdej możliwej strony. Odłożył szkicownik, rozłożył się na mchu i gryząc źdźbło trawy, oglądał pierwsze gwiazdy, które od niedawna zaczęły pojawiać się na niebie. Gizela siedziała w kucki, z nogami wysoko pod brodą. Oburącz trzymała kolana. Temperatura powietrza zaczęła spadać i pojawiła się rosa.

– I co, zaspokoiliś swoją ciekawość? – przerwał ciszę Sergiej. – Warto było aż tu przyjeżdżać, aby pooglądać kupę betonu i żelaza?

– Przynajmniej wiem, jak to rzeczywiście wygląda. Co innego, gdy widzi się na filmie, a całkiem inaczej w naturze. Lubię wiedzieć i widzieć wszystko sama. Lubię wyrobić sobie swój pogląd na każdą sprawę – odpowiedziała.

– A więc taka jesteś?

– Właśnie taka, niepokorna, jak to mówi mój ojciec.

– A jak o tobie mówi matka?

– Teraz już nie mówi.

– Przepraszam, nie chciałem przywoływać złych wspomnień.

– Nic nie szkodzi. Skąd mogłeś wiedzieć. Ale sprawa jest zbyt świeża, abym chciała o niej mówić. – Gizela zamknęła oczy, jakby w ten sposób odcinała się od całego świata.

– Zimno ci? – zapytał mężczyzna po chwili milczenia.

– Nie, jest okey. Przepraszam cię, ale czy mógłbyś przez chwilę nie odzywać się do mnie?

– W porządku. Ja też nie mam ochoty na zwierzenia – nie wytrzymał Sergiej.

Nie zwracała uwagi na lekko obrażony głos mężczyzny. W tej chwili chciała tylko przypomnieć sobie matkę i usłyszeć w głowie jej głos i nie mogła wydobyć z pamięci, jak matka o niej mówiła. Zaczęła analizować ostatnie chwile z Klarą i usłyszała znowu jej chrapliwy, cierpiący głos...

– Jesteś najlepszą z moich córek! – usłyszała parokrotnie w ostatnich dniach. Dniach jej umierania, a nawet w dniu, w którym straciła przytomność i już jej nigdy nie odzyskała.

– Jesteś najlepszą z moich córek! – brzmiało jej w głowie.

Zastanawiała się czy matka tak rzeczywiście o niej myślała, czy tylko chwila ciężkiej choroby zmąciła myśli Klary. Jednak nie to było ważne. Otrzymała najpiękniejszy prezent w swoim życiu.

– Tak bardzo cię kocham mamusiu! – powiedziała wtedy i wierzyła, że mimo wielkiego bólu do matki dotarła ta wiadomość. Po twarzy Gizeli popłynęły łzy. Rana jeszcze nie była zasklepiona. Zdała sobie sprawę, że nie minął nawet rok od śmierci Klary. Poczowała się nagle bardzo samotna. I zatęskniła za Wojciechem.

– Czy możemy już jechać do domu? – zapytała Sergieja.

Wracali. nie wymówiwszy do siebie ani słowa. Przed domem Niny Sergiej

ostro zatrzymał motocykl.

– Dobranoc! – powiedziała, zeskakując z siodełka.

Mężczyzna nie zdejmując kasku, skinął tylko głową. Siedział nadal na motorze. Podniósł prawą rękę do góry.

– Bonne nuit! – powiedział i dodał gazu.

Nina stanęła na progu domu.

– Dobry wieczór! – powiedziała do Klary.

– Widzę, że pogoniłaś Sergieja. Odjechał z takim hukiem, że aż mi szyby w oknie zadzwoniły. Coś mi się zdaje, że mu dobrze zaszłaś za skórę.

– Co też babcia mówi? Nikt nikomu nie zaszedł. A słyszę, że babcia coraz lepiej mówi po polsku – zdobyła się na uszczypliwość.

– Oj, widzę, że nie tylko ty jemu! – roześmiała się Nina i objęła wnuczkę. – To nic złego tak przekomarzać się. Co ma być, to i tak będzie. Los każdego z nas jest zapisany gdzieś w gwiazdach. Stanie się, co się ma stać. Może tu przyjechałaś nie tylko po to, aby poznać rodzinę ojca? Kto to wie? Chyba tylko jedyny Pan na niebiesiech.

– A jak tobie, babciu, minęło popołudnie?

– Nie pojechaliście do Marlen – powiedziała z naganą w głosie. – Byli tu z Paulem. Na jutro przyjadą po ciebie, aby pokazać ci pszczoły Pierre i Juliette. Trochę posiedzieli, ja zrobiła kolacja. Trochę mi opowiadali jak było w Lourdes, bo byli tam, zanim ty przyjechała do babki. Przywieźli mi woda z cudownego źródła. Mam smarować moja chora noga. Ale ja tak sobie myślę, że bardziej pomaga mi ich wizyta niż to cadeau. A ty czujesz głód? To tu masz galette, który ja zrobiła z królikami. Ma być na spotkanie z moimi dziećmi i tymi małymi enfant. Ja dużo zrobiła, to i dla ciebie na kolacja może być. Muszę preparer dużo manger, bo dużo personnes przyjedzie na dimanche – usprawiedliwiła się, widząc zdziwione spojrzenie Gizeli, sięgającej do lodówki po jedzenie. – Jedz szybko i spać. Ja już teraz idę do mojego łóżka. Długi mój dzień. Jutro też długi. A ja już stara. No, dobranoc! Bonne Nuit! – powiedziała Nina, wchodząc na schody.

Klara szybko rozprawiła się z kawałkiem galette i wskoczyła pod prysznic. Odświeżona, ze szklanką wody mineralnej, wróciła do starych fotografii i pamiętnika matki.

### ***Pamiętnik Klary, bez daty***

*Wojtek wstał późno. Zaniepokoila go cisza panująca w mieszkaniu. Wychodząc z sypialni, kątem oka zauważył otwarte drzwi do pokoju Zuzanny. Przy rozstawionych sztalugach stała Klara. Miała na sobie jego starą koszulę i dżinsy. Malowała. Na środku płótna ujrzał dziwne drzewo. Wylaniało się z szarej mgły. Było niewyraźne. Nie przypominało żadnego z gatunków, które znał.*

– O! Malujesz? – zapytał zdziwiony. – Gdyby nie te przygnębiające kolory, pomyślałbym, że to ilustracja bajki.

– No właśnie, te przygnębiające kolory! W żaden sposób nie jestem w stanie wydobyć z siebie nic innego. Czuję się dziwnie. Z jednej strony mam wewnętrzny przymus malowania tego drzewa. Niby wiem, jak powinno wyglądać, ale mam wrażenie, że jakaś płachta zakryła mi część pamięci – powiedziała, ale widząc zdziwienie w oczach męża, dodała: – Wy tłumaczę to inaczej. Myślę, że nie raz patrzyłeś na jakiegoś człowieka i wiedziałeś, że go znasz, ale nie potrafiłeś przypomnieć sobie okoliczności poznania. Brakowało ci jakiegoś elementu, czegoś w rodzaju klucza. Czasem był to strój, czasem uczesanie, a czasem miejsce, w którym powinien był przebywać. Tak właśnie jest ze mną tym razem. Brakuje mi kolorów. Pamiętam jego kształt. Wiem, że otoczenie jego było niezwykle, ale nie wiem jakie. Kluczem do wszystkiego są kolory.

– Zostaw dziś obraz. Może z czasem coś sobie przypomnisz. Opowiedz mi o pani Anieli i o twoim pobycie w Brzózkach. Widzę, że znowu zaczęłaś malować. Tyle lat tego nie robiłaś. – Wojciech wyraźnie chciał dowiedzieć się, skąd nawrót zainteresowań plastycznych. – Wróciłaś inna. Pewnie to wpływ Brzózek i pani Anieli. Bardzo mi przykro, że musiałaś w tak niefortunny sposób zakończyć swoje wakacje. Może nie powinnaś była tam jechać. Nie cierpiałabyś teraz. – Patrzył na nią zatroskany.

– Nawet za cenę takiego stresu warto było wrócić do Brzózek i poznać kogoś takiego jak Aniela. Żałuję tylko, że ta znajomość tak krótko trwała. Dała mi jednak wiele. Inni nie potrafili mi tego dać przez wiele lat.

– Myślisz o mnie? – zapytał zaczepnie.

– Dlaczego zawsze myślisz o mnie źle? Nie jestem aniołem, ale potrafię być sprawiedliwa. Nasze życie jest kolorowym melanzem chwil dobrych i złych. Nie zawsze byłem powodem złych chwil. Nie zawsze ja umiałam stworzyć dobre chwile. Było różnie. Wiem jedno, że zawsze gubił nas brak chęci do rozmowy. Mówienia i słuchania. Zbyt mało było miejsca na kompromis. Zbudowaliśmy związek jak państwo, które miało być monarchią absolutną. Wiele lat walczyliśmy o władzę. Ważna była odpowiedź na pytanie, kto będzie rządził. A przecież powinna być demokracja. W parlamencie jest miejsce na głosy wielu posłów. Decyzje podejmuje się kolegialnie. Teraz wiem, dlaczego nie potrafiliśmy zbudować partnerskiego związku. Wynika to z naszych doświadczeń rodzinnych – tłumaczyła i dostrzegła, że Wojtek zaczyna ją słuchać z uwagą.

W tym momencie dźwięk telefonu przerwał rozmowę.

– Klaro, przyjeżdż do szpitala na Brochowie. Zawiozłem tam Marcelę. – W głosie zięcia usłyszała zdenerwowanie. – Zaczęła rodzić!

– Czy coś jest nie w porządku? – zapytała z niepokojem.

– Chyba nie, ale w końcu to nasze pierwsze dziecko!

– No, to trzymaj się mocno i weź się w garść. Gnaj do Marceli. Mówiliście, że zapisaliście się na poród rodzinny. Musisz panować nad emocjami. Na razie nie ja jestem jej potrzebna. Przyjadę za dwie godziny – dodała.

– Co to za głupie wymysły, ten poród rodzinny. Ja nigdy bym nie dopuściła, aby chłop oglądał mnie w tak poniżającej sytuacji! – krzyknęła z przedpokoju Zuzanna, która właśnie wchodziła do mieszkania. – No, wreszcie moja siostrunia pozbędzie się tego przedniego balastu. Jednak nie zazdroszczę im następnego półrocza. Mleczko, zupki, kupki itp. przyjemności. Co to za życie? – marudziła. – Ale rodzinka się cieszy! Oj, cieszy! Widzę wasze uśmiechnięte psycholki. Filip pewnie skacze pod niebiosa. Głupich nie sieją. Sami wschodzą – mówiła Zuzanna z przekąsem. Klara zbyt dobrze знаła córkę, aby dać się nabrać na jej złośliwości. Widziała, że Zuzia była wzruszona i szorstkością pokrywała radość.

– Chodź do mnie. Przytul się do starej matki, której dawno nie widziałaś – powiedziała. – Tak pleciesz, że kto by cię nie znał, pomyślałby, żeś zołza. Ja wiem, że masz złote serce. Ciesz się, bo Marcela mówiła, że będziesz matką chrzestną. A swoją drogą, odważna ta Marcela, że nie boi się taką złośliwą babę prosić, aby do chrztu jej dziecko trzymała. Jeszcze się maleństwu udzieli złośliwy charakter – dodała.

Zuzia cmoknęła matkę w policzek.

– Ale za to po matce chrzestnej odziedziczy rozum i urodę. Odrobina złośliwości nie zaszkodzi – powiedziała ze śmiechem. – W rodzinie nie będzie tak mdło, jak do tej pory. Potrzeba trochę pieprzu. Sam lukier może człowieka zemdląć.

Wojtek patrzył na żonę i córkę. Słuchał ich słownych utarczek, ale widać było u niego zdenerwowanie.

– Zbieraj się, kochanie. Zuziu, jedziesz z nami czy zostajesz na gospodarstwie? Musimy wesprzeć Filipa. Biedak może umrzeć ze strachu. Pamiętam dobrze, jak mama was rodziła. Myślałem, że nie dotrzymam do rana. A to były czasy, kiedy szpital był poza godzinami odwiedzin twierdzą nie do zdobycia. Mama już dawno urodziła, a dopiero rano dowiedziałem się o tym od położnej. A i to bardzo niechętnie udzieliła mi informacji. Myślała, że jakiś pijak ją naszedł. A ja całą noc nie spałem, więc rano wyglądałem jak piąta zmiana – powiedział.

Klara popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Nigdy mi tego nie mówiłeś – powiedziała z wyrzutem.

– Nigdy nie pytałaś – odpowiedział.

Synek Marceli wyglądał jak mała, pomarszczona, kudłata małpeczka. Mimo tego wszyscy patrzyli na niego z dużą czułością. Nawet Zuzanna, od chwili, gdy

wzięła na ręce mały, popiskujący tłumoczek, stwierdziła, że jest śliczny. Filip miał łzy w oczach, a dla Marceli przestał istnieć świat. Całą uwagę skoncentrowała na maleństwie. Największym jej zmartwieniem było to, czy będzie miała dostatecznie dużo pokarmu i czy synek dostanie żółtaczkę fizjologiczną. Młoda kobieta wręczyła Filipowi bardzo długą listę sprawunków, które powinien załatwić przed ich powrotem do domu. Nie zmartwiła się, jak pozostali członkowie rodziny postanowili wracać, aby jej zbytnio nie zmęczyć, bowiem cały czas zajęta była jedynie małym Karolkiem.

Postanowiła, że dziecko otrzyma imię po swoim dziadku, ojcu Filipa. Przede wszystkim chciała zrobić przyjemność swojemu mężowi i jeszcze bardziej wkupić się w łaski teścia, za którym przepadała i uważała go za wspaniałego człowieka. Klara czuła, że w Wojtku odezwała się nutka zazdrości. Jednak nie obawiała się, że może to zaburzyć jego dobre relacje z córką, albowiem potrafił Marceli wiele wybaczyć. Tak było i tym razem. W drodze do domu mąż powiedział jej:

– Wiesz, mały wygląda mi na Karola. Myślę, że to dobre imię dla faceta. Jest zdecydowanie bardziej podobny do Filipa niż do Marceli. Fajny dzieciak. Nigdy nie podobały mi się noworodki, ale ten jest nawet niczego sobie. Szkoda, że nigdy nie mieliśmy syna. Parę lat temu nawet o tym myślałem, aby mieć czwarte dziecko. Dziewczyny były już duże. I spłoszyłem się. Zwyczajnie wstydziłem się po raz kolejny zostać ojcem, i to podstarzałym. Myślę, że dopiero wtedy dorosłem do myśli, że dobrze jest mieć dzieci. I zamarzyłem o synu. Chciałem z nim pogadać o samochodach, rybach, sporcie. Widziałem, jaki masz dobry kontakt z córkami. Jak sobie pytujecie o babskich sprawach, i zatęskniłem do takich relacji z małym mężczyzną. – Wojtek zamyslił się.

– To dlaczego o tym nie porozmawiałeś ze mną. Ja też miałam w sobie tęsknotę za maleństwem. Chyba ze dwa lata przed operacją. Myślę, że to podświadoma, biologiczna potrzeba reprodukcji, zanim człowiek straci możliwość poczęcia i donoszenia dziecka. To tak, jak z roślinami. Najpiękniej kwitną, zanim się zestarzeją na dobre. Poza tym wtedy między nami nie zawsze było dobrze. A ja po ostatnich kłopotach bałam się ciąży. Bałam się twojej reakcji. Dlatego myśl o kolejnym dziecku odłożyłam na półkę, w sferę marzeń. Jednak żałuję, że wtedy nie rozmawialiśmy. Nie wyjaśnialiśmy sobie naszych punktów widzenia – powiedziała, z żalem.

– Myślę, że tak miało być. Nadrobię wszystko z wnukiem. Nauczę Karola jazdy na rowerze, gry w tenisa, jazdy na nartach, łyżwach. Zobaczysz, jakimi będziemy kumplami. – Wojtek zapalił się do swojej przyszłej roli aktywnego dziadka. – Głowa do góry, Klaro! Będiesz wspaniałą babcią, a ja niezłym dziadkiem! A swoją drogą, brzmi to idiotycznie, bo jakoś nie czuję w sobie dziadkowego ducha. Chyba jestem za młody. A może muszę się do tego

*przyzwyczać?*

*– Wojtku, myślisz stereotypami. Teraz dziadek to nie stetryczały jegomość, a aktywny, sprawny, często o szerokich horyzontach człowiek. Właśnie taki jesteś – uśmiechnęła się Klara.*

*– No, no, czym zasłużyłem na taki komplement. Nie wiedziałem, że myślisz o mnie jako o człowieku z szerokimi horyzontami. Uważaj, bo będę próżny! – zażartował, ale Klara wiedziała, że jest mu miło. I jej też zrobiło się przyjemnie.*

*– Nie muszę uważać, bo zawsze byłeś próżny, więc nie prawilał ci komplementów, aby nie nadymać twojej dumy. Jeszcze wzleciałbyś w powietrze jak balon. I co zrobiłabym bez ciebie? – roześmiała się.*

*W samochodzie zrobiło się miło. Klara złapała się na tym, że od przyjazdu z Brzózek jest inaczej. Milej, przyjaźniej, cieplej.*

### **Zapiski, czerwiec 2008 r.**

*W Brzóskach doświadczyłam niesamowitego wrażenia. Po raz pierwszy dogłębnie poczułam swój związek z przyrodą. Na poziomie wiedzy zawsze przyjmowałam swoją jedność ze światem, który mnie otacza, ale dopiero wczoraj poczułam całą sobą, materialną i niematerialną, że jestem prawdziwą cząstką przyrody. To tak, jakby nagle ktoś przez jedno mgnienie oka, jedną mikro, mikro... Uchylił mi rąbka wielkiej tajemnicy.*

*Poszłam w góry. Jeszcze nie było turystycznego tłoku. Ścieżka, którą zagłębiłam się w jakieś jary, wykroty, była pusta. Kwitły krzewy i drzewa. Czulo się zapach ciepłej, mokrej ziemi, świeżej trawy i ziół. Powietrze nasycone było aromatem kwiatów, wabiących owady. Cisza zaczęła mnie hipnotyzować. Wiatr przeczesywał włosy. Byłam ja, świergot ptaków dziurawiący ciszę, ogromne góry wokół. Usiadłam pod dziką akacją. Obsypana była kwieciem. Przy silniejszych podmuchach wiatru sypał mi się na głowę delikatny, biało-kremowy deszcz. Przymknęłam oczy i starałam się wtopić w te zapachy. Poczułam na policzkach i we włosach delikatną pieszczotę wiosny. I nagle, przez moment poczułam, że w jakiś sposób jestem też niematerialna. Jakby moja świadomość wyszła na chwilę z ciała i wtopiła się w otaczający świat. Poczułam się jak drzewo, jak trawa, jak wiatr. Przez chwilę byłam wolna od wszelkich ograniczeń. Bezwzględnie szczęśliwa, zjednoczona ze światem. O niczym nie myślałam, nic nie czułam prócz ciepła, wiatru i więzi z otoczeniem. Żadnych lęków, tylko czyste szczęście i wolność. Wtedy pomyślałam, że po śmierci będę właśnie tak zjednoczona z przyrodą. Myśl ta nie przeraziła mnie, a wręcz uspokoiła. Popatrzyłam w górę i wydawało mi się, że pomiędzy obłokami ujrzałam chowającego się anioła o skrzydłach, które na końcach miały złote obwódki. A może mi się zdawało, bo chmury pod ręką wiatru szybko traciły kształty. Staralam się zatrzymać swoje odczucia i myśli. Niestety ten*



*niepowtarzalny nastrój gdzieś uleciał, jak aromat kwiatów, gdy oddaliłam się spod drzewa. We mnie jednak pozostało niesamowite poczucie ukojenia i rodzącej się we mnie wolności. Nagle inaczej spojrzałam na siebie. Inaczej siebie zaczęłam odczuwać. Zaakceptowałam obecną Klarę. Jej dojrzały wygląd, niedoskonałości, lęki, słabości. Było mi dobrze, a w sercu gościł spokój. I pomyślałam o Wojciechu. Pomyślałam sobie, że szkoda, że nie dane było nam razem przeżyć tej chwili. Pierwszy raz od wielu, wielu lat zdałam sobie sprawę z tego, że to nie miłość lub jej brak stanowią o wolności lub zniewoleniu człowieka. Wolność jest w nas. W naszych myślach, odczuciach. Sami decydujemy o tym, czy świat nas ogranicza, pęta, czy na to zezwalamy. Wolność jest w nas ukryta. Dwoje kochających się ludzi powinno mieć swoją życiową pasję. Każdy powinien realizować swoje marzenia, iść wytyczoną przez siebie ścieżką życia. Powinni być wolni, będąc razem. Wystarczy, że będą mieli trochę wspólnych punktów stykowych, aby kochali się nadal i wspierali, a wtedy będą mogli czuć się szczęśliwymi. Nie można oczekiwać od drugiego człowieka, że będzie szczęśliwy, jak zrezygnuje całkowicie z siebie, czyli zamieni swoje marzenia na cudze i realizując czyjąś koncepcję na życie, będzie szczęśliwy.*

*Jesteśmy z Wojciechem całkiem odmiennymi jednostkami. Inaczej patrzymy na życie, choćby z tej prostej przyczyny, że jesteśmy odmiennej płci. Dlaczego więc przez lata wymagałam od niego, żeby czuł i myślał, tak jak ja. Dlaczego on wymagał ode mnie tego samego? Może dorosłość, dojrzałość polega na tym, że zaczynamy rozumieć takie proste reguły gry? Czy już dojrzeliliśmy do tego, aby być w dobrym związku? Czy babcia i dziadek, którymi jesteśmy w tej chwili, stanowią dobry i kochający się związek?*

*Czy żyją według zasady: „ty idziesz swoją drogą, ja idę swoją. Ty nie jesteś mną, ja nie jestem tobą. Jak się spotkamy, to dobrze. A jak nie, to trudno”?*

Dom Pierre i Juliette był zlepkiem kontrastów. Wyglądał jak typowa nowoczesna niezbyt rozległa willa. Natomiast jego wnętrze kryło wiele niespodzianek. Jedną z nich były ogromne kolekcje przedmiotów. Juliette była zapaloną kolekcjonerką. Zbierała stojące na rustykalnej meblościance stare, gliniane garnki, a także święte Mikołaje o różnych gabarytach. Były chudsze oraz grubsze. Jedne dzierżyły worki z prezentami, inne były bez prezentów i przed sobą nosiły tylko pękate brzuszki. Były Mikołaje siedzące, leżące i wspinające się po sznurze, a także samotne i te otoczone stadem reniferów. W kredensach, na kanapach, na szafkach siedziały piękne porcelanowe stare lalki. Gdy weszli do ogrodu, oniemieli. Niepozorny z zewnątrz ogród, otoczony wysokim żywopłotem, przypominał wielką wioskę krasnali. Rezydowały pod drzewami, krzaczkami,

siedziały obok oczka wodnego, mocząc w wodzie wędki. Jedne pchały taczki, inne niosły wiadra. Pod wysoką lipą stał wiatrak, którego ramiona obracały się pod wpływem wiatru. W nenufarach brodziły sztuczne, różowe flamingi.

Na końcu ogrodu, pod lasem stały kolorowe ule, do złudzenia przypominające kolorowe grzybki. Juliette, dumna z wrażenia, jakie zrobiła na Gizeli, rozłożyła szeroko ręce i powiedziała:

– Mon jardin.

– Zaskakujący! – odpowiedziała po polsku Gizela.

Nina, która przyjechała wraz z wnuczką, przetłumaczyła na francuski. Juliette roześmiała się.

– Reagujesz jak większość normalnych ludzi! Juliette zawsze mówi, że oboje z Pierem mają trochę chorą głowę. Oboje lubią zbierać różne przedmioty. Pierre ma zbiór Tin Tinów razem z ich psami. Zbiera też różne bajkowe figurki, ale trzyma to wszystko w gablocie w swoim lekarskim gabinecie. Gdy przychodzą chore dzieci, to ma z nimi o czym rozmawiać. Juliette złośliwie twierdzi, że dlatego ludzie uważają, że jest dobrym lekarzem od dzieci. Juliette, aby dorównać mężowi, zaczęła zbierać lalki, ale jak widzisz, poszerzyła swoje zbiory. Chyba wpadła w nałóg, bo nie może przestać zbierać. Niedługo w ich maison będzie miejsce tylko na kolekcje. – Nina zwróciła się do Gizeli. – Chodźmy do Pierre. Siedzi w piwnicy i wiruje miel.

– Pewne dlatego tak dużo pszczół wokoło lata – zauważyła Gizela.

W piwnicy mieszczącej się obok garażu stała ogromna ręczna wirówka do miodu. Była drewniana. Pierre, ubrany w sprane dżinsy i szeroką, jasną koszulę kręcił dużą korbą.

– Bonjour! – powiedział z uśmiechem do przybyłych.

Obok wirówki stały liczne ramki z plastrami miodu. Pierre brał każdą z ramek. Wielkim nożem odcinał wierzchnią warstwę wosku, odkrywając wnętrze pełne złocistego, słodkiego specjału. Następnie wkładał po dwie ramki do wirówki i odwirowywał zawartość plastra. Gizela dostała do rąk kawałeczek plastra. Nigdy niczego lepszego nie próbowała. Słodycz była aromatyczna, niezwykła.

– De bon goût! – powiedziała do Pierre, starając się zlizać kapiące na dłoń złociste krople. Nina również oblizywała palce po kapiącym z plastra specjale.

– Pierre zawsze mówi, że smak jego miodu jest tak dobry, bo pszczoły mają luksus, czyli do wyboru: la fleur z łąki, z jardin i z las. Juliette sprzecza się i mówi, że to jej krasnale zawsze robić dobra robota i zaganiać pszczoła do le fler, która ma dobry miel.

Gizela miała wyjątkowo udane popołudnie. Kręciła korbą, ścinała

wierzchnią warstwę wosku z grubych, słodkich plastrów. Później pomagała przelewać miód do słoików.

Juliette przygotowała na ogrodowym stole koszyk z kromkami chleba. Obok stała maselniczka z pachnącym, świeżym masłem. Pili mocną kawę z ekspresu i zagryzali chlebem ze świeżo odwirowanym miodem. Gizeli nawet nie przeszkadzały latające obok pszczoły i osy. Od czasu do czasu, gdy któraś z nich stawała się zbyt natarczywa, odganiana była płócienną ścierką. Wszystkim udzielił się pogodny, leniwy nastrój. Obdarowane słoikami miodu, wracały do domu zmęczone, ale zadowolone.

– Babciu, oni mają bajkowy dom i jak w bajce, życie miodem płynące! Chciałabym tak – z rozmarzeniem zwróciła się do Niny, która otwierała drzwi domu.

– Dziecko, nikt nie powinien nikomu zazdrościć. Każdy ma swoje życie. Każdemu przeznaczona jest odrobina szczęścia. To, co dla jednego dobre, dla innego już nie tak dobre. Dziecko, to wszystko tylko pozory. Pierre był zawsze bardzo dobry medyk. Dobrze travaille na uniwersytet. Nauka zawsze mu dobrze do głowy szła. Wyuczył się na dobry lekarz. Ale życie w école szybkie. Młode ludzie to bardzo niedoświadczone i głupie. Dużo zabawa, dużo dyskoteka, dużo alcool, narkotyk. Potem jak on żył w Bruxelles, to życie też miał szybkie. On był w klinik dla enfant. Ale alcool mu zepsuł życie. Ma z nim problem. Potem zostawił Bruxelles. Przyjechał tu. Oni nie mają les enfants. Juliette długo leczona. Nic nie dało rady. Kto winien, ja stara nie wiem. Oni są dobre dla siebie. Lubują się, ale problem mają dużo. Te lalki i ten miel to tylko pozory...

Nina ciężko usiadła przy kuchennym stole. Splotła ręce na kolanach. Zamyśliła się.

– Może już czas, aby tobie mówić grand sekret familia. U nas rodzina mocna, ale linia Michaela ma słabe nerwy. Najmłodsza siostra Michael była bardzo piękna kobieta. Nazywała się Vivian. Miała piękne, gęste, długie włosy, ogromne oczy i delikatną cerę. Wyszła za mąż z wielkiej miłości za Claude. Jak oni się bardzo kochali. To miło było na nich patrzeć. Jean Baptiste wyprawił najmłodszej córce takie wesele, że wszystkie panny miały wielką zazdrość. Claude miał bardzo dobra travail. On był leśnik. Mieszkali od początku we własny maison, bo otrzymał go w spadek po swojej ciotce. Vivian zawsze lubiła les enfants. Wszystkie les petits enfants do niej szły, jak do swojej matki. Ona miała do nich dużo dobra energia. Dużo cierpliwa była. Zawsze mówiła: „ja będę miała siedem les enfants”. Po mariaż minęło parę lat. A tu nie ma dziecko. W końcu był wielki fet, bo Vivian mówi, że jest przy nadziei. Jak wszystkie w rodzinie się ucieszyły! Jak czekały. Ale Vivian nie donosiła. Szedł właśnie czwarty miesiąc, jak puściła się krew i dziecko tylko zrobiło „chlup”, i już go nie było. Vivian od zmysłów odchodziła. Wszystkie jej mówili: „młoda jesteś, będzie następne”, ale jeden doktor taki dobry od kobiet

w klinice powiedział jej, że już nie będzie. I ona wtedy zachorowała. I długo leczyli ją w taka klinika od głowy i nerwów. W końcu pół roku minęło. Doktory mówiły, że już zdrowa i do maison może iść. Claude zabrał żona do maison i musiał iść do le travail. Wtedy ona rozbiła szafa, w której on chował swoja strzelba, i jak przyszedł soir – no po polsku to wieczórem – do maison, to ona leżała zastrzelona. Tylko zostawiła mu list, w którym napisała, że kocha go nad swoje życie, ale jeszcze bardziej kocha swoje małe les enfants i chce do niego iść. I wybrała.

Nina westchnęła, zamyśliła się. Po chwili dodała:

– Pierre też ma bardzo słaba nerwa. Jak on był mały, to miał słabe oczy. Lekarz mówił mu „Pierre, ty zakładaj swoje okulary”. W szkole wszystkie dzieci, jak to dzieci, miały z niego śmiech. A on tylko od nich się odsuwał i tylko książki czytał. Zawsze mówił mi, że pokaże innym, że jest najlepszy. Potem żadne dziewczyny nie chciały z nim się umówić, bo on na rendez-vous za mądrze z nimi gadał. Więc dużo szedł do le travail, dużo robił swoja praktyka. Na wieczór to był alcool. Gdy przyjechał z Bruxelles, to poznał Juliette. On nawet nie miał odwaga, aby z nią iść na rendez-vous. Ona była ładna, mądra i bogata. To ona go zobaczyła i od razu wiedziała – to mój mężczyzna. Ona go poprosiła, aby był jej mąż. On już wtedy miał problem z nerwy, narkotyk i alcool. Ona ma bogata familia. Dostała dużo pieniędzy. Kupili sobie dom i wszystko. One dużo zarabiają. Dużo jeżdżą na wacances. Wszystko mają, ale to, co najważniejsze, to nie mają. Nie mają spokój. Ja w nocy modłę się do Matki Boskiej, aby dała mu siły i zdrowie.

Nina wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i wytarła wilgotne oczy.

– Późno, jutro też jest dzień. Idź do łóżka. Bonne nuit.

Gizela szybko usnęła, pomimo dziwnych myśli, kołaczących się jej po głowie.

## Ogród

Tym razem Gabriel był bardzo spóźniony. Umówili się z Almą, Arielem i Kirą na wspominki. Chcieli wzmocnić się i pooglądać najpiękniejsze kwiaty. Miało to im dodać nowej energii i nasunąć parę nowych pomysłów, potrzebnych do ratowania i odnowy drzewa.

Nerwowo wchodził w ramę i świat abstrakcji. Na domiar złego popełnił straszny błąd. Był niezbyt ostrożny. Nie tak dawno miał pretensje do Almy, że dała się zaskoczyć i niechcący złamała jeden z najważniejszych punktów ustawy pryncypialnej. A teraz on z głupoty zrobił to samo. A chciał tylko otoczyć większą ochroną. Czuł, że mężczyzna miota się i nie potrafi dojść do ładu zarówno ze sobą, jak i związkami. Myślał, że jeżeli tylko dostatecznie długo będzie potrząsał jego sumieniem, grał na najlepszych uczuciach, to w końcu wyciągnie z tego jakieś wnioski i spróbuje wytrącić się ze starych kolein, po których od lat funkcjonował, powielając męskie role swoich protoplastów. I stracił czujność! Teraz obawiał się reakcji władz najwyższych i wizyty kontrolerów. Przy spotkaniu Almy skończyło się na wpisie do rejestru, jednak procedura była nieprzyjemna. Szczególne złe wrażenie zrobiła na nim kontrola.

Pogrążony w analizie sytuacji, doszedł do bramy. Ogród tego dnia wyzierał spoza ogrodzenia tak intensywnie i widok kolorowych drzew, bujnie kwitnących kwiatów był tak porażający, że mimowolnie poczuł lekkość. Zapachy kołysły i uspokajały. Muzyka drzew była czuła. Wiedział, że jest tam, gdzie powinien, i wszystko będzie dobrze. W słońcu i lekkim wietrzyku odlatywały w niebo tylko pojedyncze motyle. Nie widział żadnych barw zbliżonych do kolorystyki ich drzewa.

– Witaj, Gabrielu! – usłyszał z głębi ogrodu chór głosów przyjaciół.

– Czekamy! Już wiemy, co się stało. Już ogród wyszumiał, że jeden z ogrodników ma do poprawy egzamin pomocy codziennej! – Głos Almy był niepewny. – Byli kontrolerzy! Zrobili wstępną wizję lokalną. Wypytywali o kłopoty z drzewem.

– Jak zwykle, przywiązujecie zbyt dużą wagę do tego, o czym szumi ogród. Przypominam, że i jemu zdarzają się niedomówienia. Czasem wyciąga zbyt pochopne wnioski. Nie zamierzam martwić się na zapas. Jeszcze Mistrz nie wpisał mnie na listę poprawkowiczów. Jeszcze wszystko może się zdarzyć. Wprawdzie dziś byłem zbyt nieostrożny, ale to z roztargnienia. Mam nadzieję, że Kolegium weźmie pod uwagę okoliczności i motywy. To nie wydarzyło się przez zaniechanie lub zaniedbanie. Do ostatniej chwili byłem w stanie najwyższej gotowości. – Gabriel był niezadowolony z wypowiedzi towarzyszek.

– Zobaczmy. Mam nadzieję, że i tym razem rozejdzie się po kościach – powiedziała Alma i w tej samej chwili rozśmieszył ją paradoks wypowiedzi. –

Oczywiście mówię głupoty, bo używam ludzkich zwrotów. Powinnam powiedzieć, że rozejdzie się po astroplaźmie, ale to znacznie głupsze. – Alma śmiała się ze swoich przemyśleń.

Gabriel uśmiechnął się lekko i powiedział:

– Dość głupot. Chodźmy pod drzewo. Czas na spojrzenie w kwiaty bliźniacze. Czas na poprawę nastroju. Ostatnio było zbyt wiele zdarzeń przygnębiających. Drzewo choruje i cierpi. A co u was? – zwrócił się z pytaniem do Kiry i Ariela.

– Na razie wszystko w porządku, tylko nie wiemy, jak długo będzie taki zastój. Cały czas mamy nadzieję, że choroba ustąpi, ale już wiemy, że nie ma żadnych szans. Czujemy się, jakbyśmy siedzieli na bombie – odpowiedział Ariel. – Na razie mamy przerwę w pracach upiększających. Pomagamy Noemi i Noelowi. Są bardzo niedoświadczeni. Uważam, że ten eksperyment Mistrza nie powiedzie się. Nie wystarczy sam zapal. Pozwólcie pozaglądać wraz z wami w kielichy kwiatów – zwrócił się do Gabriela.

Podeszli do drzewa. Na dolnej gałęzi, nisko nad murawą widniał piękny kielich kwiatu, składający się z dwóch trąbek. Płatki były wywinięte, świeże. Kielich mienił się drobnymi kryształkami rosy. Był lekko różowy, wpadający w odcień brzoskwiowy.

– To pocieszające, że przynajmniej ten kielich zawsze jest świeży i nie ima się go nagłe obniżenie temperatury, a także nie zmienia koloru. To dobry znak. Podejdźcie, zaczynamy. – Alma podeszła do kwiatu i lekko rozchyliła jeden z kielichów.

Barwy ogrodu nabrały intensywności.

\* \* \*

Coś w domu stuknęło. Gizela przebudziła się. Był środek nocy. Nastawiła uszu. To w kuchni słychać było gotującą się wodę. Zrozumiała, że babkę dręczą złe myśli, i postanowiła zaparzyć sobie melisę. Zawsze tak robiła, gdy miała kłopot ze snem. Młoda kobieta postanowiła nie zdradzać się z tym, że słyszy krzątanie babki. Wróciła myślami do swojego snu. Zastanawiała się, co znaczy. Próbowała odpędzić przesuwające się w głowie obrazy. Jednak senność wygrała. Ponownie usnęła. Sen wrócił.

## Ogród

Gabriel martwił się egzaminem poprawkowym. Wiedział, że musi przypomnieć sobie wszystkie procedury, dokładnie, na wrywki znać katalog zasad pryncypialnych wraz z najdrobniejszymi szczegółami wytycznych dla Aniołów Stróżów.

A najważniejsze, pomoc codzienna z zabezpieczeniami musi być mu znana jak pacierz. Od tego zależy wszystko. Cała jego przyszła kariera w Absolutie. Odtworzone będą wszystkie działania przy drzewie. Każda decyzja, każdy zabieg.

Już powtórzył psychologiczne uwarunkowania ludzi i drogi zmian postępowania, w zależności od rodzaju wpływu na okoliczności. Teraz siedział pod drzewem i odtwarzał wszystkie zabiegi Almy i swoje. Patrzył na skutki. I miał wątpliwości. Teraz widział wyraźnie, że mogli lepiej przyłożyć się do pomocy. Podjąc inne decyzje, w innych momentach przestrzegać i dmuchać na zimne, jak to mawiała Alma. Z pewnością wyniki byłyby lepsze. Ale trudno. Jest tak, jak jest i może jedynie mieć nadzieję, że uda im się zmienić wszystko i odwrócić los. Ale to na przyszłość, a teraz musi zastanowić się nad dobrym uzasadnieniem błędów, aby już na początku nie podpaść komisji. Uzasadnienie będzie kluczem do wybrnięcia z trudnej sytuacji. Musi przypomnieć sobie wszystkie okoliczności podjętych przez nich działań pomocowych i pielęgnacyjnych.

– Witaj, Gabrielu. Pozdrowienia na chwałę Mistrza i Absolutu! – usłyszał z boku głos Noémi. Spojrzał na nowego ogrodnika z ciekawością. Od anioła bił wyjątkowo jasny blask. W oczach zobaczył entuzjazm i zapał. Przypominała Almę z momentu, gdy wspólnie postanowili posadzić drzewo.

– Na chwałę miłości, uczucia najwyższego! – odpowiedział, zgodnie z regułami, nie chcąc dawać złego przykładu młodzieży. – Co cię sprowadza w stare zaułki ogrodu. Czy lubisz zabytki? – popisał się dowcipem.

– Nie o to chodzi, ogród szumi o waszych kłopotach. Chciałam pomóc. – Noémi nie zareagowała na dowcip. – Wiem o twoim egzaminie. Jak wiesz, jestem świeżo po promocji do samodzielnej ochrony. Znam aktualne wymogi komisji. Obecnie nastąpiła zmiana pozycji w zasadach pryncypialnych. Inne są również komentarze Mistrza. Spis wytycznych najwyższych został odświeżony i przystosowany do nowych warunków Do mentalności współczesnych ludzi. Tym razem zasady odświeżane są co dwadzieścia lat ziemskiego życia. Obowiązuje również Wielka Księga Mistrza.

– Dzięki za pomoc. Już tak dawno nie przypominałem sobie teorii, że najwyższy czas zaglądnąć do podstaw wiedzy aniołów. Mam nadzieję, że mogę liczyć na twoją wiedzę teoretyczną. Szczególnie w zakresie astralności. Ja z kolei mogę was wspomóc praktyką. To nieodzowne, skoro zdecydowaliście się na prace w eksperymentalnym ogrodzie. – Gabriel był pełen sympatii dla zapału koleżanki.

– Podziwiam wasze drzewo. Nie jest doskonałe, ale ma wiele uroku i niepowtarzalną formę. Szkoda, że od dłuższego czasu choruje. Chętnie pomogę, ale też chętnie skorzystam z waszego doświadczenia. Już Alma ofiarowała mi chwile ze światem waszego drzewa. A teraz żegnaj. Muszę oddalić się na codzienny trening sprawnościowy. O, byłabym zapomniała. Przygotuj się też ze sprawności anioła. Od niedawna obowiązuje trening sprawnościowy. Mistrz kładzie duży nacisk na sprawność aniołów, szczególnie tych w służbie ochronnej.

Noemi uśmiechnęła się do Gabriela, zaszumiała skrzydłami i jak błyskawica oddaliła się w nową część ogrodu.

No cóż, Noémi ma rację! Jestem zaśniedziałym aniołem i dlatego przydarzyła mi się ta niewesoła historia. Muszę też zmobilizować Almę do wspólnych ćwiczeń – pomyślał, zastanawiając się nad słowami Noémi.

Od zachodu słońca ćwiczyli sprawność. Zmęczeni, wracali do ogrodu. Zaskoczyła ich muzyka unosząca się nad starą częścią. Obok delikatnych dźwięków organów słychać było ciche dzwoneczki i słowicze trele. Od drzew biła delikatna poświata. Miała srebrno-fioletowy odcień. Gdy podlecieli bliżej, zobaczyli swoje drzewo, które szumiało. Alma pomyślała sobie, że już od dawna nie słyszała tylu delikatnych dźwięków w szumie liści. Sonata drzewa była zachwycająca. Nie słychać było żadnej fałszywej nuty. Kolory stały się bardziej intensywne, nabrały świeżości. Liście przestały się zwijać. Odżyły. Zachwyceni, przysiedli na grubej gałęzi, w gęstej koronie drzewa. Zanurzyli się w gąszczu barw i dźwięków.

\* \* \*

Ranek wstał pochmurny. Myśli Gizeli tego dnia były równie szare, jak belgijskie niebo. Nina pracowała w ogrodzie. Ścinała przekwitłe kwiaty, wrywała chwasty, nucąc przy tym jakieś wschodnie melodie. Gizela wzięła do ręki książkę i zagłębiła myśli w zagadce kryminalnej. Śledziła losy pewnego dzielnego detektywa, który wbrew wszelkim staraniom policyjnych inspektorów i ich doskonałego zaplecza laboratoryjnego, pierwszy wpadał na trop właściwych przestępców i rozwiązał problem dzięki niesamowitej intuicji i darowi spostrzegawczości oraz logiki. Nagle w kryminalną akcję wdarł się dzwonek telefonu komórkowego. Usłyszała część utworu zespołu IL Divo i zrozumiała, że to jej telefon przerwał ciekawą lekturę. Na wyświetlaczu zobaczyła nieznaną numer. Pewna, że to pomyłka niechętnie nacisnęła zieloną słuchawkę, narysowaną na



klawiszu.

– Halo! – zaznaczyła swoją obecność w eterze.

– Halo, tu Sergiej! – usłyszała męski głos.

– Skąd masz mój numer? – Zaskoczenie nie pozwoliło jej dostatecznie ucieszyć się z zainteresowania mężczyzny.

– Myślałem, że zrobię ci niespodziankę, a ty tylko dziwisz się. – Sergiej posmutniał. – Chciałem cię zaprosić na wycieczkę i pokazać ci ciekawe miejsca.

– Ale dzisiaj już obiecałam babce, że pojedziemy razem do Cory na zakupy. Babka raz w tygodniu wyjeżdża z kimś z rodziny i zaopatruje się w artykuły spożywcze w dużym domu towarowym. Chcę jej w tym pomóc.

Tym razem musiała odmówić Sergiejowi, chociaż wizja wycieczki bardzo ją kochała.

– Potrafię zrozumieć, że zakupy z babką Niną są ważniejsze. – Sergiej był wyraźnie rozczarowany. – A co robisz jutro?

– Jutro jesteśmy zaproszone na barbecue do Marlène. Myślę, że mógłbyś pojechać z nami. Przecież znasz Marlène i Paula – odpowiedziała.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Jesteś tam? – nie wytrzymała Gizela.

– Jestem, ale nie wiem, co powiedzieć. Tutaj nie jest przyjęte, aby bez zaproszenia przychodzić na grilla. Chyba zrezygnuję. A może pojutrze?

– Dobrze. W takim razie tak sobie poustawiam wszystkie spotkania z rodziną, żeby pojutrze mieć cały dzień dla ciebie. To do zobaczenia! – chciała urwać rozmowę, ale Sergiej nie dał się zbyt szybko zbyć.

– Nie tak szybko! Nie tak bystro! Nie wyłączaj się. Jeszcze przecież nie jedziesz na te zakupy, więc chwilę ze mną porozmawiaj. Powiedz mi, co robiłaś dziś, odkąd otworzyłaś oczy? Ciekaw jestem jak spędzasz czas. Co teraz robisz? – zapytał.

– Teraz to rozmawiam z takim jednym mężczyzną, co się nazywa Sergiej i ma ciekawą galerię — roześmiała się – a wcześniej czytałam kryminał. Babka pracuje w ogrodzie. Mówi, że musi trochę powyrywać chwastów i skosić kosiarką trawę, bo jak przyjdzie deszcz, a wszystko na to wskazuje, to nie będzie można kosić. Trawa jest już bardzo wysoka. Chyba zaraz jej w tym koszeniu pomogę.

– Jestem niedaleko i mógłbym wam pomóc. Po co macie wykonywać męskie prace. Za chwilę u was będę.

Zanim zdążyła zaprotestować, wyłączył telefon.

Musiał być wyjątkowo blisko, bo po kwadransie usłyszała dzwonek do drzwi domu. Pobiegła przez ogród do korytarza. Otworzyła drzwi i stanęła jak wryta. Za drzwiami stał uśmiechnięty mężczyzna z wielkim bukietem polnych kwiatów w ręce.

– To dla ciebie i Niny. Nazrywałem po drodze, bo nie mogłem oprzeć się

ich urodzie.

Uśmiechnięty Sergiej szedł obok Gizeli w stronę ogrodu, rozdzielając kwiaty na dwa bukiety. Jeden wręczył Gizeli, a z drugim podszedł do Niny.

– Bonjour madame! – powiedział z uśmiechem. – Ça va?

– Bonjour! – odpowiedziała, z uwagą patrząc na mężczyznę.

– To małe cadeau dla belle Madame.

– Oj, jakbym miała dwadzieścia lat, a nie tak dużo jak mam, to oddałabym swoje serce takiemu przystojnemu mężczyźnie, który przynosi piękne fler. Zastanów się, Gizelo, czy nie warto pomyśleć o Sergiej – zażartowała.

– Cały czas myślę, czego ode mnie potrzebuje, jak z łapówką przychodzi – podjęła żart Gizela.

– Oj, lepiej czasem nie wiedzieć, czego chce mężczyzna! – uśmiechnęła się Nina.

– No, dwie na jednego, to nie fair! A ja biedny chcę tylko od was jednego. Uśmiechu. Oddam wszystko co mam za uśmiech – dalej żartował, ale twarz miał poważną, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Ma chère! Dość żartów. Jestem do waszej dyspozycji. Jestem siłą fachową od koszenia trawy. Gdzie kosiarka? – Już zdejmował skórzaną kurtkę, z której wcześniej wyciągnął kolorową bandankę. Złożył ją w szeroką opaskę i przewiązał czoło, aby włosy nie spadały na oczy.

Nina wytarła ręce w bok fartucha i poszła w kierunku pomieszczenia gospodarczego, zabierając ze sobą mężczyznę.

Po dziesięciu minutach warkot silnika przeciął ciszę ogrodu. Stara kobieta wróciła do pielenia, a Gizela z książką w ręce poczuła się jak niepasujący element układanki. Złożyła więc książkę i poszła do kuchni zrobić lemoniadę, aby przynajmniej w ten sposób pomóc w pracy. Za kwadrans wyniosła tacę z dzbankiem pełnym aromatycznego, orzeźwiającego napoju, w którym pływały plastry cytryny i zielone miętowe listki.

Gizela nie zauważyła, w którym momencie wyszło słońce, a jej myśli poweselały. Gdzieś rozplynęły się złe wspomnienia. Z prawdziwą przyjemnością przyglądała się Sergiejowi, jak pewnymi ruchami prowadzi maszynę, pozostawiając za sobą równe pasma niskiej murawy. Po jakimś czasie cały trawnik wyglądał, jak gęsty, pasiasty, zielony kobierzec. Również w południe praca została zakończona.

– Czas na małe le manger! – powiedziała Nina, podchodząc do ratanowego stołu, na którym Gizela postawiła napoje. – Teraz trochę woda, a potem ja dam małą tarta i le café. Wczoraj ja pozbierała moje jabłka i zrobiła tarta. Nawet nie myślała, że dziś nam się przyda dla gościa. Zasłużyłeś na dużo więcej. – Nina już lała wodę do szklanek i wypila duszkiem zawartość swojej.

Gizela poszła do kuchni zaparzyć kawy. Słyszała, że babka o czymś

wesołym rozmawia z Sergiejem, bo oboje zaśmiewali się do rozpuku, i pomyślała, że jakby nie widziała srebrnych włosów Niny, nie znała jej pooranej twarzy, to pomyślałaby, że to młoda, flirtująca z chłopcem dziewczyna. Tyle było wdzięku w tonie rozmowy, tyle zalotnych zaczepek słownych, tyle lekkości. Gizela nagle poczuła się trochę zazdrosna o tę babciną umiejętność pozyskiwania sobie ludzi. Przez myśli przeszło jej pragnienie, że chętnie poplirtowała by w taki właśnie lekki i niezobowiązujący, a zarazem uroczy sposób z Sergiejem. I zadziwiła się swoim chęciom. W końcu nic o nim nie wiedziała. Nie znała jego życia. Chciałaby zadać wiele dręczących ją pytań. Kim była tajemnicza kobieta z galerii? Jak wyglądało jego życie? Czy powinna w ten sposób myśleć o nowo poznanym mężczyźnie? Nie był do końca Polakiem, nie był Belgiem ani Ukraińcem. Zdecydowanie nie chciała pakować się w bliższą znajomość z tym obcym, ale mimo wszystko uroczym człowiekiem. Nie teraz. To nie był dobry czas na tę znajomość. Jednak nie potrafiła odmówić sobie przebywania z tym interesującym mężczyzną.

Przecież powinnam mieć towarzystwo młodych ludzi. On jest chętny, aby mnie zabierać w różne miejsca. Ma na to czas. Powinnam skorzystać z jego obecności. Przecież to moje wakacje. Nikogo tym nie krzywdzę.

Uspokojona swoimi refleksjami, spokojnie postawiła na tacy dzbanek z kawą, pokroiła tartę i wyniosła wszystko do ogrodu, skąd dochodził śmiech Sergieja i Niny.

Tego dnia wieczorem chętnie wróciła do pamiętnika matki, do rodzinnego domu, do rodzinnych spotkań. Wyraźnie tęskniła za swoimi.

### ***Pamiętnik Klary, bez daty***

*– Mamo! Tato! Czy ktoś jest w domu? – usłyszeli od drzwi, które Marcelina otworzyła swoim kluczem. Była zasapana, bo niosła na rękach Karolka, który już swoje ważył. Tego dnia, jak na jesienną pogodę, było bardzo ciepło i temperatura przypominała bardziej środek lata niż początek września. Za Marceliną szedł Filip, niosąc pod pachą wózek. Na ramieniu miał przerzucony wielki plecak.*

*– Gdzie się wybieracie? – zapytała córkę Klara.*

*– Jak to gdzie, przyszliśmy do was. Za godzinę przyjedzie Zuzka z Radkiem i Gizela.*

*– Ten plecak to tylko rzeczy naszego syna. Marcela pakowała – śmiał się Filip. – Tak jest zawsze. Nigdy nie może zdecydować się, czy będzie zimno czy ciepło. Na wszelki wypadek ładuje wszystko. Ale co tam. Mamy naszego grata, to nic nie kosztuje przewozić pół szafy z miejsca na miejsce, a moja żonka jest bardziej spokojna o królewicza.*

*Filip z czułością objął Marcelinę. Klara poczuła się szczęśliwa, patrząc, jak córka rozkwita u boku męża. Marcelina położyła śpiącego syna i zarzuciła ręce na*

*szyję matki.*

*– Kochana, życzę ci wielu, wielu szczęśliwych lat z tatą. Niech to będą same radosne chwile. Bardzo was kochamy. Zaraz Filip przyniesie z samochodu kwiaty i prezent. Prezent jest wspólny. Kupiliśmy go z Zuzią i Gizelą. Chodź, tatko, niech i ciebie uściskam! – powiedziała.*

*Filip złożył życzenia i pognął do samochodu. Za moment kobiety były w kuchni, a mężczyźni zasiedli przed telewizorem, aby obejrzeć zawody formuły pierwszej. Karolek smacznie spał w sypialni dziadków. Marcelina pomogła przygotować wczesną kolację i zanim przyjechała Zuzanna, wszystko było gotowe. Prezent czekał na otwarcie, do przybycia najmłodszej z córek. Podczas kolacji Klara obserwowała bliźniaczki. Pozornie jednakowe, jednak bardzo się od siebie różniły. Dla obcej osoby były prawie jednakowymi, pięknymi, wysokimi kobietami, o gęstych włosach koloru starego złota. Odcień był czymś pośrednim między jej miedzianymi a ciemnoblond u Wojtka. Po niej odziedziczyły ich gęstość. Marcelina po urodzeniu Karola nabrała bardziej okrągłych kształtów. Zuzia miała jeszcze w sylwetce dziewczęcą smukłość i lekkość. Ale nie tylko to różniło córki. Zuzanna w twarzy miała jakąś kocią dzikość, niezależność i spryt. U Marceliny malowała się łagodność, spokój. Identyczne były ich ruchy. U Zuzanny nerwowe, kanciaste, a u Marceliny spokojne, miękkie, łagodne.*

*Zuzia łagodniała jedynie w chwili, gdy brała na ręce Karola. W tych momentach przestawała być nerwowa, a na jej twarzy gościł słodki uśmiech. Jednak przemawiała do chrześniaka szorstko, jakby wbrew sobie.*

*– No, co, znowu piszczysz? – mówiła. – Jesteś jak prawdziwy chłop. Zależy ci tylko na żarciu i spaniu. I jeszcze, żeby przytulić się do cycka. Nie potrafię zrozumieć, co ta matka w tobie widzi. Ja bym takiego rozdarciucha dawno wyrzuciła przez okno!*

*– Zuziu! Daj spokój, nie strasz dziecka, bo będzie się jękało – uspokajała córkę Klara.*

*– Nie przesadzaj, mamo, on wie, że ja tak z miłości! – śmiała się matka chrzestna i przytulała Karola.*

*Marcelina z Filipem patrzyli na Zuzannę z dużym pobłażaniem. Radek nie odzywał się i nie reagował. Klara nie wiedziała, jakie myśli krążą mu po głowie. Stanowili dla niej bardzo dziwną parę, dwojga niezależnych ludzi, żyjących każde swoim życiem. Klara często zastanawiała się, co tak naprawdę ich łączy i dlaczego są razem. Z rozmyślań wyrwał ją Filip, który powiedział:*

*– Wojtku, Klaro! Czas, abyście rozpakowali swój prezent. – Po czym ustawił wielkie pudło na kolanach Klary.*

*Gdy odwiązała kokardę, rozwinęła kolorowy papier i zajrzała w głąb kartonu, ze zdziwieniem ujrzała kolejne pudełko, a później następne... Gdy zaśmiewając się do rozpuku wyciągali po kolei coraz to mniejsze pudełka, doszli do*

podłużnego, zawiniętego w piękny papier, na którym były namalowane wielkie liście kasztana z zielonymi i brązowymi owocami. Karton zawierał metalowy zestaw do czyszczenia kominka i parę folderów reklamujących zakłady zajmujące się ich sprzedażą i instalowaniem. Klara i Wojtek spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się. Dzieci dobrze pamiętały, o czym oboje marzyli. Gizela uważnie ich obserwowała.

– Wiem, że nie dorobiliście się domu, ale może przynajmniej dorobicie się kominka. Postanowiliśmy, że zrobimy wam wspólny prezent. Wybierzcie firmę i model, a my to sfinansujemy. Oczywiście w granicach rozsądnej ceny, bo zbankrutujemy – powiedziała.

– Dziewczyny, czy oszalałyście?! Nie możemy przyjąć tak drogiego prezentu. Z pewnością wybralibyśmy jak najtańszy model, ale to i tak jest astronomiczna kwota. Nie możemy narażać was na bankructwo. – Klara czuła się zaskoczona i przerażona.

– Mamusku! Nie możesz nam odmówić. Długo myślałyśmy, jak prawdziwie uczcić waszą rocznicę. Jesteście cudownymi rodzicami i należy się wam! Prosimy, abyście tego nie odrzucali. Wiem, że w waszym mieszkaniu jest możliwość instalacji kominka, bo już zasięgałam informacji. Powoli, nie spieszy się. Rozglądnijcie się, pomyślcie, wybierzcie – wsparła Gizelę Marcelina.

Rodzice serdecznie przytulili córki do siebie. Podszedł Filip i Radek. Cała siódemka objęła się ramionami, tworząc duże, ściste koło.

Jak dobrze! – pomyślała Klara. – Taka więź rodzinna to chyba najpiękniejszy prezent.

W nocy długo nie mogła zasnąć. Prezent, jaki kupiła Wojtkowi z okazji rocznicy – dużą skórzaną teczkę na dokumenty, uznała za banalny.

Może być tylko dodatkiem do prawdziwego prezentu – pomyślała i nagle wpadła na doskonały, jej zdaniem, pomysł. Uspokojona wizją poniedziałkowych działań, przytuliła się do pleców Wojtka i usnęła. Następnego dnia została zaproszona na wystawny obiad i na długi spacer. Wraz z Wojtkiem szwendali się po ulicach Wrocławia, poszli też do Japońskiego Ogrodu, którego jesienna szata zauroczyła Klarę. Wieczór spędzili w filharmonii. Wracali do domu zadowoleni, trzymając się za ręce.

W poniedziałek dopiero około południa Klara mogła zająć się realizacją swojego pomysłu. W Internecie wyszukała odpowiednie numery i zaczęła wydzwaniać.

Dwa tygodnie później, w sobotni wieczór przygotowała kolację, postawiła dwie świece i otworzyła butelkę wina. Wojtek był u Marceliny. Pilnował Karolka, bo jego rodzice chcieli zrobić szybkie sobotnie zakupy. Miała czas, aby wszystko przygotować. Gdy wrócił, wydawał się zaskoczony.

– A to z jakiej okazji? Czyżbym o czymś zapomniał? – zapytał

zaniepokojony.

– Nie, to mój mały poślizg. Chciałam ci o czymś opowiedzieć. Nie wiem, czy spotka się to z twoją aprobatą. Chciałabym zrobić prezent, a w zasadzie nie jest on w dosłownym sensie prezentem. – Klara zaczęła się jękać.

– No to prezent czy nie prezent? – roześmiał się Wojciech.

– To skomplikowane. Myślę, że może być dla mnie, dla ciebie i dziewcząt prezentem, ale po spełnieniu pewnych warunków. Wpadłam na to pod wpływem podarunku dzieci. Podzwoniłam w różne miejsca i już wiem, na czym stoję – wyjaśniała.

– No to tłumacz szybko, bo bardzo mnie zaintrygowałaś.

– Pomyślałam, że niekoniecznie musimy instalować kominek w mieszkaniu. Od razu pomyślałam o Brzókach. Dowiedziałam się, że Aniela nie miała bliższej rodziny i jest tylko jeden spadkobierca, daleka krewna, która mieszka gdzieś na Mazurach. Teraz załatwia sprawę spadku po Anieli. Zgodziła się porozmawiać na temat sprzedaży „Anielina”. Wprawdzie podała mi za dom i działkę bajorńską kwotę, ale może jakoś dogadalibyśmy się z kobietą. Jednak to dotyczy nie tylko ciebie i mnie. Chciałabym, aby dom należał również do dziewczynek. Mogłyby w „Anielinie” spędzać urlopy.

– Czy aby nie uszczęśliwiamy dzieci na siłę? – Wojtek do wspólnoty podszedł bardzo sceptycznie.

– Może masz rację. Dziewczyny i tak po nas dziedziczą, więc potraktujmy to w ten sposób, że dom kupimy dla siebie. Odremontujemy go, a jest, co robić. Zuzia, Gizela i Marcelina, jak będą chciały, to skorzystają z możliwości spędzania tam wakacji. A po naszej śmierci zrobią z nim, co zechcą. Jest tylko jeden szkopuł. Nie mamy tylu pieniędzy.

– A od czego są kredyty bankowe? – Wojtek zapalił się do pomysłu. – Nie zdołaliśmy zbudować domu, to może chociaż uda się nam wyremontować dom letniskowy.

– Cieszę się, że tobie spodobał się mój pomysł – ucieszyła się Klara. – To mój prawdziwy prezent.

– Myślę, że Brzózki zawsze były dla nas bardzo szczęśliwe, chyba że ty czujesz inaczej. Dla mnie były bardzo wyjątkowym miejscem.

– Dla mnie zawsze będą miejscem, o którym będę myślała z wielką czułością. Ale teraz cieszę się, że jestem z tobą w naszym mieszkaniu.

### **Zapiski, listopad 2010 r.**

Gdy patrzę na Karola, pojawiają się pełne wzruszenia myśli. Dziecko jest częścią Marceliny, ale też częścią mnie i Wojciecha. Odkąd Karolek zaczął patrzeć na świat bardziej rozumnie, widzę, że utworzyła się pomiędzy nami niesamowita

wież. Bardzo kocham wnuka i mam dla niego niesamowite pokłady cierpliwości. Widzę to samo u Wojtka. Całkiem inaczej podchodzi do chłopca niż kiedyś do córek. Chodzi z nim na spacer i jest dla dziecka przewodnikiem życiowym. Uczy go, krok po kroku, świata. Lubię z daleka patrzeć, jak malec obłapia z ufnością duży palec Wojtka, który ten wystawia w jego stronę, i idzie z nim ścieżką przed siebie. Od czasu do czasu wnuk zadziera głowę i o coś pyta, a Wojtek wygięty jak paragraf, z uwagą odpowiada. Mój kochany stawia małe, drobne kroczyki, jak stara kobieta, która boi się, że nie zdąży do toalety. Jest uważny, troskliwy i opiekuńczy. Zawsze troszczy się, czy aby dziecko nadąży za jego wielkimi stopami. Odpowiada na miliony pytań i nigdy nie jest tym zmęczony. Pamięta, co chłopczyk lubi, a czego nie znosi i daje mu wiele przestrzeni. Do niczego nie zmusza. Raczej zachęca. Zadziwia mnie, kiedy to się stało. Kiedy zdążył nauczyć się takiego podejścia do drugiego człowieka.

Myślę, że okres ostatnich lat, kiedy to Karol rósł, rozwijał się i stawał bardzo niezależnym dzieciakiem, ciekawym świata, był dla mojego męża dobrą szkołą miłości. A może jego przemiana zaczęła się już wcześniej? Myślę, że po prostu tak jest, że jesteśmy inni dla dzieci, a całkiem inni dla wnuków. Patrzę na Wojtka i widzę innego mężczyznę.

Wczoraj Marcelina przywiozła na dwie godziny Karola. Miała w urzędzie jakieś sprawy do załatwienia. Miałam urlop i stałam przy sztalugach. Byłam rozczochrana i pobrudzona farbą. Po raz któryś z rzędu próbowałam namalować ogród ze snu. Ale efekt znowu mnie nie zadowolił. Karol stał i patrzył na obraz i na mnie.

– Babciu, dlaczego to drzewo jest takie smutne? – powiedział i zamyślił się.  
– Namaluj też inne drzewa. Jak drzewo będzie miało kolegów, to stanie się bardziej wesołe i kolorowe. Gdzie są kwiatki, ptaszki i motylki?

– Gdzie są kwiatki? – zapytałam i zdumiałam się. Słuchałam wnuka i nagle z pamięci wysunęła się, kadr po kadrze, wizja ogrodu.

– Dziadziu! Babcia Klara pomalowała sobie policzek! Zobacz, jak śmiesznie wygląda – zawołał Karol w stronę kuchni.

– O, rzeczywiście! Musimy babcię umyć – powiedział Wojtek i poszedł w stronę łazienki, skąd po chwili przyniósł gąbkę. Wystawiłam twarz. Zamknęłam oczy. Wojtek starannie zmył farbę. Wytarł moją twarz ręcznikiem, a potem mnie pocałował.

– Zobacz, jaka babcia jest czysta i ładna – powiedział do Karola.

– Moja babcia jest najpiękniejszą babcią na świecie – powiedziało dziecko.

– I ja tak myślę – uśmiechnął się Wojtek i mocno mnie przytulił.

– I mnie, i mnie! Weź mnie na rączki! – Karol wyciągnął obie ręce w górę.

Wojtek nie wypuszczając mnie z ramion, jedną ręką podniósł dziecko, które zarzuciło mu ręce na szyję. Ta chwila była dla mnie wyjątkowa. Jakbym odnalazła

*Klarę i Wojtka sprzed wielu, wielu lat. I poczułam się jak młoda, piękna dziewczyna.*

*Może warto czekać bardzo długo, aby doczekać się na uczucie, o jakim marzyliśmy w młodości? A może nie ma niczego za darmo? Zastanawiam się, jaka byłam jako młoda dziewczyna? Jaka była moja miłość? Czy potrafiłam prawdziwie kochać? Czy byłam egoistką? Może trzeba wiele wycierpieć, wiele przeżyć, wiele nauczyć się o życiu i o drugim człowieku, aby nauczyć się kochać? Widocznie musieliśmy przejść wiele kłopotów, rozwiązać wiele problemów, aby dojść do tego punktu. Nie wiem, co czeka mnie i Wojtka. Myślę, że dobrze, iż nie znam przyszłości. Gdybym wiedziała, co przejdziemy oboje, to nie odważyłabym się budować z Wojtkiem wspólnego życia. W tym momencie życia powiedziałabym, że wtedy przegrałabym wszystko. Jednak, czy tak powiem za pięć, dziesięć lat? Nie wiem. Wiem, że obecnie darowano nam dobre chwile. Oby trwały jak najdłużej. A jeśli ma coś się zmienić, to życzę sobie, aby była to zmiana jedynie na lepsze. I nieważne jest, ile mam teraz lat. Nie kalendarz decyduje o młodości człowieka. Młodość tkwi w środku. W myślach, w odczuciach, w sposobie życia. Warto mieć swoje pasje. Warto mieć marzenia i starać się je realizować. Warto szaleńczo kochać drugiego człowieka, nawet jak ma się sto lat.*

### **Zapiski, grudzień 2010 r.**

*Wiem, że marzenia są po to, aby je realizować. Jednak nie wiem, czy nie porwaliśmy się z motyką na słońce. Rzeczywistość przystopowała mój entuzjazm. Cóż z tego, że w końcu dostaliśmy kredyt i kupiliśmy Anielin?*

*Tacy byliśmy szczęśliwi, gdy już sfinalizowaliśmy transakcję. Prawie fruwałam pod sufitem, machając tytułem prawnym do tego kochanego domu i skrawka ziemi pod nim. Nie przypuszczałam, że to dopiero początek drogi. Gdy zorientowałam się, ile potrzeba pozalać dokumentów, ile pozwoleń, ile to będzie nas kosztowało, to przeraziłam się.*

*Zadziwia mnie postawa Wojtka. On zabrał się do sprawy domu, jakby to było jego życiowe wyzwanie. Wygrzebał ze swoich zasobów wszystko, co ma najlepszego. I zaczął działać. Zabrał się do sprawy bardzo ambicjonalnie. Wygląda to teraz całkiem inaczej niż w 1997 r., gdy remontował nasze mieszkanie. Przyjął to jako swoje życiowe wyzwanie.*

*Nagle widzę w moim mężu mężczyznę, który musi mieć swój dom. Może obok niego w przyszłości posadzi drzewo. Wprawdzie nie splodził syna, ale dwie córki wystarczą za jednego syna, w dodatku Zuzanna ma tyle cech męskich, że i syna nie potrzeba.*

*Ale wracając do tematu, mogę jedynie powiedzieć, że mam w sobie wiele sprzecznych uczuć. Bardzo chciałabym, abyśmy odremontowali Anielin, ale nie*



wiem, czy nie poniesiemy zbyt dużych kosztów, i to nie tylko materialnych. Z pewnością czeka nas wiele stresów.

Już się zresztą zaczęły. Najpierw w bankach potraktowano nas jak zwykłych naciągaczy. Odkładano decyzje przyznania pożyczki w nieskończoność. W końcu zaczęliśmy wątpić, czy cokolwiek wskóramy. W dodatku krewna Anieli nękała nas telefonami i szantażowała, że sprzeda Anielin komuś innemu. Na koniec znacznie podniosła kwotę. Nie potrafię zrozumieć pazerności ludzi i ich niesłowności. Dla mnie umowa ustna jest wiążąca. Gdy raz ustalę coś, to staram się dotrzymać zobowiązania. Pani Gertruda postawiła nas w bardzo niezręcznej sytuacji. Musieliśmy złożyć nowy wniosek kredytowy. Okazało się, że nie możemy dostać takiej kwoty. Załatwiliśmy więc w drugim banku inną, niekorzystnie oprocentowaną, dodatkową pożyczkę. Kwota miesięcznych rat jest dla nas realna, ale na życie pozostaje nam niewielka kwota. Mam tylko nadzieję, że remont Anielina będzie tyle kosztował, że zmieści się w naszym kosztorysie i reszcie pożyczki.

Jeździmy teraz dosyć często do Brzózek. Każdą wolną chwilę wykorzystujemy na dozorowanie prac remontowych.

Wojtek już wykorzystał większość swojego urlopu. Wygląda na to, że niestety świąt nie spędzimy w górach, bo dom stoi rozgrzebany, a robota ślimaczy się. A tak bardzo chciałabym, abyśmy spotkali się wszyscy przy wielkim, wspólnym stole w Anielinie i tam spędzili zimowe święta.

Już widzę nasze bitwy na śniegu, spacer z wnukiem, lepienie bałwana, a może spacer w dwoje w bajkowym krajobrazie.

Ostatnio czytałam Karolowi „Królową Śniegu”, moglibyśmy więc przypomnieć sobie tę bajeczkę w zimowym wystroju gór. Patrzę też na Wojtka i martwię się, czy stresy nie spowodują problemów z nerwami, które i tak ma w nie najlepszym stanie.

Dziwnie reaguje teraz mój mąż na moją bliskość. Czuję, że odchodzi ode mnie w inny świat, bardziej fascynujący, bardziej mu znajomy. Boję się, czy nasze marzenie nie zabierze mi i tak mocno spranego długim używaniem uczucia. Jest mi z tym bardzo ciężko.

Może to śmieszne, że tak uczepiłam się naszej bliskości, jak jakaś nastolatka. Może stateczna babcia nie powinna tyle myśleć o sprawach intymnych, ale dla mnie to jeszcze bardzo ważna część mojego życia. Nie chodzi mi też jedynie o cielesność i bliskość fizyczną, chociaż o nią również. Bardziej chyba o czułość i bliskość psychiczną. Myślę, że trudno jest nam godzić się z przeobrażeniem naszego związku w całkiem inny. Trudno godzić się z różnymi stratami, które przynosi nam życie. Niestety rzeczy, które były kiedyś dla nas ważne, teraz często są już daleko za nami.

Ostatnio rozmawiałam z Wojtkiem na temat naszego związku. Nie było to

łatwe, bo zwykle nie lubi analizować, wywracać naszego życia na drugą stronę, jakby tylko front był ważny. Front, czyli to, co pokazujemy innym, a nie to, co bliżej nas. Widzę, że mój mężczyzna ma kłopoty z zaakceptowaniem zmian. Jakby jego nie dotyczył czas i prezenty, które przynosi. Wojtek myśli, że fizycznie zawsze powinien być tym młodzieniaszkiem, który zaczarował mnie pewnej nocy w czasie grzmotów i błyskawic. Dlatego szaleje na korcie, na sali, namiętnie chodzi na basen. Myślę, że to bardzo dobrze, iż dba o kondycję, ale martwi mnie coś innego. Z dezaprobatą patrzy na swoją zmieniającą się sylwetkę i cierpi. Najgorzej jest z lekami, które powinien już stale brać, a o nich nie pamięta. Gdy zwracam mu uwagę, oburza się i twierdzi, że lekarz mówił, że może je brać, a nie musi. Zresztą często ukrywa przede mną wizyty u lekarza, jakby jego fizyczność była czymś wstydliwym. Jakby bał się, że będzie zbyt niedoskonały. To samo dotyczy naszych rozmów o uczuciach. Wojtek również boi się ich jak ognia. Wstydzi przyznać się do emocji, szczególnie do tych bardzo trudnych dla niego. Nie uznaje wstydu, wzruszenia, lęku, niepewności. W jego katalogu uczuć nie ma pozycji o tych nazwach. Nie radzi sobie też ze złością, która często wypełnia go po brzegi i zaślepia.

No i tak to ze mną jest. Zaczęłam o marzeniach, a skończyłam na kłopotach. Dobrze, że jestem tego świadoma.

### **Pamiętnik Klary, 2011 rok**

Jechali po raz kolejny do Brzózek. Już nawet nie liczyli, który to raz. Tym razem elektryk miał kłopoty z instalacją. Twierdził, że musi w całym budynku wymienić przewody na nowe, bo stara instalacja jest w takim stanie, że grozi spięciem, a nawet pożarem. Zresztą nie tylko elektryk miał kłopoty. Okazało się, że stara studnia nie nadaje się do eksploatacji, a pompa jest zardzewiała i trzeba ją wymienić na nową. Nowa sporo kosztuje. Studnię trzeba wyczyścić i pogłębić. Kupowali więc kable, gniazdka i inne drobiazgi, które wskazał elektryk. Kupili pompę, ale mieli kłopot ze znalezieniem właściwego wykonawcy instalacji wodnej. Odremontowali część podłóg i wtedy okazało się, że fragmenty budynku są spróchniałe i częściowo zjedzone przez korniki. Musieli zakupić deski, belki.

Fachowcy zmieniali się jak w kalejdoskopie. A stan budynku był taki jak wcześniej. Klara nie dostrzegała postępów. Pieniądze topniały w zastraszającym tempie. Zaczęła martwić się, co to będzie dalej. Zastanawiała się, co powinni teraz zrobić. Jednym z wyjść była sprzedaż Anielina. Tak jej podpowiedziała przyjaciółka, której zwierzyła się z kłopotów i poprosiła o pożyczkę. Jednak nawet takiej ewentualności nie chciała brać pod uwagę. Czuli się, jakby jej ktoś zaproponował sprzedaż długo oczekiwanego własnego dziecka. Nawet chciała podziękować Teresce za pożyczkę.

– Nie gniewaj się, kochana – powiedziała Teresa. – Ja tak profilaktycznie,

*na przyszłość, i nie dlatego, że jestem niechętna, aby wspomóc ciebie i Wojtka. Teraz mam pieniądze, bo sprzedałam mieszkanie po dziadku. Na razie są mi niepotrzebne, bo Grzesiek jeszcze studiuje i mieszka ze mną. Gdy będę potrzebowała, to się upomnę. A wtedy z pewnością już sobie jakoś poradzicie. Myślę, że to będzie dopiero za parę lat. Mówię o sprzedaży, bo jednak taki stary budynek, to studnia bez dna. Możecie w niego tylko inwestować, ale jak to twoje marzenie, to je sobie spełniaj. Wiesz, że dla mnie jest ważne, abyś była szczęśliwa.*

*– Wiem, że to nie jest takie proste, i boję się, co będzie dalej, ale jest to dla mnie bardzo ważne. Widzę też, jak ważne jest to dla Wojtka. Nie chciałabym, aby jego zapał poszedł na marne. Niech coś ma ze swojego życia. Widocznie musi po sobie pozostawić coś trwałego, co jego przeżyje. Niech to będzie jak pomnik. Chcę, aby Anielin odzyskał nowe życie. Niech przyniesie nam szczęście, a także niech będzie dobrym, szczęśliwym miejscem dla moich dzieci i wnuków. Nie udało się nam zbudować rodzinnego domu, o którym marzył Wojtek. Niech Anielin będzie jego namiastką. Może tam będziemy spotykać się całą rodziną z okazji świąt, imienin i różnych rocznic – rozmarzyła się Klara.*

*– Dobrze jest mieć takie swoje miejsce – zamyśliła się Tereska. – Ale ja nie chciałabym mieć takiego strupa, który wymaga ciągłego dopływu gotówki. To jakbyś miała skarbonkę bez dna – dodała.*

*– Teresko, masz u mnie zawsze swój pokój. Niech no tylko skończymy remont, możesz przyjeżdżać, kiedy tylko będziesz chciała – uśmiechnęła się Klara.*

*– Trzymam ciebie za słowo. Najpierw wyremontujcie dom, a później zostaw mi troszkę miejsca, gdzie mogłabym się wyciągnąć. Nawet sobie kupię jakąś leżankę. Nie musi być dla mnie cały pokój, a tylko kawałek miejsca w jego kącie. Ja tylko potrzebuję kawałek barłogu i lampkę do oświetlenia książki, abym na nim mogła czytać. A jak będzie balkon, to też chętnie na nim będę rezydowała, bo lubię ładne widoki – dodała przyjaciółka ze śmiechem.*

*– No, widzisz, zaczęłaś od sprzedaży, a teraz już okupujesz nieistniejący balkon, ale z ciebie przewrotny człowiek. Sama nie wiesz, co mówisz – przekomarzała się Klara.*

*– Powiedz lepiej, jak daleko jesteście z pracami remontowymi. Czy daleko do końca? – zapytała przyjaciółka.*

*– Szczerze powiem ci, że nie wiem. Gdy byliśmy ostatnio, to fachowcy wymieniali jakieś belki i mieli kłaść podłogi. Okazało się, że dobrze byłoby wymienić część stopni na schodach i odremontować balustradę. Nie wiem, co z oknami. Są takie nieszczelne, ale nie wiemy, czy damy radę je wymienić. No i z ogrzewaniem nie wiemy co zrobić. Jak chcemy do niego przyjeżdżać przez cały rok, to musimy chyba i o tym pomyśleć.*

*– Może w tym roku zaprosisz mnie na święta? Fajnie byłoby spędzić je w górach.*

– Jak tylko do tej pory damy radę, to już czuj się zaproszona – powiedziała Klara i z całych sił uścisnęła Tereskę.

### **Zapiski**

*Nie przypuszczałam, że jednak może nasze marzenie się spełnić. Nie wiem, czy nie zapłacimy za nie zbyt dużej ceny. Uziemiliśmy się finansowo na wiele lat. Gdy uświadamiam sobie, jakie mamy zobowiązanie, to aż mi skóra cierpnie. Nie wiem, jak sobie poradzimy, gdy już nie będziemy pracować. Czy damy radę spłacać raty? Nie chciałabym, aby nasz kaprys obciążył kiedyś dziewczynki. Przecież nie muszą płacić za nasze marzenia. To nieważne, że będą mogły spędzać tu wakacje. Faktycznie to my zrobiliśmy sobie prezent. A może kiedyś tu zamieszkamy na stałe? Zastanawiam się, czy będę potrafiła mieszkać tak daleko od innych ludzi? Czy dobrze będę czuła się na takim odludziu? Co innego krótkie pobyty, wakacje, a co innego stały pobyt. Wiem, że z pewnością ani ja, ani Wojtek nie nudzilibyśmy się. Mam swoje książki, mogę malować obrazy. Z pewnością będę nadal prowadziła dom, ale co z ludźmi, którymi byłam otoczona całe życie? Będą tak daleko ode mnie. Dzieci też dużo rzadziej będą wpadać. Czy będziemy potrafili tutaj żyć tylko we dwoje? Czy nam to wystarczy, aby żyć szczęśliwie? Nie wyobrażam sobie, abyśmy przyjeżdżali do Anielina, będąc osobami w podeszłym wieku, no bo kto nas tu będzie przywoził? A co z naszym zdrowiem? Czy życie pozwoli nam na mieszkanie w takim oddaleniu od lekarza, apteki?*

*Na razie jest nam tutaj bardzo dobrze. Spełniliśmy swoje wielkie życiowe marzenia. Czy Anielin zbliży nas do siebie? Czy też oddali?*

*Pytania te świadczą o tym, że mimo wieku nadal naprawdę nie wiem, czego chcę. Gdy już spełniam swoje kolejne marzenia, okazuje się, że mam wiele wątpliwości.*

*Więc jaka naprawdę jesteś, Klaro? Czego chcesz od życia? Czy aby z twoim uczuciem do Wojtka nie jest tak samo jak z innymi marzeniami? Może dobrze, że całe życie jesteś niepewna swojego męża. Gdyby było inaczej, może zwątpiłabyś w swoje uczucia? Może przestałabyś kochać Wojtka? A czy to nie śmieszne, że babcia Karola zadaje sobie takie pytania? A może wiek nie ma z tym nic wspólnego? Może po prostu takie jest życie? Największą przyjemność daje dążenie do celu, pokonywanie przeszkód, zdobywanie przyczółków. I może sam cel nie jest tak ważny, jak dążenie do niego?*

### **Pamiętnik Klary, bez daty**

*Minęła kolejna zima i nastala wiosna. W Anielinie remont nadal trwał. Tymczasem słońeczko zaczęło świecić coraz mocniej, a świat zazielenił się.*

Znużona czekaniem Klara przestała już wierzyć, że remont Anielina może kiedyś się skończyć. Nie miała jednak wyjścia i cierpliwie musiała czekać, co będzie dalej. Pewnego dnia Wojtek powiedział:

– Jak możesz wziąć na jutro urlop, to zapraszam cię do Brzózek.

– Jak tak, to muszę zaraz zadzwonić do kadr – odpowiedziała Klara.

– Tylko weź co najmniej trzy dni urlopu, bo mamy sporo pracy.

– A gdzie będziemy nocować? – zapytała.

– No, jak to gdzie, przecież mamy swój dom! – z dumą odpowiedział Wojtek.

Klara popatrzyła na niego spod rzęs. Mąż miał tajemniczą minę. Delikatny uśmiech błakał mu się po twarzy.

Następnego dnia skoro świt pojechali w stronę Brzózek. Wstawało leniwe, wiosenne słońce. Na dworze było chłodno, ale pola ścieliły szmaragdowe dywany i drzewa pokryły się delikatną mgiełką zieleni. Gdzieniedzie po rowach kwitły kaczeńce i pierwiosnki.

Gdy minęli tablicę z napisem Brzózki, poczuła drżenie serca. Nagle znowu była małą dziewczynką, z utęsknieniem czekającą na prezent. Tak właśnie się czuła. Nie mogła doczekać się widoku domu. Już dawno nie odwiedzała remontowanego miejsca. Nie wiedziała, co zastanie.

Gdy minęli ostatni zakręt, ich oczom ukazał się piękny, drewniany, piętrowy pensjonat. W czasie remontu usunięto z niego olejną farbę, deski zapuszczono zieloną bejcą, która mocniej zarysowała naturalne słoje drewna. Pensjonat jaśniał drewnem pociągniętym tylko matowym, przezroczystym lakierem. Ażurowe ozdoby pomalowane były ciemniejszą bejcą. Klara stanęła zachwycona, oglądając stare, pięknie odnowione ażurowe wykończenia okiennic. Do domu biegła kamienna ścieżka, ułożona na świeżo wyrosłej murawie. Przed domem, na środku trawnika, pysznił się okazały gazon, ze starą jabłonką, otoczoną różnokolorową roślinnością. Pod nią kwitły kolorowe wiosenne kwiaty. Ten słodki widoczek do łez wzruszył Klarę.

– Czyj to pomysł, z tym połączeniem? – zapytała Wojtka.

– Jak to czyj? A kto to wszystko prowadził? – zdumiał się. – Nie chciałem ci tylko psuć niespodzianki. Gdybym wypaplał, co zamierzam zrobić, to nie miałbym radochy z oglądaniem twojej zdziwionej miny – roześmiał się. – A teraz chodź i zobacz, jak jest w środku. Torby później wniesiemy do domu. – Poprowadził Klarę po kamiennych schodach do wnętrza.

Już od sieni poczuła się zaskoczona. Dom w żaden sposób nie przypominał Anielina, ale mimo tego rozpoznawała wiele elementów ze starego domu. Wszystkie stare przedmioty zostały odnowione, odczyszczane. Szczególnie urzekły ją schody prowadzące na piętro. Tak jak i na zewnątrz, usunięto z nich starą farbę. Zamiast zniszczonych szczebli wytoczono nowe elementy. Całość przedstawiała się lekko i pięknie. W dawnej kuchni Wojtek pozostawił stary kaflowy piec, który został

odnowiony i wyczyszczony. Butelkowa zieleń pięknie kontrastowała z bielą ścian. Obok pieca, na starym wieszaku wisiała haftowana ręcznie makatka z napisem: „dobra żona to męża ozdoba”. Po bokach wyhaftowane były niebieskie gołąbki, trzymające dwie obrączki. Na przeciwległej ścianie, z kuchenną tapetą współgrała ażurowa szafka, a na niej stała okazała, biała porcelanowa misa i taki sam biały dzbanek. W odnowionym kredensie, stole i krzesłach rozpoznała Klara meble Anieli. Ucieszyła się, że coś ze starej kuchni z Anielina będzie jej przypominało zmarłą przyjaciółkę.

W saloniku wisiały jedynie obrazy. Na ścianach położono tapety z delikatnym wzorkiem, na którym gdzieniegdzie złociły się malutkie, wypukłe bukieciki.

– Musimy tu kupić jakieś meble. Stare nadawały się tylko do wyrzucenia – poinformował Wojtek. – Chodź na górę. Chcę ci pokazać pracownię.

Klara z niecierpliwością wbiegła na piętro.

– To tutaj. Pomyślałem, że od południa będzie najlepsze światło – zaskoczył ją, wskazując drzwi dawnego pokoju Anieli. Kobieta weszła do środka i stanęła w progu. Po przyjaciółce pozostało tu wiele drobiazgów. Parę jej ulubionych książek stało na małej etażerce. Parę obrazów wisiało na ścianie, a na kredensie leżał jakiś kolorowy kapelusz i okulary. Klarę najbardziej ucieszyła piękna, witrażowa lampa. Stała obok masywnego, karminowego fotela. Zawsze się Klarze podobała. W rogu pokoju umieszczono stare sztalugi z podobrazim, przygotowanym do malowania.

– Widzisz, będziesz się tu czuć, jakby obok ciebie była Aniela. Specjalnie zostawiłem tyle pamiątek po niej. I to koniec moich niespodzianek. Jeszcze mamy dużo pracy. Musimy dokupić wiele przedmiotów. Resztę domu urządzisz sama. Nie chciałbym psuć ci przyjemności. Niestety spać będziemy na dole, na starej wersalce. Jest chyba jeszcze w miarę dobrym stanie.

Gdy zapadł zmrok, rozpalili ogień w kuchennym piecu i zaparzyli herbatę. Klara przygotowała kanapki. Długo siedzieli, wpatrując się w ogień i rozmawiając o wielu sprawach. Już dawno tak szczerze nie rozmawiali. W korytarzu tykał stary zegar z kukułką.

## Rozdział V

### Niepewność

W końcu Sergiej doczekał się wycieczki. Podjechał pod dom Niny z fasonem i rykiem całego stada koni mechanicznych, ukrytych w silniku motocykla.

Rankiem dziewczyna świeżo umyła swoje gęste włosy, zrobiła delikatny makijaż i wskoczyła w leginsy oraz kolorową tunikę. Gdy przeglądała się w podłużnym lustrze łazienki, zadowolona była z wyglądu. Mimowolnie zależało jej, aby zrobić na Sergieju wrażenie, pomimo iż wmawiała sobie, że nie zależy jej na tym, jak ją ocenia. Gdy zeszła do ogrodu, mężczyzna siedział w wiklinowym fotelu zamyślony, skupiony. Jednak widok młodej kobiety wyraźnie go ożywił. Uśmiechnął się szeroko.

– Weź na głowę jakąś chustkę, bo twoje piękne loki zamienią się pod kaskiem w dredy. I przebierz się w spodnie, bo na motorze zmarzniesz. Parę kilometrów mamy do pokonania. Jest ciepło, ale na motorze jest inaczej. Zawsze wieje. Twój strój jest piękny i okay na spacer, a nie na przejażdżkę – powiedział na wstępie.

– Co ty powiesz, strój ci się nie podoba?! – Gizela oburzyła się, bo tak się starała, aby olśnić Sergieja, a tu została potraktowana bardzo obcesowo i nie podobało jej się to. – Może nie masz ochoty ze mną jechać, to od razu powiedz, a nie kręć ze strojem. – W tym momencie gotowa była obrazić się i pozostać w domu.

– Ja tylko mówię, że możesz zmarznąć, ale jesteś dorosłą kobietą i możesz robić, co zechcesz – skapitulował.

Do ogrodu zeszła Nina. Miała smutne spojrzenie i podkrążone oczy.

– Co się stało? – zagadnęła babcię Gizela.

– Wczoraj wieczór ja otrzymała przez telefon informacją, że twój wujek Grégoire malade. Ma cancer. Oni zrobili mu w klinika badania i wyszło, że ma na płucach duży guz. Teraz ma iść do klinika w Bruxelles i profesor ma mu zrobić operacją. Cała nuit ja myślała. Nie mogła przestać, choć mówiła do siebie, że będzie dobrze. Ja modliła się i modliła, a sen nie chciał przyjść. Gdy już ptaki dużo śpiewały i był biały jour, to ja dopiero zamknęła oczy. Czy ty już jadła swoje śniadanie? Bez le manger ty nie możesz nigdzie iść. – Mimo zmartwienia Nina zadbała o wnuczkę.

– Kochana babciu, nie martw się, ja już jadłam chleb z serem i piłam kawę. Nie martw się też o Grégoire. Będzie dobrze. – Chciała pocieszyć Ninę, więc przytuliła ją serdecznie.

– Ja wiem, że ty jesteś dobre dziecko. Ale będzie, jak jest mu pisane. I tego najbardziej się boję, czy tam w niebie ma długą świeczkę, czy dopalający się już ogarek – odpowiedziała babka, oddając wnuczce serdeczny uścisk.

Przyjechali do dziwnego parku. Słońce grzało, świerszcze koncertowały, pszczoły latały tam i z powrotem, pracowicie zbierając nektar z kwitnącej białej koniczyny, fioletowych i białych ostów i innych polnych kwiatów.

– Zobacz, jak tu pięknie. Tu na wielkiej łące urządzono olbrzymią wystawę rzeźb plenerowych, jeśli można je nazwać rzeźbami. Bardziej są to instalacje. Jedna z tych instalacji jest nawet dziełem jakiejś Polki. Została nagrodzona. Teraz jest modna taka sztuka plenerowa. Zobacz, ta utopiona w jeziorze wielka misa z niebieskim szlaczkiem zdobyła nawet jakąś nagrodę – powiedział Sergiej.

Gizela spojrzała w kierunku jeziora i rzeczywiście dostrzegła wystającą z szuwarów i mętnych wód jeziora połowę ogromnej misy. Roześmiała się. Sergiej zaparkował motor na parkingu u podnóża góry i z kaskami w rękach poszli szeroką groblą w kierunku białego domku, który wydawał się być zbudowany na rzeczce płynącej kamiennym korytem prosto pod niego. Gdy doszli do domku, Gizela ze zdumieniem dostrzegła, że nie myliła się. Rzeczka wpływała pod dom mający fundamenty oparte na sklepieniu kanału, w który wpływała rzeka. W kamiennym domu urządzona była wystawa grafiki. Z zainteresowaniem oglądali wielkie graficzne prace, na których widniał zamek, klasztor Saint Michel, umieszczony w najbardziej niesamowitych miejscach świata.

– Zobacz, jaką autor ma obsesję na tle tego pèlerinage – zafascynowany Sergiej zwrócił się do Klary. – Mnie zdecydowanie podoba się najbardziej ten osadzony w Nowym Jorku – zaśmiał się.

– A ja wolę ten w Paryżu, obok wieży Eiffla – stwierdziła Gizela.

Po przejrzaniu wystawy, wpisaniu swoich wrażeń w pamiętkową księgę wyszli z domku i oglądali kolejne instalacje plenerowe. Ciekawe było metalowe wiadro umieszczone na dziesięciometrowej drabinie, do którego z węża lała się woda. W pewnym momencie napełnione wiadro przechylało się i woda z wiadra wylewała się do stawu.

Sergiej długo oglądał wylewającą się wodę i stwierdził:

– Jakie to obrazowe. Któraś kropla w końcu musi przepelnić wiadro i wtedy wszystko się wylewa. Często i ja tak mam. Jestem sangwinikiem i mam w sobie wiele cierpliwości, ale gdy ktoś mi dobrze zajdzie za skórę, nie wytrzymuję i robię mu karczemną awanturę, a czasem nawet zrywam wszelki kontakt. Tego doświadczyła kiedyś Olga. Była mi bardzo bliska, a teraz trudno nam czasem ze sobą wytrzymać – powiedział, patrząc spod rzęs na Gizelę. Ona jednak nie przyznała się do tego, że temat Olgi wywołał w jej sercu lekki niepokój. Za to ujęła Sergieja za brzeg kurtki.

– Zobacz, jaki dziwny kontener stoi pod lasem, chodźmy do niego! –



powiedziała.

Wolnym krokiem przeszli łąkę. Kontener miał jedną otwartą ścianę. Na jego końcu namalowany był kawałek lasu. Ciemne drzewa były tajemnicze, groźne.

– Jakie to dziwne. Pierwszy raz widzę drzwi do lasu, bo tylko z tym mi się one kojarzą – zauważyła zdziwiona Gizela.

– No to spójrz tam, pod ruiny starego domu. Tam stoi kontener z namalowanymi na nim granatowymi drzewami. Chodź, zobaczymy, co w nim jest.

Podeszli pod błękitną ścianę. Jedna strona drzwi była otwarta. Do środka można było wejść przez czarną, grubą kotarę.

Wnętrze było ciemne i duszne. Gizela poczuła niepokój i wystraszona złapała Sergieja za rękę. Ujął jej dłoń i lekko uściśnął.

– Spokojnie, nie bój się. Jestem z tobą – powiedział cicho.

Podeszli do grubej szyby. Oddzielała przestrzeń zwiedzających od sztucznego lasu. Gumowe drzewa wyrastały z pofałdowanej ściółki, która poruszała się i oddychała. Czasem słychać było westchnienie, jakby las cierpiał. W pewnej chwili drzewo poruszyło się i przechyliło w stronę szyby. Gizela krzyknęła. Skoczyła do tyłu i utknęła w ramionach Sergieja.

Objął ją mocno i trzymał przy sobie tak blisko, że poczuła przyspieszone bicie jego serca. Momentalnie poczuła się bezpiecznie. Zamknęła oczy i pozwoliła, aby chwila bliskości trwała i trwała.

Spłoszyli ich wchodzący do kontenera ludzie. Wyszli na łąkę zawstydzeni, jednak nadal dłonie ich były splecione. Ramię w ramię ruszyli w stronę ruin starej romańskiej osady, mieszczącej się na szczycie pobliskiej góry.

– Wiesz, babciu – opowiadała wieczorem Ninie – tam na wysokiej górze odkryto ruiny fortyfikacji romańskiej Montauban. Weszliśmy z Sergiejem na górę i oglądaliśmy resztki starych murów. Już ich niewiele zostało, ale miejscami widać piękne płaskorzeźby. Widać też, w jaki sposób zbudowano fortyfikację. Jest tam replika starej maszyny rolniczej do ścinania zboża. Cała zrobiona jest z drewna. W podziemiach umieszczono muzeum, ale było zamknięte, gdy dotarliśmy na szczyt góry. A szkoda.

– Ekspursją podobała się? – zapytała Nina, uważnie patrząc na wnuczkę.

– Było ekstra! – wykrzyknęła jak małe, podekscytowane dziecko. Wróciła do domu zadowolona, szczęśliwa. Czowała, że coś w jej sercu poruszyło się, ale nie chciała się teraz nad tym zastanawiać. Postanowiła dać sobie trochę czasu, zanim zacznie analizować swoje uczucia. Nie była jeszcze na to gotowa. Jednak wspomnienie prądu przechodzącego z dłoni Sergieja w jej drobne palce, jego

zapach, bezpieczeństwo, które czuła przebywając blisko, dawały jej wiele radości.

Po kolacji i długim prysznicu weszła do łóżka z pamiętnikiem Klary. Poczowała wielką tęsknotę. W tym momencie bardzo brakowało jej matki. Tak bardzo chciałaby właśnie dziś z nią porozmawiać, opowiedzieć jej o wycieczce. Pewnie matka zrozumiałaby bez zbędnych wyjaśnień, co czuła.

Trzymając w dłoni kolorowy zeszyt, Gizela czuła gładkość okładki i pomyślała sobie, że tak gładkie były dłonie Klary, gdy przesuwała nimi po policzku czy ramionach córki. Na ułamek minuty poczuła się blisko z matką. W tym momencie przestała mieć do Klary żal, że swoimi pamiętnikami zburzyła jej spokój. Poczowała się z nią bardzo blisko, jakby matka była tuż obok. Zrozumiała, że Klara zostawiła jej część siebie, która ma chronić, prowadzić, przestrzegać. Mimo zmęczenia otworzyła zeszyt i zaczęła czytać.

### **Zapiski**

*Znalazłam się w takim momencie życia, kiedy przestałam walczyć ze sobą. Popatrzyłam w lustro i mimo tego, że nie odnalazłam twarzy pięknej, młodej dziewczyny, przestałam się buntować. Powiedziałam sobie:*

*– Tak to ja! Ta kobieta, która spogląda na mnie z drugiej strony, jest mi bliska, pomimo iż ma pomarszczoną twarz.*

*Poczucie piękna jest rzeczą osobistą, indywidualną. Można pokochać drobnutką sieć zmarszczek, gdy zaakceptują ją bliscy. Jak jestem otoczona ludźmi życzliwymi, dla których wiele znaczę, jestem szczęśliwa i piękna. Każdy w życiu przechodzi okres, gdy oczy błyszczą, skóra jest miękka i aksamitna. To jednak szybko mija. Ja też miałam taki czas. Teraz jestem w innej fazie. Patrę na twarz Wojciecha, tak różną od tej, którą miał trzydzieści lat temu, ale nadal jest mi bliska. Gdyby wyglądał jak młodzieniaszek, czułabym się przy jego boku bardzo głupio.*

*Zastanawiam się tylko, kiedy i dlaczego tak zmieniłam spojrzenie na siebie samą.*

*Zawsze nieobojętne było mi, jak wyglądam. Już jako mała dziewczynka chciałam być najładniejsza, jak najlepiej ubrana. Gdy chodziłam do szkoły podstawowej, wymuszałam na mamie, aby fartuszki szkolne miały ładny krój, piękny, koronkowy, biały kołnierzyk. Zależało mi na tym, aby moje włosy nie były obcięte „od garnka”, co często fundowała mi mama. Widocznie uważała, że mała dziewczynka nie musi ładnie wyglądać.*

*Miałam zbyt rzadkie włosy, aby iść z nimi do fryzjera. To mama brała do ręki nożyczki i nie patrząc na moje protesty, podcinała mi grzywkę prawie u nasady czoła, rzadziej w jego połowie. Każde strzyżenie kończyło się moim szlochem, bo nagle wylaniała się moja bardzo pyzata buzia, z archipelagiem piegów na nosie.*

*Po prostu miałam wyjątkowo nietwarzową fryzurę. I cierpiałam. Bałam się odrzucenia przez koleżanki, wyśmiania przez rówieśników.*

*Potem jako nastolatka bardzo dbałam o figurę. Zależało mi, aby się podobać.*

*Ciągle inni stanowili o tym, jak powinnam wyglądać, jak się zachowywać.*

*Wiele głupot zrobiłam, aby nie być wyrzucona poza nawias koleżeństwa. Nawet paliłam papierosy, dlatego, że taka była moda. Papieros integrował, wyróżniał. W ten sposób jako nastolatka byłam „równiejsza”. Palenie nie przyszło mi łatwo. Pamiętam, jak wielokrotnie po wypaleniu papierosów walczyłam z torsjami, jak bardzo nie smakowało mi zaciąganie się dymem, ale chciałam się przypodobać. A gdy się zakochałam, stanęłam na uszach, aby być najładniejszą, aby się podobać. A potem starałam się walczyć ze swoim charakterem, aby spełnić oczekiwania Wojtka. On jakoś nie miał problemów ze zmianą swojej natury, bo nie uznał za konieczne dopasowania się do moich oczekiwań. Myślę, że był mnie zbyt pewien. Zrobiłam błąd w sztuce. Mężczyźni lubią zdobywać, walczyć. Lubią, jak kobieta jest wielką niewiadomą. Lubią mrok i tajemnicę, a ja byłam zbyt prostolinijna, zbyt czytelna. Uważałam, że miłość, wierność i otwartość jest najważniejsza. Wojtek zawsze był pewny mojego uczucia. Wiedział, że jestem tzw. pewniakiem, osobą bardzo stałą. Nie musiał wysilać się, abym go kochała. W związku z tym wiedział też, jak łatwo mnie ukarać. Starczy tylko pokazać swoje niezadowolenie, skrytykować. W ten sposób wpadłam w kanał. Wiele lat zmieniałam się, buntowałam i znowu zmieniałam. Ciągle byłam z siebie niezadowolona. Ciągle coś Wojtkowi udowadniałam. A później musiałam nauczyć się, że słabi przegrywają. Tylko twardo stojący na własnych nogach mogą uratować swoją godność. I znowu uczyłam się życia. Tak jest do tej pory...*

*O! Właśnie moje lustrzane odbicie uśmiechnęło się do mnie. Jaki miły jest ten uśmiech! Rozjaśnia i odmładza twarz. Gdy jej się przyglądam dokładnie, nagle widzę, że nie jest wcale brzydka, tylko dużo dojrzalsza niż kiedyś. Widzę na niej sieć drobniutkich zmarszczek. Są też zmarszczki śmiechu. Te są bardzo sympatyczne i dają świadectwo, że lubię się uśmiechać. Nie zamierzam poddawać się żadnym specjalnym zabiegom kosmetycznym. Myślę, że gdybym przeszła operację kosmetyczną i nagle odmłodziła o dwadzieścia lat, bardzo źle czułabym się w swojej skórze. Nijak nie przystawałaby do przeobrażonego wnętrza. Przecież jestem zupełnie inną kobietą niż kiedyś. Już nie jest dla mnie najważniejsza modna kiecka czy piękna biżuteria. Teraz ważniejsze dla mnie jest to, co w moim wnętrzu.*

*Myślę też o wszystkich swoich błędach. Wiem, że nie potrafiłam być bardzo mądrą żoną i matką. Jednak bardzo się o to starałam. I chyba to jest najważniejsze. Żyłam najlepiej, jak potrafiłam, i robię to do tej pory. Przypuszczam, że jednak przybyło mi z czasem rozumu, a z całą pewnością uczę się na swoich i cudzych błędach. Wyciągam wnioski i staram się nie popełniać tego samego błędu po raz*

*drugi. Nie jestem już zagubiona! Wydaje mi się, że już wiem, kim jestem. Znam też swoją wartość i zrozumiałam, że mimo wszystko dokonywałam dobrych życiowych wyborów. Teraz chcę zrobić coś dla siebie. Chcę odgrzebać spod grubej warstwy lat swój rdzeń. Chcę przestać grać różne role i zacząć być sobą. Pragnę przypomnieć sobie, co mnie zawsze fascynowało, co dawało zadowolenie, co wyciszało. Chciałabym wrócić do świata barw. Postanowiłam, że pójdę tylko swoją ścieżką. Już nie muszę oglądać się na córki. Są dorosłe. Dałam im tyle, ile mogłam, aby radziły sobie w życiu. Nie jestem w stanie za nie żyć. Chcę wreszcie żyć za siebie. Mam tylko nadzieję, że moja ścieżka jest również ścieżką Wojtka. Bardzo tego pragnę, chociaż nie jestem pewna, czy tak będzie w przyszłości. Wojciech niełatwo godzi się na moją niezależność. Czasem zachowuje się tak, jakbym mu coś zabierała, jakbym ograbiła go z bardzo cennej rzeczy. A przecież drugiego człowieka nie można posiadać na własność. Trzeba mu dać trochę życiowej przestrzeni, aby mógł spokojnie oddychać. Nikt w więzieniu, nawet luksusowym, nie może być szczęśliwy.*

Oczy Gizeli zamknęły się. Usnęła z policzkiem wtulonym w stary zeszyt. Światło nocnej lampki rozpraszało mrok pokoju. Kładło na ścianach i podłodze smukłe cienie, rozmywało kształty mebli stojących w kącie. Dawało poczucie bezpieczeństwa.

Nina tej nocy znowu nie mogła spać. Bardzo martwiła się chorobą syna. Grégoire nie dbał o siebie. Zawsze żył bardzo szybko. Był głodny życia i świata. Był już na wielu kontynentach, bo musiał sprawdzić, jak tam jest. Imał się wielu prac. Ożenił się późno, ale małżeństwo jego nie trwało długo.

Piękna Luiza po rozwodzie zabrała dzieci do Brukseli. Widywał je jedynie na wakacjach. Jednak i wtedy nie miał na nie czasu, bo w tym okresie przeważnie organizowano najlepsze wyjazdy. Podrzucał dzieci matce, Marlen, albo komuś innemu z bliskiej i dalszej rodziny. Ninie bardzo żał było wnuków.

Tak, Grégoire jest bardzo nieodpowiedzialnym człowiekiem. A tak bardzo starali się z mężem dobrze wychować dzieci. Uczyli ich szacunku dla innych, uczciwości, odpowiedzialności za czyny. Jakoś im to wychowanie synów słabo wyszło – podsumowała swoje wysiłki wychowawcze.

No, bo i ojciec Gizeli ulokował uczucia w kobiecie zamężnej i o mało nie rozbił jej związku. Potem już nie potrafił z nikim związać się na stałe, choć usilnie szukał. Żadna z kobiet nie była Klarą. A przecież był tak uczciwym, spokojnym, dobrze wychowanym i wykształconym człowiekiem. A teraz Grégoire. Ten pędziwiatr. Zawsze mówi mi, że trzeba żyć szybko i mocno, bo tylko w ten sposób czuje się życie. Żyje tak szybko, że każdy obok niego nie ma możliwości

dotrzymać mu kroku. Ani kobieta, ani dzieci, ani rodzina. I dopadł go ten, co chodzi dwa kroki do przodu i trzy do tyłu! – westchnęła do swoich myśli.

– Panie Boże, wybacz mi moje błędy. Chciałam dobrze! Ratuń Grégoire i daj mu jeszcze jedną szansę! — zaczęła swoją modlitwę, która trwała aż do świtu.

Gizela spała twardo, mimo światła lampki nocnej.

## Ogród

Już dawno minął czas wesolej muzyki drzewa. Nastaly dnie trzasków, poskręcanych liści. Alma i Gabriel mieli pełne ręce roboty, i to zarówno w ogrodzie, jak i na polu asekuracji codziennej. Alma cały czas trwała w stanie najwyższej uwagi i gotowości pomocowej. Gabriel także nie próżnował. Gdy podopieczni, po nerwowych dniach i samotnych wieczorach, zasypiali niespokojnym snem, czym prędzej gnał do ogrodu, aby popracować nad drzewem i skonsultować z Alną dalszy plan działania.

– Wiesz, myślę, że nadszedł czas, aby zastanowić się nad zmianą taktyki. Może zbyt ich nianczymy, za bardzo usuwamy kamienie spod nóg? Warto byłoby poprosić o radę Ariela i Kirę, a może Noel i Noemi też coś poradziliby. Mają na świeżo teorię z taktyki. O, właśnie Ariel z Kirą lecą w naszą stronę – poinformowała Alma i z uśmiechem podleciała w stronę przyjaciół. Na ich twarzach gościł smutek.

– Co się stało? – zapytała z niepokojem w głosie.

– Niestety jest bardzo źle. Niedługo zakończy się ziemska wędrówka. Cierpi. Zapadła w jakiś wewnętrzny letarg. Nie wiadomo, jak cała sprawa się zakończy. Może nasze drzewo umrze? Z całą pewnością nie jest to dla nas pomyślna informacja. Zwątpiliśmy w możliwość zaszczytnego awansowania do Absolutu. Jednak chcemy wytrwać do końca i pomóc, na ile nam pozwolą. Ale widzimy, że i u was nie jest lepiej. Drzewo marnieje i wymaga wzmożonej pracy. Może coś poradzimy – zaoferował swą pomoc Ariel.

– Masz rację, Arielu. U nas już niewiele da się zrobić. Jeśli dobrze dotychczas pracowaliśmy, to drzewo przetrwa. Czy dostąpi zaszczytu? To już inna sprawa. Zależy, w jakim będzie stanie i co dalej. Odpowiedź zna jedynie Mistrz.

– Mamy wiele dobrej energii i podzielimy się nią z waszym drzewem. Miejcie choć wy trochę więcej szansy – stwierdziła Kira i podfrunęła do korony drzewa. Z uwagą przyglądała się liściom, sprawdzała czystość barwy kwiatów. Następnie usiadła w cieniu drzewa i zamyśliła się.

– Tak, sprawa nie jest łatwa i myślę, że nie od razu znajdziemy rozwiązanie. Bez dokładnego poznania faktów i analizy szczegółowej oraz nowoczesnej strategii nic nie poradzimy. Trzeba poprosić też Noëla i Noëmi, abyśmy wspólnie prześledzili całą historię drzewa. Wtedy dopiero można myśleć o strategii.

– To ja pójdę po Noëmi i Noëla. Widziałem ich w nowej części ogrodu – powiedział Ariel i pofrunął w zielony gąszcz.

Po chwili siedzieli w szóstkę pod drzewem. Alma zaczęła prezentować wnętrza kwiatów. Miała podejrzenie mokre oczy.

– Wybaczcie mi brak profesjonalizmu, ale i aniołom zdarzają się łzy. Zawsze robi mi się bardzo smutno w podobnych sytuacjach. Tak samo cierpi nasze

drzewo. Teraz widzę, że za mało energii włożyliśmy w pracę. Nie ingerowaliśmy. Pozostawiliśmy ludzi rozdartych, samotnych, cierpiących. Pamiętasz, Gabrielu, jak rozszczepiły się rdzenie? Wydawało się, że drzewo pęknie. Część korony poszła w jedną, a część w drugą stronę.

– Ale widzę, że potem się połączyły – stwierdziła Noemi.

– Pamiętam. To nie odbyło się szybko – wyjaśnił Gabriel.

– A może było od razu? – zapytał Almé.

– Myślę, że najlepiej będzie sprawdzić.

– Popatrz, Kiro, jak pięknieje nasze drzewo. Ostatnio niewiele potrzebuje pielęgnacji. Aż żal, że niedługo będziemy musieli się z nim rozstać. Myślę, że też rozstaniemy się wtedy z naszymi marzeniami.

– Nie bądź takim pesymistą, Arielu. Widzę, że miłość rozkwitła bardzo intensywnie po krótkim okresie niepewności i zaskoczenia. Jakby chcieli podarować sobie dziesięciokrotnie więcej niż dotąd. Wzruszają mnie ich czułe gesty, uśmiechy, drobne podarki, którymi obsypują siebie, jakby mieli po szesnaście lat.

– Co z tego, jak doskonale wiesz, że już niedługo będą razem. Rozstanie będzie boleśniesz, bo obecnie jest między nimi bardzo dobrze. – Ariel nie potrafił pozbyć się gorzkich myśli.

– Ale zabiorą ze sobą piękne wspomnienia. Spójrz, jak wiele ich będą mieli. Niektórzy, nawet gdyby przeżyli dwa ziemskie życia, nie nazbieraliby takiego bogactwa. Może miłość ich będzie trwała wiecznie? – powiedziała Kira.

– Faktem jest, że drzewo samo dba o siebie, a my jesteśmy bezrobotni. Chodźmy pomóc Gabrielowi i Almie. Dziś znowu jest noc patrzenia w kwiaty. – Ariel przyznał Kirze rację i ruszył w gąszcz ogrodu. Za chwilę zobaczyli opalizujące w blasku księżycy skrzydła Almy.

Gabriel przeglądał wszystkie najstarsze kielichy. Zaznaczał srebrnym pyłem niektóre z nich. Noël i Noémi siedzieli w cieniu pnia i w wielkiej księdze skrętnie coś notowali. Od czasu do czasu, gdy pióro stępiło ostrze, wyrwali sobie ze spodu skrzydeł następne, zanurzali w kielichach kwiatów rosnących pod drzewem i pisali dalej.

– Co za poświęcenie! Widzę, Noëlu, że jak tak dalej pójdzie, to zostaniesz bez skrzydła – zażartował Ariel.

– Nie kpij. Już mówiłem Gabrielowi, że jesteście zacofani. Nie znacie ostatnich doniesień Najwyższego Kolegium. Udowodniono, że przetrzebienie dolnych piór wzmacnia ich narastanie. Trzeba tylko uważać, aby nie brać górnej warstwy. Ta jest prawie stała. Jedynie moc najwyższa pomaga w ich regeneracji. Już kończymy. Na dziś wystarczy. Mamy dostatecznie wiele próbek, aby postawić tezę. Teraz musimy jeszcze wyciągnąć właściwe wnioski. Ale to zrobimy po części filmowej – zażartował.

Księżyc tej nocy świecił wyjątkowo srebrzyście. Płatki kwiatów błyszcząły wszystkimi barwami tęczy. Skrzyły się. Szczególnie te, które Gabriel posypał księżycowym pyłem.

Alma podeszła do drzewa i ujęła kielich kwiatu, miękko spływającego na kępę szmaragdowych liści.

Pląkała. Siedziała na gałęzi drzewa otulona skrzydłami jak kokonem, w którym czuła się odgradzona od ogrodu. Jeszcze raz przeżywała swoje spotkanie z bezwzględną rozpaczą Klary, którą odnalazła w jej oczach, spoglądających z wymizerowanej twarzy w szpitalnej sali. Nie potrafiła pogodzić się z faktem, że pozwoliła, aby kobieta w desperacji podeptała wszelkie najważniejsze zasady. Aby sięgnęła po prawo, które nie jej się należało. Teraz widziała, że zajęta innymi sprawami, straciła czujność. Widziała swój błąd. Widziała również błąd Gabriela. Rozumiała, że w tym wypadku nie poradzili sobie jako ogrodnicy. Gdyby dołożyli więcej starań, to do tego nigdy by nie doszło. Oni, którzy znali prawdę, zbagatelizowali desperację i rozpacz. Zbyt bolesną otrzymali lekcję o rewersie najważniejszego uczucia, o jego ogromnej destrukcyjnej sile.

Ale również wiedzieli, że nie zawsze mają możliwość ingerencji. Przecież ich podopieczni otrzymali w darze wolną wolę. Kira przytuliła Almę ramieniem.

– Nie rozpaczaj! Nie godzi się aniołowi rozpaczać, nawet wtedy, gdy człowiek popełnia tak kardynalny życiowy błąd. Gdy jest mordercą sobie lub innych. Na razie jesteśmy tylko pomocnikami, stróżami, ogrodnikami i malarzami. Nie dostąpiliśmy wszystkich wtajemniczeń. Nawet nie wiemy, czy awansując do świty Mistrza, będziemy bardziej oświeceni czy nadal ślepi i głusi. Jesteśmy zaledwie trochę bardziej świadomi niż ludzie. Nie nam więc ich sądzić. Niepotrzebna nam wiedza, dlaczego tak się dzieje, że Mistrz niektóre sprawy pozostawia ludziom, pomimo iż łamią tym wszelkie zasady i nigdy nie dostąpią szczęścia wiecznego. – Głos Kiry był spokojny i cichy.

– Wiem, że to błąd, że nie powinnam, że łamię zasady, ale są chwile, gdy smutek jest jedynym uczuciem, które ogarnia mnie i nie pozwala wzlatywać na niebiańskie łąki. Czuję jego ciężar, który przygniata mnie do gleby ogrodu. Tak trudno mi wtedy robić cokolwiek, nawet barwić wyblakłe gałęzie. Przepęniają mnie wtedy dziwne myśli. Nawet zamierzałam wycofać się z prac ogrodniczych i poddać. Może nie zasługuję jeszcze na to, aby brać udział w konkursie? – Alma wypowiadała na głos swoje obawy, które już od dawna ją prześladowały.

– Nie będę ciebie więcej przekonywać. Myślę, że potrzebna wam terapia, aby odzyskać nadzieję. Aby z powrotem uwierzyć w dobro, miłość i ogród – stwierdziła Kira.

– O czym mówisz? Taki bezmiar czasu jestem ogrodnikiem, a nic o tym nie wiem. – Alma była zawstydzona swoją ignorancją.

– Teraz nie czas na jałowe dyskusje. Nie czas na wytykanie braków



wykształcenia. Zabieramy ze sobą Gabriela i Ariela. Lecimy! Dzisiejszej nocy jest wyjątkowy seans.

\* \* \*

Gizelę coś obudziło. Nie mogła sprecyzować, co to było. Gdy wsłuchała się w odgłosy domu, usłyszała łkanie dochodzące z pokoju Niny. Wstała z łóżka i cicho, na palcach, aby nie wywoływać hałasu, podeszła pod drzwi. Przyłożyła ucho do gładkich desek. Usłyszała cichy szloch, potem babka energicznie wysmarkała nos i płacz przeszedł w modlitwę. Stała tak dłuższą chwilę, ale słyhać było tylko ciche słowa powtarzającego się pacierza. Uspokojona położyła się z powrotem. Usnęła, tym razem przy zgaszonym świetle.

## Ogród

Noc była bardzo mroźna. Pызata tarcza księżycy lśniła zimnym srebrem i oświetlała białą, pustą płaszczyznę śniegu. Roje gwiazd skrzyły się i migotały na ciemnym niebie. Nagle od południowej strony nieba zajaśniał kolorowy, mały punkcik i zaczął rosnać. Na czerni nieba pojawiła się kolorowa smuga. Nagle nabrała ona kształtu, zniżyła lot i na śniegu pojawiła się czwórka aniołów.

– Myślę, że ten najbardziej wystający pagórek będzie najlepszym miejscem. To bezludne tereny. Nie musimy się pilnować. Tu przylatują tylko anioły, którym zaczyna brakować nadziei. Jesteśmy bardzo wcześnie. Zajmijmy więc dogodnie miejsce. Ta naga płaszczyzna jest doskonałym terenem na oczekiwanie – wyjaśniała Gabrielowi i Almie Kira.

Rzeczywiście, za chwilę białe, okoliczne pagórki wypełniły się małymi czapami mgiełki. Bystre oczy przyjaciół dostrzegały gdzieś tam zarysy skrzydeł, postacie aniołów.

Nagle bezbrzeżną ciszę przeszyły dźwięki. Popłynęła muzyka. Była tak delikatna, czysta i czuła, że Alma poczuła wielkie wzruszenie. Wraz z muzyką na niebie ukazały się delikatne, pastelowe kolory. Migotały i drżały, mieniąc się to seledynem, to zielenią, to cytrynową żółcią, a czasem wydawało się, że spod spodu seledynu wyłania się delikatna fioletowa poświata. Zaczęło się subtelne widowisko. Barwy to blakły, to intensywniały. Wiły się, jakby na ciemniej scenie nieba poruszał się szalony tancerz, trzymający w ręce długi, szyfonowy szal, przez który prześwitywała okrągła tarcza księżycy i migocące punkciki gwiazd. Muzyka przestworzy współgrała z tym widowiskiem.

Alma poczuła, jak wszystkie wątpliwości odpływają i ogarnia ją spokój i wielka radość. Poczuła się czysta i wolna. Teraz była pewna, że wszystko musi się udać, a ich misja ma głęboki sens. Zrozumiała, że wszystko ma jakąś kolejność i powód. Była pewna, że niedługo posiadzie wiedzę o istocie życia. O ziemi i niebie.

Spontanicznie wstała ze śniegu i wzniosła się w górę, w migocące, fluorescencyjne barwy. Za nią co chwilę od ziemi odrywały się anioły i wirowały pojedynczo lub grupami w szalonym tańcu przestworzy. Po chwili wśród barwnej poświaty wirowały wszystkie przybyłe anioły. Alma starała się wyrazić w tańcu wszystkie stare i nowe uczucia, a szczególnie wielką radość, która zaczynała przepelniać jej serce, i z każdym ruchem czuła, że dobro pogłębia się, wzmacnia, a ona nabiera sił, aby pomagać, pielęgnować i ratować. Wokół siebie widziała Gabriela, Kirę i Ariela oraz wiele innych, nieznanych istot astralnych. I cieszyła się tym współodczuwaniem i jednością. Nagle jakby ktoś przekręcił kontakt ze światłem, barwy zniknęły, a muzyka ucichła. Tancerze rozlecieli się w różne rejony nieboskłonu. Alma z przyjaciółmi również odleciała w stronę ogrodu. Czuła, że

zatrzymała w sobie wszelkie dobre uczucia, które otrzymała w darze. Teraz miała na wszystko siłę.

\* \* \*

– Cholera jasna, aby to wszystko diabli wzięli! – piekliła się od rana, bo po pierwsze, wstała zdecydowanie lewą nogą i miała pechowy dzień. Po drugie pogoda, była fatalna, a tego dnia miała zaproszenie na kolejne spotkanie przy grillu z nowo poznanymi członkami rodziny. Czas wszystkich naglił, bo za parę dni Gizela miała wylatywać do Polski.

Nina tego ranka długo nie wychodziła ze swojego pokoju. Gizela nie chciała przeszkadzać babce, bo już przypuszczalnie kolejną noc spędziła na modlitwach. Tak wnioskowała z odgłosów dochodzących spod drzwi jej pokoju. Być może dopiero nad ranem wreszcie usnęła.

– Niech sobie spokojnie pośni! – z czułością pomyślała o starej kobiecie, która stała jej się bardzo bliska.

Po szybkim prysznicu, gdy babka nadal nie schodziła do kuchni, sama zaczęła przygotowywać śniadanie. Nastawiła ekspres, rozsypując kawę, bo po otwarciu puszki okazało się, że na dnie zostało jej zbyt mało, aby zaparzyć dla dwóch osób. Musiała otworzyć nową paczkę, ale zrobiła to nie najlepiej i na podłodze widniała kupka aromatycznego brązowego proszku, a z jej palca sączyła się krew. Czubek noża trafił w palec, zamiast rozciąć opakowanie. Później poparzyła drugi palec o brzeg patelni. Nieuważnie smażyła omlet.

Gdy Nina wreszcie zeszła na parter, Gizela klnąc soczyście walczyła z plastrami, które zaginały się i nie chciały się przylepiać, tak jak trzeba.

– Ty padalcu, ty pokurczu! Obyś szczeł! – syczała pod nosem. Twarz miała wykrzywioną złością i niecierpliwe ruchy. Nina podeszła do wnuczki. Wzięła ją za rękę.

– Dzień dobry! – powiedziała. – Gdzie moja wnuczka Gizela? Czy ty masz krew? To od moja patelnia? Je aide.

Szybkimi, pewnymi ruchami odcięła odpowiednie dwa paski plastra i po zdezynfekowaniu jednej rany, osuszeniu jej, zajęła się oparzeniem. Po paru minutach oba palce były należycie opatrzone, a Gizela dostała buziaka i nagle wszelki pech minął.

Wprawdzie tego dnia słońce nie zaszczyciło nieba, ale temperatura była około dwudziestu trzech stopni, nie było wiatru i okazało się, że garden party

będzie udane.

Pojechały z Niną i Paulem do ogrodu Jeanette. Odległość od Ruelle była spora, bo mały domek stał już za granicą z Francją, nad Mozelą.

Okragła, uśmiechnięta Jeanette była miła i serdeczna. Jej domek pełen był własnoręcznie zrobionych serwetek, wyszywanych poduszek, włóczkowych pieszków i kotków. Na kominku kolekcjonowała fotografie swoich studiujących dzieci, które rozpierzchły się po całym świecie, zostawiając matkę i ojca stęsknionych i zaniepokojonych, jak to sobie ich dzieci poradzą.

Dzieci radziły sobie dobrze, starając się zarabiać na swoje utrzymanie i jak się da, korzystać ze stypendiów, ale czasem słały błagalne listy do rodziców, a ci, radzi nieradzi, uszczuplali swoje zasoby odłożone na starość, na czarną godzinę...

Do domu Jeanette dojechali w południe. Domek i ogród tonął w kwiatkach. Pod owocowymi drzewami stał ogrodowy stół, ławka i wygodne ogrodowe fotele. Pomimo klimatyzacji w samochodzie Paula kolorowa tunika Gizeli przyklepała się jej do ciała. Z prawdziwą ulgą przyjęła propozycję aperitif na terenie ogrodu. Zresztą nikomu nie uśmiechało się siedzenie w dusznym salonie, pełnym bibelotów.

Gizela poznała kolejną krewną ze strony ojca. Od razu ją polubiła. Kobieta była ciepła, wesoła, sympatyczna. Z miłością patrzyła na swojego męża, podsuwając mu co chwilę smaczne, mikroskopijne kanapki.

Musujące, schłodzone owocowe wino było smaczne. Niewielka ilość alkoholu, jego słodko-kwaśny smak doskonale pasowały do delikatnej przekąski. Na rozmowach, prezentacjach, oglądaniu zdjęć i chrupaniu orzeszków oraz kanapek zeszło wczesne popołudnie. Powoli na grilla zaczęli zjeżdżać się zaproszeni goście. Przyjechała Marlène, Juliette, Pierre i inni, znani już wcześniej Gizeli.

Młoda kobieta siedziała w wygodnym fotelu, oglądając album ze zdjęciami, który na kolanach jej położyła Nina. Babka patrzyła jej przez ramię na fotografie i co chwilę wskazywała palcem, komentując oglądane fotki.

– A to twój papa Jean-François! – powiedziała w pewnym momencie, wskazując palcem wysokiego mężczyznę, z podobną burzą włosów jak u Gizeli. Zdjęcie przedstawiało jej rówieśnika w kolorowych, wytartych na kolanach dżinsach, rozpiętej na piersi barwnej koszuli. Szedł samotnie brzegiem morza. Dzień był słoneczny, cień, który rzuciła sylwetka mężczyzny, był niezbyt długi, uciekał w stronę linii wody. Na pierwszym planie fotografii zobaczyła Gizela jeszcze jeden cień. Wyraźnie był to cień kobiety o długich włosach, w szerokiej spódnicy. To chyba ona robiła zdjęcie. Barwy fotografii były jaskrawe, nienaturalne. Widać, że to jedno z pierwszych kolorowych zdjęć robionych amatersko.

– To pierwsze zdjęcie, jakie mi przysłał Jean-François z Polski –

powiedziała Nina i z czułością uśmiechnęła się do wnuczki. – Twój tata miał może wtedy trochę więcej lat niż ty teraz, a może był w twoim wieku. Szkoda, że nie może zobaczyć, jaką piękną ma córkę. To wtedy zakochał się bez pamięci w Polsce i twojej matce.

Dalsza część wieczoru minęła Gizeli bardzo szybko. Babka nie zawsze nadążała z tłumaczeniem rozmowy, która toczyła się pomiędzy biesiadnikami. Zresztą sama zanurzała się w rozmowę toczoną po francusku, zapominając o Gizeli. Ona była z tego bardzo zadowolona. Myślami wracała do pamiętnika matki, do swoich spotkań z Sergiejem i próbowała zrozumieć meandry losu, zaskakujące niespodzianki, które przynosi życie.

Pomiędzy jednym kęsem mięsa z grilla a drugim próbowała poukładać wiadomości, jakie uzyskała, wędrując belgijskimi ścieżkami swojej rodziny.

Jednak i tak nie wiedziała najważniejszego. Co stało się z ojcem, a także kim dla niej jest Sergiej? Czy jest gotowa na pogłębienie tej znajomości, czy wręcz przeciwnie, nie powinna robić mężczyźnie nadziei?

Termin wyjazdu Gizeli do Polski zbliżał się nieubłaganie. Nina coraz częściej zamyślała się, smutniała.

– Co się dzieje, babciu? – zapytała Gizela trzy dni przed wyjazdem.

– Zaczynam już za tobą tęsknić – odpowiedziała stara kobieta, ze smutkiem patrząc w okno.

– Nie wyjeżdżam na koniec świata. Jak już poznałam ciebie i rodzinę, to przecież często będę wracać, a i ty musisz przyjechać do Polski. Tak dawno w niej nie byłaś – pocieszała Gizela.

– Ja stara, podróż daleka. Nigdy nie leciałam avion. Czuję strach, bo to pas naturel, aby jak oiseaux fru i do góry.

– No to może przyjedziesz do Polski z Marlène. Możecie przyjechać samochodem. Nie martw się, babciu, jakoś wszystko się ułoży. Najważniejsze, że poznałyśmy się. – Gizela objęła Ninę i mocno przytuliła swoją młodą twarz do pomarszczonego policzka kobiety.

– Ja mam beaucoup d’ans. No, ja stara, to czy kto wie, kiedy Bóg powie, chodź do mnie, Nina? – powiedziała ze łzami w oczach. – Bardzo ja by chciała przypomnieć mój kraj. Ja go niewiele widziała. Tylko Kowel, Wilno. Teraz to one już nie w Polska. Ja w tele widziała Kraków, Częstochowę. U nas są takie excursions, ale to dla młodych. Ja stara babka.

– Wrocław też jest piękny. Moim zdaniem Wrocław jest jednym z najpiękniejszych polskich miast. Dla mnie jest najpiękniejszy! Jak go zobaczysz, to zakochasz się! – z entuzjazmem opowiadała babce o swoim ukochanym mieście.

– Gizel, a czy ja mogę pytać, co ty zrobisz z Sergiej. Ostatnio ty sol i on sol. Ja sobie tak myślała, że wy les amis – zapytała Nina, wycierając filiżanki.

– Bo tak jest. Bardzo go lubię. Jednak ma swoje sprawy. Niewiele wiemy o sobie. Po prostu jest kolejną poznaną osobą. Ostatnio do mnie nie dzwoni. Chyba obraził się, bo musiałam poświęcić czas spotkaniom rodzinnym. Parę razy odmówiłam, gdy prosił mnie o spotkanie. Teraz nie odzywa się. Pracuje – zaspokoila ciekawość Niny. – Babciu, mam do ciebie trudne pytanie – w głosie Gizeli wyraźnie słyhać było niepewność, obawę, czy nie urazi babki.

– No to zapytaj stara babka – zachęciła Nina. – Nie ma pytań difficile. Jest tylko difficile odpowiedź.

– Widzisz, jestem bardzo ciekawa, co się stało z moim ojcem.

– Ja nie mogę tobie na to prosto mówić. To mój ból i krzyż, bo każdy ma swój krzyż, który mu na ramiona Bóg kładzie. Mi dał ten. Ja mam różna myśl. Głowa moja mówi, że Jean-François nie jest na tym świecie, bo jakby był, to dałby swoja familia jakiś znak. A le coeur, że on żyje. Jak umarł, to ja nawet nie wiem, gdzie jego le cimetièrre. Nie mogę klękać przy jego grób.

– Jak to nie wiesz, co z nim się stało? – zaskoczona Gizela spojrzala Ninie głąboko w oczy i zobaczyła w nich tylko wielki ból.

– To właśnie taka difficile odpowiedź. Powiem tobie to, co sama wiem. Będzie już wiele lat, gdy ja pisała do Klary. On wyjechał robić reportaż, jak co roku w wacances. On jechał ze swoim kolega w wielkim la voiture na wschód, chyba do Rosja. On nie chciał nawet mnie mówić. To był sekret. On chyba mówił swój ojciec, ale on tajemnicę wziął na tamten świat. On wtedy travaillait dla journal w Bruxelles. Szef ten journal, gdy miesiąc już Jean-François był na l’excursion, to on do mnie telephoner. On mówił, że koło miasta Groznyj oni znaleźli ten la voiture. Nie było w nim personnes. Mój Jean-François i trzech koleg jak kamień w woda. Wiele lat przeszło. On by stara matka dał informacją, że nie malade. To mój wielki la pierre na serce. – Nina zaszlochała, odwróciła się i szybko weszła schodami do swojej sypialni.

Gizela stała oniemiała, nie wiedząc, co powiedzieć. W głowie czuła zamęt. Odpowiedź babki niczego nie wyjaśniała. Żal jej było staruszki, intuicyjnie czuła wielki ciężar, który tamta nosi w sercu, i jeszcze raz pomyślała, że przyjazd do Niny był dobrym pomysłem.

Nagle usłyszała, że w torebce odzywa się telefon komórkowy.

– Gizela, tu Sergiej! – usłyszała i pomyślała, że mężczyzna ma dobre wycucie czasu. Właśnie w tej chwili był jej bardzo potrzebny przyjaciel.

– Tak, cieszę się, że dzwonisz – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Co za zmiana. Wreszcie cieszysz się z mojego telefonu. – zażartował.

– Nie łap mnie za słówka. Cieszę się naprawdę. Muszę z kimś pogadać – odpowiedziała, mając nadzieję, że Sergiej zaraz do niej przyjedzie. Jednak

rozczarowała się.

– Teraz mogę służyć tylko telefoniczną rozmową. Za to jutro mogę mieć dla ciebie cały dzień – odpowiedział.

– Przyjedź jutro o dziesiątej. Pójdziemy na brocante. Wstrzymam się do jutra z rozmową, chociaż trudno będzie. Jednak nie jest ona na telefon. – Zakończyła rozmowę, zanim Sergiej cokolwiek odpowiedział.

Następny dzień wstał zamglony, ale ciepły. W nocy padało i rozgrzana ziemia oddawała do atmosfery nadmiar wilgoci. Jednak około dziewiątej mgła podniosła się. Gizela bardzo cieszyła się ze spotkania z Sergiejem, a także z możliwości zobaczenia targu staroci. Szybko wyskoczyła z łóżka, pobiegła pod prysznic i odświeżona, odświętnie ubrana czekała na Sergieja, przegryzając kanapki i popijając kawę. Za kwadrans dziesiąta usłyszała ryk motoru mężczyzny i już za moment Nina otwierała mu drzwi.

– Co się z tobą działo, Sergiej. Ty nas długo ne visitait pas. – powiedziała z wyrzutem.

– Bonjour, Madame! – zaśmiał się i serdecznie ucałował Ninę w oba policzki.

– Gdzie mają padruga? – powiedział po rosyjsku. – Gdzie Gizela? – poprawił się i wyjaśnił.

– Jak długo mówię po rosyjsku, to później mam kłopot z przejściem na francuski czy też polski. Mówię automatycznie po rosyjsku.

– Cześć, poligloto! – Gizela nie omieszkała do pozdrowienia dodać odrobinę złośliwości, ale wesoły, serdeczny uśmiech wynagrodził Sergiejowi tę krople dziegciu.

– Café, une tartine? – Nina starała się być jak zwykle bardzo gościnna.

– Spasiba, dziękuję, jestem po śniadaniu. – odpowiedział i zapytał: – Obie panie są już gotowe do wyjścia? Idziemy na brocante?

Gizela pomyślała, że Siergieja jak zwykle pokazuje dużą klasę, pytając Ninę. Podobało jej się to.

– Jak pytasz i chcesz iść też ze stara babka, to zaraz ubiorę swoją sukienka i już za wami à pied. Ja bardzo rada, że trochę czas jeszcze będę ze swoją wnuczka – odpowiedziała Nina, idąc w stronę schodów prowadzących do sypialni.

Małe miasteczko tego dnia zamieniło się w jedno wielkie targowisko. Szli wzdłuż kolorowych straganów, wielkich obrusów, na których ułożone były stare figurki, haftowana lniana pościel, wielkie misy, abażury, bibeloty, ale także chusty, ubrania, srebrne i posrebrzane zegarki. Oprócz wyprzedaży staroci stały stragany z regionalnymi wyrobami masarskimi, cukierniczymi, lokalnymi wyrobami branży

piwowarskiej. Nos drażnił zapach świeżo pieczonych gofrów, lodów i waty cukrowej.

Przeciskali się pomiędzy wolno płynącym tłumem oglądających, kupujących, targujących się mieszkańców Ruelle, a także przybyłych z całej okolicy, bo brocante połączony ze świętem miejscowości był dla okolicznych prawdziwą atrakcją.

Gizela wolno szła między straganami. Przyglądała się kupującym i sprzedającym. Zawsze lubiła obserwować ludzi, ich niezakłamanie niczym zachowania, gdy nie zauważali, że są dyskretnie podglądani. Jednak nie czuła z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Zastanawiała się, kim są, jakie może być ich życie. Czy są szczęśliwi, czy też smutni. Przyglądała się też wyłożonym do sprzedaży przedmiotom. Część z nich zachwycała Gizelę, a część dziwiła. Młoda kobieta zastanawiała się, jak można wystawiać do sprzedaży stare, obite garnki czy też zardzewiałe części do jakiś mechanizmów, kiedy w sklepach nie brakuje nowych. Najbardziej urzekały ją małe bibeloty, szczególnie te mające wiele lat.

– Widzę, że jak większości kobiet, podobają się tobie małe figurki i inne cudeńka, których mężczyźni nie zauważają, a jeśli tak, to twierdzą, że to nikomu niepotrzebne łapacze kurzu – zaśmiał się nad jej uchem Siergiej.

– Składam protest. Nie wszystkim kobietom to się podoba. Bo potem trzeba każda taka rzecz osobno brać do swego rękawa i myć, wycierać. Mężczyzna tego nie robi, tylko kobieta. To po co mężczyzna na ten temat wyraża swój pogląd? – oburzyła się Nina. – Ja tam w swój dom nie mam dużo taki bibelot, ale mój mąż nigdy mi nie mówił: Nina, ty nie kup sobie taka rzecz – dokończyła.

– A ja tam bym chciała mieć trochę takich, jak to mówisz, ładnych łapaczy kurzu. Każdy z nich pewno ma swoją długą historię, którą mógłby wiele godzin opowiadać, jakby tylko potrafił mówić – wydeła usta Gizela. – Popatrz, jaki piękny srebrny elf. Siedzi sobie na porcelanowym kwiatku. Ciekawe, gdzie wcześniej stał, w jakim buduarze, może jest bardzo stary, bo z pewnością nie jest to wyrób ostatnich lat. Ciekawa jestem, co widział, co słyszał? – zamyśliła się kobieta, biorąc do ręki małą figurkę.

Siergiej wyjął z jej ręki elfa. Był delikatny, precyzyjnie zrobiony. Widać było, że rzemieślnik, który go wykonał, był dobrym fachowcem i prawdziwym artystą.

– Popatrz, on był do czegoś przyczepiony – zauważył, odwracając przedmiot w rękę. Pod kielichem widać było nierówności i matowe podłoże.

– Może był zwieńczeniem pięknej lampy, a może pokrywy wazy czy też cukiernicy? Albo siedział na dekoracyjnej butelce z perfumami w staromodnej, wielkiej łazience w pałacu czy dworze... – rozmarzyła się Gizela.

– Przystopuj trochę! Halo, to dwudziesty pierwszy wiek i zwykły targ staroci! – roześmiał się Siergiej. – A gdzie jest Nina? – zapytał, bo kobieta zniknęła



im w tłumie.

– Babcia mówiła, że pochodzi sobie sama, bo ma tu dużo znajomych. Chce również trochę z nimi porozmawiać. Później chce iść do kościoła na mszę. Spotkamy się dopiero wieczorem. Babka zaprosiła krewnych na kolację pożegnalną. Po kolacji jest jeszcze dancing na świeżym powietrzu.

– No to zapraszam ciebie na ten dancing. Będę na waszej kolacji, bo Nina dzwoniła do mnie i też jestem zaproszony – stwierdził mężczyzna.

– To ci babka. Nic mi o tym nie powiedziała – zdziwiła się Gizela.

– Wiesz, Nina mi powiedziała, że chce, aby na kolacji byli wszyscy, z którymi spędzałaś tutaj czas. To kolacja dla ciebie, abyś miała dobre wspomnienia z pobytu w Ruelle. Ninie bardzo zależy na tym, abyś chciała tu jeszcze wrócić. Ona już jest wiekowa i raczej nie myśli wyjeżdżać do Polski, a chciałyby mieć z tobą częsty kontakt. W ten sposób jej więź ze starym krajem nie zostanie zerwana, poza tym jesteś częścią jej ukochanego syna.

– Bonjour, Gisèle! – usłyszała i zobaczyła uśmiechniętą Juliette, niosącą w ręce ogromny abażur.

– Où est Pierre? – zapytała.

– Il est à la promenade – odpowiedziała Juliette, zakreślając ręką okrąg nad brocante. Wzruszyła też ramionami i westchnęła, jakby chciała pokazać wszystkim, że z mężczyznami tak już jest. Opuszczają kobietę, gdy ta doskonale się bawi, wyszukując do wspólnego gniazdka potrzebne skarby. On sobie spaceruje, a jej pozostawia wszystko na głowie.

– A bientôt! – powiedziała Juliette w biegu i już schylała się nad dużą misą, stojącą przy sąsiednim straganie.

Gizela wróciła do Sergieja. Chciała kupić elfa, ale już go nie znalazła wśród bibelotów. Posmutniała. To była jedyna rzecz, która jej się bardzo podobała i była w zakresie jej możliwości finansowych. Nawet przez moment pomyślała, że mogła to być dla niej wspaniała pamiątka z Ruelle.

– Przestało mnie wszystko bawić. Chodźmy na kawę albo piwo! – powiedziała do mężczyzny.

– No, nareszcie. Jest tak ciepło, że człowiek ma rozgotowany mózg. Piwo dobrze nam robi – stwierdził jej towarzysz.

Poszli wolno w stronę rozstawionych kolorowych parasoli, pod którymi na ławach siedzieli liczni mieszkańcy Ruelle, gawędząc i racząc się zimnymi napojami. Obok biegały dzieci.

Obrazek, jaki i w Polsce można zobaczyć na odpuszcie albo święcie ludowym – pomyślała z rozrzewnieniem i poczuła, że już tęskni za domem, Wojciechem, siostrami.

W milczeniu pili zimne piwo. Każde z nich było zajęte swoimi myślami. Wokół kłębili się ludzie, z każdego z rozstawionych wokół namiotów płynęła inna

muzyka.

– Istna wieża Babel – powiedziała do Sergieja, próbując przekrzyczeć hałas.

– Co mówisz? – odkrzyknął.

Zrozumiała, że wszelka konwersacja nie ma sensu. Po półgodzinnym odpoczynku, wypitych dwóch piwach, wstali i ruszyli do domu Niny. Czekala na wszystkich ze wczesną kolacją.

Po kolacji, na której zjawili się wszyscy zaproszeni, po uściskach, pożegnalnych prezentach, które Gizela miała wziąć ze sobą do Polski, poszli z Marlène i Paulem na dancing. Nina pozostała w domu.

– Nie będę na ciebie czekać. Przyszła moja migrena. Zostawię les portes ouvertes. Ty dobrze rób tańce. Ty jeune, no, młoda dziewczyna. A czas tak szybko do przodu idzie. On tak mija – powiedziała, wyciskając na policzku wnuczki czuły pocałunek.

Pod gołym niebem w pobliskim parku, obok fontanny, na zbitej z desek prowizorycznej podłodze kręciły się pary w bardzo różnym wieku. Czasem w parach były same kobiety, ale zdecydowanie częściej widziała czule przytulonych do siebie mężczyznę i kobietę.

– U nas nie spotyka się, aby ze sobą tańczyły same kobiety – powiedziała do Sergieja. – No chyba, że na dyskotekach, ale wtedy wszyscy tańczą w wielkiej grupie, a w zasadzie każdy sam ze sobą.

– Zobacz, tu mężczyźni popijają piwo, rozmawiają, a ich żony, które nie piją, korzystają z tańca. W ten sposób nie zmuszają mężczyzn do tego, czego tamci nie lubią bądź nie potrafią. Wilk jest syty i owca cała. Wszyscy są zadowoleni. Ale nie bój się, ja lubię tańczyć. Nie będziesz musiała szukać sobie damskiej pary – zaśmiał się i lekko popchnął Gizelę w stronę tańczących.

Po chwili objęta mocnym ramieniem, tańczyła w rytm jakiejś ludowej belgijskiej melodii. Sergiej taniec miał we krwi. Tańczył dobrze, lekko i pewnie. Po półgodzinie szybkich melodii orkiestra wyraźnie osłabła. Zrobiła przerwę.

– Masz dość? – zapytał Sergiej. – Może coś wypijemy. Tu mają dobre regionalne piwo. A może masz ochotę na coca colę? Ja już nie mogę pić alkoholu, bo muszę wrócić do domu.

Usiedli na ławce pod wielkim platanem, który rósł w kącie parku. Był tam półmrok, ale Gizela nie czuła strachu. Z Sergiejem czuła się pewnie i bezpiecznie.

Zasapana, zmęczona, odpoczywała, popijając słodką coca colę. Sergiej uzupełniał płyny wodą mineralną.

– Chciałem ci coś dać – powiedział cicho, wyciągając z kieszeni bluzy małą, kolorową papierową torebkę. – Proszę, abys otwarła le cadeau dopiero w domu – poprosił, patrząc jej prosto w oczy.

Pod wpływem jego spojrzenia poczuła się dziwnie. Była bardzo podekscytowana, ale i zawstydzona. Nie rozumiała swoich uczuć.

– Bardzo ci dziękuję – powiedziała radośnie i cmoknęła mężczyznę w policzek. Ten przytrzymał ją przy sobie i oddał pocałunek. Później przyciągnął jeszcze bliżej i zaborczo jej wargi objął swoimi. Pogłębił pocałunek. Poczuła się bardzo dobrze, bezpiecznie i radośnie. Poczuła wielką czułość, ale za chwilę zamieniła się ona w wielką falę pożądania, która zaczęła odbierać jej wszelki rozsądek. Fala pożądania ogarnęła również Sergieja. Przestał panować nad swoimi ruchami i ręce jego stały się niecierpliwe, zaborcze, tak jak i usta, które zagarniały coraz większe przestrzenie ciała dziewczyny.

W ostatnim przebłysku świadomości Gizela pomyślała sobie, że przecież są w parku. Ktoś może ich zauważyć. Nie mogli wystawić się na pastwę podglądaczy.

– Przestań! Sergiej, przestań! – powiedziała głośno i odepchnęła mężczyznę.

Powiał wiatr, jakby chciał ostudzić ich zmysły. Poruszył gałęziami drzewa. Światło latarni padło na twarz mężczyzny. Gizela zobaczyła półprzytomne spojrzenie i bezmiar czułości w jego oczach. Wystraszyła się.

– Chodźmy. Jest mi zimno. Jestem zmęczona, a poza tym jutro wyjeżdżam – powiedziała szybko i starała się nie widzieć rozczarowania, które zdmuchnęło czułość w oczach Sergieja. Pożegnali się przed domem Niny.

– Do swidania! Do zobaczenia! Nie zapominaj o mnie! – powiedział cicho i pochylił się nad dłonią Gizeli. Rozwarł ją i wtulił usta w jej wnętrze. Poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Potrząsnęła głową i przytuliła jego głowę do swoich piersi.

– To nie ma sensu, Sergiej. Wyjeżdżam. Tak będzie lepiej. – odpowiedziała i była mu bardzo wdzięczna, że nie zadał jej żadnych pytań, bo sama nie znała na nie odpowiedzi.

Po wejściu do pokoju, szybkim prysznicu, zanim wygodnie wyciągnęła się na łóżku, zajrzała do ozdobnej papierowej torebki. Opatulony kocykiem z folii bąbelkowej na dnie torebki spoczywał mały elf. Poczuła wzruszenie i wdzięczność. Pomyślała, że trochę przypomina jej małego, rozdokazywanego aniołka, który tak często pojawiał się ostatnio w jej snach.

– Będiesz piękną pamiątką z mojej podróży – powiedziała do srebrnego oblicza, uśmiechając się wesoło. – Wprawdzie nie znalazłam ojca, ale poznałam część swoich korzeni. Mimo wszystko teraz jestem dużo bliżej Klary i Wojciecha

niż wtedy, gdy mieszkałam z nimi. A może pomożesz mi w odnalezieniu drogi do siebie? – szepnęła do elfa i posadziła go obok łóżka na szafce nocnej. Później szybko spakowała się. Mimo późnej pory przed snem otworzyła pamiętnik matki.

\* \* \*

*Zbliżała się północ. Noc miała zapach świeżo skoszonej łąki. Domownicy już dawno spali. Klara, jak zwykle skulona, przybrała pozę małego psiaka. Dotykała pleców męża. Od dłuższego czasu spała spokojnie. Wypoczęła. Wakacje jej dobiegały końca.*

*Czerń nocy była gęsta jak smoła. Tak bywa tylko w górach. Gruba warstwa chmur nie przepuszczała promieni księżyca i migotliwych iskier gwiazd. Było gorąco i parno. Pootwierane okna „Anielina” dawały tylko trochę przewiewu. Na łące obok domu pojawiły się jasne punkciki robaczków świętojańskich. Wydawało się, że dolina stała się prawdziwie rozgwieżdżonym niebem. Pachniały zioła, a także dziki bez i akacja. Wielkie parasole łopianu, które porastały zbocze doliny strumyka, rzuciły szafirowe, kłębiaste cienie na połyskującą srebrem płaszczyznę łąki.*

*Wczesnym rankiem pierwsze promienie słońca wygoniły Wojciecha z łóżka. Klara jeszcze smacznie spała. Wstając, popatrzył na żonę. Twarz jej była spokojna, łagodna. Widać śniła coś miłego, bo na ustach jej gościł delikatny uśmiech. Kosmyk rudych włosów ukośnie leżał na jej policzku i podskakiwał lekko w górę, gdy wydychała powietrze. Pomyślał sobie, że bardzo zmieniły jej się rysy, przybyło zmarszczek i niczym nie przypominała Klary, która wyglądała z ich ślubnego zdjęcia. Z pewnością była całkiem inną osobą niż ta, którą poznał i poślubił. Westchnął. Po chwili spojrzął w lustro, umieszczone w staromodnej toaletce. Spoglądał z niego starszy mężczyzna, o zaciśniętych, skrzywionych ustach i pionowych zmarszczkach na szerokim czole. Szpakowate, rzadziejące włosy i siwawy, jednodniowy zarost dodawały mu lat. Nie wyglądał na młodzieniaszka. Pokiwał głową i uśmiechnął się. Popatrzył jeszcze raz na Klarę i uśmiechnął się czule. Przez okno do pokoju wciskał się chłód wczesnego poranka. Schylił się i podniósł z podłogi róg kołdry, której większa część zsunęła się z wersalki. Naciągnął kołdrę na gołe ramiona żony. Klara westchnęła i otuliła się kołdrą.*

*Przekręciła się na brzuch i przykryła głowę małą poduszką. Przeszkadzały jej pierwsze promienie słońca, które przebijały się przez szparę w zasłonach i kładły na jej oczach.*

*Wojtek pomyślał sobie, że poprzedniego wieczoru Klara musiała bardzo późno przyjść do łóżka. Już dawno spał, gdy skończyła malować obraz.*

*Mężczyzna na palcach wyszedł z sypialni i wszedł do pracowni. Z zainteresowaniem zaczął oglądać ostatni obraz żony. Zaintrygował go. Był inny niż poprzednie. Przedstawiał niezwykle drzewo, stojące w barwnym ogrodzie. Obraz był ciekawy i intrygujący. Kolorystyka ogrodu go urzekła. W miękkiej, szmaragdowej trawie kwitły niezwykle kwiaty. Rosły również drzewa, a między drzewami Klara uchwyciła rój motyli, który zaczął przysiądać na gałęziach. Rój spływał gdzieś z obłoków, znajdujących się nad ogrodem. Motyle przysiądały na rozłożystych gałęziach drzewa. Jeden z motyli w połowie był kielichem kwiatu.*

*Muszę zapytać Klarę, kiedy zdążyła domalować motyle – pomyślał. Wieczorem ich nie widziałem.*

## Ogród

Ogród od rana tętnił śpiewem ptaków. Pod drzewami rosa lśniła barwnymi iskierkami drobin rozszczepionego światła. Brzęczały owady. Wiatr pieszczotliwie przebierał palcami drobne listki.

Alma siedziała pod drzewem. Wystawiła do słońca końcówki skrzydeł, które nabrały wilgoci od porannej rosy. Gdy poczuła, że dostatecznie obeschły, wzniosła się w powietrze i pogładziła korę. Pod ciepłym dotykiem drzewo poruszyło się, kora wygładziła i nabrała aksamitnego połysku. Alma uśmiechnęła się.

– Nie jest tak źle! – szepnęła, przytulając usta do miękkiej skóry drzewa. Potem ujmowała w dłonie gałązki i kwiaty, szepcząc im słowa miłości i otuchy. Czasem zatrzymywała się przy kielichach, tych najbardziej ulubionych, do których była wyjątkowo przywiązana. Śpiewała im anielskie sonaty, te, których nauczyła się na ostatnim kursie. Próbowwała wzmocnić drzewo nadzieją.

Gabriel od paru dni starał się pomagać w pielęgnacji drzewa Kiry i Ariela. W zasadzie bardziej towarzyszył im w pracach odchwaszczania, wspierał. Wszyscy ogrodnicy już wiedzieli, że praca Kiry i Ariela dobiega mety. Nieznany był tylko końcowy dzień i efekt pracy ogrodników.

Nagle umilkły ptaki, niebo stało się purpurowe. Zablęskły wszystkie gwiazdy, a słońce wzmocniło swój blask. Ze wszystkich stron ogrodu zlecieli się ogrodnicy i okrążyli drzewo Kiry i Ariela. Drzewo zakołysało się, i rozległ się potężny jak grzmot dźwięk dzwonu. Powiał ciepły wiatr i poruszył kwiaty. Kolorowe płatki oderwały się i uniosły w powietrze. W szalonym wirze okrążyły drzewo. Wszystkie anioły wzniosły w górę skrzydła i rytmicznie poruszały nimi, starając się utrzymać w powietrzu, pomiędzy grubym kozuchem tęczowych barw.

– Popatrz na metamorfozę drzewa – usłyszała Alma głos Gabriela. Przesunął się pomiędzy tańczącymi aniołami i ujął Almę za rękę. Teraz razem obserwowali, jak drzewo zmienia się. Ogołocone z płatków szypułki pęcznieją, zaokrąglają się i zamieniają w owoce. Owoce rosną i zmieniają barwę. Obwieszane ciężkimi owocami gałęzie uginają się. Drzewo jest wyjątkowo piękne. Bije od niego blask i moc. Dzwony dzwonią coraz głośniejsze i głośniejsze, aż zaczyna drzeć szmaragdowe poszycie sadu. Widać wysuwające się korzenie. Purpura nieba w jednym miejscu jaśnieje. Z białego krążka wyłania się wielka rzeka białego światła i jak błyskawica trafia w drzewo. I nagle wszystko unosi się w powietrzu. Wiruje. Jakby cały ogród rozpadł się na miliardy wielobarwnych cekinów. Rzeka światła rozmywa wirujące drobinki drzewa, jakby je wciągała w absolutną jasność. Na moment jeszcze widać pojedyncze zarysy gałęzi, a potem wszystko znika w bieli. Trwa to zaledwie małą chwilkę. Biel nabiera kremowego odcienia. Potem ciemnieje i zamienia się w purpurę. Ogród odzyskuje swój normalny wygląd. I jest

tak, jakby nic się nie stało. Tylko w miejscu, w którym rośło drzewo, widać wielobarwną plamę, jakby na szmaragdowej murawie ktoś rozlał kolorowe akwarele.

– Jak szybko znika ślad po drzewie Kiry i Ariela – pomyślała Alma, obchodząc jak co dzień ogród, aby zobaczyć, jak wokół pięknieją drzewa. Tego ranka mogła sobie pozwolić na dłuższą wędrówkę, bo w ostatnich dniach zauważyła, że mniej chwastów wrasta w korzenie, nie więdną liście i nic złego nie dzieje się z ich drzewem.

– Pójdę na obchód, czy dasz sobie sam radę z pielęgnacją? – zapytała Gabriela.

Zajęty podlewaniem, nawet nie podniósł głowy, tylko machnął przyzwalająco skrzydłem.

Coś Gabriel jest ostatnio bardzo zamyślony – zastanawiała się, wchodząc w gąszcz, prowadzący do najbardziej dzikiej części ogrodu. Była to stara część, z której sukcesywnie usuwano przygarbione, stare drzewa. Lubiła ten zakątek. W jego dzikości odnajdowała niesamowite piękno archiwalnej prostoty. Z rzadka spotykała tutaj anioły. Najczęściej miały przy sobie wielkie palety i zajmowały się przywracaniem kolorów, czasami któreś z drzew wymagało małej korekty kształtu. Wtedy wchodził rzeźbiarze i sztukatorzy. Z reguły drzewa były zdrowe, pomimo sędziwego wieku. Wiedziała, że to miejsce wymaga mniejszego nakładu pracy.

– O widzę, że znowu odwiedzasz nasz stary zaułek! – usłyszała wesoły głos i z zarośli wyłonił się anioł o pięknych, błękitnych skrzydłach i srebrzystych włosach.

– Witam cię, Nauczycielko! – ucieszyła się Alma.

– Chodź, pokażę ci coś wyjątkowo ciekawego. Od dawna zajmuję się dziwnym drzewem. Jest bardzo stare. Kiedyś było dwupienne. Teraz, pomimo iż wyrodziło się i nie zostało przez Mistrza od razu zaliczone w poczet przyszłych drzew Jego Ogrodu, to ma na to szansę. Z tego oto powodu to ja dostałam zaszczytu, aby zająć się tym szczególnym drzewem. Widzisz, jak marnie rośło, gdy było dwupienne? Najczęściej rozszczepiało się. Parę razy szerniało i trzeba było od nowa dobierać paletę barw, ale gdy stało się jednopienne, odżyło i zaczęło być bardzo bujne. A jak kwitnie! Aż miło patrzeć! Chyba z tego powodu Mistrz postanowił włączyć je do Ogrodu.

Nauczycielka z uwagą ujmowała w dłonie górne gałęzie i kwiaty drzewa. Uśmiechała się i z zadowoleniem kiwała głową.

– Nawet nie mam przy nim wiele roboty. Ot, tylko odnawiam barwy, gdy lekko płowieją, i posypuję srebrnym pyłem. Wiesz, Mistrz rzadko zajmuje się

jednopiennymi, jedynie wtedy, gdy początkowo były dwupienne i naturalnie przekształciły się. Nie uznaje żadnych przekształceń doświadczalnych. A jak tam idzie rozwój waszego drzewa? Od chwili kiełkowania nie widziałam go. Pewnie jest piękne. Mieliście tyle pewności siebie, żaru i nadziei, że nie może być inaczej. – Z uwagą popatrzyła w oczy Almy.

– Nie jest tak dobrze. Ciągłe mamy z nim wiele kłopotów. Wymaga sporo pracy. Chociaż ostatnio nie mogę narzekać. Jest dużo lepiej. Niemniej, widać rozszczepienia, inne odcienie kwiatów i kory. Nie wiadomo, czy drzewo spodoba się, a my awansujemy. – Alma starała się być szczerą ze swoją najbardziej ulubioną nauczycielką.

– Myślę, że to nie przypadek, że dziś trafiłaś w ten zakątek. Spójrz na to stare drzewo. Też miało różne kłopoty, a jednak ma szansę. Mam nadzieję, że wam uda się, a drzewo zasłuży na awans jako dwupienne. Możesz w każdej chwili skorzystać z mojej porady i mojego doświadczenia. O każdej porze i w każdej sprawie.

Gdy wróciła do Gabriela, była pełna optymizmu. Pod drzewem zastała również Kirę i Ariela.

– No i co tam u was, czy już coś wiecie na temat swojego awansu? – zapytała przyjaciół.

– Nie, jeszcze nie. Już dowiadaliśmy się u innych ogrodników, że to nie tak szybko nastąpi. Drzewo staje przed paroma komisjami. Na początku rośnie w przedsionku Ogrodu Mistrza i jest oceniane. Musi być w jakiś sposób zakwalifikowane do odpowiedniej części Ogrodu. Tam panuje absolutny porządek. Nie to, co w naszej szkółce. Tam nie ma miejsca na pomyłki – powiedziała Kira.

– Ale to dotyczy drzewa. Inna sprawa będzie z nami – napomknął Ariel.

– Pewnie, że inna. – Kira poparła przyjaciela. – Po zakwalifikowaniu drzewa, gdy już trafi we właściwe miejsce, my staniemy przed Władzą Najwyższą. Będziemy zdawać egzamin – dodała. – Od jego wyniku będzie zależało, czy zostaniemy przewodnikami, czy na przykład malarzami, a może... rewidentami! Brrr... i to może nas spotkać. Na razie oddelegowano nas do pomocy. Wybraliśmy was i Noela z Noemi. Oni już o tym wiedzą, ale jako nowicjusze bardzo bronią się przed pomocą. Wydaje im się, że pozjadali wszystkie rozumy. Oj, długo będą uczyli się! Długo!

– Na wszystko przychodzi swój czas. Może brak im doświadczenia, ale za to mają w jednym palcu nowoczesne metody. Jak wszystko połączymy, to każdy z nas na tym skorzysta. – Gabriel był pełen dobrych chęci i nadziei.

– Pożegnaj was teraz, bo muszę pomóc. Obiecałam sobie niczego nie bagatelizować. Ty też mógłbyś więcej uwagi poświęcić bo teraz jest wyjątkowo trudny okres. Boję się, że znowu odbije się to na drzewie. – W głosie Almy słychać było prawdziwy niepokój i troskę. Uśmiechnęła się smutno i rozwinęła skrzydła do



lotu.

\* \* \*

Od chwili, gdy Alma przekroczyła linię ramy, poczuła nocny zapach uśpionego ogrodu i dziwne podekscytowanie. Zaczęła zastanawiać się, co takiego wydarzyło się w ogrodzie, że uczucie nie czekało, tylko wybiegło na jej spotkanie, aż do samej bramy abstrakcji.

Rozglądnęła się dookoła. Otoczenie wyglądało normalnie. Tylko nad ciemnymi wierzchołkami drzew wschodził księżyc.

Powoli wytaczał się na ocean nieba jak wielka, złota, pękata karawela. Początkowo zakryty był ciemną warstwą pierzastych chmur, ale dzielnie przedzierał się przez granatowe, gazowe kłaczki, by zawisnąć nad ogrodem niczym wielki neon. Niebo posrebrzało, a trzepoczące na wietrze liście drzew zaczęły mienić się drobinkami księżycowego brokatu. Zapach ogrodu był wyjątkowo słodki. Z ciemnego gąszczu dobiegał cichy koncert świerszczy, którym towarzyszyły trele słowików i głośny akompaniament cykad.

Coś się dzieje?! – pomyślała Alma i szybko skierowała się w stronę drzewa. Za chwilę dołączył do niej Gabriel.

– Dobrze, że jesteś – powiedział. – Szukałem ciebie, bo coś dziwnego dzieje się z drzewem.

– Czy znowu choruje? – zapytała zaniepokojona.

– Tak bym tego nie określił, ale zachowuje się dziwnie. Sama spójrz, bo nie potrafię określić, co jest w nim takiego dziwnego. Najbliżej pasujące określenie to „zmienia się” – odpowiedział zakłopotany Gabriel.

– Co się dzieje, co się dzieje? – usłyszeli oboje ciche głosy zbliżających się aniołów i ze szmaragdowego gąszczu wyłoniła się czwórka przyjaciół.

– Kto wam doniósł nowinę? – zapytał Gabriel.

– To słowiki tej nocy mają wyjątkowo dziwne pieśni – odpowiedziała Kira.  
– Słyszałam, że drzewo zmienia się.

– No właśnie. Przed chwilą mówiłem o tym Almie i nie wiem, co mam myśleć. Opowiem wam, jak było. Przyszedłem dziś wyjątkowo wcześnie. Dopiero zachodziło słońce. Gdy dochodziłem do drzewa, wyglądało, jakby do naszego ogrodu zawitała jesień, albo jakby drzewo stanęło w płomieniach. Zniknął szmaragd i fiolet, a rozjarzył się pomarańcz, który nagle pociemniał, sczerwieniał. Drzewo zrobiło się karminowe. Pomyślałem, że za chwilę spłonie. Wrażenie

plomienia było niesamowite w blasku promieni zachodzącego słońca, które dodały liściom czerwieni i wydobyły ostrość barwy. Później drzewo zaczęło drzeć, liście zwijały się w rulony, a kielichy kwiatów zamykały. Był taki moment, gdy drzewo wyglądało jak fotografia zrobiona w sepii. Wtedy pomyślałem o nagrobnych zdjęciach i miałem pewność, że nadszedł koniec drzewa. Trwało to parę sekund. Potem sepia zaczęła blednąć, wycofywać się przed właściwym kolorem. Drzewo odzyskało barwy. Jeszcze niektóre kielichy kwiatów nie są otwarte, niektóre liście nie rozprostowały się, ale zobaczcie, jaki ma koloryt. Tak pięknych barw nie widziałem od dawna. Nie wiem co o tym sądzić – zakończył.

– Nie mamy podobnych doświadczeń – powiedziała Kira.

– A może wy, młodszy, coś na ten temat wiecie? – Tym razem Alma zwróciła się do Noela.

– Coś kojarzę z zajęć nadprogramowych. Jak to było, Noemi, ze zjawiskiem wstrząsowym, bo ja już niewiele pamiętam? Muszę przyznać się, że do wykładu podszedłem niepoważnie. Myślałem, że to tylko takie gadanie, które w praktyce w ogóle się nie zdarza. Noemi była pilniejsza. – Popatrzył na towarzyszkę, szukając u niej wsparcia.

– Muszę pomyśleć. Tak! Mówili nam na dodatkowych fakultetach, że czasem doświadczane drzewa, które nie są jeszcze zbyt obciążone różnymi schorzeniami, nie są za bardzo słabe, potrafią dokonać samospalenia, aby odnowić się, nabrać niebywałej formy i koloru. Występuje to wyjątkowo rzadko. Muszą być spełnione różne warunki wewnętrzne i zewnętrzne drzewa. Nie pamiętam jakie, ale u was chyba to zjawisko nastąpiło. Musicie teraz bardzo uważać, bo proces samospalenia jest bardzo wyczerpujący i drzewo ma przed sobą dwa rokowania. Przy dobrej pielęgnacji i pomocy aniołów może być prawie doskonałe, albo też rozchoruje się i umrze. Dużo zależy od was. Podobno w starej części ogrodu można znaleźć takie drzewa, które tylko czekają na przesadzenie do Absolutu, a wcześniej doświadczyły zjawiska wstrząsowego.

Z minuty na minutę z drzewem było coraz lepiej. Szczególnie mocny wydawał się Almie pień, który wygładził się i nabrał głębokiej, śliwkowej barwy. Zdawało jej się, że kora jest miejscami prawie aksamitna. Stare kwiaty zaczęły wybarwiać się mocnymi kolorami. Pewnego dnia, gdy wracała do ogrodu po płasach na purpurowej łące, już u progu bramy czekali na nią wszyscy: Kira, Ariel, Noel i Noemi. Gabriel z niecierpliwością wyszedł jej naprzeciw.

– Czyżbym czegoś zaniedbała? – zaniepokoiła się.

– Nie, wszystko jest w porządku. Mamy dla ciebie bardzo dobrą wiadomość – powiedziała niecierpliwie Noemi. – Pojawił się nowy pąk. Jest okazały i mocny.

Wiadomość o tym dotarła już do kontrolerów. Wstrzymali swoją wizytę. Chcą zobaczyć, czy to jest etap przejściowy, czy też sytuacja ustabilizowała się. Jeśli tak, to nie będzie potrzeby odnawiania wiedzy. W końcu liczy się efekt, a i tak na finiszu zostanieie postawieni w stan analizy elementarnej.

– Z tego wynika, że jest szansa dla naszego drzewa? – ucieszyła się Alma.

– I uniknę nieprzyjemnej wizyty! – odetchnął z ulgą Gabriel.

Gdy znaleźli się nad drzewem, nowy pąk zachwycił Alnę. Podobne widywała na początku pracy w ogrodzie. Pąk jeszcze nie otwierał kielicha i był to dopiero zaczątek kwiatu, ale już widać było, że będzie on wyjątkowo urodziwy i mocny. Ledwie odsłonięty kawałeczek płatka fosforyzował niezwykłą barwą.

– Teraz tylko potrzebna jest wzmożona pielęgnacja i podlewanie. Musicie być wyjątkowo uważni i opiekuńczy! Brawo! – Z gąszczu ogrodu wyłoniła się Nauczycielka i objęła Alnę. – A mówiłam, że wszystko będzie dobrze. Zbyt dobrze znam wasze zalety, aby wątpić w to, że uratujecie drzewo. Jednak nie ważcie się spocząć na laurach. Przede wszystkim pomoc codzienna! Teraz możecie użyć środków nadzwyczajnych. Rzadko Mistrz pozwala wtrącać się w decyzje ludzi, ale w wyjątkowym wypadku, aby utrwalić odnowę, możecie posłużyć się kandydatami na anioły.

\* \* \*

Na łące obok domu pojawiły się jasne punkciki robaczek świętojańskich. Wydawało się, że dolina stała się prawdziwie rozgwieżdżonym niebem. Pachniały zioła, a także dziki bez i akacja. Wielkie parasole łopianu, które porastały zbocze doliny strumyka, rzucały szafirowe, kłębiaste cienie na połyskującą srebrem płaszczyznę łąki. Nagle od strony ciemnej kurtyny lasu drobinki światełek zagęściły się i zaczęły mienić kolorowym światłem. Podpłynęły w stronę otwartych okien. Barwne punkciki okrążyły sztalugi, które stały na środku pokoju.

Na chwilę zatrzymały się przy płótnie, a później podzieliły. Na dwóch stojących po przeciwnej stronie stołu krzesłach pojawiły się sylwetki.

– Udało się! – z ulgą powiedziała Alma.

– Udało! – odpowiedział Gabriel.

– Teraz zostało nam jedynie czekanie. Tylko Mistrz wie, czy motyle powrócą, czy na zawsze pozostaną w wolierze. Wejźmy nową bramą, może już ją otwarto. Jest czas czuwania – zauważyła Alma i podała Gabrielowi dłoń. Razem przeszli bramę ramy. U wejścia do ogrodu czekały już na nich inne anioły. I te,

które dopiero niedawno siały ziarno, mało doświadczone, ale również weterani z długoletnim stażem ogrodniczym oraz wybitni specjaliści z archaicznej części ogrodu.

Drzewo było tak piękne, jak nigdy dotąd. Mocne, zdrowe gałęzie jak przęśła mostu podtrzymywały wielkie kielichy niespotykane pięknych kwiatów. Wiele ich zakwitło niedawno, dając Gabrielowi i Almie powód do radości i nadzieję na przyszłość. Ogrodnicy poczuli się dumni i szczęśliwi. Wiedzieli, że między innymi ich intuicji, pielęgnacji i ciężkiej pracy zawdzięczają sukces.

Wokół drzewa, w powietrzu krążył korowód aniołów. Wił się między poszyciem a koroną, oplatając drzewo srebrno-złotą strugą. W pewnej chwili rozległy się dźwięki skrzypiec i na ogród, jak krople deszczu, spłynęły dźwięki słodkiej melodii. Otwarły się obłoki i w jasnej smudze światła ukazał się różnobarwny klucz motyli. Spłynął w dół szeroką wstęgą. Barwne skrzydełka trzepotały w rytm melodii. Kolorowy strumień sunął w kierunku ogrodu. Okrążył czubki drzew, a potem miękko jak welon opadł na koronę. Część kolorowych przybyszów przysiadła na gałęziach, zamieniając się w kielichy kwiatów.

Alma i Gabriel wiedzieli, że to dobra wróżba dla nich, dla drzewa, a przede wszystkim dla zakochanych.

## Postscriptum

Drogi Sergieju!

Nigdy dotąd do Ciebie nie pisałam. Rozstaliśmy się już wiele miesięcy temu i przez cały ten okres milczałam, choć prosiłeś, abym dała znać, gdy wszystko sobie poukładałam. Jak domyślasz się, jeszcze nie wszystko jest dla mnie jasne. Na razie staram się zrozumieć samą siebie. Ale nie masz powodu do niepokoju, bo o Tobie też myślę.

Tak więc, myślę, myślę i mimo wszystko nadal nie jestem pewna, kim dla mnie jesteś. Jednak zdobyłam się na odwagę i postanowiłam, że napiszę. Pomyślałam sobie, że musimy o sobie więcej wiedzieć, musimy lepiej poznać się, zanim coś zaczniemy wspólnie budować.

Zaczynam pierwsza, i to od sprawy dla mnie najtrudniejszej.

Poznałam Ciebie w bardzo ciężkim dla mnie okresie. Utraciłam najdroższą, najważniejszą osobę w moim życiu. Jestem bardzo młoda i odejście jej zaszokowało mnie, zatrzymało w biegu. Kazało zastanowić się nad wieloma sprawami, a nie byłam na to gotowa. Dotychczas mogłam być dzieckiem i nie musiałam brać żadnej odpowiedzialności za to, co robię. Nagle nie tylko straciłam matkę, ale i grunt pod nogami, a przecież myślałam, że ona będzie przy mnie zawsze. Pomoże mi zмагаć się z życiem, wyprostuje kręte drogi, poradzi. Przecież każde dziecko myśli, że rodzice będą przy nim na zawsze. A tu musiałam zmierzyć się z jej śmiercią i do tego z wielką tajemnicą jej życia. Później okazało się, że i mojego...

Poznałam Ciebie w trudnym momencie. Właśnie przyjechałam do Belgii szukać swoich korzeni po mieczu. I to był jedyny cel mojej podróży. Chciałam poznać jednego z najważniejszych mężczyzn, który powinien uczestniczyć w moim życiu, a było to niemożliwe. Bez biologicznego ojca nie byłoby mnie na świecie. Musiałam układać jego obraz z kolorowych opowieści jego krewnych. Przy okazji poznałam wspaniałych i barwnych ludzi, którzy okazali się moją rodziną. Musiałam się z nimi zaprzyjaźnić i znaleźć dla nich miejsce w sercu. To nie jest łatwe. I w tym wszystkim nagle pojawiłeś się na mojej drodze Ty. Jesteś dla mnie kimś ważnym, ale nie jestem w stanie odpowiedzieć na Twoje pytanie, jakie masz miejsce w moim sercu. I czy zostaniesz w nim na zawsze. Na to pytanie jeszcze za wcześnie. Na razie muszę uporać się ze swoją tożsamością.

Teraz nastąpiła jesień. Minęły dni wakacji, słońca, a nawet babiego lata i przeźroczystych, słonecznych poranków. Za to dopadł mnie listopad. Znowu łzawy listopad, przepełniony tęsknotą i wspomnieniami! Kocham jesień, ale tę wczesną, barwną i słoneczną. Gdy zbliża się okres szarości, skóra mi cierpnie. Wielokrotnie w tym smutnym okresie wydarzały mi się trudne sprawy, stąd mój

odruch psa Pawłowa. W tym roku znowu dopadł mnie listopadowy podły nastrój. Zaczęło się od złych wspomnień.

Czas zatoczył roczne koło. Z szarości dżdżystych dni wróciły trudne wspomnienia. Przeżywam rocznicę śmierci mojej mamy. Gdy umierała, był listopad. Dotychczas z nikim nie dzieliłam się tym ciężarem. Ale teraz postanowiłam napisać do Ciebie, którego w zasadzie niewiele znam, a jakbym znała całe życie. Czuję, że tylko Tobie mogę opowiedzieć o moim najtrudniejszym przeżyciu.

Wszystko potoczyło się szybko. Parę dni i... moja Mama pozostała jedynie na fotografiach oraz w naszych sercach. Choć minęło parę miesięcy, nadal jest mi trudno. Wracają obrazy ostatnich dni, kiedy towarzyszyłam jej w odchodzeniu. Z wieloma sprawami nie mogę się pogodzić. Ciągłe zadaję sobie pytania, na które nie potrafię odnaleźć odpowiedzi. Wiele spraw mnie boli. ...

Bardzo starałam się w tych ostatnich dniach przed śmiercią Mamy, ochronić ją przed strachem i zwyczajnie po ludzku pomóc. Niestety na wiele rzeczy nie miałam żadnego wpływu. Czułam się bezsilna, zraniona tą niemocą.

Byłam przy Mamie od samego początku odchodzenia. Byłam, gdy przyjechał lekarz z wizytą domową, bo w końcu udało nam się przekonać Mamę, że dalej tak nie można bez lekarza, bo jest coraz słabsza i coraz bardziej cierpi. Byłam, gdy przyjechała ekipa pogotowia ratunkowego, bo jedynie w ten sposób można było przetransportować ją do szpitala. Towarzyszyłam na izbie przyjęć, na szpitalnym korytarzu, w drodze na badania. Trzymałam za rękę i powtarzałam „jestem obok, nie odejdę ani na krok”. Przebrałam Mamę w operacyjną koszulę, aby tego nie zrobiły obce osoby, chociaż ciężko mi ją było podnieść, bo była słaba i nie współdziałała. Trzymałam za rękę, gdy odjeżdżała na blok operacyjny...

Nie wiem, czy na początku choroby Mama miała świadomość końca życia, beznadziejności swojego stanu. Być może to przeczuwała. Jeszcze parę dni wcześniej, gdy uparcie nie pozwalała wezwać do siebie lekarza, mówiła mi „jakaś zaraza się do mnie przyczepiła i nie chce się odczepić”, „nie wiem, co mi mogło zaszkodzić”. Nie chciała nic jeść. Zwracała, słabła. W końcu karmiliśmy ją jak małe dziecko obiadkami z Gerbera, deserami i pieczonym jabłkiem. I szczęśliwi byliśmy, jak cokolwiek zjadła. Karmiłam ją łyżeczką jak niemowlę: „za wnuczka, za tatę...” i cieszyłam się, że mi nie odmawia. Boże, jaka byłam wtedy niemądra!

Może to okrutne, ale jej choroba dała mi możliwość wspólnego lepszego porozumienia. Przestałam z nią polemizować i nauczyłam się ją kochać za to, że w ogóle była, a nie za to, jaka była. Gdzieś znikły nasze różnice poglądów, małostkowość, przestała być ważna sprawiedliwość. Najważniejsze było to, że była

obok i można było w każdej chwili do niej wpaść, pogadać o niczym, bo takie to były nasze ostatnie rozmowy. Wiele spraw nas wtedy, o ironio, połączyło. Najbardziej miłość do malowania. Mama znalazła w nim swoją ucieczkę od trudnej strony życia. W mozolnym malowaniu kwiatów odnalazła spokój i radość. Miała tę swoją kolorową kwietną krainę, jak swoistą arkadię, gdzie chowała się przed przykrościami, kłopotami i lękiem.

Początkowo wstydziła się swoich obrazów, których z czasem powstawało coraz więcej. Po jakimś czasie pozwoliła nam na zwiedzanie swojej krainy, ale nadal skrzętnie chowała ją przed obcymi.

W chorobie Mama wpadała z domownikami w rozmaite konflikty. Na sprzeciw czy inne zdanie reagowała jak mała dziewczynka. Obrażała się, tupiała, płakała, a gdy była wyjątkowo rozdrażniona, przybiegała właśnie do mnie, aby pożalić się, uspokoić.

Nasze role odwróciły się. Głaskałam, przytulałam, uspokajałam. Nie potrafiłam denerwować się na taką Mamę-dziecko.

Nie wiem, jaki obraz Mamy pozostanie w mojej głowie po paru latach. O jakiej Mamie będę pamiętała? Teraz w głowie mam rozżaloną, skrzywdzoną dziewczynkę, która nie rozumiała, co się wokół niej dzieje. A to bardzo boli!

Mam też w pamięci obraz Mamy w różnych okresach jej życia. W każdym z nich pamiętam ją całkiem inną. Wiem jedno: zawsze była bardzo kochana.

Mam nadzieję, że przechodząc na drugą stronę, czuła nasze myśli i naszą miłość, tak jak czuła nasze dłonie trzymające jej ręce. Odeszła, jakby wysunęła się ze zbyt długo noszonej sukienki, i powędrowała do jednego ze swoich rajskich ogrodów, pozostawiając w mojej dłoni jedynie starą, znoszoną materię.

Mam nadzieję, że w krainie, do której odeszła, odnajdzie swoje pędzle i farby. I tam się kiedyś z nią spotkam.

Wybacz, że obarczam Cię tym trudnym wspomnieniem, ale od czegoś muszę zacząć. To mój pierwszy wkład w nasze przyszłe relacje. Może spróbujemy najpierw na odległość poznać się bliżej. A co czas przyniesie, zobaczymy.

To chyba dobre fundamenty na których można budować przyszłość.

Gizela

„Wierzę w radość ni z tego ni z owego

w anioła co spadł z nieba by bawić się w śniegu  
w serce co chce wszystkiego i jeszcze w cokolwiek  
w uśmiech...”

Jan Twardowski



